

Dee Shulman

# GORĄCZKA 1

*Fever*

Przekład  
Dorota Konowrocka

Dla Chrisa

# Prolog

Seth otworzył oczy. Nieznośne drgawki ustąpiły. Kompletnie wyczerpany, usiadł. Nie czuł rozdzierającego bólu przeszywającego całe ciało. Nie miał zawrotów głowy. Nie było też żadnego bólu rozsadzającego czaszkę. Gorączka minęła.

Ostrożnie przesunął nogi na skraj cienkiego posłania, na którym leżał, i rozejrzał się po mrocznej celi. Wyglądała tak, jak powinna – niski drewniany stół, na którym leżało mnóstwo leczniczych ziół i tajemniczych fiolek oraz stał kubek ze świeżą wodą. Seth zmrużył oczy i spojrzał na migoczący płomień lampy oliwnej. Płomień skrzył się zaskakującą feerią barw, co wytrąciło go z równowagi.

– Matt?! – zawołał.

Spodziewał się, że jego głos będzie ochryply i słaby, ale słowo wybrzmiało czysto i donośnie. Stanął i odkrył, że pewnie trzyma się na nogach. Podszedł do drzwi. Były otwarte.

Dziwne.

Wyszedł na wąski korytarz.

Pusto.

Koszary gladiatorów powinny tętnić życiem. Gdzie się wszyscy podziali?

Pobiegł do celi Matthiasa.

Też była pusta. Na jego materacu leżała tunika, a na stole stojącym pod niewielkim oknem znalazł porzucony tłuczek i moździerz z częściowo roztartym lekarstwem.

Podszedł do okna i wyrztał na zewnątrz. Znów ujrzał tę dziwną aurę barwnego światła rozświetlającą krańce upiornie pustej areny do ćwiczeń. Zerknął w stronę wrót. Gdzie były strażę? Wartownicy nigdy nie opuszczali swoich stanowisk.

Ogarnął go niepokój. Seth wybiegł z budynku, przebiegł opuszczoną arenę i dopadł wielkich drewnianych wrót. Obejrzał się przez ramię i napał na nie z całą siłą. Rozwarły się ze szczękiem. Szybko prześlizgnął się przez nie, zanim dźwięk, jaki wrota wydały przy otwieraniu, by go zdradził, i pobiegł dalej, przekonany, że jego oprawcy lada moment go dopadną.

Wiedział, dokąd zmierza – do miejsca ich sekretnych spotkań. Wyobraził ją sobie, jak stoi w cieniu drzew i czeka na niego.

Liwia. Jego Liwia.

I nagle zastygł, gdy pamięć podsunęła mu zapomniane obrazy. Nie będzie jej tam.  
Odeszła na zawsze.

Widział, jak umierała.

# Część I

*Czas płynie zbyt wolno dla tych, którzy czekają,  
Zbyt spiesznie dla tych, którzy się lękają,  
Zbyt opieszale dla pogrążonych w żałobie,  
Zbyt wartko dla tych, którzy świętują,  
Ale dla tych, którzy kochają, czas jest wiecznością.*

Henry van Dyke (1852–1933)

# Rozdział 1

## Młodociana przestępczyni

*York, Anglia*

*A.D. 2012*

– Ewo, o co ci chodzi?

Wzruszyłam ramionami. Od czego zacząć?

– Co robiłaś w tym czasie, kiedy miałaś być w szkole?

– Eee... Nic.

– A bardziej konkretnie?

Naprawdę chcesz wiedzieć, tato?

– Ewo, co z tobą będzie? – włączyła się wreszcie mama.

Skąd, do diabła, miałabym wiedzieć, co ze mną będzie? Ale dziękuję, mam, za przypomnienie mi, że nie mam przyszłości, i za to, że zawsze bierzesz jego stronę.

Odpowiedziałam hardym spojrzeniem. Moja matka i mój ojczym, Colin. Do kompletu przydałby się jeszcze kochany Ted (jego syn, nie mój brat), żeby było trzy na jednego.

– Mam tego dość, Ewo – powiedział Colin. – Natychmiast wyjdź! Nie chcę na ciebie patrzeć...

– To tak jak ja na ciebie – wymamrotałam, przeciskając się obok niego i biegnąc do swojego pokoju.

W pierwszym odruchu chciałam wziąć gitarę, podkręcić wzmacniacz i wrzeszczeć do utraty głosu. Nie ufałam sobie jednak. Za bardzo kochałam swoją gitarę – należała do mojego ojca – a w tej chwili marzyłam głównie o tym, by coś rozwalić. Próbowałam wyrównać oddech, ale tylko czułam, jak narasta we mnie wściekłość. Musiałam wyjść. Chwyciłam kurtkę i wybiegłam z domu.

I popędziłam... przez miasto, przez park, w dół zbocza aż do rzeki. Biegłam ścieżką, ignorując uprawiających jogging, spacerowiczów z psami i nieuniknione gwizdy aprobaty. Jeśli

tylko odrobinę się do tego przyłożyłam, mogłam zignorować prawie każdy dźwięk. W końcu rozpalając mnie do białości wściekłość zaczęła ustępować i trochę się uspokoiłam.

Zachichotałam ponuro. Bo wreszcie Colin miał rzeczywisty powód, by się zdenerwować.

Znowu wywalili mnie ze szkoły.

Czytałam wystarczająco dużo, by orientować się, że dwukrotne wyrzucenie ze szkoły oznacza prawdziwe kłopoty. Choć od tygodni nie pokazywałam się na lekcjach, teraz nie mogłam opanować drżenia na myśl o otwierającej się przede mną niesamowitej próżni – mojej przyszłości.

Żołądek skurczył mi się ze zdenerwowania. Świadomość, że mam szesnaście lat i w zasadzie wilczy bilet na dalsze życie, była dość przerażająca.

Nie miałam teraz ochoty rozmyślać o własnej egzystencji i zastanawiać się, jak mogłam znaleźć się w tak podłej sytuacji. Chciałam tylko biec i nie myśleć, ale nie miałam wpływu na to, co podsuwał mi mój mózg.

Mój mózg.

Korzeni tego problemu należało szukać właśnie w moim mózgu. Ile razy marzyłam o tym, żeby być normalną dziewczyną... Ale czy kiedykolwiek byłam normalna? Szczęśliwa? Podobna do innych dzieciaków?

Z trudem przypominałam sobie ten moment, kiedy sprawy zaczęły wymykać mi się spod kontroli... Kiedy dotarło do mnie, że dar może stać się przekleństwem.

Ile miałam wtedy lat? Pewnie jakieś sześć. Mój ojciec nie żył już od... nie wiem... chyba od roku... I choć mama po wielu miesiącach przestała w końcu płakać, tylko od czasu do czasu interesowała się moimi sprawami. Miałam mnóstwo czasu, by dopracować własne metody zapewniania sobie rozrywki.

Tego wieczoru telewizor jak zwykle był włączony – mama wsunęła mi pilota do ręki i zabroniła ruszać się z miejsca – ale miałam już dość głupawych programów. Przeczytałam już wszystko, co było w domu do przeczytania (co prawda, mama nie miała zbyt wielu książek) i śmiertelnie się nudziłam.

Wyjrzałam przez okno. Mama z zamkniętymi oczami leżała na rozkładanym krześle ogrodowym. Pamiętam, że przycisnęłam twarz do szyby, marząc o tym, by na mnie spojrzała, ale oczywiście nie zrobiła tego. Kiedy niechętnie odwracałam wzrok, w oko wpadł mi jej otwarty laptop leżący na stole. Podeszłam i nacisnęłam jeden z klawiszy. Ekran rozbłysnął. Przeglądarka

otwarta była na stronie, na której mama zamawiała wino. Dla sześciolatki wino nie jest czymś interesującym, ale wcześniej widziałam, jak moja mama pisze, więc miałam niejakie wyobrażenie o istocie działania przeglądarki. Jak się okazało, fotograficzna pamięć pozwoliła mi zapamiętać całkiem sporo z tego, co mama wpisywała, na przykład szczegóły konta bankowego, PIN-y i hasła. W ciągu kilku godzin udało mi się zrobić całkiem spore zakupy.

Byłam zachwycona, kiedy kilka dni później nadeszło dwadzieścia pięć paczek moich ulubionych cukierków, sto butelek lemoniady, mały labraderek i trzy kociaki syjamskie. Mojej matki jednak to nie uszczęśliwiło. Chociaż z radością przyznałam się do zrobienia zakupów, nie uwierzyła mi i założyła, że padła ofiarą wygłupu złodziei tożsamości.

Nie pozwolono mi zachować żadnej z zamówionych przeze mnie rzeczy, więc nie powtórzyłam swojego wyczynu, ale odkryłam cudowny nowy świat – świat, nad którym miałam całkowitą kontrolę. Dla samotnej, bezradnej dziewczynki było to coś niesamowitego.

Jako ośmiolatka potrafiłam już złamać większość zabezpieczeń i choć nikt nie podejrzewał nawet, czym się zajmuję, miałam tyle przytomności umysłu, by starannie zacierać za sobą ślady. Wiedziałam już wówczas, że moja działalność nie jest do końca legalna. Ale miałam dobre intencje – łamanie kodów zabezpieczeń sprawiało mi przyjemność. Fascynowały mnie. Nie interesowały mnie ludzkie tajemnice, dane ani informacje finansowe. Ekscytowało mnie po prostu otwieranie zamkniętych drzwi.

Niezbyt dobrze dogadywałam się z innymi ośmiolatkami. Barbie mnie nie interesowały. Podobała mi się idea przyjaźni i w skrytości ducha marzyłam o tym, żeby mieć choć jednego przyjaciela, ale nie udawało mi się wystarczająco dobrze maskować normalności. Nie potrafiłam zrozumieć, że dzieci nie chcą, abym przewidywała statystyczny wynik każdej gry, zanim jeszcze one ją podejmą, ani tego, że zabawa w „Memory” polega na tym, że nie pamiętasz, co jest na odwrocie każdej płytki. Szybko przestano mnie zapraszać do wspólnej zabawy.

Szkoła okazała się torturą. Spędzałam niekończące się godziny na wysłuchiwanie mdłych faktów i przestarzałych koncepcji. W domu nie układało się lepiej... Colin z trudem mnie tolerował, a Ted z każdym dniem czuł do mnie coraz większą odrazę.

Tysiące razy marzyłam o tym, by uciec, ale nie wiedziałam jak, więc przez kilka lat uciekałam wirtualnie – potrafiłam na każdym komputerze zainstalować niewykrywalne spiratowane gry i znajdowałam pocieszenie w przeobrażaniu się w kogoś innego; kogoś mającego władzę, kogoś, kto umiał pokonać rzesze potężnych wrogów. Gry stały się moim



prawdziwym życiem. Trzymały mnie przy zdrowych zmysłach... dopóki nie odkryłam jeszcze bardziej ekscytującego świata.

Miałam jedenaście lat i w końcu zaczęłam wagarować. Z początku nie robiłam tego celowo. Pewnego poniedziałkowego ranka nie mogłam zmusić się do tego, by wysiąść z autobusu na szkolnym przystanku. W czwartek odkryłam miejską bibliotekę: stoły zastawione komputerami, półki zawałone książkami i nikogo, kto mógłby mi zawracać głowę. Jak to możliwe, że ta oaza pozostawała tak długo dobrze ukrywanym przede mną sekretem? Biblioteka stała się moim rajem. Dzień po dniu siadałam w kącie, starając się nie rzucać w oczy, i pożerałam książki: upadek stalinizmu, organizacja społeczna Brytanii w czasach podbojów rzymskich, rosyjski, łacina, greka, teoria kwantowa, genetyka... We wszystkich znajdowałam coś podniecającego. Po powrocie do domu czytałam dalej online, dopóki ktoś nie przyszedł. Wtedy szybko wymazywałam historię, wylogowywałam się, wyłączałam komputer i włączałam telewizor.

Wierzyłam, że ujdzie mi to na sucho. Sądziłam, że dobrze się maskuję. Dowiedziałam się wszystkiego, co tylko możliwe, na temat chorób przewlekłych, których objawy mogłam z łatwością symulować, i sfalszowałam list do szkoły, w którym moja matka wyjaśniała, że mam łagodne zapalenie mózgu i rdzenia z mialgią, co uzasadnia moje bezterminowe zwolnienie z obowiązku uczęszczania do szkoły.

Tą samą zmyśloną historyjką posłużyłam się, kiedy w końcu zainteresowała się mną bibliotekarka, i żyłam w przeświadczeniu, że mi uwierzyła. Zaufałam jej nawet na tyle, by odbyć z nią kilka rozmów o kanadyjskim systemie prawnym (była Kanadyjką), ale to właśnie ona bez skrępowań na mnie doniosła.

Trzy miesiące po odkryciu przeze mnie rajów znów zostałam wyrzutkiem. Byłam całkowicie pochłonięta lekturą artykułu z czasopisma „Lancet” na temat komórek macierzystych, kiedy nagle poklepał mnie po ramieniu zbulwersowany pracownik opieki społecznej.

Przez dwie godziny odmawiałam złożenia zeznań. Wiedziłam, że kiedy tylko podam im swoje imię i nazwisko, zadzwonią do moich rodziców i znowu wyślą mnie do szkoły. Niestety, kiedy masz tylko jedenaście lat i nie przeszedłeś szkolenia z zakresu technik opierania się torturom, ciężko znosisz przesłuchania. Poddałam się. Zabrali mnie do domu, do mamy i Colina (potężna awantura), a oni – co było do przewidzenia – wysłali mnie z powrotem do szkoły. Dostałam pierwsze oficjalne ostrzeżenie.

Oznaczało to, że jeśli dopuszczę się jeszcze jednego naprawdę złego postępku, zostanę wyrzucona ze szkoły.

A to był miód na moje serce! Teraz musiałam już tylko wymyślić awanturę na tyle potężną, by stanowiła wystarczający pretekst do wydalenia mnie ze szkoły. Zaczęłam tworzyć odpowiedni scenariusz zdarzeń.

Okazało się, że istnieje lista przewinień uzasadniających wykreślenie z listy uczniów. Wagarowanie (numer sześć) udało mi się z sukcesem wprowadzić w życie. Teraz musiałam już tylko wybrać rodzaj mojej drugiej zbrodni. Uznałam, że przemoc, prześladowania i rozprowadzenie narkotyków nie wchodzi w grę. Wykroczenie numer siedem wydawało się jednak wprost stworzone dla mnie – włamania komputerowe! Największym wyzwaniem było rozegranie tego w taki sposób, by podejrzenie padło właśnie na mnie.

Nieźle się bawiłam. Włamałam się na konto e-mailowe dyrektora szkoły i złożyłam rezygnację, którą wysłałam do wszystkich członków zarządu. Następnie wysłałam pocztą elektroniczną informację do wszystkich uczniów o odwołaniu zajęć szkolnych do końca tygodnia. Pozostawiłam zgrabny, łatwy do wyśledzenia ślad wiodący prosto do mojego konta mailowego i cztery dni później wezwano mnie przed oblicze dyrektora. Wysłuchałam godzinnej tyrady i bez żalu na zawsze opuściłam szkołę.

Starłam się nie wracać myślami do minionych zdarzeń, ale wybieganie myślą do przodu okazało się niewiele lepsze. Furia dyrektora była niczym w porównaniu z wściekłością moich rodziców. Dostałam szlaban na tydzień, po czym zapisali mnie do rejonowej szkoły średniej Downley...

Ku mojemu zaskoczeniu Downley okazała się początkowo całkiem w porządku. Była to wielka, anonimowa placówka, w której przebywało wystarczająco wielu uczniów sprawiających problemy, by uwaga dyrekcji nie skupiała się na mnie. Prawie przez trzy lata udawało mi się nie wzbudzać niczyjego zainteresowania.

Niestety, kiedy skończyłam czternaście lat, moje nietypowe zdolności okazały się problemem.

Jakby moje życie nie było już wystarczająco dziwaczne, ujawniła się moja Ułomność Numer Dwa.

## Rozdział 2

### Ucieczka

*York, Anglia*

*A.D. 2012*

Nagle i bez ostrzeżenia zniknął płaszcz zapewniający mi niewidzialność. Od tak dawna pracowałam nad tym, by nie rzucać się w oczy, że prawie uwierzyłam we własną przezroczystość. Przemykałam w cieniu, nie wdawałam się w żadne rozmowy, siadałam z tyłu i unikałam jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego. Stopniowo zaczęłam się jednak orientować, że coraz częściej czuję na sobie ludzkie spojrzenia. Zwłaszcza chłopcy zaczęli zadawać mi różne dziwne pytania i zapraszać na weekendowe imprezy.

Jakaś pogrzebana dawno część mnie domagała się wprawdzie towarzystwa, ale instynktownie wietrzyłam niebezpieczeństwo i groźbę rozpracowania mnie. Starałam się więc ignorować pytania i zaproszenia. Chłopcy próbowali dalej, więc zastosowałam strategię zjadliwego chamstwa, ale oni tylko śmiali się, jakbym z nimi flirtowała. Ściąłam włosy na krótko i zaczęłam nosić workowate ubrania, ale bez rezultatu. Im większy dystans stwarzałam, tym bardziej byli mną zainteresowani i natarczywi. Kiedy w końcu Jason Drummond rzucił Sophie Scott, mówiąc, że woli mnie, dziewczyny również przestały mnie ignorować i zapalały do mnie czystą nienawiścią. Zbiorowo. Jawne prześladowanie w wykonaniu grupy dziewczyn z pewnością nie jest zabawne.

Zdecydowanie należało się ewakuować.

Miałam nadzieję, że nie będę musiała ponownie prowokować wydalenia mnie ze szkoły. Ostatecznie porzucenie szkoły w wieku lat szesnastu było zgodne z prawem. Popełniłam jednak błąd, który polegał na zaliczeniu na szóstkę serii egzaminów GCSE zdawanych przez szesnastolatków po szkole średniej. Bardzo poprawiłam średnią statystyczną Downley i nauczyciele liczyli na to, że na kolejnej sesji egzaminacyjnej zrobię to samo. Kiedy więc oznajmiłam dyrektorowi, że nie mam zamiaru kontynuować edukacji, zadzwonił do moich

rodziców, a oni zaczęli wypychać mnie siłą każdego ranka do szkoły. Musiałam zastosować unik. Po raz kolejny odwołałam się do moich komputerowych umiejętności i w ciągu dwóch tygodni załatwiłam sobie wydalenie ze szkoły...

...oraz adnotację w kartotece policyjnej.

Przestałam biec i zapatrzyłam się na rzekę.

Właśnie dokonałam szybkiego przeglądu moich życiowych osiągnięć, które ułożyły się w żaloszny katalog porażek. Udało mi się zawalić w moim życiu wszystko. Byłam notowana. Dwukrotnie poniosłam klęskę w szkole. Nigdy z nikim się nie zaprzyjaźniłam. Nie kochała mnie nawet moja matka, co można uznać za nie lada osiągnięcie.

Nikomu na mnie nie zależało.

Zatrzęsłam się z zimna. Wiedziałam, że muszę się ruszać, więc zaczęłam znów bezmyślnie iść naprzód, aż w końcu odkryłam, że nogi zanosły mnie do dawnego sanktuarium – biblioteki.

Otworzyłam drzwi, podeszłam do stojącego w rogu krzesła i usiadłam przed monitorem. Na stole obok ktoś zostawił gazetę otwartą na stronie z ogłoszeniami.

Olśnienie przyszło nagle i nieoczekiwanie. Mogłam przecież pójść do pracy! Miałam już szesnaście lat. Gdyby udało mi się znaleźć pracę, mogłabym pozwolić sobie na to, by się wyprowadzić, czyli uciec od moich rodziców... oraz kochanego Teda!

Poczułam w sercu iskierkę optymizmu. A gdyby udało mi się zdobyć pracę w laboratorium badawczym? Wyposażonym w mikroskop elektronowy? Byłoby nieźle. Lepiej niż nieźle. Byłoby wspaniale.

Drżącymi palcami uruchomiłam wyszukiwarkę. Wpisałam słowa kluczowe: „praca na stanowisku naukowo-badawczym mikroskop elektronowy”. Wskoczyło mnóstwo stanowisk technicznych. Szukałam dalej, a serce waliło mi jak młotem. Większość z nich dotyczyła pracy w Stanach Zjednoczonych, ale było też kilka ofert w Wielkiej Brytanii...

Najwyraźniej jak na kogoś tak inteligentnego – jak o sobie myślałam – byłam dość głupia.

W jakim świecie ktoś zaproponowałby niewykwalfikowanej szesnastolatce z wpisem do policyjnej kartoteki pracę w laboratorium naukowym?

Kolejne ogłoszenia zawierały listy irytujących wymagań, na przykład: „trzyletnie doświadczenie, bla, bla, bla... doktorat... znaczące osiągnięcia...”.

Nie skończyłam nawet college’u. Byłabym szczęściarą, gdyby udało mi się dostać pracę

sprzątaczkę w hotelu. Z wściekłością zaczęłam wymazywać moją historię wyszukiwania i przypadkowo dwukrotnie kliknęłam w słowa „mikroskop elektronowy”. Wskoczyły nowe wyniki wyszukiwania.

*Szkoła St Magdalene's nabyła nowy mikroskop elektronowy...*

Bez większego zainteresowania kliknęłam na odnośnik i zaczęłam czytać. Nazwa St Magdalene's była mi znana. Zetknęłam się z nią podczas jednego z moich wcześniejszych badań – miejsc pochówku starożytnych Rzymian czy coś takiego...

Zaczęłam czytać.

*Szkoła St Magdalene's w śródmieściu Londynu kupiła właśnie mikroskop elektronowy za 1,8 miliona funtów. St Magdalene's jest szkołą unikatową – jako jedyna na świecie wymaga od kandydatów na uczniów zaliczenia testu inteligencji na poziomie przekraczającym 170 punktów, co jest wynikiem osiąganym jedynie przez geniuszy, oraz przejścia czterodniowej rekrutacji obejmującej szereg testów i rozmów. W wyniku tak obostrzonych zasad przyjęć jest to stosunkowo niewielka szkoła, gdyż tylko naprawdę błyskotliwi młodzi ludzie mogą liczyć na to, że dostaną się do tej wyjątkowej placówki.*

*Czy taka szkoła powinna istnieć? Wielu specjalistów od edukacji kwestionuje zasadność elitarności tej instytucji. Utrzymują, że w interesie dzieci i całego systemu edukacji leży istnienie takich szkół, w których uczą się dzieci o różnym poziomie uzdolnień. Jednak dyrektor Terence Crispin nie ma wątpliwości, że uczniowie z St Magdalene's rozkwitają w tym elitarnym środowisku...*

Po przeczytaniu następnego wiersza poczułam się tak, jakby ktoś uderzył mnie w żołądek.

*Wyjątkowo uzdolnione dzieci mogą mieć kłopoty w systemie edukacji masowej, a tutaj są rozumiane i zapoznawane z pełnym zakresem...*

Kliknęłam na stronę internetową szkoły St Magdalene's.

Przypominała trochę średniowieczny zamek otaczający wybrukowany dziedziniec. Nie mogła chyba bardziej się różnić od czteropiętrowego bloku zbudowanego z myślą o pomieszczeniu placówki edukacyjnej, jakim była szkoła Downley. Kliknęłam na „Wyposażenie” i po kilku sekundach patrzyłam na nowiutki mikroskop.

Serce mocniej zabiło mi w piersiach. Musiałam się tam dostać.

Jak złożyć podanie? Gorączkowo przejrzałam dane kontaktowe i formularze aplikacyjne. I nagle dostrzegłam informację, od której pociemniało mi w oczach.

*Oplata semestralna: 10 000 funtów.*

No jasne.

Uderzyłam pięścią w stół. Ktoś zakaszał znacząco i przypomniałam sobie, gdzie jestem.

Nie płakałam od wielu lat. Nie rozpoznałam więc na czas charakterystycznego ucisku w gardle i zorientowałam się, co się dzieje, dopiero wtedy, gdy ciężkie łyzy zaczęły kapać na klawiaturę. Wyłączyłam komputer i wybiegłam z biblioteki.

Kiedy obróciłam klucz w zamku, było już dość późno. Miałam nadzieję, że wszyscy będą już w łózkach, ale mama na mnie czekała.

– Cześć – starałam się, by zabrzmiało to nonszalancko.

Najwyraźniej jednak nie był to właściwy ton.

– Ewo, gdzie ty byłaś? Odchodziłam od zmysłów. Miałam już dzwonić na policję...

Serce stanęło mi w piersiach. Jak to możliwe, że stałam się przestępcą?

Westchnęłam, opadłam na sofę i schowałam twarz w dłoniach. Powinnam zadzwonić. Powinnam wziąć komórkę. Popatrzyłam na matkę. Miała bladą, pooraną zmarszczkami twarz. Była zmartwiona. I wściekła.

Nie miała pojęcia, jak ze mną postępować. Chciałam wściekać się razem z nią, ale nieoczekiwanie poczułam przypływ współczucia. Trafiła jej się kłopotliwa córka, która nawet jednej rzeczy nie potrafiła wykonać dobrze.

Musiałam uciec. Pozwolić im wreszcie od siebie odetchnąć.

– Mamo, posłuchaj... Przepraszam – wyszeptałam i powoli poczłapałam do swojego pokoju.

Nie mogłam zasnąć, więc siedziałam na łóżku z laptopem na kolanach. Zalogowałam się, a po chwili ponownie szukałam informacji na temat St Magdalene's.

Jak miałam zdobyć takie pieniądze? Obrabować bank? Pewnie by mi się udało. Potrafiłam włamać się do większości miejsc, więc dlaczego nie do banku? Najpierw musiałabym założyć konto – a potem przetransferować na nie wystarczająco dużo pieniędzy, by pokryć czesne za dwa lata – sześćdziesiąt tysięcy funtów. Rany boskie!

Moje palce szaleńczo zatańczyły na klawiaturze, jakby podjęły wyzwanie. Nagle zastygłam.

Co ja robiłam?

Może i wpisano mnie do kartoteki policyjnej, ale przecież nie byłam prawdziwym

przestępcą, prawda? Oparłam się na poduszkach. Nie. Nie mogłam tego zrobić.

Przeszłam na stronę St Magdalene's. Odbyłam kolejną wirtualną wycieczkę po laboratoriach badawczych, skrzydle historii sztuki, studiach teatralnych. Masochistycznie wróciłam na stronę z dokumentami aplikacyjnymi.

I wtedy to zauważyłam. Niewielki odnośnik zatytułowany „Stypendia”. Jak mogłam go przeoczyć?

*Dla uczniów w trudniejszej sytuacji materialnej wykazujących się znacznymi osiągnięciami akademickimi przewidziano ograniczoną liczbę stypendiów. Pełne stypendium pokrywa koszt czesnego, podręczników i internatu.*

Internatu? Szkoła z internatem? A zatem całkowita ucieczka...

Natychmiast zabrałam się do wypełniania formularza aplikacyjnego. Był dość prosty, ale wiedziałam, że czas na trudniejsze pytania przyjdzie później – jeśli mnie zaproszą.

O trzeciej nad ranem nacisnęłam przycisk „Wyślij”. O czwartej nadal leżałam w ciemnościach z otwartymi oczami, starając się nie robić sobie zbyt wielkich nadziei.

## Rozdział 3

### Kontrola

*Londinium*

*A.D. 152*

Sethos Leontis nigdy nie liczył na wiele. Choć w jakiejś części swojej jaźni zawsze miał nadzieję zobaczyć następny wschód słońca, dobrze wiedział, jak niewielki wpływ ma na swoje przeznaczenie. Gladiator żył i umierał z woli innych.

Mimo wszystko Seth starał się sprawować kontrolę nad tą częścią życia, nad którą mógł – nad własnym ciałem, które bezwarunkowo należało do niego. Było wyszkolone. Gotowe. Trenował ciężko i zawzięcie; ciężej niż większość pozostałych; ciężej, niż zmuszał go lanista, a na Zeusa, lanista nie patyczkował się ze swoimi podwładnymi.

Seth objął wzrokiem arenę do ćwiczeń. Była zaskakująco spokojna. Pozostali gladiatorzy ucztowali po drugiej stronie miasta. Zasłużyli na ucztę, w której właśnie brali udział – jedną z niewielu przyjemności, których mogli zaznać w pełnym niebezpieczeństwie życia. Jednak dla Setha udział w uczcie w pewnym sensie symbolizował akceptację świata, do którego został wciągnięty wbrew własnej woli, i dlatego nie miał zamiaru się na niej pojawić. Nie urodził się po to, by zostać niewolnikiem, by walczyć o przetrwanie, by kaprys tłumu i bezwzględność właściciela, niezależnego lanisty Tertiusa, decydowały o jego losie. Nieświadomie potarł tatuaż na ramieniu symbolizujący jego status. Zaciśnął szczęki. Nie powinien się rozpraszać; gniew nie był dobrym doradcą.

Bogowie obdarzyli Setha siłą, wytrzymałością i refleksem. Jednak gladiator, z którym miał zmierzyć się już jutro, prawdopodobnie miał takie same atuty. A Sethos wiedział, że jeśli chce zwyciężyć i przeżyć do następnego dnia, potrzebuje czegoś więcej niż przymioty ciała. Niezbędna była żelazna determinacja i całkowita koncentracja. Jego skupienie podczas walki było tak ogromne, że objawiało się czymś w rodzaju nieprawdopodobnej intuicji. Potrafił tak szybko i precyzyjnie ocenić ruchy swojego przeciwnika, by je przewidzieć i uprzedzić.



Zapewniało mu to rozstrzygającą przewagę i hipnotyzowało widownię.

Sethos zawiesił spojrzenie na kamiennych siedziskach areny ćwiczebnej. Kiedy już uczy się zakończyć, na widowni zaroi się od obywateli żądnych spotkania z jutrzejszymi triumfatorami i pokonanymi. Potrząsnął głową. Nienawidził tej dwuznaczności swojego statusu. Byli niewolnikami, a jednak fetowano ich i podziwiano.

Na ciche skrzypnięcie sandała za plecami zareagował błyskawicznym wyciągnięciem sztyletu i zastygł w bezruchu.

– Ach, to ty, Matt!

Włożył broń do pochwy i uniósł dłoń w powitalnym geście. Matthias był jego przyjacielem, druhem, korynckim niewolnikiem tak samo jak on schwytanym podczas łapanki. Zbyt drobny na wojownika Matthias stał się nieodzowny dla rodziny ze względu na swoje wykształcenie medyczne. Niósł czyste ręczniki, wodę i butelkę oliwy.

– Nie poszedłeś na przyjęcie? – Matthias poklepał Sethosa po ramieniu i wskazał mu miejsce siedzące.

– Zaskoczony?

– To głupota – objadać się tuż przed walką. Ciała i umysły walczących staną się przez to powolne i ociężałe.

Mówiąc to, Matthias skierował swojego przyjaciela do najbliższej ławki i zaczął wcierać oliwę w jego barki. Znał wszystkie mięśnie w ciele Setha. Powoli, metodycznie upewniał się, że każdy z nich został właściwie rozgrzany i rozluźniony, po czym przechodził do następnego. Kiedy jego palce pracowicie masowały ciało Setha, Matt ponownie przyglądał się rysunkom i tabelom, które pokazał mu ojciec: kości, grupy mięśniowe, arterie i naczynia. Nie pozwolił jednak, by jego myśli odpłynęły zbyt daleko. Nie chciał rozmyślać o swoim ojcu. Zmusił umysł do powrotu na właściwe tory. Skóra Setha była znacznie jaśniejsza niż w Koryncie – w Londinium słońce świeciło słabiej. Ale dziś, tego cudownego sierpniowego wieczoru, prawie można było wyobrazić sobie powrót do domu: przygotowanie do szlachetnych zawodów, a nie tego bestialskiego cyrku gladiatorów. W ojczyźnie Matt nie znał dobrze Setha, ale odkąd wspólnie znaleźli się w niewoli, pokochał go jak brata.

Matthias był na nogach od świtu, przygotowując świeżą oliwę z oliwek z gałkami jałowca. Jutro zrobi to samo. W ten sposób mógł pomóc swojemu przyjacielowi utrzymać się przy życiu. Masował powolnym ruchem łydki Setha, kiedy śpiewający tłum zaczął wlewać się

przez wielkie drewniane wrota. Nie ulegało wątpliwości, że uczujący wypili mnóstwo wybornego wina. Byli hałaśliwi i nieopanowani.

– Wynośmy się stąd – wymamrotał Sethos, próbując wstać, ale Matthias jeszcze nie skończył, a był zbyt zabobonny, by przerwać zabieg w tym momencie. Popchnął przyjaciela z powrotem na miejsce.

– Cierpliwości, Seth. Jeszcze chwila.

Nie została im jednak dana.

– Tam jest! Sethos Leontis! – Tłum zaczął przesuwac się w ich stronę.

– Dalej, Sethos! Wypijmy za twoje jutrzejsze zwycięstwo!

Kubek wina przyciśnięto do ust gladiatora. Odwrócił głowę, ale chwyciły go jakieś ręce, dotykając jego pokrytej oliwą skóry.

– Hej! Odsuńcie się, dajcie mu odetchnąć! Chcecie, żeby się udusił jeszcze przed jutrzejszą walką? – krzyknął Matthias, próbując wszystkich odepchnąć.

W tym momencie na arenę wkroczyli Tertius i reszta rodziny.

Tłum stracił zainteresowanie Sethosem. Niektórzy wycofali się, by uczcić innych bohaterów, ale Sethos wiedział, że większość kobiet zostanie obok niego. Jako *retarius* nie miał prawie żadnej zbroi z wyjątkiem skórzanego pasa na ramię, więc choć był silny, w walce z ciężej uzbrojonymi, czasem mocno zbudowanymi przeciwnikami musiał zawierzyć swojej zwinności i szybkości. Podejrzewał, że kobiety uznawały tego rodzaju zmagania za atrakcję. Nie przyjmował do wiadomości, że niebanalną rolę odgrywała jego uroda.

Sethos niechętnie rozluźnił ramiona, przygotowując się do tego, by zmierzyć się ze swoimi wielbicielami – w tych okolicznościach nie było co marzyć o dokończeniu masażu. Kiedy jednak wstał, zauważył dziewczynę z osłoniętą głową, stojącą tuż za dwiema starszymi kobietami. Przyglądała mu się mocno umalowanymi, ciemnymi migdałowymi oczami, które nagle się zaśmiały. Najwyraźniej rozbawiło ją jego aż nazbyt widoczne skrepowanie. Kąciki jej ust drgnęły... Jej ust... Seth nigdy nie widział równie rozkosznych ust: pełne wargi, leciutko rozchylone, ukazywały drobne białe ząbki. Delikatny powiew uniósł chustę osłaniającą jej włosy i wysunął spod niej ciemny kosmyk. Kiedy wsuwała go na powrót, na nadgarstku błysnęła złota bransoleta.

Sethos z zaskoczeniem skonstatował, że nogi same niosą go w jej stronę. Spłonila się, ale nie spuściła oczu. Dwie kobiety, z którymi stała, westchnęły z zachwytu, nieświadome, że obiekt

jego zainteresowania stoi tuż za nimi.

– Sethos Leontis! To dla nas ogromny zaszczyt! Wiernie kibicujemy! Nie do wiary, że ktoś tak młody mógł zdobyć już osiem wieńców! Jak to możliwe?

– Bogowie byli przychylni. A zatem – będziecie oglądać jutrzejszą walkę? – Mówił do nich, ale jego spojrzenie tańczyło po twarzy dziewczyny.

Lekko skinęła głową.

– Z pewnością przyjdziemy!

– Czy mogę zapytać, kim są moi wierni kibice?

– Ach, oczywiście! Nazywam się Rufina Agrippa, a to jest Flawia Natalis...

Sethos ujął po kolei dłoń każdej z kobiet i uniosł ją do ust.

– I? – zapytał, przesuwając wzrok na migdałowe oczy.

– Ach! Dziecko! Adoptowana córka Flawii i Domitusa Natalisa – Liwia...

Oczy Liwii zapłonęły gniewem.

– Mam prawie siedemnaście lat, Rufino! Dość dużo jak na dziecko!

Kąciki ust Sethosa drgnęły z rozbawienia.

– Liwia Natalis – cała przyjemność po mojej stronie! – wymamrotał, ujął jej dłoń i ucałował ją.

Jej skóra pachniała słodko jaśminem i wodą różaną. Niepostrzeżenie Sethos głęboko wciągnął powietrze, ale Rufina dostrzegła jego zainteresowanie i się nastroszyła.

– Liwio, czy twój narzeczoną będzie ci towarzyszył jutro podczas zawodów?

Policzki Liwii spłonęły rumieńcem.

– Kasjusz nie jest moim narzeczoną. Jeszcze nie przyjąłem jego oświadczeń!

Przygryzła wargi. Powiedziała zbyt wiele.

– Chodź, Liwio, wiele innych osób chce spotkać się z Sethosem Leontisem. Sethosie, jeśli zwyciężysz, może spotkamy się ponownie na jutrzejszym przyjęciu?

Flawia Natalis wyciągnęła rękę, a on ponownie złożył na niej pocałunek.

– To będzie dla mnie zaszczyt.

Kiedy się oddalały, Sethos odprowadzał je wzrokiem, marząc o tym, by dziewczyna jeszcze raz na niego spojrzała. Stracił już prawie nadzieję, kiedy nagle odwróciła się i popatrzyła nań porozumiewawczo. Dotknął czoła, udając, że salutuje, a ona się uśmiechnęła. Ogarnęła go fala nieznanego ciepła.

Kiedy zniknęły w tłumie w zwieńczonym łukiem przejściu, Sethos zdumiał się swobodą rzymskich kobiet. W Koryncie, skąd pochodził, dziewczynie nigdy nie pozwolono by na swobodne przechadzanie się po mieście ani na tak otwarte sprzeciwianie się planom jej rodziny w kwestii małżeństwa. Zadrzał na myśl o konsekwencjach i poczuł przyływ pełnej obaw troski o uroczą dziewczynę.

– Seth, co ty sobie właściwie wyobrażasz? — wysyczał mu do ucha Matthias.

Sethos drgnął i przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

– Ona jest niezameżną obywatelką Rzymu!

Matthias był tak diabelnie przenikliwy. Seth zacisnął szczęki. Rozumiał, co mówił do niego Matthias. „Pamiętaj, że jesteś niewolnikiem”. W tym mieście nie miał żadnych praw. Dziewczyna była dla niego równie niedostępna jak słońce na niebie.

– Trzymaj się kobiet zameżnych! – wymamrotał Matthias, kiedy kolejna fala spłonionych wielbicielek ruszyła w ich stronę, by pozdrowić Sethosa.

Sethos pozostał na arenie kolejne pół godziny, odpowiadał na pytania i pozwalał rzymskim kobietom na flirtowanie z nim. Lanista nie spuszczał z niego wzroku. Sethos wiedział, że czarujące zachowanie stanowiło jego obowiązek: im większa była jego popularność, tym więcej ludzi przychodziło go oglądać. Kiedy jednak dostrzegł, że lanista siada z bukłakiem wina na jednym z kamiennych siedzisk, sadzając sobie kobietę na kolanie, skorzystał ze sposobności, by się wymknąć.

Matthias nie pozwolił zostawić się w tyle. Uwielbiał kobiety gromadzące się wokół Sethosa, a zażyłość ze sławnym gladiatorem zwiększała jego towarzyską atrakcyjność, ale podczas wieczoru przed walką lojalność wobec przyjaciela była ważniejsza. Ruszyli do koszar. Sethos nalał z dzbana dwa kubki wody, jeden z nich podał Matthiasowi, a drugi wziął ze sobą i wyciągnął się na swojej wąskiej macie. Matthias przykucnął na krańcu posłania, nalał w zagłębienie dłoni odrobinę oliwy i przystąpił do przerwane go masażu.

Sethos zaczął się rozluźniać. Masaż był bardzo przyjemny. Mężczyzna mógł pozwolić myślom odpłynąć ku dziewczynie o migdałowych oczach. Odkąd wyrwano go z rodzinnej ziemi, spotkał tak wiele kobiet. Niektóre były piękne, inne – egzotyczne, niektóre – wpływowe, ale wszystkie były mężatkami. Wybierały go i potajemnie umawiały się z nim na spotkanie. Nigdy jednak nie chciał poznać żadnej z nich, nigdy żadnej nie szukał.

Dlatego nagle zainteresowanie Liwią okazało się dla niego całkowitym zaskoczeniem,

uczuciem nieznanym wcześniej. Matt miał rację – to na pewno nie było właściwe ani zdrowe. Samobójstwem było już samo rozważanie możliwości związania się z tą dziewczyną. Rzymskie prawo nie miałoby dla niego litości. Ale jakie to miało znaczenie, czy w jego życiu pojawił się jeszcze jeden niezdrowy element? W końcu był gladiatorem.

Otworzył oczy. Tak. Był gladiatorem i za kilka godzin miał stoczyć wielką walkę. Nie mógł się rozpraszać. Musiał oczyścić umysł. Matthias zaczął okładać pięściami jego drugą nogę. Sethos ponownie zamknął oczy i przypomniał sobie bieżący rozkaz. Choć listy walk jeszcze nie obwieszczono, wiedział, że zmierzy się z Protiksem Canitsem, potężnym Galem, który równie mocno nienawidził Rzymian jak Greków. Protix był wojownikiem brutalnym, a jego skumulowana nienawiść była równie niebezpieczna jak szybkość i intuicja Setha. Seth miał gorącą nadzieję, że Protix nie żałował sobie tego wieczoru wina. Leontis potrzebował wszystkich możliwych źródeł przewagi. Nagle żądza wygrania jutrzejszej walki stała się bardziej zaciekle, a zwykła chęć pozostania przy życiu zeszła na dalszy plan. Seth usiadł, szeroko otwierając oczy.

– O co chodzi? – zapytał Matthias.

– Muszę wygrać.

– Wygrasz. Zawsze wygrywasz.

– Nie, chodzi o to, że muszę...

– To dobrze.

– Bo po walce zobaczę się z tą dziewczyną. Z Liwią.

Matthias potrząsnął głową.

– Dlaczego wybrałeś jedyną kobietę w mieście, której nie możesz mieć? Seth, czy ty chcesz zginąć? A może już tyle razy dostałeś w łeb, że głowa przestała ci pracować? Zostaw ją w spokoju. Żadna kobieta na świecie nie jest warta tego, żeby za nią zginąć.

– Na Apollina, Matt! Moje życie jest odroczone wyrokiem śmierci! Czyż śmierć za kobietę nie miałaby większego sensu niż to?

Zdenerwowany Matthias zagwizdał przez zęby. Nie znosił, kiedy jego przyjaciel wykazywał taki brak rozwagi. Gdy był w takim stanie, nie dawało się nim rozsądnie kierować. A nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach utrzymanie Setha przy życiu stawało się nie lada wyzwaniem. Był zbyt porywczy i skory do gniewu, a jednocześnie wielce czarujący. Wszystkie te cechy sprawiały, że wydawał się kruchy i wrażliwy.

Matthias rozumiał jednak, że Seth był zbyt inteligentny, by łatwo dawać sobą sterować.

Tak łatwo i szybko odczytywał cudze intencje, że sprawiało to niemal wrażenie, jakby czytał ludziom w myślach. Rozsądek podpowiadał Mattowi wstrzymanie się od udzielania dalszych rad.

– Wygraj pierwszą walkę. Potem zdecydujesz, dla czego warto umierać.

Seth uśmiechnął się i poklepał Matthiasa po plecach.

– No to mamy plan.

# Rozdział 4

## St Magdalene's

*Londyn*

*A.D. 2012*

– A zatem, Ewo, gdzie są twoi rodzice? Nie przyszli dziś z tobą. Czy aprobują to, że złożyłaś podanie o przyjęcie do naszej szkoły?

– No cóż...

Ta rozmowa nie potoczyła się we właściwym kierunku. Ze stosem testów poradziłam sobie bez większych trudności – wszystkie okazały się dość łatwe – ale teraz siedziałam przed dyrektorem szkoły, panem Crispinem, i w zasadzie już się poddałam.

Na początku całkiem się zaplątałam, kiedy zapytał, jakich przedmiotów chciałabym się uczyć. Udzielenie odpowiedzi na takie pytanie nie powinno być trudne, o ile nie jesteś odmieńcem, który nigdzie nie pasuje. Zamiast odpowiedzieć na pytanie, zaczęłam się pocić: trudno było mi zachować chłodny dystans do tego tematu. A dyrektor po prostu siedział tam i w milczeniu czekał na moją odpowiedź. Czekał, aż wykopię sobie grób – co też zrobiłam.

– Myślę, że to obłąd, że każe nam się wybierać między przedmiotami humanistycznymi, ścisłymi i sztukami pięknymi. Dlaczego uczniów miałby interesować tylko jakiś niewielki fragment wszechświata? Tyle rzeczy warto poznać i zrozumieć... Gdybym mogła, uczyłabym się wszystkiego, bez wyjątku...

Zawiesiłam się, odchrząknęłam i podjęłam przerwany wątek z nadzieją, że pan Crispin zapomni o tym małym wybuchu.

– Przepraszam, chyba... no cóż, do tej pory wybierałam matematykę, matematykę stosowaną, biologię, fizykę, chemię...

Przez chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku, a potem zacisnął usta i zaczął szybko notować coś w notatniku. Z pewnością nie był to dobry znak. W końcu – by przypieczętować mój los – przeszedł do sytuacji rodzinnej, czyli moich rodziców. Nie byłam przygotowana na te

pytania i chyba nie mogłam się na nie wcześniej przygotować. Nie potrafiłam się opanować – odchyliłam się na oparcie fotela i zaczęłam patrzeć przez okno. Wiedziałam, że nauczycieli drażni to do szaleństwa. Określali to mianem braku zaangażowania. Ja myślałam tylko o tym, by przetrwać.

Dyrektor czekał, ja nie spuszczałam wzroku z okna, wreszcie on pierwszy się poddał.

– Rozumiem. Dobrze, zatem pozwól, że zapytam cię o coś innego. Może byłabyś tak uprzejma i powiedziała mi, dlaczego rozstałaś się ze swoimi poprzednimi szkołami średnimi – North York High School i... zaraz... Downley Comprehensive?

Skąd wiedział, że to ja się z nimi rozstałam? Wydalenie sugeruje zazwyczaj sytuację odwrotną. Czy dawał mi szansę na złożenie wyjaśnień?

Podjęłam próbę powrotu do pomieszczenia, w którym siedzieliśmy. Dyrektor. St Magdalene's. Miejsce, w którym naprawdę chciałam się znaleźć.

Pan Crispin nadal mówił.

– ...rozstanie się z jedną szkołą można byłoby uznać za brak szczęścia, ale z dwiema to już chyba lekceważenie?

Odchrząknęłam.

– Może lekceważenie, ale konsekwentne – odparowałam bez namysłu.

Przenikliwe niebieskie oczy taksowały mnie zza połówkowych okularów. Nieoczekiwanie pociągła twarz mężczyzny rozjaśniła się w uśmiechu.

– Tak, to prawda... A tutaj, w St Magdalene's, konsekwencję uznajemy często za cechę godną podziwu... Zaintrygowały nas również twoje genialne – jak to ująć? – uzdolnienia wykraczające poza program szkolny...

Popatrzyłam na dyrektora zaintrygowana.

– Chodzi o, cóż... komputery.

– Och – powiedziałam.

Niech to diabli.

Miałam cichą nadzieję, że włamania komputerowe nie wypłyną.

– Zastanawiam się, ile czasu zajęłoby pani włamanie się na moje konto, panno Koretsky. Oczywiście, zatroszczyliśmy się o pewną liczbę przeszkód – to byłoby fascynujące – zorientować się, ile czasu pani potrzebuje, by z sukcesem...

I w ten sposób, jak się niebawem okazało, pan Crispin poinformował mnie, że dostałam



się do szkoły.

Dwa tygodnie później wróciłam do St Magdalene's z wielką walizką, gitarą akustyczną i nerwowym bólem brzucha.

Moja mama i Colin zareagowali na przyjęcie mnie do tej szkoły z mieszanymi uczuciami. Przede wszystkim poczuli ulgę, że ktoś zdejmuje z nich właśnie ciężar odpowiedzialności za mnie, ale ponieważ doskonale znali historię moich dotychczasowych sukcesów, nie spodziewali się dłuższego okresu spokoju. Nie mogłam ich winić. Czułam się podobnie.

Prawie wszyscy uczniowie St Magdalene's uczyli się w tej szkole od ukończenia jedenastego roku życia, a ponieważ pochodzili z całego kraju, większość mieszkała w internacie. Czytałam *Malory Towers* autorstwa Enid Blyton i *Harry'ego Pottera*, więc moje oczekiwania co do szkoły z internatem zbudowałam na czystej fantazji, ale tak naprawdę nie spodziewałam się znaleźć tu fascynującej mieszanki przyjaźni i przygód. Na to byłam zbyt wielką realistką.

I dlatego całkowicie zaskoczyła mnie Ruby. Ruby wybrano, by oprowadziła mnie po college'u. Miała szesnaście lat i była wysoką, smukłą blondynką. Była zupełnie inna niż ja – oliwkowa cera, ciemne włosy i dziwaczność wypisana na twarzy. Ruby bez przerwy się uśmiechała, często się śmiała i nie przestawała mówić.

– Patrz, Ewa, to jest nasz internat.

Spojrzałam na napis wygrawerowany w kamieniu powyżej drzwi wejściowych.

– Izaak Newton – przeczytałam.

– Wszystkie domy noszą imiona wpływowych myślicieli związanych z St Mag's.

– Jakie związki z St Mag's miał Izaak Newton?

– Mówi się, że tutaj wykładał.

– Ale... Czy on nie żył w siedemnastym wieku?

– Mamy takich, którzy żyli jeszcze wcześniej! Omar, chłopak z naszego roku, mieszka w domu Geoffreya Chaucera. Chaucer żył całe wieki temu! St Magdalene's istnieje od... och, sama nie wiem, od zawsze!

Nie przestając mówić, Ruby przeprowadziła mnie przez drzwi wejściowe i powiodła wąskim korytarzem do krętych schodów. Szła trochę za szybko i nie zdążyłam przyjrzeć się setkom obrazów wiszących na ścianach. Na końcu korytarza nagle Ruby zatrzymała się i otworzyła drzwi.

– To twój pokój.

Ostrożnie weszłam do środka.

– Jak to? Nie śpimy we wspólnych salach?

– No nie... Czytałaś Enid Blyton, prawda? Ja też popełniłam ten błąd. Nie. Mamy własne pokoje, biurka, komputery, prysznic... dla mnie rewelacja.

Miała rację. To była rewelacja. Nic nadzwyczajnego, żadnych łóżek z baldachimem na miarę Hogwartu ani nic w tym stylu. Chociaż przeszliśmy właśnie korytarzem, który wyglądał tak, jakby miał co najmniej kilkaset lat, sypialnie urządzone zaskakująco współcześnie. Szkło i jasne drewno. Mieliśmy nawet łazienki w pokojach. Ruby pokazała mi, gdzie mogę ułożyć swoje rzeczy, jak zamknąć drzwi tak, by nikt nie mógł się dostać do mojego pokoju, i jak wydostać się z budynku w czasie ciszy nocnej. Standardowe i podstawowe informacje. Potem zaprowadziła mnie do swojego pokoju.

– Łał! – westchnęłam.

Ruby zupełnie przeobraziła to miejsce. Łóżko przykrywały meksykańskie koce o skomplikowanym wzorze i masa poduszek. Trudno było doszukać się choćby skrawka ściany niepokrytej pocztówkami, zdjęciami i plakatami. Ruby wstawiła też do pokoju kilka wysokich chromowanych lamp i wyposażyła go w profesjonalne nagłośnienie.

– Wchodź i siadaj – powiedziała i klapnęła na łóżko.

Z wahaniem usiadłam obok niej.

– No dobra, opowiedz mi, co sprowadza cię do St Mag's. Opowiedz mi wszystko!

– A... – zająknęłam się.

Tego się nie spodziewałam.

Ruby siedziała i czekała.

– No cóż. – Z wysiłkiem przełknęłam ślinę i poczułam się tak, jakbym znów znalazła się w gabinecie dyrektora. – Przeczytałam o szkole w internecie i wypełniłam formularz...

Wzruszyłam ramionami z nadzieją, że to wystarczy.

Nie wystarczyło. Ruby nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Co? – zapytałam, marząc, by wrócić do własnego pokoju.

– Och, daj spokój!

Nerwowo przygryzłam wargi.

– Co chciałyś wiedzieć? – zapytałam.

- W jakiej szkole byłaś wcześniej?
- Downley Comprehensive.
- I... – powiedziała z wyczekiwaniem i znacząco przewróciła oczami.
- I co?
- I dlaczego odeszłaś?
- Wydalili mnie.
- Wydalili?

Na jej twarzy odmalowały się szok i niedowierzanie. Mogłam sobie tylko wyobrazić jej minę, gdyby dowiedziała się, że wylali mnie dwukrotnie.

Potrząsnęła głową, oparła się na poduszkach i czekała na dalszy ciąg, który nie nastąpił.

- Co takiego zrobiłaś, że cię wylali?

Przewróciłam oczami.

- Długa historia.
- Mam mnóstwo czasu.

Potrząsnęłam tylko głową.

Ruby westchnęła, zeskoczyła z łóżka i nagle zaczęła czegoś pod nim szukać. Kilka sekund później wyciągnęła puszkę, którą wciągnęła na łóżko i otworzyła.

– Zrobiła je moja siostra. Częściej nimi tylko takie małowmne nowicjuszki. No dalej, nie żałuj sobie! – Uśmiechnęła się zachęcająco.

W środku znajdowało się kilka czekoladowych ciasteczek o nieregularnym kształcie. Wzięłam jedno.

- Dziękuję – wybąkałam.

– A zatem... jeśli nie zamierzasz puścić pary z ust na temat swojej mrocznej przeszłości, to przynajmniej opowiedz mi o swojej rodzinie. Powiedziałam ci już co nieco o mojej. Mam siostrę. Tak naprawdę mam dwie. Teraz twoja kolej. Twoi rodzice... Dlaczego cię nie przywieźli?

Przez kilka sekund siedziałam w milczeniu. Teoretycznie przeżuwałam, a praktycznie zastanawiałam się, jak mam się wydostać z tego pokoju.

– Ewa! – rzuciła Ruby ze złością. – Nie wypuszczę cię stąd, zanim czegoś z ciebie nie wyciągnę... więc jeśli zamierzasz w milczeniu pożywiać się ciasteczkami mojej siostry do końca swojego życia – a mogę cię zapewnić, że nie są aż tak dobre – to może lepiej, żebyś zaczęła mówić.

Na litość boską, czy ja przypadkiem trafiłam na zakonspirowany posterunek gestapo?

– Co chcesz wiedzieć? – zapytałam ostrożnie.

– Twoi rodzice?

– No cóż... Tak naprawdę nie mam rodziców... – wybąkałam i zrobiłam krok w stronę drzwi.

Wyciągnęła rękę, żeby mnie zatrzymać.

– Hej! Nie idź! Nie miałam zamiaru cię spłoszyć! Bardzo mi przykro, nie wiedziałam, że straciłaś rodziców, jestem nietaktowną idiotką.

Wyglądała na tak przepelnioną poczuciem winy, że musiałam się wycofać.

– Nie, Ruby... Nie chodziło mi o to, żebyś sądziła, że... o rany... no cóż, ja mam rodziców... tak jakby...

Siedziała w milczeniu, czekając na kolejne rewelacje. Westchnęłam i ponownie usiadłam.

– Mam matkę. Mój ojciec zmarł, gdy byłam mała...

– Och, biedactwo! To straszne. Pamiętasz go?

Gapiałam się na nią, powoli zdając sobie sprawę z tego, że nikt wcześniej nigdy mnie o to nie zapytał. Przez całe lata próbowałam nie myśleć o moim ojcu. Mama tak ciężko przeżyła jego śmierć, że nie pozwalano mi wymawiać jego imienia, więc stał się moją mroczną tajemnicą. Przechowywałam jego stare, sponiewierane zdjęcie, które ukrywałam pod papierem wyściełającym szufladę na skarpetki. W chwilach rozpaczki wyciągałam to zdjęcie i powierzałam mu swoje sekrety, i naprawdę mnie to pocieszało, kiedy byłam młodsza. W końcu dorosłam jednak na tyle, że straciłam wiarę w kojącą moc starej fotografii. Im gorzej funkcjonowałam, tym trudniej było mi stanąć z tatą twarzą w twarz, choćby tylko na zdjęciu. Wiedziałam, że byłby mną rozczarowany. Od wielu lat nie wyciągnęłam zdjęcia z szuflady.

Smutno potrząsnęłam głową.

Ruby nie spuszczała ze mnie wzroku.

– W ogóle go nie pamiętasz?

Westchnęłam.

– Trochę pamiętam... Urywki... Jak brał mnie na barana i mocno trzymał za kostki... Jak siedziałam w foteliku w samochodzie i patrzyłam na tył jego głowy...

– Jak zmarł?

– Wypadek samochodowy.

– Zostałaś sama z mamą?

– Nie.

– Przepraszam, jeśli nie chcesz o tym mówić...

Wzięłam głęboki wdech.

– Moja matka wyszła za mąż ponownie, kiedy miałam siedem lat.

– Domyślam się, że nie przepadasz za tym facetem?

Spróbowałam przywołać z pamięci wizerunek Colina. Czy kiedykolwiek go lubiłam?

– Myślę, że jak tylko się pojawił, to naprawdę chciałam go polubić... Mój ojciec nie żył już od kilku lat, nie miałam więc wrażenia, że on chce zająć jego miejsce... Ale on ma własnego syna...

– Masz brata?

– Przybranego brata! -- poprawiłam ją.

Po co jej o tym wszystkim opowiadałam?

– Boże, Ewa! To lepsze niż opera mydlana *Sąsiedzi*. Jaki jest twój brat?

Zacisnęłam usta. I tak już za dużo jej powiedziałam. Czulałam, że zaczynają mi się pocić ręce.

– Och, daj spokój! – naciskała.

Nie odezwałam się.

– No dobrze, sama się o to prosiłaś. – Ruby uśmiechnęła się szeroko.

Serce zabiło mi gwałtownie. Boże, wystarczyło kilka minut, żeby Ruby zaczęła obracać się przeciwko mnie.

– Prosiłam się o co? – wychrypiałam, niespokojnie zerkając na drzwi.

– Ponieważ dostarczasz mi tak żenująco skąpych informacji na swój temat, padniesz teraz ofiarą.... – Spojrzała na mnie stanowczo i uniosła brwi. – ...dwudziestominutowego – co najmniej – monologu na temat mnie i mojej rodziny.

Zamrugałam oczami ze zdziwienia.

– Może zmienisz zdanie?

Potrząsnęłam głową i się uśmiechnęłam.

Ruby odchyliła się do tyłu i założyła nogę na nogę.

– No dobra, ale pamiętaj, możesz winić tylko siebie... No cóż, od czego by tu zacząć? Tak jak powiedziałam, mam dwie siostry, oboje rodziców, psa, trzy koty i konia. Mieszkamy w

Suffolk... To znaczy nasz główny dom rodzinny znajduje się w Suffolk, chociaż mój ojciec ma mieszkanie w Londynie, z którego dość często korzysta.

Uniosłam brwi.

Ruby się uśmiechnęła.

– Jest sędzią Sądu Najwyższego, więc kiedy odbywają się posiedzenia, zostaje w Londynie. Czasem zabiera mnie na obiad...

– Można tak?

– Tak, nie robią tutaj mieszkańcom internatu większych problemów. Muszą mieć e-mailowe potwierdzenie wyjścia od rodzica, a potem po prostu odhaczasz się na liście. Może któregoś wieczoru poszłabyś razem ze mną?

Przełknęłam ślinę. Miałam wrażenie, że w gardle urosła mi nagle wielka gula. Ruby i ja... Jak normalne przyjaciółki.

– Oznacza to również, że kiedy nie ma go w Londynie, mamy wolną chatę, do której można się wymknąć w czasie ciszy nocnej! – Ruby uśmiechnęła się przewrotnie.

– Łał! – westchnęłam.

Zaczynałam się czuć jak bohaterka rysunkowej serii o żeńskiej szkole z internatem *St Trinian's*.

– A co z twoją mamą? Przyjeżdża z twoim tatą czasami?

– Nie, raczej nie. Nie przepada za Londynem. Mówi, że nie może tutaj zebrać myśli. Większość czasu spędza w pracowni w domu – jest artystką conceptualną. Może o niej słyszałaś – Martha Gaine?

Czy o niej słyszałam! Musiałabym mieszkać na innej planecie, żeby o niej nie usłyszeć.

– Tak, słyszałam o niej. Uwielbiam jej instalację *Deszcz...*

Ruby spojrzała na mnie zaskoczona.

– Szczerze mówiąc, ja zupełnie nie rozumiem jej sztuki! To wszystko wydaje mi się całkowicie przypadkowe. Ale Miranda ją uwielbia.

– Miranda?

– Moja starsza siostra. Studiuje w Stanach historię sztuki.

– Czy Miranda też tu chodziła?

– Nie. Nie zdała egzaminów wstępnych. Mój ojciec nie mógł w to uwierzyć. Sam był uczniem *St Mag's*, ale zapewniał Mirandę, że w jego czasach w szkole nie było tylu kujonów.

– Ucieszył się pewnie z tego, że ty się dostałaś – roześmiała się.

Przechyliła głowę.

– To nie musiało być szczęście, Ewo – wyszeptała. – Nie mam pewności, czy dostałabym się do St Mag's, gdyby nie dofinansował budowy nowego skrzydła filozoficznego.

Siedziałam w ciszy, przetrawiając tę nową dla mnie informację. Ruby przyglądała mi się zmrużonymi oczami. Próbowałam nie okazywać zaskoczenia, ale chyba mi się nie udało.

– Co cię bardziej niepokoi, Ewo? To, że on może zapłacić za to, żebym się dostała, czy to, że szkoła mu na to pozwala?

Wzruszyłam ramionami.

– Obie te rzeczy. I jednocześnie żadna z nich. Próbuję sobie właśnie wyobrazić ojca, któremu tak bardzo zależy! Cieszysz się, że tu jesteś?

– Tak. Jest w porządku. Jakoś nadążam.

Zadzwonił dzwonek.

– Czas na obiad. Chodź, pokażę ci, gdzie jemy posiłki.

# Rozdział 5

## Inni

*Londyn*

*A.D. 2012*

Przeszliśmy przez dziedziniec w drodze do stołówki. Ściany jadalni pokryte były boazerią. Zawieszono na nich wielkie, stare portrety, a z sufitu zwieszały się żyrandole. Dzieciaki z tacami stopniowo zapełniały miejsca na ławach przy długich stołach. Ustawiliśmy się w kolejce. Jedzenie pachniało całkiem nieźle. Znacznie lepiej niż w Downley, ale wiedziałam, że nic nie przełknę. Byłam za bardzo podekscytowana. Wzięłam szklankę soku i banana.

– I to wszystko? Boże... Nie jesteś anorektyczką, prawda? – zapytała Ruby, marszcząc brwi.

– Anorektyczką? Nie, po prostu czuję się trochę...

– No tak! Przepraszam, zapomniałam, w końcu dopiero przyjechałaś... Z nerwów rzeczywiście można stracić apetyt. Mimo wszystko później będziesz umierać z głodu. Weź kilka – nieraz ocaliły mi życie.

Położyła mi na tacy dwa owsiane ciasteczka.

– Dzięki – wymamrotałam.

Zaniosłyśmy nasze tace do stołu zajętego w połowie. Siedzące przy nim dzieciaki z uwagą obserwowały, jak zdejmujemy jedzenie z tac.

– Hej, Rubes. – Wysoki chłopak z długimi ciemnymi włosami uśmiechnął się do nas.

– Omar, to jest Ewa...

Ruby lekko przesunęła dłonią po jego plecach. Uśmiechnął się do niej, a potem błysnął zębami w moją stronę. Kiedy Ruby rzuciła się na jedzenie, Omar przedstawił mnie pozostałym. Wszyscy wydawali się tacy przyjaźni, że zaczęłam się rozluźniać.

Po kolacji Ruby pokazała mi szkolną bibliotekę. Była niesamowita. Książki o różnej tematyce znajdowały się w oddzielnych pomieszczeniach, a każde z nich miało niepowtarzalny



charakter. Zaczęliśmy od biologii. W środkowej alei stały dziesiątki szkieletów naturalnych rozmiarów... mężczyzna, kobieta, dziecko, mysz, pies, słoń, jaszczurka, papuga... Było ich około trzydziestu. Ściany, których nie pokrywały regały z książkami, zawieszono były tablicami informacyjnymi przedstawiającymi układ mięśniowy, nerwowy, zasuszone kwiaty i inne rośliny, gabloty z motylami... Chciałam stanąć i przyjrzeć się im dokładniej, ale Ruby pociągnęła mnie krętymi schodami do owalnego pokoju.

– Fizyka – oznajmiła.

– Łał! – westchnęłam z zachwytem, patrząc bez tchu na sklepienie nad naszymi głowami kopułę pobłyskującą gwiazdami i planetami Układu Słonecznego.

– Nieźle, co? A popatrz na to... To jest monitor przestrzeni kosmicznej. Podaje aktualną pozycję i odległość między Ziemią a wszystkimi nazwanymi planetami. Patrz.

Ruby wpisała „Merkury” na klawiaturze u podstawy urządzenia, a wskazówka zawirowała i wskazała na moje stopy.

– Hm... – powiedziałam. – Fajne.

– O czym myślisz? – zapytała.

– Myślę... że to musi być trajektoria Merkurego w tej chwili.

– Jesteś niesamowita. Kiedy pierwszy raz tu przyszedłam i zobaczyłam strzałkę wskazującą planetę pode mną, pomyślałam, że maszyna się zepsuła.

– Dlaczego?

– Bo zakładałam, że kosmos jest gdzieś tam, nad moją głową... A nie wszędzie wokół nas. Kiedy zdałaś sobie z tego sprawę?

Wzruszyłam ramionami, ale nie spuszczałam oczu z ekranu, na którym pojawiały się wyniki kolejnych obliczeń. Przez kilka sekund na ekranie widniała liczba 222 040 561 km. A zatem tyle dzieliło nas od Merkurego. Ale potem strzałka przesunęła się odrobinę i liczba zmieniła się na 222 040 967 km. To nie mieściło mi się w głowie, dopóki nie zrozumiałam, że wszystkie planety poruszają się tak szybko. Merkury przesunął się właśnie o 400 km w ciągu zaledwie dwóch sekund.

– Ruby, to niesamowite!

Chciałam sprawdzić inną planetę, ale znów mnie odciągnęła, powiodła wąskimi krętymi schodami co najmniej sto stopni w górę i w końcu dotarłyśmy do małych, łukowato sklepionych drzwi.

Schyliłyśmy głowy. Westchnęłam ze zdumienia. Znajdowałyśmy się w obserwatorium. Ściany i sufit zrobiono wyłącznie ze szkła. Na środku pomieszczenia znajdował się ogromny teleskop wycelowany w niebo, a wokół niego stało dwanaście małych teleskopów, również skierowanych ku niebu.

– Nie zajmuję się astrofizyką, więc nie powiem ci, do czego służą te różne teleskopy. Myślę, że każdy z nich ma inne soczewki czy coś. A, i Harry powiedział mi, że możemy uzyskać dostęp do danych pochodzących z gigantycznego teleskopu NASA...

Zupełnie oszołomiona, podeszłam do ogromnego teleskopu stojącego na środku pomieszczenia i ostrożnie wyciągnęłam dłoń, żeby go dotknąć. Ruby patrzyła już jednak znacząco na zegarek.

– Muszę ci pokazać pozostałą część biblioteki i doprowadzić cię do pokoju wspólnego w ciągu dziesięciu minut. Możesz mi wierzyć, że jutro to wszystko będzie tu nadal stało!

Westchnęłam i pozwoliłam jej odciągnąć się od teleskopu. W ciągu następnych dziesięciu minut śmignęłyśmy przez bibliotekę sztuk pięknych – czy to możliwe, że na ścianach wisiały oryginalne dzieła Tycjana? – filozofię i etykę (pod sufitem rozpięty był namiot), matematykę (podłoga była jednocześnie szachownicą), chemię (ściany pokrywały wzory), angielski i teatr (sofy i mnóstwo wielkich poduch), języki (słuchawki i terminale), historię (wszystkie książki ustawiono wokół ogromnej prasy drukarskiej), geografę (globusy niczym balony zwieszające się pod sufitem), łacinę i grekę (w całym pomieszczeniu rozstawiono niewiarygodnie doskonale kopie rzeźb greckich bogów), ekonomię (ekran na ścianie na bieżąco pokazywał zmiany kursów walut) i w końcu dotarłyśmy do działu muzycznego, gdzie w futerałach zamknięte były historyczne instrumenty muzyczne, a historia kilku z nich sięgała pierwszego wieku naszej ery.

– Jeśli dostaniesz pozwolenie, to będziesz mogła zagrać na którymś z nich – powiedziała Ruby, próbując mnie pospieszyć. – Nie uważasz, że cytra wygląda trochę jak gitara?

– No cóż, nie wydaje mi się, żeby w starożytnym Rzymie dawali sporo koncertów rockowych...

– Kręci cię to? Widziałam, że przywiozłaś gitarę...

Wzruszyłam ramionami.

– Rock? Tak, myślę, że tak. Dużo rzeczy mnie kręci.

– Powinnaś poznać Astrid – pewnie będzie we wspólnym pokoju... Jest fajna – o ile się jej spodoba!

Pokonałyśmy ciężkie, podwójne, wahadłowe drzwi biblioteki i wyszłyśmy na dziedziniec.

– A zatem... pokój wspólny?

– To jest miejsce, w którym studenci starszych lat przesiadują po dwudziestej pierwszej. Do tej godziny powinnaś pracować, przygotowywać się do zajęć czy coś takiego. No dobra, jesteście.

Ruby otworzyła drzwi do pokoju, w którym około dwudziestu studentów siedziało rozpartych na sofach i fotelach. Podeszła do ekspresu do kawy. Znalazła dwa kubki i zaczęła nalewać kawę z parującego dzbanka.

– Ewa, słodysz? Mleczka? – zapytała.

W pokoju zapadła cisza. Z trudem przełknęłam ślinę.

– Mleczka, dzięki.

Mój głos zabrzmiał jak zduszony szept. Dlaczego musiała mnie tu przyprowadzić? O wiele lepiej czułam się w bibliotece.

Stałam tak przez całą wieczność, a Ruby nalewała mleczko, mieszała i nagle zorientowałam się, że steruje mną w kierunku wielkiego fotela.

– Siadaj – zakomenderowała, a ja posłusznie usiadłam.

Ruby przycupnęła na poręczy.

Oparłam się i z wdzięcznością chwyciłam kubek, który mi podała. Przynajmniej miałam co zrobić z rękami i mogłam skoncentrować się na czymś innym niż dwadzieścia par wpatrzonych we mnie oczu.

Byłam tak bardzo skupiona na tym, by nie podnosić wzroku, że nie zauważyłam Omara, który ruszył do naszego fotela, dopóki nie przysiadł na drugiej poręczy.

– Cześć, dziewczyny. – Chłopak uśmiechnął się do nas. – Jak wam idzie wycieczka krajoznawcza?

Ruby coś tam paplała, a ja powoli zaczęłam się odprężyć. Siedzący w pokoju ludzie podjęli przerwane rozmowy i szybko uznałam, że mogę już bezpiecznie podnieść wzrok znad krawędzi kubka i ocenić sytuację.

Pokój był bardzo ładny – nastrojowe światło, ciemnoczerwone przytulne ściany, a nawet kominek. Jedną całą ścianę pokrywała wielka, ciężka zasłona, przez co miejsce wydawało się jeszcze bardziej swojskie i ciepłe.

Ruby, która pytała właśnie Omara o jego treningi piłki nożnej, nagle szturchnęła mnie i

zapropnowała:

– Zobacz, co jest po drugiej stronie tej zasłony.

I już szła w tamtą stronę. Patrzyłam, jak ją odsłania.

– Spójrz! – Ruby się zaśmiała. – Ten pokój jest tak naprawdę o wiele większy! Zazwyczaj używamy tylko tej części, ale przy różnych okazjach – koncerty, imprezy, no wiesz – wykorzystujemy całość. Zobacz, mamy nawet małą scenę na drugim końcu. W przyszłym tygodniu planujemy całonocną imprezę. Kilku kolegów – uniesieniem brwi wskazała Omara – nieźle się odnajduje na scenie. Hej! Chcesz, żebym dla ciebie też zarezerwowała czas na jakiś numer?

– Żarty sobie stroisz – wydyszałam, tym razem już na serio przerażona.

Zaniosła się śmiechem.

– No jasne, Ewa. Jestem... przepraszam!

Jeśli chodzi o żarty, to ten nie był śmieszny. Próbowałam opanować szaleńcze bicie serca.

Omar szturchnął mnie delikatnie.

– Ewo, wszystko jest w porządku. Wyluzuj!

Wyluzuj! No jasne. Staralam się.

Kiedy jednak tego wieczoru wróciłam do swojego pokoju, naprawdę miałam wrażenie, że w końcu odnalazłam się wśród ludzi. Poznałam tysiące nowych osób i choć przez większość czasu tylko przysłuchiwałam się ich rozmowom, a sama niewiele mówiłam, czułam się... no cóż... swobodnie. Nie musiałam niczego udawać, nie musiałam się ukrywać. Po raz pierwszy w życiu nie oszukiwałam samej siebie. Czułam się tak, jakbym w końcu znalazła się w domu.

Rozpakowałam walizkę i złapałam się na tym, że z niecierpliwością czekam na kolejny dzień. Chciałam głośno się roześmiać, ale na szczęście zdołałam się od tego powstrzymać. Włożyłam piżamę, umyłam zęby, zgasilałam światło, wpełzłam pod kołdrę i zamknęłam oczy. A potem je otworzyłam. Włączyłam światło, znalazłam telefon i napisałam SMS-a do mamy.

*Cześć, mamo. Wszystko OK. Ucałowania, Ewa*

Podłączyłam ładowarkę, zgasilałam światło i zasnęłam.

## Rozdział 6

### Gladiator

#### *Londinium*

*A.D. 152*

Amfiteatr pękał w szwach. Zbroje wypolerowano, broń naostrzono i naoliwiono. Gladiatorzy byli gotowi. Ruszyli w pochodzie po świeżo wysypanym piasku w stronę zarządcy Cnaeusa Papiriusa Aelianusa.

– Witaj, Aelianusie! Idący na śmierć pozdrawiają cię!

Tłum krzyczał i wiwatował. Sethos skłonił się, ale jednocześnie starał się nie patrzeć w tłum. Nie chciał dostrzec pojedynczych osób. Wolał ryczącą, anonimową masę. Kiedy tak paradował razem z pozostałymi gladiatorami wokół areny, zacisnął palce. W lewej ręce niósł sieć, a w prawej – trójząb. Wyostrzony sztylet zatknął za pas. Chociaż był już wieczór, sierpniowe słońce nadal paliło bezlitośnie, a palce ślizgały się na broni. Będzie musiał jeszcze posypać je piaskiem.

Kiedy gladiatorzy zakończyli swój powolny przemarsz, zgromadzili się za wielkimi drewnianymi wrotami. Muzycy nie przerywali gry. Sethos wiedział, że za chwilę stanie do walki o życie. Zamknął oczy i skupił się na swoim ciele, uspokajając je i przygotowując do starcia. Pozostali po raz ostatni ostrzyli miecze, pluli na broń albo ryczeli. Sethos stał nieco z boku, spokojny i opanowany. Nikt go nie dotykał. Stwarzał wokół siebie niewidzialną barierę, którą pozostali gladiatorzy z niewyjaśnionych przyczyn respektowali. Rozbrzmiały rogi i Sethos wiedział, że nadeszła jego kolej.

Otworzył oczy. Matthias stał teraz u jego boku. Uderzyli się prawymi dłońmi w chwili, w której wrota zaczęły się otwierać. Tertius, jego właściciel, wrzasnął na gladiatorów, żeby wychodzili, i kilka sekund później Seth razem z pozostałymi walczącymi biegł przez arenę.

Protix Canitis, jego potężny, ciężko uzbrojony przeciwnik, ruszył na Sethosa, potrząsając mieczem w kierunku tłumu. Widownia zawyła z zachwytem. Seth uświadomił sobie, że teraz on

powinien pozdrowić publiczność. Uniósł głowę, udał, że saltuje, i uśmiechnął się szeroko. Tłum oszalał.

– *SETHOS LEONTIS! SETHOS LEONTIS! SETHOS LEONTIS!* – skandowali.

Nie słuchał ich. Wycofał się w głąb siebie i skupił na osiągnięciu pełni swoich umiejętności i skuteczności. Zaczął tańczyć wokół przeciwnika. Gal obrócił się niezdarnie, ale Sethos wiedział, że ten człowiek nie był niezdarny. Udawał. Protix pozorował niezgrabność na początku walki, by później wydać się zręczniejszym, kiedy już wymierzy celny cios. A Protix był zabójczo celny. Usypiał czujność przeciwników, pobudzał ich do samozadowolenia, aż w końcu zaczęli podejmować głupie ryzyko, próbując go zabić. Sethos wiedział swoje. Widział już walki Protiksa. Rozumiał jego technikę i podziwiał ją. Tańczył więc i obserwował go. Wiedział, że Protix będzie czekał, aż jego przeciwnik się zmęczy, ale Seth był w doskonałej formie. Protix będzie musiał czekać bardzo długo, a Sethos był wyjątkowo cierpliwy.

W końcu Protix zrozumiał, że będzie musiał wyjść z inicjatywą. Tłum zaczął się niecierpliwic. Gladiator wiedział jednak, że w chwili, w której wykona pchnięcie, zaryzykuje, iż zostanie złapany w sieć. Omotany siecią byłby bezbronny, więc musiał tego uniknąć.

Jego plan zakładał pozbawienie Sethosa broni, a potem wyprowadzenie ostatecznego ciosu. Sethos doskonale zdawał sobie z tego sprawę, więc tylko zacisnął mocniej palce na trójzębie i zakręcił siecią, aby Gal nie mógł jej złapać. Protix w swojej ciężkiej zbroi był znacznie wolniejszy niż Sethos, więc nie mógł konkurować szybkością i zwinnością.

Sethos wirował wokół przeciwnika, grając na zwłokę. Czekał na sposobność. Protix miał dwa czułe miejsca: szyję – przestrzeń między hełmem a napierśnikiem – oraz pachę. Rana zadana w którekolwiek z tych miejsc zakończyłaby walkę. W przeciwieństwie do Protiksa Sethos nie miał planu. Kiedy dochodziło do walki, był nieskończenie elastyczny. Miał jednak jeden cel, a było nim zwycięstwo – zwalić przeciwnika na ziemię i przyłożyć mu sztylet do gardła. Zamierzał doprowadzić do tego przy niewielkim rozlewie krwi po obu stronach. Nie miał zamiaru zabijać ani zadawać śmiertelnych ran. Laniści woleli, gdy ich wojownicy pozostawali przy życiu. Nikt jednak nie miał kontroli nad tłumem, a to on decydował o ostatecznym wyniku.

Zarówno Seth, jak i Protix byli świadomi tego, że muszą zacząć walczyć naprawdę albo tłum stanie się okrutny. Protix nadal czekał, aż Sethos się zmęczy, więc Seth zrozumiał, że to od niego zależy dostarczenie rozrywki publiczności. Zaczął wymierzać olbrzymowi ciosy trójzębem. Protix zaryczał i rzucił się na niego z mieczem. Jego ruchy były jednak wolne, a Sethos wydawał

się przewidywać każde pchnięcie, jeszcze zanim Protix zdecydował się, w który punkt chce mierzyć. Zdolność Setha do przewidywania ruchów przeciwnika zahipnotyzowała tłum, który zaklaskał z uznaniem. Sfrustrowany i spocony Protix zaprzestał bezcelowych wysiłków. Tłum ryknął kpiąco, a to zirytowało Protiksa, który zaczął celować na oślep. Im gwałtowniej wymierzał ciosy, tym szybciej Sethos ich unikał.

– *SETHOS! SETHOS!* – skandował tłum, co pobudziło Protiksa do jeszcze większego gniewu.

Przestawał nad sobą panować i stracił zdolność trzeźwej oceny sytuacji, miotając się po arenie jak pijany. Tłum bezlitośnie go wygwizdał, co jeszcze bardziej rozwścieczyło wojownika. Nagle odwrócił się i zaryczał wściekle w stronę publiczności. W tym momencie Sethos rzucił trójząb, który ugodził Protiksa w szyję, niezbyt głęboko, ale bardzo boleśnie. Protix zawył, chwycił trójząb i trzymając go w obu rękach, gotował się do złamania go na pół. Tłum wiwatował.

Sethos liczył na ten ruch, więc kiedy jego przeciwnik zacisnął palce na trójzędzie, wyrzucił przed siebie sieć. Schwytany w sieć Protix gwałtownie zamłócił rękami.

– Mam cię! – wydyszał Sethos.

Kiedy jednak sięgnął po sztylet, na chwilę jego uwagę odwrócił błysk złota w tłumie. Zerknął w tamtą stronę i spotkał się wzrokiem z migdałowym spojrzeniem.

Oczy zwężyły mu się z przerażenia, ponieważ w tej chwili nieuwagi Protix oswołodził się jednym machnięciem miecza i nieoczekiwanie mocno uderzył w okryte skórą ramię Setha. Przeszył go rozdzierający ból, a krew trysnęła z rany. Impet ciosu odrzucił Sethosa w tył. Jego refleks jednak nie ucierpiał i gladiator zdołał odzyskać równowagę w ostatniej chwili przed upadkiem. Zanim Protix zorientował się, że jego przeciwnik nie został obezwładniony, Sethos owinął siecią miecz Protiksa, unieruchamiając go. W tej samej chwili prawa dłoń Setha wyszarpnęła sztylet zza pasa. Szybko sięgnął do gardła Protiksa i wygrał walkę.

Sethos stał zwycięski, z lewą ręką zwisającą bezwładnie i broczącą krwią, prawą ręką u gardła Protiksa, czekając na werdykt tłumy. Spojrzał na zarządcę. Tłum krzyczał dziko:

– *GIŃ! GIŃ! GIŃ!*

Cnaeus Papirius Aelianus nie był człowiekiem sentymentalnym i doskonale rozumiał swoich poddanych. Rozejrzał się pobieżnie i skinął głową, a później obrócił dłoń kciukiem w dół. Protix nie zazna łaski.

W tym momencie Sethos nienawidził wszystkich widzów z całego serca. Nienawidził ich nienasyconej żądzы krwi. Przyprawiała go o mdłości. Opuścił wzrok na mężczyznę klęczącego u jego stóp i przez szczelinę hełmu zajrzał Galowi w oczy.

– Oby twoja podróż była krótka – wyszeptał i jednym krótkim, precyzyjnym ruchem zadał Protiksowi śmiertelny cios.

Gal opadł na nogi Sethosa. Wstrząs spowodował, że ramię Sethosa ponownie przeszył oślepiający ból. Powoli pochylił się, żeby oczyścić ostrze sztyletu w piasku, włożył je do pochwy i ruszył do drewnianych wrót. Po kilku krokach stracił jednak ostrość spojrzenia, poczuł nagłą słabość w kolanach i się zachwiał. Lanista i Matthias wpadli na arenę, by mu pomóc, ale nie zdołali dobiec do niego na czas. Ostatnią rzeczą, którą Sethos zobaczył tego dnia, był piasek gwałtownie zbliżający się do jego twarzy.



# Rozdział 7

## Przyjaciele

*St Magdalene's*

*A.D. 2012*

Obudziło mnie lekkie pukanie do drzwi.

– Hej, Ewa, idziesz na śniadanie?

Leżałam, mrugając oczami i próbując zorientować się, gdzie jestem i co słyszę. St Magdalene's. Mój pierwszy poranek. Kilka sekund później, potykając się, szłam w stronę drzwi.

W progu stała Ruby i uśmiechała się serdecznie.

Otworzyłam drzwi szerzej i Ruby zajrzała do środka. Jakaś część mnie wciąż nie mogła uwierzyć w to, że Ruby nadal chce się ze mną zadawać.

– Naprawdę, gdyby nie ja, zagłodziłabyś się na śmierć! – rzuciła i opadła na moje łóżko. – A teraz włóż coś na siebie – nie będę czekać w nieskończoność!

Ochlapałam twarz zimną wodą, włożyłam dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem, złapałam jakąś bluzę i poszłam za nią.

Atmosfera podczas śniadania była znacznie chłodniejsza niż ostatniego wieczoru. Ludzie snuli się z podpuchniętymi oczami i porozumiewali się monosylabami – z wyjątkiem Ruby, która była równie ożywiona jak dzień wcześniej.

Usiadłam i otoczyłam dłońmi kubek kawy, próbując się obudzić.

Ruby z rozmachem postawiła na stole przede mną talerz z jajkami. Jęknęłam.

– Musisz jeść! Co się z tobą dzieje?

– Ruby! Jest błądy świt, mój układ trawienny jeszcze nie pracuje, nie dam rady na razie nie zjeść... Opuść mi! – wymamrotałam.

Westchnęła głęboko.

Spojrzałam na nią i zmiękłam.

– Dobra, dobra! – Nabrałam na widelec furę jajeczniczy i wpakowałam sobie do ust. –

Zadowolona?

Przewróciła oczami i znacząco spojrzała na pozostałą zawartość mojego talerza.

– Ruby! Trochę tego jajka już zjadłam, naprawdę czuję się świetnie!

– To będzie długi poranek, Ewo. Musisz coś zjeść.

Zmarszczyłam brwi. Do tej pory nikt się nie przejmował tym, czy jem, czy nie. Kiedy dłużałam w talerzu, wszedł Omar. Ruby pomachała na niego.

Ujęła jego dłoń, kiedy usiadł. Uśmiechnęli się do siebie.

– Cześć, Rubes! Cześć, Ewa!

Próbowałam przełknąć, więc tylko skinęłam na powitanie.

– Masz już rozkład zajęć? – zapytał.

Przełknęłam to, co miałam w ustach.

– Mam wziąć go o ósmej trzydzieści z biura.

– A wiesz, gdzie jest biuro?

– Eee... Czy to pomieszczenie obok takiego łukowatego sklepienia?

– Tu są setki łukowatych sklepień. – Uśmiechnął się szeroko. – Chcesz, żebym ci pokazał?

– Ekhm! Kto dostał zadanie wprowadzenia Ewy? – przerwała Ruby. – Nie martw się, Ewo, zajmę się tym.

Figlarnie szturchnęła Omara w żebra i nie miałam już wątpliwości, że są parą.

Skończyłam jeść, złożyliśmy talerze na stos i Ruby zaciągnęła mnie do biura.

Dostałam rozkład zajęć i osłupiałam. Miałam wyznaczone zajęcia z matematyki, matematyki stosowanej, fizyki, chemii i biologii. Już samo to przekraczało moje oczekiwania, a zapisano mnie jeszcze na historię sztuki, łacinę, grekę, filozofię, etykę i politykę.

Nie mogłam powstrzymać szerokiego uśmiechu, który zagościł na mojej twarzy.

– Co jest? – zapytała Ruby, zerkając na mój rozkład zajęć. – Boże! Nigdy nie widziałam, żeby ktoś miał aż tyle zajęć! Masz zajęte prawie każde okienko sześć dni w tygodniu! To musi być błąd... Chodź, wyjaśnimy to.

– Nie, Ruby. Nie sądzę, żeby to był błąd... Poprosiłam właśnie o coś takiego. Nie do wiary, że mnie posłuchał...

Byłam zachwycona.

– O rany! Zamierzasz zostać totalnym kujonem? – warknęła Ruby.

Popatrzyłam na nią z niepokojem, czując, jak żołądek zwija mi się z nerwów w ciasny supeł.

Ale Ruby tylko się uśmiechała.

– No to chodźmy. Mamy te same zajęcia z biologii – a doktor Franklin nie lubi, kiedy każe jej się czekać.

Biologia była jedyną lekcją, którą miałam razem z Ruby, ale dołożyła starań, żebym wiedziała, gdzie mam pójść na wszystkie pozostałe. W ciągu kilku dni zorientowałam się, jak wygląda mój plan: którzy nauczyciele są groźni, a którzy – wyluzowani. W grupie było zawsze nie więcej niż dwunastu studentów i szybko się zorientowałam, że tutaj nie da się spędzić lekcji na wyglądaniu przez okno.

– A zatem, Ewo, co sądzisz o *Śniadaniu na trawie*? Czy Manet był naprawdę zaskoczony tak krytycznym przyjęciem tego obrazu?

– A czy można przewidzieć wrogość? – wymamrotałam. Pytanie trafiło mnie w samo serce. Po chwili zebrałam się w sobie, by ponownie je rozważyć. – Namalowanie nagiej kobiety siedzącej między trzema ubranymi po szyję mężczyznami wygląda na prowokację, ale Manet oparł swoją kompozycję na obrazie Tycjana, prawda? Może ten obraz jest hołdem oddanym staremu mistrzowi? Może nie zdawał sobie sprawy, że gdy zastąpi pasterskie ubrania strojami z dziewiętnastowiecznego Paryża, przekształci wiejską idyllę w temat co najmniej kontrowersyjny?

– Ależ daj spokój – wtrącił Omar. – Przecież ojciec impresjonizmu nie namalował tych wszystkich obrazów, bo był naiwny i nie podejrzewał, jakie zrobią wrażenie!

– Dobrze, Omar, Ewa. Dobre pytania. Musimy zakończyć na dziś, ale chciałabym, żebyście rozwinęli argumentację w eseju pt. *Prekursor – wizjoner czy przypadkowy odkrywca*?

Kiedy wychodziliśmy z klasy, Omar porozumiewawczo ścisnął mnie za ramię. Ruby już na nas czekała.

– Cześć, Rubes! – Uśmiechnęłam się i wzięłam ją pod ramię.

Omar ujął ją pod drugie ramię i ruszyliśmy do stołówki. Ruby i Omar byli parą, z którą przyjemnie się przebywało. Dobrze się czuli w swoim towarzystwie, dużo się śmiali i sprawiali wrażenie, że zupełnie nie przeszkadza im piąte koło u wozu.

Ustawiliśmy się w kolejce po jedzenie.

– Jak poszedł ci niemiecki, Ruby? – zapytałam.

– O rany... Mamy stertę Goethego do przetłumaczenia dziś wieczorem. Nie wiem, czy w ogóle znajdę czas, żeby się położyć.

– Czy rozmawiałaś z Crispinem o zmianie? – zapytał Omar.

– Jasne, zapisz się na zajęcia z historii sztuki, są świetne! – dodałam.

– Jak możesz tak mówić? Nie usłyszałaś tematu eseju, który mamy przygotować? – zachnął się Omar.

Spojrzałam na niego. Myślałam, że jest równie zainteresowany historią sztuki jak ja, a ja nie mogłam się już doczekać, kiedy usiądę do pisania tego eseju.

– No tak... Chyba masz rację... – wymamrotałam, przygryzając wargi.

Prawie straciłam czujność. Zdecydowanie za mocno rozluźniłam się w St Mag's.

Później tego wieczoru siedziałam przy biurku i właśnie miałam się zabrać do badania tlenków bromu i chloru do pracy z chemii na temat dziury ozonowej w stratosferze, kiedy do mojego pokoju wpadła Ruby.

– Ewa! Nie jesteś gotowa!

Odwróciłam się, zbita z tropu.

– Nie jestem gotowa na co?

– Na koncert! O rany! Zaczynają za piętnaście minut!

– Ale... Czy ty nie miałaś się zajmować tłumaczeniem z niemieckiego przez całą noc?

– Ty chyba żarty sobie stroisz? To będzie niepowtarzalne wydarzenie. Niemiecki może poczekać! Jutro zerżnę od Mii.

Ruby wzięła z podłogi moje trampki i rzuciła nimi we mnie.

– A teraz pospiesz się trochę... Naprawdę nie chciałabym przegapić początku.

Posłusznie włożyłam buty i pobiegłam przez dziedziniec za nią.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, pokój wspólny pękał w szwach, ale Omar zarezerwował dla nas dwa miejsca z przodu.

– Zdenerwowany? – zapytałam go.

– Oczywiście, że nie – wyszczerzył się.

– No jasne! – zaśmiała się Ruby.

O dwudziestej pierwszej piętnaście publiczność ucichła w oczekiwaniu na występ i wszyscy wbili wzrok w scenę. Wsunęło się na nią kilka osób, które zbiły się w gromadkę i

rzucali ostrożne, nieco zakłopotane spojrzenia w naszą stronę.

– Co się dzieje, Omar? – zasyczałam.

Wzruszył ramionami.

– O której wchodzisz? – wyszeptała Ruby.

Ponownie wzruszył ramionami.

– Czyj to był pomysł? – zapytałam, myśląc tęsknie o swoim biurku i spadku zawartości ozonu w atmosferze.

– Nie wiem! Ja tylko umieściłem swoje nazwisko na liście!

Wszyscy siedzieliśmy, czekając na to, co miało się wydarzyć.

Na szczęście w końcu coś się wydarzyło. Wysoka dziewczyna z postrzępionymi włosami i mnóstwem kolczyków pomaszerowała w kierunku sceny.

– Astrid! Astrid! Astrid! – zaczęli skandować ludzie.

Popatrzyła na tłum i zmarszczyła brwi, a potem podeszła do zbitej garstki ludzi na scenie.

– Dobra, chłopaki, co się dzieje?

Wszyscy potrząsnęli głowami.

– No dobra, kto tym wszystkim dowodzi?

Spojrzeli po sobie i ponuro wzruszyli ramionami.

Astrid przewróciła oczami, ruszyła na tył sceny i wyciągnęła mikrofon. Podłączyła go do wzmacniacza i pociągnęła aparaturę na środek sceny.

– Czy ktoś ma jakąś kartkę? – krzyknęła w stronę tłumy.

Pomięty świstek powędrował do przodu.

Astrid przejęła go, wyciągnęła z kieszeni ołówek i zaczęła zapisywać imiona wszystkich kolesi, którzy zapisali się na występ.

– No to teraz dawajcie z tym koksem!

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– Ehm... Panie i panowie, powitajcie gromkimi brawami najlepszą trupę komediową tej placówki. Na mojej liście znajduje się dziesięć nazwisk – na każdego pięć minut, OK? Na początek: Karl! Scena jest twoja!

W sali rozległy się oklaski, Karl zaczął opowiadać jakiś skomplikowany dowcip o jeżach, asfalcie i kolczastych naleśnikach – i impreza wydawała się uratowana.

Kiedy później tego wieczoru zmierzaliśmy do pokojów, policzki bolały mnie od śmiechu

i byłam przekonana, że wszyscy czują się tak samo. To była cudowna noc. Nie dlatego, że komuś wyjątkowo wyszedł jego numer – tak naprawdę całość okazała się dość kiepska – chodziło o to, że zebraliśmy się tam wszyscy, żeby przyjemnie spędzić czas.

– A gdyby Astrid się nie pojawiła? – zaśmiała się Ruby. -- To byłby koszmar. Uratowała sytuację, prawda?

Przytaknęłam.

– Fajna jest, nie?

– Taa.

Fajna, ale trochę przerażająca.

– Omarowi nieźle wyszło, prawda?

Roześmiałam się. Jego występ był katastrofalny, bez dwóch zdań, jednak kiedy wszedł na scenę, mogliśmy już śmiać się ze wszystkiego.

Poszłam do łóżka pod ogromnym wrażeniem dziesięciu chłopców gotowych zrobić z siebie błaznów, by dostarczyć nam rozrywki. Ten wieczór zdecydowanie okazał się wart tego, by porzucić dla niego biurko.

## Rozdział 8

### Schematy

*St Magdalene's*

*A.D. 2012*

Kiedy dni zaczęły przechodzić w tygodnie, stopniowo zyskiwałam poczucie, że wreszcie gdzieś przynależę – i każdego dnia budziłam się, optymistycznie patrząc w przyszłość. Z jakiegoś powodu Ruby nadal chciała się ze mną kolegować. Każdego ranka zahaczała o mój pokój i razem szłyśmy na śniadanie. I chociaż nie nawiązywałam ze wszystkimi rozmowy równie łatwo jak ona, jej pogodne, towarzyskie usposobienie mnie odprężało. Musiałam tylko się uśmiechać i od czasu do czasu kiwać głową. Czułam się niemal tak, jakbym należała do grupy.

Oczywiście, czasem marzyło mi się, by Ruby nie angażowała się we wszystkie wydarzenia, które miały miejsce w kampusie, i czasem tęskniłam za moim biurkiem i laptopem. Podobało mi się jednak to nowe dla mnie poczucie przynależności do grupy i bez trudu siadałam do pracy po powrocie. Musiałam tylko nasłuchiwać kroków grasujących gospodyń i w razie czego szybko gasić światło.

Wielkimi krokami zbliżała się przerwa semestralna i z przerażeniem odliczałam dni do końca. Tydzień w domu zapowiadał się koszmarnie.

– Masz plany na ferie? – zapytała Ruby, kiedy wracałyśmy z biologii przez dziedziniec.

– Nie, niespecjalnie – wymamrotałam.

Nie chciałam o tym myśleć.

– Ja chcę nauczyć Omara jeździć konno – zachichotała.

– Omar jedzie z tobą?

– No! Mieszka za daleko, żeby jeździć do domu. Mam tylko nadzieję, że moja matka obejdzie się z nim delikatnie.

– Delikatnie?

– Potrafi być koszmarna, jeśli nie umiesz sprostać jej wyśrubowanym oczekiwaniom.

– Jest niezły z historii sztuki, powinno jej się to spodobać.

– Prawdopodobnie uzna to za wadę – pogardliwie wypowiada się o akademikach zajmujących się sztuką. Uważa, że są tak pochłonięci analizą, iż nie wiedzą, jak zareagować na to, z czym się stykają. Bywa dość okrutna, jak już się rozpędzi.

– Ale czy twoja siostra nie studiuje historii sztuki?

– Owszem. Biedna Miranda sądziła, że mama będzie wniebowzięta. Przez całe życie stara się zrobić na niej wrażenie. Ja się poddałam już lata temu!

– A Omar wie, w co się pakuje?

Ruby przewróciła oczami.

– Chyba rzeczywiście powinnam go ostrzec...

– O wilku mowa... Cześć!

Omar stanął obok nas w kolejce po jedzenie.

– Ostrzec przed czym? – zapytał, nakładając sobie łyżką sos boloński na makaron.

– Na mnie nie patrz! – zaśmiałam się.

Usiedliśmy i zabraliśmy się do jedzenia. Omar zerknął na Ruby.

– Chciałaś mi coś powiedzieć?

– Ewa uważa, że powinnam ci sprzedać jakieś skuteczne metody postępowania z moją matką... – powiedziała Ruby z uśmiechem.

Omar zdrętwiał.

– A co powinienem wiedzieć? – zapytał ostrożnie.

Ruby zastanowiła się przez sekundę.

– Hm... No cóż... ma... dominującą osobowość. Nic ci nie grozi, jeśli będziesz się możliwie rzadko odzywał – powiedziała w końcu. – Nie będzie miała do czego się przyczepić.

– Brzmi groźnie – sapnął Omar.

– Tak czy inaczej, zamierzam nauczyć cię jeździć konno. Dzięki temu powinno nam się udać zejść jej z drogi.

Omar kiwnął głową.

– A ty, Ewa? Co robisz podczas przerwy?

– Jadę do domu – wymruczałam.

– A gdzie?

– York.



Wypowiedziałam te słowa z najwyższym trudem.

Ruby ścisnęła mnie za rękę.

– Biedna Ewa. Nasza przerwa będzie prawdopodobnie cudowna w porównaniu z twoją.

– To dlaczego nie zaprosisz Ewy do siebie?

– Co takiego? – zapytałam bez tchu.

– Omar! To świetny pomysł! Dlaczego sama o tym nie pomyślałam? Mamy mnóstwo pokoi, a Ewa zneutralizuje wpływ mojej matki. Mama na sto procent ją polubi – zawsze lubiła geniuszy...

– Bardzo ci dziękuję – prychnął Omar. – Moja pewność siebie ogromnie wzrosła.

– No to jak, Ewa, jedziesz?

Ruby uśmiechała się do mnie. Omar też.

No dobrze, była to łaskawa odpowiedź na moje modlitwy, ale coś mnie w tym zaproszeniu niepokoiło.

Zagrałam na zwłokę.

– Dzięki, Ruby, to brzmi świetnie, ale myślę, że raczej...

– Raczej co? Przed podjęciem decyzji sprawdzisz, ile śrub do skręcania kciuków przygotował dla ciebie brat? Daj spokój. Wiesz doskonale, że znacznie przyjemniej spędzisz czas z nami.

– Ruby, ja...

– Cicho, Ewa, jestem zajęta. – Wysyłaniem SMS-a. – Dobrze. Poszło. A teraz, Ewo, żadnego wymigiwania się, już wszystko ustaliłam.

Tak po prostu. Moja przerwa świąteczna została zaplanowana. Później tego wieczoru zadzwoniłam do mojej matki i wychwyciłam w jej głosie ledwie dosłyszalny ton ulgi, która i tak była niewspółmierna do mojej.

Jak się okazało, moje obawy były nieuzasadnione. Świetnie się bawiliśmy.

Naprawdę polubiłam Marthę Gainę. Była zgryźliwa, ale zabawna – w każdym razie chciało mi się śmiać. Nie poznałam ojca Ruby, bo musiał wyjechać za granicę w jakiejś sprawie, ale od razu polubiłam jej młodszą siostrę Jess, która była naprawdę słodka.

Udało mi się nawet pojeździć konno. Ruby każdego z nas kilkakrotnie zabrała na przejażdżkę. Pokochałam to -- tę wysokość i tę prędkość jazdy.

– Czy jest coś, czego nie potrafisz? – zdenerwowała się Ruby.

– O co ci chodzi?

– Po prostu tak niesamowicie szybko załapałaś, o co w tym chodzi. Galop to nie jest coś, co opanowuje się podczas pierwszej lekcji.

Wzruszyłam ramionami. Nie miałam wrażenia, że opanowałam właśnie nową umiejętność. To przyszło zupełnie naturalnie.

Później nasza trójka wzięła Jess na długi spacer wśród opadłych liści przez lasy posiadłości rodziców Ruby. Tak, posiadłości. Dom był gigantyczny. I piękny, porośnięty dzikim winem i otoczony ogrodami.

Ostatniego dnia pobytu Martha zaprosiła nas do obejrzenia jej pracowni – niesamowitego budynku z przeszklonym dachem znajdującego się za stajniami.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale to zdecydowanie nie było to. Instalacje Marthy Gainie były wielkimi, abstrakcyjnymi wydarzeniami, podczas których używano projektorów, wody, ognia, a nawet lodu. Chyba oczekiwałam, że jej pracownia będzie wypełniona tego typu materiałami, ale ściany pokrywały delikatne rysunki liści, piór, kości i skał. Półki zastawione były maleńkimi rzeczami zamkniętymi w słoikach -- owadami, słodkościami, mebelkami dla lalek... Te pozornie niezwiązane ze sobą przedmioty starannie uporządkowano.

Kiedy Martha zauważyła, że przyglądam się tej niezwyklej kolekcji, machnęła tylko ręką i powiedziała:

– Inspirację czerpię czasami ze zdumiewających źródeł.

Skinęłam głową, rzucając spojrzenie na Omara. Gapił się na słój maleńkich jagódek. Niestety, wziął radę Ruby tak dosłownie, że przez cały tydzień niemal ani słowem nie odezwał się do Marthy. Musiała uznać, że jest niemową. Dziwne, ale chociaż to ja odgrywałam zazwyczaj tę rolę wśród ludzi i chociaż Ruby ostrzegła mnie tak samo jak Omara, żebym się nie wychylała -- zorientowałam się, że nie umiem zachować milczenia. Martha zarażała mnie jakimś rodzajem agresywnej energii.

Później tego samego wieczoru, kiedy jechaliśmy pociągiem do St Mag's, nie mogłam powstrzymać się od zadania Ruby pytania, czy cała ta opowieść o szalonej matce nie była tylko żartem, który miał nas przerazić.

– Możesz mi wierzyć, nigdy nie widziałam jej w tak pogodnym nastroju – odpowiedziała.

– Nie określiłbym tego mianem pogodnego nastroju! – prychnął Omar.

– Uwierz mi, Omar, była łagodna.

Zapatrzyłam się na ciemne sylwetki drzew rozmazujących się za naszym oknem. Zastanawiałam się, czy Martha Gaine przygotowała kiedyś instalację na temat prędkości. Albo czasu. Albo ruchu.

Mój umysł zaczął wypełniać się dziełami w stylu Marthy, więc byłam trochę zaskoczona, kiedy Omar dotknął mojego ramienia i zaczął zdejmować nasze bagaże z półek.

Było już dość późno i dotarliśmy do szkoły zmęczeni.

Kiedy żegnałam się z Ruby pod drzwiami, nieoczekiwanie dla samej siebie wyciągnęłam rękę i uścisnęłam ją.

– Dzięki, Rubes, to był wspaniały tydzień.

Ruby nie wiedziała, rzecz jasna, że uścisk z mojej strony był gigantycznym skokiem w kierunku królestwa stosunków międzyludzkich. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kogoś spontanicznie dotknęłam. Miałam niejasne poczucie, że być może był to w ogóle pierwszy spontaniczny dotyk w moim życiu.

– Dziękuję, że przyjechałaś, dzieciaku! Bez ciebie ta wizyta okazałaby się istną torturą. Widziałas, jaki Omar był zrelaksowany!

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Biedny Omar!

Ruby potrząsnęła głową i zaśmiała się cicho.

– Dobranoc, Ewo.

Poszłam spać, czując się najszcześliwsza od lat. Byłam w idealnej szkole, miałam idealną przyjaciółkę i właśnie unikałam koszmarnego tygodnia z moim ukochanym przybranym bratem Tedem. Czy można było chcieć od życia więcej?

Następnego dnia przeleciałam jak na skrzydłach przez fizykę, chemię, etykę i filozofię i dopiero w porze lunchu spotkałam się z Ruby i Omarem.

– Hej, Ewa, popatrz na to!

Ruby pospiesznie przeglądała zdjęcia, które zrobiła w ubiegłym tygodniu. Śmiali się ze zdjęcia Omara próbującego dosiąść konia Ruby.

Rzuciłam na stół tacę z kurczakiem w sosie curry i pochyliłam się nad nimi. Omar przewijał kolejne zdjęcia.

– O, na tym zdjęciu wyszłaś uroczo, Ewa – powiedział, powiększając fotografię

przedstawiającą mnie śmiejącą się razem z Jess.

– Aaaa... Czy Jess nie wygląda uroczo w tej pizamie? -- wymamrotałam i zajęłam się pałaszowaniem jedzenia.

– To też jest niezłe.

Omar przekręcił aparat i pokazał nam zdjęcie zrobione przez Ruby, a przedstawiające Omara i mnie opierających się o ścianę stajni.

– Możesz mi wysłać to zdjęcie mailem, Rubes? – zapytał.

– Jasne – odpowiedziała. – Mogę ci wysłać wszystkie.

A potem nagle odrzuciła włosy w tył.

– Rany, która godzina! Powinna już być na basenie. Co teraz macie?

– Lekkoatletykę – powiedzieliśmy jednocześnie.

Spojrzałam na Omara ze zdziwieniem.

– Sądziłam, że trenujesz piłkę nożną?

– Ostatnio zmienilem – odpowiedział i wzruszył ramionami.

W mojej głowie rozległ się cichutki dzwonek alarmowy, ale zlekceważyłam go.

– OK, no to się zobaczymy. Zostawiłam strój w pokoju -- wzięłam tacę i zatrzymałam się na chwilę. – Złapię was później! – Uśmiechnęłam się i odeszłam.

Oficjalnie nie wolno nam było przebywać w naszych pokojach w ciągu dnia, więc popędziłam do siebie, złapałam strój i właśnie miałam wybiec na korytarz, kiedy w wejściu wpadłam na Omara.

– Omar? – wydukałam. – Dałeś mi... – Ale tego zdania nie było mi dane skończyć, bo nagle chłopak otoczył mnie ramionami.

– Och, Ewa – wyszeptał, popychając mnie z powrotem do pokoju.

A potem zaczął mnie całować.

– Omar! Co ty robisz?!

Próbowałam go odepchnąć, co go najwyraźniej zupełnie zaskoczyło.

– Daj spokój, na pewno czujesz to samo.

– Nie! O czym ty mówisz?

– Ewa! Szaleję za tobą!

– Co?

– Nie radzę sobie już z tym.

– Ale ty i Ruby...

– Tak, Ruby jest świetna, oczywiście, bardzo ją lubię, ale ty jesteś...

– Ja jestem co?

Byłam przerażona. Wziął moją twarz w dłonie i znów próbował mnie pocałować.

– Omar, przestań! – krzyknęłam. – Nigdy nie dałam ci powodu...

– Ewa. – Jego głos nagle się załamał, a on sam spojrział na mnie błagalnie. -- Ewa, proszę! Szaleję za tobą od chwili, w której weszłaś do wspólnego pokoju tamtego wieczoru... Wiedziałem, że...

– Omar, proszę! Ruby...

– Słuchaj, Ewa, nie obchodzi mnie Ruby...

No i kto wszedł do pokoju w tym momencie? Właśnie tak, do pokoju weszła Ruby, po czym od razu z niego wybiegła. Oczywiście pognałam za nią, próbując coś wyjaśnić, ale nawet się nie zatrzymała. Nie chciała ze mną rozmawiać. Odwróciła się tylko i popatrzyła na mnie tak, jakbym była najgorszym gatunkiem zdrajcy. I właśnie tak się czułam.

Przez całe popołudnie miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Unikałam kontaktu wzrokowego z Omarem w trakcie zajęć z lekkoatletyki i ledwo dotrwałam do końca dnia. Wieczorem zapukałam do drzwi Ruby. Słyszałam, że płacze w środku, ale mnie nie wpuściła. Wróciłam do mojego pokoju, usiadłam na łóżku i tępo wpatrzyłam się w ścianę.

Jak mogłam do tego dopuścić? Dlaczego nie zauważyłam, co się święci? Miałam być mądra, a znów wylądowałam w tym samym bagnie.

Tylko że tym razem było dużo gorzej. Zależało mi na Ruby. I na Omarze. Zaczęłam wierzyć w to, że naprawdę są moimi przyjaciółmi.

Kiedy w końcu dotrze do tej mojej zakutej pały, że ja nie mogę mieć przyjaciół?

Tego wieczoru Ruby zerwała z Omarem... publicznie... w stołówce, na oczach wszystkich. Zanim kolacja się skończyła, cała szkoła już wiedziała, co zaszło i kim była ta podła zdzira, która doprowadziła do katastrofy.

Wiedziałam, że nie powinno mnie to dziwić. W końcu znałam już ten powtarzający się schemat, przy którym teoria chaosu wyglądała zupełnie niegroźnie. Tak czy inaczej, nie miałam nad nim żadnej kontroli.

## Rozdział 9

### Upadek

*Londinium*

*A.D. 152*

Kiedy gladiator upadł, zgromadzony na widowni areny tłum jęknął. Jeszcze przed chwilą obserwowali jego wielkie zwycięstwo: oto potężny Gal leżał na piachu, martwy, zbryzgany krwią. Sethos Leontis nie mógł upaść! Był niepokonany, był bogiem gladiatorów, zdobywał laury. Przecież ten schemat nie mógł ulec zaburzeniu... Dlaczego więc zwycięzca leżał teraz bez ruchu?

Nie leżał długo. Matthias i Tertius biegli już w jego stronę, a tuż za nimi czterech innych gladiatorów z rodziny. Razem znieśli go z areny. Rana Setha była raną całej rodziny. Potrzebowali go. Jego popularność ściągała nieprzebrane tłumy ludzi z wypchanymi sakiewkami. Jego zwycięstwa były ich zwycięstwami. Właśnie powiększył ich chwałę, zdobywając dziewiąty wieniec, chociaż sam nie był w stanie go już odebrać.

Nie mógł umrzeć.

Matthias nigdy wcześniej nie widział, by jego przyjaciel stracił koncentrację, ale uchwycił ten moment, dostrzegł, co odciągnęło uwagę Setha, i przeklinał bogów za to, że zesłali ciemnowłosą dziewczynę na widownię tego właśnie dnia. Gdyby Seth umarł...

Położyli bezwładne ciało Setha na macie służącej mu za posłanie.

Matthias odciął skórzany pas naramienny. Modlił się, by ta skąpa ochrona zapobiegła zbyt rozległym obrażeniom, by za tym morzem krwi kryło się jedynie płytkie draśnięcie. Umył dłonie i mocno przycisnął ranę. Z ust momentalnie oprzytomniałego Setha wyrwał się okrzyk bólu. Dziko wodził oczami po ścianach pomieszczenia, ale po chwili jego spojrzenie znów zaszło mgłą. Opadł na posłanie. Matthias krzyknął do swojego pomocnika, by przyniósł mu jego maści i proszki, czyste ręczniki i gorącą wodę. Kiedy czekał, przyciskając z całej siły ramię przyjaciela, patrzył z rozpaczą, jak krew Setha pulsacyjnie wypływa rwącym strumieniem z rany i zalewa

prześcieradło, na którym spoczywał. Matthias starał się uspokoić, mrużąc inkantacje. Nie wierzył w zaklęcia stosowane powszechnie przez jego kolegów po fachu, ale teraz gotów był spróbować wszystkiego.

Kłęcząc obok Sethosa, próbował sobie wyobrazić swoje życie bez niego. Nie umiał. Nie chciał. Kiedy pomocnik przyniósł ręczniki i wodę, Matthias zaczął metodycznie obmywać tkanek wokół rany. Bogowie, ten Gal wraził swój miecz naprawdę głęboko. Matthias zdławił w sobie przyjaciela i wszedł w rolę lekarza. Zaczął od podsumowania: serce było słabo, ale gdyby tylko udało mu się powstrzymać krwawienie, było jeszcze wystarczająco mocne, by wytrzymać. Obrażenia tkanek, mięśni i kości wyglądały na rozległe i poważne. Mięśnie były przecięte, a kość strzaskana. Musiał natrzeć ranę maścią, pracownicy oczyścić ją z luźnych fragmentów kości, a następnie usztywnić cały ten fragment ciała, by umożliwić kościom zrosnięcie się. Teraz musiał jednak przede wszystkim zatamować krwawienie. Jeśli Seth będzie w tym tempie tracił krew, nie przeżyje tego.

Matthias ustawił swój arsenał na stole obok i wybrał fiolki z pajęczyną. Włożył trzy okrągłe zwitki głęboko w ranę, a następnie roztarł je na całej długości rany, starannie przyciskając przy krawędziach. Wstrzymał oddech... i stopniowo krew zaczęła wypływać z coraz mniejszą intensywnością. Matthias ostrożnie wciągnął powietrze. Chociaż uporał się dopiero z jednym problemem, poczuł, że w sercu kielkuje mu nadzieja. Być może uda się ocalić Seta.

Nagle rannym zaczęły wstrząsać dreszcze. Matthias dotknął dłoni swojego przyjaciela – były zimne jak lód.

– Koce! – krzyknął.

Pomocnicy pobiegli, by znaleźć okrycia, i wrócili kilka chwil później. Rzucili je na słabnące ciało.

– Ostrożnie, idioci! Nie na ramię! – wrzasnął Matthias.

Wysłuchał się ponownie w bicie serca Seta. Było słabo i chaotycznie. Miało to kluczowe znaczenie. Nie mógł rozpocząć operacji do czasu ustabilizowania pracy serca Seta, któremu groziło wejście w stan szoku pourazowego i śmierć. Matthias zaczął wpadać w panikę. Wiedział, że im dłużej Seth leży tu z otwartą raną, tym większe staje się ryzyko zakażenia. Jeśli wda się zakażenie, pojawi się gorączka, której tak osłabiony Sethos nie przeżyje. Jeśli jednak Matthias zanadto pospieszy się z operacją, Sethos w ciągu kilku minut umrze na skutek wstrząsu.

– Ojczy – wyszeptał – co byś teraz zrobił na moim miejscu?

Nigdy wcześniej Matthias nie potrzebował rady swojego ojca równie mocno jak teraz. Chociaż w ciągu ostatnich dwóch lat leczył już kilka razy poważnie rannych gladiatorów, żaden z nich nie był mu tak bliski jak Seth i łatwiej było mu zachować trzeźwość spojrzenia. Kiedy gladiator umierał, Matthias nie winił siebie. Wiedział jednak, że jeśli Sethos nie przeżyje, on sam sobie tego nie wybaczy. On i Sethos zostali schwytani podczas tej samej łapanki. Razem ich skuto i razem obserwowali egzekucję członków swoich rodzin. Byli ze sobą związani na śmierć i życie.

– Ojczy, proszę...

Jego ojciec jednak nie odpowiadał. Opuścił już ten świat i wędrował teraz po Polach Elizejskich, nareszcie wolny. Matthias mu zazdrościł.

Ukląkł obok maty i dotknął klatki piersiowej Setha. Nie była już tak wilgotna i spocona. Wysłuchał bicia serca. Wydawało się stabilizować.

– Dobrze! — powiedział zdecydowanie. — Aureliusz, będę potrzebować więcej światła, przynieś mi tyle lamp, ile zdołasz. Telemachu, będę cię potrzebował, żebyś pomógł Aureliuszowi przytrzymać światło bez ruchu.

Kiedy zapalono już lampy oliwne, Matthias ustawił cztery na krawędzi stołu tak blisko zmasakrowanego ramienia, jak zdołał, a potem ustawił swoich dwóch pomocników tuż nad ramieniem, by doświetlili mu ten obszar.

Przez chwilę trzymał swoje narzędzia chirurgiczne w płomieniu, by je zdezynfekować, a potem przystąpił do żmudnego wyciągania odłamków kości z rany.

Seth oddychał z wysiłkiem. Pot zaczął lać się z niego strumieniami, więc Matthias zrzucił koce na ziemię, po czym przystąpił do kontynuowania swojej pracy.

W trakcie operacji gladiatorzy wchodzili do pomieszczenia i z niego wychodzili, obrzucali Setha i Matthiasa ponurymi spojrzeniami i potrząsali głowami.

– Był dzielnym wojownikiem.

– Jednym z najlepszych.

– On jeszcze żyje! — rzucił ostro Matthias. — A teraz wyjdźcie, bo zasłaniacie mi światło!

Matthias wyjął ostatni drobny odłamek i czyścił ranę wodą, gdy do pomieszczenia wmaszerował lanista, niosąc wieniec zdobyty przez Setha. Oparł go o stół.

– Przeżyje? — zapytał.

Matthias wzruszył ramionami, nadal przecierając wodą ramię Setha.



– Wszystko w rękach bogów.

– Jeśli Sethos umrze, poniesiesz za to odpowiedzialność, Matthiasie. Nie mogę pozwolić sobie na to, by go stracić.

Matthias zdławił gorzką odpowiedź i z największym wysiłkiem opanował się, by nie rzucić się na lanistę.

Lanista wymaszerował, a Matthias ponownie opatrzył oczyszczoną już ranę pajęczyną, a potem zrobił gorący okład z miodu, prażonych nasion kopru i rozmarynu, który rozsmarował na ranie i jej okolicach. Następnie obandażował ramię czystą bawełnianą gazą.

– Dobrze, Telemachu, teraz musimy usztywnić ramię. Czy możesz przytrzymać deszczułki w tym miejscu, gdy będę je wiązał?

Ramię wreszcie unieruchomiono, ale Matthias nie czuł ulgi. Seth oddychał płytko i nierówno, czoło płonęło mu gorączką, a ciałem wstrząsały nieustanne dreszcze.

– Sethosowi jest zimno, Matthiasie, powinniśmy go przykryć – wyszeptał Telemach.

– Dostał gorączki – westchnął Matthias. – Przynieś miski z wodą i czyste szmatki.

Gdyby Sethos był przytomny, Matthias dałby mu naparu z portulaki i rumianku, ale nie można było zmusić go, żeby przełknął, więc Matthias odwołał się do sposobu preferowanego przez jego ojca i zaczął obmywać jego całe ciało letnią wodą.

Sethos zaczął trząść się nieopanowanie i Telemach próbował go nakryć.

Matthias odepchnął go ze złością.

– Dotknij jego policzka – czy naprawdę sądzisz, że mu zimno?

Telemach położył dłoń na twarzy Seta i poczuł rozpaloną skórę.

– Trzęsie się przez gorączkę. Jego ciało jest przegrzane.

Sethos zaczął jęczeć, a potem krzyczeć.

– Matthias! Pomóż mi, Matthiasie...

– Jestem przy tobie, bracie...

Sethos wił się i skręcał przeszywany bólem.

– Matt — wydyszał. – Jestem ranny...

– Wiem, Seth. – Matthias i jego dwóch pomocników musieli przytrzymać chorego z całych sił na posłaniu. – Proszę, nie podnoś się. Twoje ramię jest jeszcze zanadto niestabilne...

Sethos nie słuchał jednak głosu rozsądku.

– Matt, jesteś tam? Potrzebuję...

– Cicho, Seth. Wypij to, bracie.

Matthias uniósł kubek naparu z opium do ust przyjaciela. Seth próbował pić, ale wstrząsany konwulsjami zakrztusił się.

– Matthias! – wydyszał. – Ja... ja...

Przewrócił białkami oczu i opadł na posłanie, nieprzytomny.

Matthias nie spał przez całą noc, próbując przytrzymać przyjaciela, gdy ten zaczynał się rzucać na posłaniu, zaniepokojony, że rana się otworzy.

O czwartej nad ranem rana znów zaczęła krwawić i Matthias musiał ją opatrzyć kolejnymi pąjeczynami. Obandażował ranę ponownie i obserwował rozwój zdarzeń.

Sethos nie wyglądał dobrze. Był nienaturalnie blady, krople potu spływały mu z czoła, jęczał coś niezrozumiale. Matthias obawiał się, że przyjaciel nie dożyje do rana.

Kiedy tak czuwał obok Seta, zaczął się zastanawiać nad skutecznością wdrożonego właśnie leczenia. Czy można było zastosować lepsze zioła? Może powinien zszyć ranę? Była tak głęboka i rozległa, że obawiał się zamknąć ją przedwcześnie. Widział, jak łatwo takie brzydkie rany ulegały zakażeniu... Była to z pewnością prosta droga do śmierci jego przyjaciela.

O poranku ogarnęła go rozpacz. Czuł, że nie jest zdolny sprostać zadaniu ocalenia Seta. Skończył zaledwie dziewiętnaście lat. Nie miał jeszcze wystarczającej wiedzy.

Kiedy więc lanista wmaszerował do celi z jakimś obcym człowiekiem, Matthias modlił się, by okazał się on lekarzem.

– Matthias, to jest Domitus Natalis.

Zamierzone zawieszenie głosu i prawie niedostrzegalne skinienie głowy Tertiusa pozwoliło Matthiasowi zorientować się, że znajduje się w obecności ważnej osobistości.

Skłonił się.

– Domitus Natalis był wczoraj na widowni, kiedy Sethos Leontis upadł. Dziś rano hojnie zaoferował mu pokój w swojej willi oraz opiekę własnego lekarza.

Matthias nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Tak naprawdę... – przyznał Domitus – przekonała mnie do tego żona, to ona ma takie miękkie serce. Niezwykle czuła kobieta!

Choć Matthias nie miał żadnej pozycji i żadnego głosu w tej sprawie, był rozdarty.

– Ale... ja nie mam pewności, czy to jest bezpieczne. Jego serce jest bardzo słabe... Stracił mnóstwo krwi i trawi go gorączka. Rana otwiera się od najmniejszego ruchu...

Domitus spojrział na Sethosa i powiedział:

– Umrze, jeśli zostanie dłużej w tej cuchnącej celi. Wyślę po niego nosze w ciągu godziny.

Lanista poklepał Matthiasa po plecach.

– Uwalnia cię to od kłopotu, prawda? Poza tym pojutrze ruszamy do Akwitanii i chyba nie sądzisz, że Sethos zdołałby przetrwać tę podróż?

Matthias milczał. Nie było szans, by Sethos w tym stanie mógł podróżować razem z nimi. Pojawienie się Domitusa musiał uznać za cudowną, boską interwencję.

– Czy chciałbyś, żebym z nim został? -- zapytał bez nadziei.

– Nie bądź głupcem, człowieku. Twoje miejsce jest przy rodzinie. Sethos będzie w dobrych rękach. Słyszałem, że lekarz Domitusa leczy samego prokuratora!

Matthias westchnął i zaczął przygotowywać się do pożegnania ze swoim najbliższym przyjacielem.

# Rozdział 10

## Rozterki

*St Magdalene's*

*A.D. 2012*

Ruby miała nową najlepszą przyjaciółkę – Mię. Nie mogłam udawać, że mnie to nie obeszło. Nie próbowałam również udawać, że się tego nie spodziewałam.

W pewnym sensie ta myśl okazała się dziwnie pocieszająca. Przeżyłam jako samotniczka szesnaście lat i wiedziałam, że umiem tak żyć. Nie potrzebowałam tak naprawdę Ruby. Nikt lepiej niż ja nie potrafił obywać się bez przyjaciół – w tej dziedzinie byłam specjalistką. I chociaż coś dławilo mnie w gardle, kiedy patrzyłam na Ruby spędzającą czas z Mią, uwalniało mnie to od poczucia winy. Ruby najwyraźniej sobie poradziła. Łatwo dało się mnie zastąpić.

Myśl o Omarze nadal wywoływała u mnie mdłości i nie mogłam nic na to poradzić. Staralam się go tylko ignorować, co również nie było łatwe, jeśli wziąć pod uwagę, ile razy próbował ze mną porozmawiać. Nie docenił jednak moich umiejętności w tej dziedzinie. W końcu specjalizowałam się w unikaniu ludzi. Lepiej niż inni potrafiłam zniknąć w tłumie. I byłam niezwykle cierpliwa. Już po kilku tygodniach Omar w końcu się poddał.

Niestety, Omar nie był ostatni. Po nim pojawił się Dominic, później – Karl...

Wyglądało na to, że moja samotność uruchomiła reakcję łańcuchową. Musiałam unikać wszystkich miejsc, w których toczyło się życie towarzyskie – wspólnych pokoiów, maratonów filmowych, imprez organizowanych w pokojach. Nie można było jednak unikać kontaktów na zajęciach. Najgorszym koszmarem okazały się zajęcia uzupełniające w parach – specjalność St Mag's.

Na zwykłych zajęciach było w porządku, a w każdym razie – bezpiecznie. Odbываły się między ósmą a dwunastą w grupie i przeważnie chłopaków i dziewczyn było mniej więcej po równo. Zajęcia dodatkowe w parach były loterią. Co tydzień mieliśmy zajęcia w parach z nauczycielem innego przedmiotu – bardzo niebezpieczne, jeśli partner okazywał się chłopakiem,

bo zdarzało się, że zostawialiście we dwójkę w sali albo, co gorsza, wracaliście razem szkolnymi korytarzami bez bezpieczeństwa zapewnianego przez grupę.

Po kilku miesiącach zdecydowałam, że nie mogę się zdawać na ślepy los; było to zbyt nieprzewidywalne i zbyt stresujące. Jeśli miałam uniknąć kolejnych żenujących deklaracji uczuć, musiałam znaleźć bardziej przewidywalne rozwiązanie. Szybko wpadłam na to, co powinnam zrobić (włamać się do rozkładu zajęć i dokonać niezbędnych poprawek), ale wprowadzenie tego planu w życie zabrało mi nieco więcej czasu.

Włamanie się na konto okazało się wręcz uwłaczająco łatwe – hasło i PIN były oczywiste, ale kierownik działu informatyki dodał irytujące zapory ogniowe, by chronić plan zajęć. Kilka wieczorów zajęło mi ich złamanie, ale zrobiły na mnie wrażenie, więc miałam się na baczności, kiedy już się przez nie prześlizgnęłam. Zmyślni przeciwnicy potrafią być podstępni. Miałam rację, zachowując ostrożność. Zastawił na mnie pułapkę za pomocą genialnego oprogramowania szpiegującego. Spodobał mi się ten gość. Oznaczało to jednak, że muszę działać szybko, niepostrzeżenie i trochę naokoło. Do tego trzeba było pamiętać, żeby się logować bardzo późno w czwartkowy wieczór, tuż przed tym, zanim rozsyłano nowe plany, żeby zmiany dokonywane przeze mnie co tydzień pozostały niewykryte.

Kiedy już rozwiązałam problem planu, życie wskoczyło na właściwe tory – mogłam odetchnąć na lekcjach i zajęciach dodatkowych. Nareszcie.

Udało mi się też dorwać do cudownej nowej zabawki St Mag's – mikroskopu kwantowego. Był odłotowy. Mikroskop elektronowy mógł wykryć niesamowitą paletę mikroorganizmów, ale ten potrafił śledzić neutrony! Mogłam zarejestrować wahania grawitacji. Mogłam śledzić ruchy bakterii i wirusów. Kwarki zyskały materię. W zasadzie niedostrzegalne na mikroskopie elektronowym plamki zyskiwały skomplikowane pulsujące formy.

Wszyscy nauczyciele zajmujący się naukami ścisłymi walczyli o dostęp do mikroskopu, ale zwycięzcą okazała się doktor Franklin, ponieważ tylko jej laboratorium miało odpowiednią wielkość, by go pomieścić. Zdołałam ją nawet przekonać, by pozwoliła mi zostać i obserwować, w jaki sposób go ustawiają. Wszyscy przyzwyczaili się do tego, że kręcę się w pobliżu, kiedy eksperymentowali z jego działaniem. Na pewien czas szczęśliwie znalazłam temat, który mnie pochłonął.

Niestety, nie całkiem. Wyglądało na to, że niezależnie od tego, ile czasu spędzę w laboratorium, jak ciężko będę pracować na zajęciach, jak długo będę siedzieć przy biurku, zostaje

mi nadal irytująco dużo czasu na rozmyślenia. Była to konsekwencja zniknięcia Ruby z mojego życia.

Sytuację zmieniło niespodziewane pojawienie się kilku dodatkowych zajęć, które zabrały mi resztę wolnego czasu.

Na pierwsze wpadłam przez przypadek. Pewnego dnia próbowałam wymknąć się Karlowi po łacinie w tłumie dziewczyn, które – jak się okazało później – zmierzały do studia teatralnego. Poszłam z nimi i jakoś tak wyszło, że ja również wzięłam udział w przesłuchaniach.

No i teraz grałam w szkolnym spektaklu... *Hamleta!* Dostałam kwestie do wyuczenia się na pamięć i miałam próby, na które musiałam chodzić, zazwyczaj w towarzystwie innych członków grupy teatralnej, nie było więc możliwości prowadzenia pogawędek na osobności. Dość szybko próby stały się dla mnie źródłem prawdziwej przyjemności. Przychodziłeś, zdejmowałeś buty, wkładałeś kostium i zostawiałeś wszystkie problemy na zewnątrz. Nikt cię nie oceniał, nikt nie robił żadnych denerwujących aluzji – sędzę, że głównie dlatego, iż doktor Kidd, nauczyciel wiedzy o teatrze, dostałby szału. Przede wszystkim jednak uwielbiałam wcielać się w kogoś innego.

I pewnego dnia w porze lunchu, kiedy wszyscy wychodziliśmy po próbie, zupełnie zwyczajnie podeszła do mnie Astrid i zagadnęła:

– Nieźle śpiewasz – grasz na czymś?

– Chodzi ci o jakiś instrument?

– Tak.

– Trochę na gitarze...

Uśmiechnęła się szeroko.

– Doskonale. Umówmy się na później na *jam session*.

– OK... Dobra.

„Później” było jednym z moich ulubionych słów. Oznaczało intencję bez deklaracji zaangażowania. Mogło oznaczać „za godzinę” albo „za dwanaście lat”. Miłe i otwarte. Sama je często wypowiadałam, żeby zrzucić z siebie kłopotliwe sprawy. Kiedy więc Astrid powiedziała: „Umówmy się na później na *jam session*”, nie przejęłam się... dopóki podczas kolacji ktoś nie klepnął mnie w ramię.

– Idziesz czy nie?

Stała nade mną Astrid z futerałem przewieszonym na pasku przez plecy. Była z Sadie,

niedużą blondynką z moich zajęć filozoficznych. Teoria dwunastu lat wzięła w łeb.

- Eee... Mam tutaj tylko gitarę akustyczną – wyjąkałam w końcu nieporadnie.
- Świetnie. W studiu jest Strat.
- Nie jestem za dobra...
- Nie staniesz się lepsza od siedzenia tutaj. Może byś się podniosła wreszcie z krzesła?

Czas ucieka.

Wstałam, wyczyściłam swój talerz i niechętnie poszłam za nimi przez dziedziniec do skrzydła muzycznego.

– Łał!

Pomieszczenie, do którego poprowadziła nas Astrid, było przestronne, profesjonalnie wygłuszone i wyposażone w kompletną aparaturę nagraniową: perkusję, wzmacniacze, mikrofony...

Sadie od razu usiadła przy perkusji i zaczęła nawalać, a Astrid zdjęła czerwonego Stratocastera ze stojaka i podała mi go. Potem rozpięła futerał, który miała przerzucony przez plecy, i wyciągnęła czarną gitarę basową Gibsona.

Astrid – jak się okazało – oneśmielająco dobrze grała na basie. Bez wysiłku ślizgała się palcami po gryfie, a ja skuliłam się w kącie, niezdarnie próbując nastroić Stratocastera. Zapowiadało się piekło.

– Słuchaj, Astrid... Nie wydaje mi się... – zaczęłam nieśmiało.

– Trzymaj.

Rzuciła mi pomietą kartkę z tekstem.

Przygryzłam wargi i spojrzałam. Chwyty wypisano ołówkiem nad słowami. Hm, no cóż, nic trudnego... Może udałoby mi się zmusić palce do posłuszeństwa...

Szybko podała mi melodię, a Sadie wybiła rytm. Zgrałyśmy się bez problemu. Zanim wieczór dobiegł końca, przećwiczyłyśmy dwie piosenki i nawet dołożyłam od siebie chórki.

- Podoba mi się, jak śpiewasz – pochwaliła mnie Astrid, kiedy wracałyśmy do pokoi.
- Lepiej niż gram... – wymamrotałam.
- Wystarczy, że poćwiczysz...
- Jasne, ćwiczenie czyni mistrza.
- Nie, miałam na myśli to, że nie masz techniki. Potrzebujesz kilku lekcji.

Miała rację. Nauczyłam się grać sama z książki z chwytami, a jeśli wziąć pod uwagę

mierny entuzjazm domowników zgodnie nieznoszących hałasu, nie przykładałam się szczególnie.

– A od kogo mam wziąć te lekcje?

– Jak to od kogo? Ja cię nauczę, to chyba jasne?

– Ty?

– A dlaczego nie? W zamian za to ty mi pomożesz z tłumaczeniami z łaciny.

– Umowa stoi!

Uśmiechnęłam się szeroko.



# Rozdział 11

## Przeznaczenie

### *Londinium*

*A.D. 152*

Seth nie otworzył oczu, kiedy niesiono go na noszach ulicami Londinium. Nie obudził się również wtedy, kiedy go przeniesiono do chłodnej marmurowej komnaty na tyłach willi Natalisa.

Nie zwrócił uwagi na delikatne dłonie, które wykapały go i położyły, by odpoczął, na pościeli, na którym rozesłano wcześniej delikatne bawełniane prześcieradło. Później tego popołudnia Domitus wezwał swojego lekarza, Greka Tychona.

Tychon przybył z niewielką świtą. Skłonił się głęboko przed Domitusem Natalisem, który wyszedł mu na spotkanie przy łóżku chorego.

Zanim Tychon dotknął Sethosa, poprosił o wodę do umycia rąk. Było to aż nadto, ale po osuszeniu zanurzył je w occie. Domitus zdławił chichot wyższości. Założył, że Grek składa dziwny rytualny hołd innemu niż on zestawowi bóstw. Nie wiedział, że znajduje się właśnie w obecności jednego z najbardziej twórczych lekarzy wszech czasów. Tychon odkrył – w serii dokumentowanych prób – że ocet winny był doskonałym środkiem odkażającym, i teraz upierał się, by przeprowadzać operacje zawsze po odpowiedniej dezynfekcji. Kiedy już dokładnie umył ręce, przekazał słoik swojemu pomocnikowi, który umył własne. Tychon uniósł następnie gazę i pajęczyny pokrywające ramię Setha. Ponuro potrząsnął głową, przyglądając się uważnie nabrzmiałej czerwieni i napuchniętej okolicy rany.

Cały dom Natalisa zgromadził się, by usłyszeć werdykt.

– W tym momencie mogę powiedzieć, że rana jest bardzo głęboka, a uszkodzenia mięśni i nerwów prawdopodobnie są bardzo poważne. Nie mogę wyrokować, dopóki nie zajrzę do środka, ale podejrzewam, że kość uległa częściowemu zmiążdżeniu. Rana jest obrzmiała i gorąca, co oznacza, że będę ją musiał ponownie otworzyć i podjąć próbę wyeliminowania zakażenia, ale mogę sobie wyobrazić, że ranny utracił już dużo krwi i jest bardzo osłabiony. Jego serce bije

słabo i nieregularnie, trawi go chorobliwa gorączka. Zrobię, co w mojej mocy, by go wyleczyć, ale szanse na to, że przeżyje, są niewielkie.

Kiedy lekarz mówił, Domitus Natalis ponuro kiwał głową. Zainwestował dużo pieniędzy w Sethosa Leontisa, choć nie powiedział o tym swojej żonie Flawii, głównie dlatego, że większość pieniędzy pochodziła z jej posagu. Flawia była córką bogatego człowieka i Domitus dobrze wyszedł na tym małżeństwie. Gdyby się dowiedziała o jego wątpliwej inwestycji, jej ojciec mógłby zażądać rozwodu, a w ten sposób Domitus pozostałby prawdopodobnie bez środków do życia. Bogowie mu jednak sprzyjali, bo to ona zaproponowała pielęgnowanie gladiatora w ich domu.

– Co możemy zrobić, by przechylić szalę na korzyść Leontisa? – zapytał swojego lekarza.

– No cóż, po tym, jak oczyszczę, zaszyję i opatrzę ranę, jego przyszłość będzie w rękach bogów, oczywiście, ale zalecałbym obserwację chorego dzień i noc. Ze względu na ataki gorączki on potrzebuje troskliwej opieki. Czy masz niewolników mających jakąkolwiek wiedzę medyczną?

– Mogę dopilnować czuwania – powiedziała szybko Flawia.

– Mogę ci w tym pomóc, jeśli zechcesz, matko – dodała Liwia.

Domitus z wdzięcznością uśmiechnął się do kobiet. Od czasu do czasu bywały bardzo przydatne.

– Doskonale. – Tychon skinął głową. – No cóż, lepiej wróć do pracy. Im dłużej tu stoję, tym szybciej zakażenie się rozprzestrzenia. Potrzebuję dużo przegotowanej wody, dużo czystych kawałków tkaniny i wszystkie wasze lampy oliwne. Ten marmurowy stół stojący w rogu będzie idealny do rozłożenia moich instrumentów medycznych.

Jego pomocnik podstawił już stół do łóżka. Flawia poszła zatroszczyć się o czysty materiał i przegotowaną wodę. Domitus oddalił się do swojego gabinetu.

Sethos leżał nieświadomy tego, że Tychon rozkłada swoje instrumenty i medykamenty. Był również nieświadomy tego, że dziewczyna, która odwróciła jego uwagę na arenie, stała teraz w drzwiach do pokoju, w którym leżał. Przyglądała się uważnie, jak lekarz umieszczał swoje instrumenty w gotującej się wodzie, a potem wyławiał je długimi metalowymi szczypcami.

Medyk ostrożnie odwinął opatrunek na ramieniu Sethosa i mniejszymi szczypcami ujął wszystkie przesiąknięte fragmenty pajęczyny, które Matthias upchnął w ranie. Tychon skinął głową na swoich pomocników, którzy nagle mocno chwycili Sethosa za kostki i nadgarstki, a ich

mentor odkorkował butelkę, z której nalał wcześniej płynu do umycia rąk. W pokoju rozszedł się ostry zapach octu, a Tychon obficie polał ranę płynem z butelki. Sethos krzyknął i zaczął rzucać się wściekle, ale pomocnicy nie puszczali. Liwia zasłoniła uszy, a potem cofnęła się do drzwi.

Kiedy wróciła później, blady Sethos leżał nieruchomo, a jego ramię pokrywała świeża gaza. Lekarz chował swoje przyrządy do torby. Jego pomocnicy wycierali krew z podłogi.

– Czy on żyje? – wyszeptwała.

– Ledwie – odrzekł lekarz. – Potężnie go znieczuliłem. Przez jakiś czas się nie obudzi. Wrócę jeszcze dziś wieczorem, żeby sprawdzić, co u niego. Do tego czasu trzeba go chłodzić wodą i wachlarzami. Będzie mu się chciało pić. Możecie postarać się wlać mu kilka kropli między wargi. Zostawię dziś trochę ziół do podawania mu, kiedy tylko się obudzi.

Po tym jak Tychon i jego świta opuścili pokój, Liwia przysunęła sobie stołek i usiadła obok posłania gladiatora. Bardzo delikatnie dotknęła czoła Setha. Było rozpalone. Ostrożnie wyciągnęła szmatkę z miski z wodą stojącej obok łóżka, wycisnęła nadmiar wody i pozwoliła, by ciężkie krople zaczęły skapywać na jego czoło. Płyn spłynął po twarzy chorego, rozlał się po włosach, policzkach, ustach. Mężczyzna wzdrygnął się, ale nie otworzył oczu.

– Ach, Liwia – powiedziała Flawia, wkraczając do pomieszczenia. – Będę przy nim czuwać. Idź teraz i poćwicz grę na cytrze. Oczekujemy od ciebie, że pięknie nam zagrasz dziś na bankiecie.

Liwia bez słowa wstała i podeszła do drzwi. Nie wyszła jednak od razu. Przez chwilę stała niezdecydowanie, ukryta za zasłoną zwieszającą się z framugi.

Flawia usiadła i zaczęła delikatnie – a nawet zmysłowo – obmywać twarz i pierś Setha wodą. Liwia usłyszała, jak Flawia wzdycha cicho, a potem zobaczyła, jak unosi leżącą bliżej niej dłoń Setha i ujmuje ją w dłonie. Szeroko otwartymi oczami obserwowała, jak Flawia powoli unosi dłoń Setha do ust i jeden po drugim całuje jego palce.

Po raz drugi tego dnia Liwia odeszła spod drzwi Setha. Przebiegła obok zdumionych niewolników przez cały dom do najdalszego krańca ogrodu, a kiedy już znalazła się pod osłoną zwisających gałęzi wiśni pokrytych gęstym listowiem, rzuciła się na ziemię i rozplakała. I zostałaby tam, gdyby służąca Ochira nie wyszła po liście laurowe potrzebne do kuchni. Liwia skuliła się w cieniu, dopóki służąca jej nie minęła, a potem szybko umknęła, klucząc między drzewami, do domu, gdzie zaszyła się w zaciszu swojej sypialni.

Cytra stała oparta o ścianę. Liwia podniosła ją i umościła się na posłaniu z instrumentem

wygodnie ułożonym na kolanach. Nieuważnie zaczęła przebierać palcami po strunach, starając się nie myśleć. Jej palce zaczęły wygrywać uspokajające melodie, dźwięki, które pocieszały ją i przynosiły ukojenie. Cierpienie ściskające jej gardło w końcu ustąpiło. Nieświadomie zaczęła nucić, a palce zaczęły wygrywać coraz bardziej skomplikowane układy harmoniczne.

Domitus, który w swoim gabinecie sprawdzał ostatnią listę towarów do wysyłki, usłyszał słodkie nuty płynące przez marmurowe atrium i poczuł dumę z osiągnięć Liwii. Miała przedziwny, przyciągający uwagę głos i była utalentowanym muzykiem, co było jego zasługą. Chociaż sam nie miał słuchu, zauważył, że jej gra przykuwa uwagę publiczności. Kasjusz Malchus, sam prokurator, był nią oczarowany. Tak oczarowany, że kiedy pierwszy raz usłyszał grę Liwii na zorganizowanym przez nich bankiecie, zaproponował opiekunom dziewczyny zaaranżowanie małżeństwa z nią.

Domitus zachichotał. Nie mógłby sobie tego lepiej wymyślić. Na dzisiejszym przyjęciu Kasjusz miał być gościem honorowym. Było szalenie istotne, by Liwia oczarowała go jeszcze raz, ponieważ tego wieczoru miały zostać ogłoszone zaręczyny i zawarta umowa małżeńska. Domitus miał pewność, że im bardziej zniewalająca będzie gra Liwii, tym lepsze uda mu się wynegocjować warunki jej zamążpójścia. Potężny posag, który zaspokoi oczekiwania Kasjusza, wydawał się niewielką ceną za władzę, którą mogło przynieść to małżeństwo. Kasjusz miał swoich ludzi we wszystkich istotnych punktach i znał wszystkie metody rozwiązywania trudnych sytuacji. To małżeństwo było warte każdego dupondiusa.

To, że Liwia jeszcze o niczym nie wiedziała, w ogóle nie zaprzętało Domitusowi głowy.

# Rozdział 12

## Zwyciężona

*St Magdalene's*

*A.D. 2012*

Musiałam przyznać, że granie w zespole sprawiało mi ogromną przyjemność. Spotykałyśmy się na próbach dwa razy w tygodniu i dziesięć piosenek miałyśmy już naprawdę nieźle opracowanych. Moja technika gry na gitarze zdecydowanie się poprawiła – Astrid okazała się dość bezwzględna nauczycielką, więc w gruncie rzeczy nie miałam wyboru. Z drugiej strony jej łacińskie tłumaczenia nie poprawiły się ani na jotę. Dostawała teraz świetne stopnie, ale tylko dlatego, że odrabiałam ćwiczenia za nią. Ona po prostu nie potrafiła tego przyswoić.

– To bez sensu.

– Dlaczego miałyby to mieć mniejszy sens niż, powiedzmy, muzyka?

– Na Boga, Ewo! Może jeszcze tego nie zauważyłaś, ale łacina jest, jak by ci to powiedzieć, martwym językiem?

– Tak, ale...

– Nie znajdziesz żadnych argumentów! Ten język przeterminował się jakieś dwa tysiące lat temu! Życie jest za krótkie na takie rzeczy!

Prawdopodobnie Astrid miała rację i życie było zdecydowanie za krótkie, by marnować czas na sprzeczki o to; tłumaczyłam więc dalej Wergiliusza, pozwalając jej zajmować się sprawami istotnymi – jak ściąganie tekstów piosenek.

– Dobra, skończyłam! – ziewnęłam i rzuciłam długopis.

Rzuciła okiem na kartkę.

– Świetnie, zatem została nam godzina na ćwiczenia. Jutro wielki występ.

Zamarłam.

– Co powiedziałaś?

– Występ. Jutro. Pokój wspólny. Nie histeryzuj.

Zaczęła mnie wypychać z pokoju, ale nie dałam się wygonić.

– Astrid, chyba czegoś nie zrozumiałam. Możesz powtórzyć?

– Ile jeszcze razy mam ci to powtórzyć?

Nie pisałam się na to. Granie i śpiewanie dla przyjemności to było jedno, ale występowanie przed ludźmi to było coś zupełnie innego... Przed ludźmi, których ze wszystkich sił próbowałam unikać przez kilka ostatnich miesięcy.

– Nie ma mowy, Astrid.

Oparłam się o ścianę, krzyżując ręce na piersiach.

Astrid nie zwracała na mnie uwagi. Rozmawiała przez komórkę.

– Sadie, przyjdź do mojego pokoju, teraz!

Dwie minuty później wywlekły mnie do studia. Opór na nic się nie zdał. Pocieszyłam się myślą, że została mi jeszcze cała noc na zaplanowanie wymigania się od tego.

Następnego ranka nadal nie miałam opracowanej strategii ucieczki. Dzień kiepsko się zaczął. Ledwo zdążyłam wejść na śniadanie, kiedy obie dziewczyny na mnie naskoczyły.

– Ostatecznym celem gry jest występ przed publicznością, zrozum to wreszcie!

– Dlaczego tak się przed tym wzdragasz? Świetnie nam idzie!

– Będzie fajnie!

– Przestań się wreszcie zapierać! To niesamowita okazja!

Do kolacji Astrid, która wyczuła, że być może uda się jej nakłonić mnie do występu, zdopingowała większość uczniów z naszego rocznika do pilnowania wszystkich wyjść ze szkoły. Sama ani na sekundę nie spuszczała mnie z oka.

O dwudziestej pierwszej zaczęła holować mnie przez dziedziniec w stronę pokoju wspólnego. Serce waliło mi w piersiach jak oszalałe. W środku zebrał się już tłum ludzi. Sadie była już na scenie, mocując swoje talerze. Mikrofony i gitary już podłączono.

– Kiedy udało ci się to wszystko ustawić? – wysyczałam.

– Razem z Sadie sprawdziliśmy dźwięk podczas lunchu. Łatwiej byłoby to zrobić z tobą, ale miałam wrażenie, że najważniejsze było dla ciebie zjedzenie makaronu...

Kiedy Astrid wepchnęła mnie na scenę, całe moje zdenerwowanie ustąpiło miejsca czystej wściekłości. Gniew rozpałił mnie do czerwoności, co Astrid było akurat na rękę, bo pierwszym utworem był wściekły kawałek o patologicznym prześladowcy.

Zanim go skończyłyśmy, wyrzuciłam z siebie złość. Poszło o tyle łatwiej, że nikt nie

rzucal w nas zgnilymi bananami. Mozna nawet powiedziec, ze tłum oklaskival nas z zaskakujacym entuzjazmem.

Wlasnie mialam zaczac spiewac drugi numer, kiedy zauwazyłam Ruby. Ciagnęła Mię za ramię do drzwi. Celowo. Zrozumiałam.

Przygryzłam wargi i wzięłam głęboki oddech, starając się o niej nie myśleć. Odkryłam, że kiedy zamykam oczy, mogę udawać, że nie stoję przed publicznością, i skoncentrować się na muzyce. Zadziało to tak dobrze, że zupełnie mnie zaskoczyli, kiedy zaczęli klaskać i gwizdać. Przy piątej piosence mogłam już spiewać z otwartymi oczami i jeszcze przed przerwą, choć nie chciałam się do tego przyznać, zaczęłam się naprawdę nieźle bawić.

Oczywiście Astrid była obrzydliwie zadowolona z siebie, ale już prawie jej wybaczyłam, bo wzięła na siebie wszystkie obowiązki reprezentacyjne po koncercie. Pozwijałam kable, spakowałam gitary i wymknęłam się niepostrzeżenie.

Myślałam, że na tym koniec. Byłam naiwna.

Następnego ranka chrupałam właśnie płatki śniadaniowe z miodem, próbując nie nawiązywać z nikim kontaktu wzrokowego, kiedy zamajaczyła przede mną znajoma twarz.

– Astrid... -- westchnęłam.

Z rozmachem postawiła swój talerz z jajkami na bekonie na stole i usiadła naprzeciwko mnie.

– Mam świetną wiadomość! – oznajmiła z pełnymi ustami. – Będziemy dawały regularne występy! W każdy czwartek wieczorem. Strasznie im się podobało!

# Rozdział 13

## Czuwanie

### *Londinium*

*A.D. 152*

Tłum na arenie wiwatował i wykrzykiwał jego imię. Zbryzgany krwią Seth patrzył z góry na ośmiu pokonanych gladiatorów jęczących u jego stóp. Był zmęczony... nieskończenie zmęczony... ale uniósł ramię w geście pozdrowienia i odwrócił się, by odejść. Dlaczego piasek był tak rozgrzany? Zbyt rozgrzany... Palił mu stopy. Spojrzał pod nogi i zobaczył, że piasek rozpląnął się gdzieś... Teraz Seth stał na płonących węglach. Płomienie sięgały coraz wyżej. Żar stawał się nie do zniesienia, obejmował już jego ciało. Płomienie zaczęły lizać jego skórę...

– Proszę! – krzyknął w tłum. – Proszę, pomóżcie mi!

Nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Nie słyszeli go... Nie słuchali. Skandowali jego imię...

– Sethos Leontis! Sethos Leontis!

Poprzez czerwone płomienie obserwował ich twarze, szukając czegoś... twarzy, którą musiał ujrzeć. Kiedy dziko toczył wzrokiem dookoła, zobaczył, jak twarze zaczynają się zmieniać, zniekształcać do postaci czaszek o pustych oczodołach bez wyrazu. Szeroko otwarte czarne usta wrzaskiem domagały się teraz jego krwi.

– Giń, Sethosie Leontisie! -- zawył głos za jego plecami.

Seth odwrócił się i zobaczył górującego nad nim Protiksa, wysokiego na trzy metry, wściekle wymachującego ognistym mieczem. Widok przeciwnika przyniósł mu ulgę. Wielki Gal był tutaj, by go zabić i wyzwolić z płonącego piekła. Patrzył niecierpliwie, jak Protix potrząsa swoim mieczem, a potem wraza go w jego ramię. I jeszcze raz... Jeszcze raz... Sethos jednak nie umierał. Dlaczego ten spektakl nie miał końca?

– Przestań... – krzyknął słabo.

Poczuł na czole chłodne ręce, ale płomienie wciąż spalały jego ciało, a żar palił mu gardło.



– Wody – wychrypiał.

Jakimś cudem jego usta nie wydawały się już suche i spękane; Seth poczuł nawet wodę na języku. Otworzył oczy, lecz obraz był niewyraźny. Gdzie się podział ogień? Gdzie podziła się upiorna głowa Gala Protiksa? Zamrugał oczami. Światło nie było czerwone, lecz chłodne, błękitnawe, przyćmione. Próbował zrozumieć, co widzi. Mógł przysiąc, że patrzy w migdałowe oczy ze swojego snu.

Próbował wymówić imię kobiety.

– Liwia?

Delikatne dłonie uniosły jego głowę i pomogły mu wypić łyk napoju z kubka. Kiedy wąska strużka płynu popłynęła mu po brodzie, poczuł leciutkie dotknięcie dłoni, która zebrała krople i wilgocią dotknęła jego spękanych warg. Sethos zamknął oczy i oparł głowę na jej chłodnym ramieniu, nozdrzami chwytając nagle cień znajomego zapachu wody różanej i jaśminu. Był jednak tak oszołomiony gorączką, bólem i opium, że nie mógł zrozumieć swojego snu. Wyczerpany opadł na posłanie.

W snach miotał się między przerażającym żarem rozpalonej areny a przenikliwym chłodem nocy, kiedy zimno chwyciło go w swoje szpony, wstrząsając jego ciało dreszczem. Szczękając zębami, nadaremno szukał schronienia. W mroku czaiły się na niego demony, a w ich oczach migotały płomienie. Kiedy jednak zaczął się obawiać, że zagubi się na zawsze, z ciemności zaczęły napływać słodkie dźwięki, które odpędzały zjawy, rozświetlały noc i kąpały świat w blasku.

Światło. Musiał zobaczyć światło.

Otworzył oczy i ujrzał przejrzyste oczy wpatrzone w niego.

Tym razem obraz nie rozpląnął się i nie zniknął. Seth uniosł drżącą dłoń i dotknął twarzy kobiety.

– Czy jesteś prawdziwa? – wyszeptał.

Uśmiechnęła się.

Zafascynowany jej pięknem, nie mógł oderwać od niej oczu.

– Czy wróciłeś do nas, Sethosie Leontisie? – wyszeptała.

– Gdzie byłem? – wycharczał.

Uśmiechnęła się ponownie.

– W miejscu, do którego nie mogłam podążać za tobą.

Potrząsnął głową.

– Liwia – wydyszał. — Byłaś tam... w moich snach. Ocaliłaś mnie.

– Nie, Sethosie, ja cię prawie zabiłam.

Uniosła jego głowę i pomogła mu napić się z kubka. Wychylił zimną wodę i poczuł, jak rozkosznie spływa mu przez rozpalony przełyk.

– Gdzie ja jestem?

Omiótł spojrzeniem nieznajome pomieszczenie. Widział pierwsze promienie brzasku wpadające przez małe okienko tuż pod sufitem. Powiódł wzrokiem wokół. Drgnął, gdy zobaczył starą kobietę skuloną na stolku przy drzwiach.

– To tylko Vibia, kucharka... moja przyzwoitka.

Vibia poruszyła się. Seth patrzył, jak Liwia podchodzi do niej i coś szepcze. Stara kobieta przeciągnęła się, stanęła z trudem i pokuśtykała do wyjścia.

– Co jej powiedziałaś? – zapytał.

– Zasugerowałam, żeby przyniosła ci coś do jedzenia.

Seth leżał wpatrzony w pochylającą się nad nim twarz i zastanawiał się, czy znalazł się w sidłach wywołanego gorączką snu. Jak to możliwe, że był tutaj z dziewczyną, która nieustannie pojawiała się w jego myślach, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy.

– To twój dom?

– To willa Domitusa i Flawii Natalisów, moich przybranych rodziców.

Mówiła po łacinie, ale miała dość niezwykły akcent.

– Nie urodziłaś się w Rzymie?

– Nie — odpowiedziała. — Podobnie jak ty, prawda?

– Oczywiście — przytaknął z nieukrywaną goryczą. — Zostałem tu przywleczony z Koryntu w kajdanach.

– No cóż, cieszę się, że tu trafiłeś.

Liwia ponownie się uśmiechnęła.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Nagle długie lata nienawiści i gniewu przestały mieć znaczenie. To wszystko miało swój cel. W tym, że wyrwano go z domu, że wygrał wszystkie te walki na arenie, krył się sens. Powód, dla którego znalazł się w tym zimnym, barbarzyńskim kraju...

Liwia.

Otworzył usta, żeby znów coś powiedzieć, ale Liwia delikatnie położyła mu palec na wargach. Kucharka wróciła z rosółem warzywnym.

– Dziękuję, Vibio. Możesz się teraz oddalić do swoich obowiązków. Pomogę naszemu gościowi zjeść zupę.

Vibia wahała się przez chwilę, ale wreszcie wyszła.

Sethos się uśmiechnął. Liwia jednym tylko spojrzeniem skłoniła starą kucharkę do porzucenia jej obowiązków związanych z odgrywaniem roli przyzwoitki. To robiło wrażenie.

Trzymała rosół w dłoniach. Spróbował usiąść.

– Nie, nie ruszaj się! – krzyknęła Liwia.

Za późno. Zapomniał o swoim ramieniu. Przeszywający ból rzucił go na posłanie. Seth syknął i mocno zacisnął powieki, próbując dojść do siebie.

Liwia położyła chłodną dłoń na jego spoconym czole i odgarnęła włosy z jego twarzy. To było miłe. Więcej niż miłe. Marzył o tym, by nie przestawała.

Nagle gwałtownie odsunęła dłoń.

– Liwio! – rozległ się ostry, stanowczy głos. – Gdzie jest Vibia?

– Odprawiłam ją – odrzekła spokojnie dziewczyna.

Seth spodziewał się groźnej odpowiedzi. Niezameżne rzymskie dziewczęta nie powinny przebywać sam na sam z mężczyznami, ale z jakiegoś powodu cicha odpowiedź Liwii okazała się wystarczająca.

– Wydaje się, że gorączka ustępuje – dodała Liwia, kiedy kobieta, w której Seth rozpoznał jej przybraną matkę, ruszyła w ich stronę.

– Zaopiekuję się nim teraz, Liwio – powiedziała ostro. – Idź się położyć. I nie zapomnij o naszym spotkaniu z Kasjuszem w południe. Mamy mnóstwo spraw do omówienia i bardzo niewiele czasu, by zaplanować ucztę weselną. Załóż na siebie wszystkie klejnoty, które masz, i poleć Ochirze ułożyć ci włosy. Ona ma takie zręczne palce.

Seth szeroko otworzył oczy, gdy usłyszał słowa „uczta weselna”. Uchwycił przelotny wyraz twarzy Liwii, ale nie wiedział, jak go zinterpretować. Poczuł tylko dotkliwy ból, który nie miał nic wspólnego z rozległą raną ramienia. Jak mógł zapomnieć? Została obiecana innemu mężczyźnie.

Liwia ostrożnie postawiła miskę rosółu na stole i odwróciła się od łóżka. Kiedy szła ku drzwiom, Seth powiódł za nią wzrokiem, ale nie spojrzała już na niego.

– Sethosie Leontisie, cieszę się, że wreszcie się ocknąłeś.

Flawia patrzyła na niego z góry, po czym przesunęła palcem wzdłuż jego szczęki. Sethos zamknął oczy, przypominając sobie chłodny dotyk ręki Liwii na swoich włosach. Usłyszał ciche westchnienie, a potem poczuł dotyk ciepłych warg.

Flawia Natalis go całowała...

Wstrząs, który towarzyszył zrozumieniu, zupełnie go oszołomił. Nie mógł się poruszyć. Z trudem zdobył się na to, by odwrócić głowę. Nie mógł nawet usiąść, nie wspominając nawet o tym, by odejść. Był bezbronny. Był więźniem w jej domu.

Nie przywykł do bezbronności. Oczywiście, nie była to pierwsza wpływowa kobieta, która go pragnęła. Przed nią znalazło się wiele innych, ale nigdy wcześniej żadna nie pocałowała Setha bez jego zgody, bo mimo braku obywatelstwa zawsze utrzymywał swoją pozycję. Tutaj, teraz, jego bezbronność stała się dla niego upokorzeniem.

I nagle zrozumiał wyraz, który przelotnie pojawił się na twarzy Liwii. Ostrzegła go.

Kiedy usta Flawii dotknęły ust Setha, krew zawrzała mu w żyłach. Sporo ryzykowała, proponując mężowi sprowadzenie gladiatora do własnego domu. To, że go pożądała, było na swój sposób niezdrowe i wiedziała o tym. Wiele rzymskich kobiet szukało zaspokojenia poza małżeństwem. Znajdowały nawet usprawiedliwienie dla swoich romansów. Flawia była pewna, że może sobie na to pozwolić – w końcu jej mąż widywał się z innymi kobietami – choć wiedziała, że prawa mężczyzn wyglądają zupełnie inaczej niż prawa kobiet.

W ciągu osiemnastu lat małżeństwa z Domitusem nigdy nie kusilo jej nadmiernie, by zrobić skok w bok. Nie dlatego, że go kochała, bo tak nie było. Był od niej trzydzieści lat starszy i wybrał go dla niej jej ojciec, ale Flawia zawsze uważała, że zbyt wiele miała do stracenia: piękny dom z mnóstwem niewolników i swobodą poruszania się wedle własnych życzeń. Mąż jej nie bił i nie opuścił jej, kiedy nie udało jej się urodzić mu dzieci, więc żywiła wobec niego wdzięczność. Ponadto często wyjeżdżał.

A teraz Sethos Leontis leżał w jej domu... Tak piękny, że aż zapierało dech w piersiach. Wreszcie świadomy...

– Pani, lekarz czeka.

Vibia stała w drzwiach. Flawia rzuciła jej piorunujące spojrzenie i szybko się wyprostowała. Jak długo kobieta tam stała? Ile widziała? Jak najłatwiej można było zapewnić jej milczenie?

Kiedy wszystkie te myśli przelatywały jej przez głowę, do pokoju wszedł lekarz.

– Ach, Tychonie, witaj! – Flawia uśmiechnęła się z wdziękiem. – Stan naszego pacjenta dziś rano znacznie się poprawił.

Tychon z szacunkiem skinął głową i zdecydowanie poprowadził swoich asystentów w stronę łóżka. Flawia mogła już tylko z godnością się oddalić.

Seth odetchnął z ulgą, ale szybko zdał sobie sprawę, że zamienił tylko jedną formę tortury na inną.

Tychon zaczął rozwijać bandaż. Ramię Setha wciąż było nabrzmięte po wcześniejszej próbie wstania, więc kiedy lekarz zaczął związać nasiąkłe krwią bandaż, Seth z trudem tłumiał okrzyki bólu. Kiedy w końcu poczuł na ramieniu chłodne powietrze, odetchnął z ulgą. Skończyło się.

Niezupełnie. Otworzył oczy z zaskoczenia, kiedy pomocnicy lekarza zacisnęli na rękach i nogach rannego żelazne obręcze. O co tu chodziło?

Tym razem, kiedy ocet zetknął się z rozpaloną raną na jego ramieniu, Seth nie zdołał powstrzymać krzyku. Wił się w mocnym uścisku dwóch silnych mężczyzn, którzy go schwyтали i unieruchomili, a lekarz niezrażony jego zachowaniem spokojnie pracował.

– Sethosie Leontisie, bogowie okazali się dla ciebie łaskawi! – wymruczał uspokajająco, a potem odwrócił się do swoich pomocników. – Gorączka już znacznie spadła i rana nie jest już rozpalona. Widzicie, że trochę się zmniejszył ten ciemnoczerwony nabrzmięty obszar wokół rany? Zakażenie wychodzi na powierzchnię...

Tłumacząc to, Tychon mocno nacisnął palcami rozpaloną skórę wokół szwów, wyciskając z rany ropę i krew. Sethos znów krzyknął.

– Chory stracił mnóstwo krwi, ale musimy zadbać o to, by krew wokół rany nie krzepła, lecz krążyła, więc niezbędne jest wykonanie przemyślanego, oszczędnego puszczenia krwi, co pozwoli jej płynąć sprawniej.

Seth w koszarach często był świadkiem upuszczania krwi. Matthias przy tym zawsze przeklinał. Rannego nie cieszyła ta perspektywa. Zagryzł zęby w oczekiwaniu na ból.

Tychon wyciągnął mały ostry nóż z pudełka z przyborami. Obejrzał go pod światło, a potem przytrzymał ostrze nad płomieniem palącej się lampy.

Seth przełknął ślinę. Pomocnicy nie zwalniali uścisku, więc wiedział, że nie ma ucieczki.

Lekarz wziął kubek wykonany z rogu i umieścił go obok rany. Seth zamknął oczy i starał

się nie myśleć o tym, co działo się w tym pokoju. Westchnął, kiedy nóż przeciął skórę, a potem poczuł napięcie, kiedy Tychon wyciskał krew z tej nowej rany do kubka. Musiał znieść tę procedurę jeszcze siedem razy. Trzy kolejne cięcia wokół rany, dwa na lewym ramieniu, poprzez naczynia w zgięciu łokcia i nadgarstka, i dwa na piersiach. Kiedy Tychon skończył, obmył rany ognistym płynem, opatrzył ponownie ranę na ramieniu, skłonił Seta do wypicia gorzkiego medykamentu i wyszedł, obiecując przyjść następnego dnia.

– O, bogowie – wyjęczał Seth. – Kolejna czarująca obietnica.

Kiedy tak leżał, próbując nie zwracać uwagi na pulsujący ból, zdał sobie sprawę, że był naprawdę głęboko wdzięczny temu człowiekowi i Matthiasowi za ocalenie mu życia. Bo teraz naprawdę miał coś – a raczej kogoś – dla kogo warto było żyć.

A może tylko sobie ją wyśnił? Próbował oczyścić umysł z pogmatwanych myśli i poczuł, że zaczyna odpływać. Nie mógł tego powstrzymać. Usiłował chwycić się brzegów posłania, ale ręce opadły bezwładnie i Sethos stracił przytomność.

# Rozdział 14

## Narzeczeni

*Londinium*

*A.D. 152*

Kasjusz Malchus, narzeczonego Liwii, usiadł w gabinecie z Blandusem, swoim głównym księgowym. Blandus rozwijał zwoje, a Kasjusz sprawdzał kolejne kolumny liczb. Każdy zwój zawierał spis podatków zebranych z brytyjskich prowincji w ciągu trzech ostatnich miesięcy.

Jako prokurator Kasjusz odpowiadał za pobór podatków, ich dystrybucję i relokację. Była to wysoka, zaszczytna funkcja, odpowiednia dla mężczyzny o charakterze najwyższej próby. Niestety, jako pozbawiony skrupułów zachłanny tyran Kasjusz nie do końca spełniał te kryteria, a rola prokuratora dawała mu ogromną, niszczącą władzę.

Mając do dyspozycji tak wielki majątek, mógł kupić każdego. I doskonale wiedział, że każdego można kupić, jeśli tylko cena jest wystarczająco wysoka.

Blandus, jego księgowy, od trzynastu lat – odkąd Kasjusz zorientował się w nieprawidłowościach dotyczących ściągania podatków handlowych – miał u Kasjusza dług. W chwili, w której prokurator postanowił bacznie przyjrzeć się prowadzonym przez niego operacjom, Blandus dysponował już niezłą fortunką. W Rzymie karą za tego rodzaju przestępstwa było wygnanie i przejęcie przez państwo całego majątku. Zamiast tego Kasjusz zaoferował Blandusowi lukratywną pozycję głównego księgowego. Aby utrzymać swoje nowe stanowisko, Blandus musiał prowadzić dalej swoją kreatywną księgowość – tylko już na znacznie większą skalę.

Kasjusz wiedział, że może bezgranicznie zawierzyć lojalności Blandusa. Nie tylko dlatego, że księgowy miał tak wiele do stracenia, ale też dlatego, że Blandus chciał żyć, a nikt lepiej niż on nie rozumiał rozmiarów i głębi bezwzględności Kasjusza. Gdyby tylko główny księgowy prokuratora podjął próbę wyzwolenia się z krępujących go więzów, razem z żoną i dwiema małąkami córkami zginąłby przed nadejściem świtu.

Kiedy Kasjusz skończył podpisywać audyty podatkowe prowincji, Blandus odchrząknął.

– Mamy pewien mały problem z dostawcą oliwek.

Kasjusz odwrócił głowę do Blandusa, czekając na wyjaśnienia.

– Wyraził niepokój, jeśli chodzi o podatek, hm, ubezpieczeniowy.

Kasjusz obojętnie wzruszył ramionami.

– A zatem jutro może się spodziewać pierwszej wizyty straży do zadań specjalnych.

Straż do zadań specjalnych Kasjusza wymagała specjalnych umiejętności. Trzej najbardziej utalentowani strażnicy – Otho, Pontius i Rufus – stali w milczeniu pod drzwiami. Nikt nieproszony nie przemknąłby niezauważenie obok nich. Cała trójka służyła mu od zakończenia służby w legionach. Kasjusz, będący wówczas ich kapitanem, przyłapał ich na tym, jak bezlitośnie tłukli kilku innych żołnierzy z powodu długu karcianego. Natychmiast dostrzegł w nich sadystyczną żądzę krwi, dzięki której w jego służbie mieli okazać się bezcenni. I znów, zamiast ich ukarać, zatrudnił ich. Umocnił też ich oddanie i posłuszeństwo, aranżując małżeństwa z kobietami o znacznym posagu.

Byli okrutnymi, bezdusznymi wojownikami, przez co stali się nie tylko skutecznymi strażnikami, lecz także idealnymi poborcami podatkowymi. Choć Kasjusz nie wymagał od swoich strażników obecności podczas poboru podatków, odpowiadali oni za egzekucję jego dodatkowego podatku – „ubezpieczeniowego”: podatku, który właściciele sklepów i kupcy płacili za ochronę mienia przed pożarem lub wandalizmem. Gdyby nie zapłacili haraczu, ich mienie padłoby ofiarą rabusiów lub ognia. Zazwyczaj wystarczał jeden magazyn zniszczonych zapasów, by kupiec bez wahania sięgnął do sakiewki. Jeśli jednak nadal upierał się nie płacić podatku za ochronę, wkrótce znajdował jednego z członków swojej rodziny spływającego Tamizą, najszerszą i najgłębszą rzeką Londynu. Trzecia wizyta straży specjalnej zwykle nie była już potrzebna.

Chociaż Kasjusz miał dużą i rozczłonkowaną siatkę oddanych mu agentów, ta trójka strażników pracowała dla niego najdłużej i z największym zaangażowaniem. Kochali swoją pracę, a on wysoko ich cenił.

Kasjusz pieczętował właśnie ostatni zwój, kiedy Otho z szacunkiem zapukał do drzwi i wszedł.

– O co chodzi? – zapytał Kasjusz, pochmurniejąc.

– Panie, Domitus Natalis oraz panie Flawia i Liwia czekają na twoje przybycie.



– A, dziękuję bardzo, Otho. Zaprowadź ich do atrium i zapytaj, czy nie mają ochoty na korzenne wino. Będę tam za chwilę.

Kasjusz przeniósł zwoje do okutej skrzyni i przekręcił ciężki żelazny klucz.

– Blandusie, czy mógłbyś zatwierdzić mi wydanie większej sumki? Moje przyjęcie weselne musi być uroczystością państwową na miarę cezara.

# Rozdział 15

## Mutacja komórek

*St Magdalene's*

*A.D. 2012*

Była siódma rano w piątek.

– Neeee! – jęknęłam, kiedy dźwięk budzika przedarł się przez zasłonę obojętności.

Nie byłam gotowa zmierzyć się z tym dniem. Czwartkowy koncert, po którym o czwartej nad ranem nastąpiła sesja w szkolnej sieci komputerowej, strasznie mnie zmęczył.

Uznałam, że dodatkowe pół godziny w łóżku warte jest zrezygnowania ze śniadania. Przetawiałam budzik.

Kiedy obudziłam się po raz drugi, przypominałam sobie, że dzisiaj uczniów St Mag's czekało superwydarzenie. W szkole miał się pojawić z wykładem profesor zajmujący się wirusologią. Ostatnio bardziej zainteresowałam się mikrobiologią, więc wyskoczyłam z łóżka na jednej nodze i ruszyłam pod prysznic.

Był jasny listopadowy poranek. Udało mi się dotrzeć pierwszej do laboratorium biologicznego, więc zajęłam swoje ulubione krzesło z przodu i zaczęłam przeglądać notatki z wirusologii. Kiedy ponownie uniosłam głowę, cała klasa była już obecna, a doktor Franklin przedstawiała naszego gościa.

– Witam wszystkich! Przedstawiam wam profesora Ambrose'a. Pracował z wirusami patogennymi na Uniwersytecie Nowojorskim na wydziale badań mikrobiologicznych. To dla nas wielki zaszczyt witać w progach naszej szkoły tak znamienitego naukowca. Dzisiaj opowie nam o efekcie cytotatycznym występującym w komórkach pod wpływem replikacji wirusa...

Genialnie! Z entuzjazmem rozejrzałam się po klasie, ale najwyraźniej większość uczniów nie podzielała mojego zapału. Kilka osób wzniosło w górę udręczone spojrzenia. Powoli stawało się jasne, że w St Mag's byłam jednym z największych biologicznych kujonów.

Następne czterdzieści minut przeleciało jak z bicia strzelił. Korzystaliśmy z naszego

nowego mikroskopu kwantowego, by zbadać subtelne i jednocześnie skrajne różnice kształtu wirionu i wzorców jego reprodukcji, jak również jego działanie cytopatyczne. Trudno uwierzyć, jak śmiertelne były niektóre z nich, bo sposób, w jaki wirus przekształcał komórkę, odznaczał się niespotykanym pięknem.

Kiedy zadzwonił dzwonek, wszyscy rzucili się do wyjścia. Wszyscy oprócz mnie. Chciałam wyjaśnić kwestię formowania się syncytium, którą na wykładzie omówiono bardzo pobieżnie.

– Panie profesorze?

– Och... Ewa, prawda?

Skinęłam głową.

– Czy miałby pan dla mnie chwilkę?

– Oczywiście. – Zwrócił się do doktor Franklin: – Mam nadzieję, że to nie koliduje z naszym planem dnia?

– Właśnie zaczęła się przerwa na lunch. Jeśli więc pana żołądek może poczekać...

– Oczywiście, proszę się mną nie przejmować. Nie chciałbym jednak pani zatrzymywać.

– Och, nic się nie stało. Muszę przygotować na dzisiejsze popołudnie kilka slajdów – będę w swoim gabinecie.

– Bardzo panu dziękuję, profesorze! -- powiedziałam.

Profesor Ambrose przedstawiał zawiłe kwestie tak jasno i zrozumiale, że każde wyjaśnienie rodziło kolejne pytanie. Nagle sięgnął do torby i wydobyl z niej niewielkie pudełko. Otworzył je ostrożnie. W środku znajdowały się zapieczętowane szklane fiołki, zakraplacze i preparaty na płytkach. Zawahał się przez chwilę i spojrzał na mnie uważnie, jakby zastanawiał się, czy te kwestie naprawdę mnie interesują, po czym przystąpił do dalszych wyjaśnień.

– Nie miałem czasu pokazać tego całej klasie, ale jeśli wziąć pod uwagę twój entuzjazm i uzdolnienia, pomyślałem, że może miałabyś ochotę rzucić okiem...

Byłam w siódmym niebie.

Kiedy pierwsze szkiełko znalazło się na swoim miejscu, profesor przesunął mnie tak, żebym mogła spojrzeć na komputerowy obraz na monitorze.

– Co widzisz?

Przyjrzałam się uważnie.

– Nic szczególnego. Normalne limfocyty T.

– Doskonale. A teraz patrz...

Wyjął jedną z maleńkich fiolek i za pomocą zakraplacza przeniósł odrobinę jej zawartości na szkiełko.

Patrzyłam, jak obok limfocytów T pojawiły się maleńkie, ostre, włosowate struktury. W niczym nie przypominały mikroorganizmów, które obserwowaliśmy wcześniej.

– Co to jest? – zapytałam.

– Przyglądaj się uważnie...

W mgnieniu oka ekran pociemniał.

– Hm, wystąpiły jakieś zakłócenia przekazu.

– Z przekazem wszystko jest w porządku.

– Ale...

– Spójrz jeszcze raz, tym razem w zwolnionym tempie.

Profesor nagrał cały proces na twardym dysku, a teraz odtworzył go w kilkusetkrotnym spowolnieniu.

Ponownie spojrzałam na ekran. Zobaczyłam, jak do podrygujących limfocytów T dołączają się ostre nitki. Po chwili nitki wniknęły do komórki i wiły się teraz wewnątrz niej. Nagle zaczęły się dzielić. Dwie nitki stały się czterema i tak dalej, aż w końcu każda komórka stała się pulsującą masą nitek. Limfocyty T zaczęły rosnać, by pomieścić mnożące się w szaleńczym tempie nitki. Rosły i rosły, a potem nagle zdawały się jednocześnie eksplodować. Gapiłam się na ekran. Był pusty.

– Co się stało? – wyszeptałam.

Nigdy wcześniej nie widziałam niczego podobnego.

– A jak myślisz? – zapytał.

– No cóż... To niemożliwe. Wyglądało to tak, jakby komórki... zniknęły.

– Właśnie widziałaś...

– Profesorze Ambrose! – Profesor Franklin energicznie zmierzała w naszą stronę. – Mam wrażenie, że Ewa nadużyła już nieco pana uprzejmości! Chodźmy, zanim zamkną kantinę – chociaż i tak zapewne nie możemy już liczyć na ciasto czekoladowe!

Lekki wyraz zniecierpliwienia przemknął po twarzy profesora Ambrose'a, ale uśmiechnął się przyjaźnie.

– Och, bardzo dziękuję za troskę i gościnność – rzekł uprzejmie, po czym odwrócił się do

mnie. – Ewo, czy możemy skończyć naszą rozmowę po lunchu?

Skinęłam głową, zastanawiając się, czy uda mi się urwać z matematyki.

Profesor Franklin spochmurniała.

– Czy o drugiej masz okienko, Ewo?

– No cóż... nie do końca, ale...

– Może zdołam przekonać profesora Ambrose'a, by odwiedził nas innym razem? – powiedziała profesor Franklin.

– A ja nie odmówię. – Profesor się uśmiechnął, a profesor Franklin grzecznie, acz stanowczo skierowała go do drzwi.

Kiedy już mieli wyjść, profesor obrócił się gwałtownie.

– Czy mogę zostawić tu swoje rzeczy na długą przerwę? – zapytał, wskazując szkiełka i fiolki.

– Oczywiście, profesorze. Ewo, czy możesz zatrzasać drzwi za sobą, jak będziesz wychodzić?

– Oczywiście, pani profesor.

– Ale teraz naprawdę powinnaś się pospieszyć. Zostało już tylko dwadzieścia minut do rozpoczęcia kolejnej lekcji.

Profesor Franklin otworzyła drzwi i zabrała Ambrose'a na lunch, zostawiając mnie w laboratorium samą.

Spojrzałam na stertę swoich książek, a potem na mikroskop.

W tym momencie powinnam szybko spakować swoje rzeczy i pójść coś zjeść... ale tego nie zrobiłam.

## Rozdział 16

### Halucynacje

#### *Londinium*

*A.D. 152*

Ten zapach. Znał go. Odetchnął głęboko, skierował twarz w jego stronę i otworzył oczy.

Była tam. Siedziała na stołku obok niego, odwrócona do niego bokiem i wpatrzona w wiszący za oknem księżyc. Miała zmartwioną minę.

– Liwia? – wyszeptał.

Spojrzała na niego niespokojnie, a na jej twarzy wykwitł czarujący uśmiech.

– Witaj, Sethosie – wyszeptała. Spłoszona zerknęła na drzwi, a potem schyliła głowę tak nisko, że jej usta niemal dotykały jego ucha. – Vibia była tak samo miła i podarowała nam kilka minut rozmowy.

– Masz zaskakujące zdolności... – Seth uśmiechnął się i sięgnął po dłoń Liwii.

– Tak naprawdę myślę, że działanie Vibii podyktowane jest raczej buntem wobec Flawii, a nie troską o mnie. Nie pochwała... hm, zainteresowania Flawii.

Zamknął oczy i próbował przełknąć gulę, która urosła mu w gardle na wspomnienie podchodów Flawii tego ranka.

– Czy jesteś spragniony? – zapytała Liwia, błędnie interpretując jego ruch.

Podniosła kubek ze stołu i delikatnie uniosła głowę Sethosa, pomagając mu się napić. Nie odrywał oczu od jej twarzy.

– Flawia jest niebezpieczna, Sethosie. Jeśli czegoś chce, to w końcu to dostanie.

– Liwio – wydusił – pragnę tylko ciebie, nigdy nie pomyślę o kimś innym.

– Sethosie – wyszeptała czule, przytrzymując kubek przy jego ustach. – Jesteś osłabiony gorączką i bólem. Nie wiesz, czy to sen, czy jawa. Nie znasz mnie...

Przełknął wodę.

– Powiedz mi tylko... że ty nie czujesz tego samego...

Utkwił wzrok w jej oczach i znalazł w nich odpowiedź. Zauważył w nich też walkę, którą dziewczyna toczyła sama ze sobą.

– Liwio – odezwał się z mocą. – Nie możemy pozwolić, by strach nas zniewolił.

Liwia delikatnie opuściła jego głowę i odwróciła się, by odstawić kubek na stół. Kiedy odsunęła rękę, Seth natychmiast zdał sobie sprawę, jak bardzo mu ich brakuje. Instynktownie sięgnął w jej stronę i z rozkoszą poczuł, jak drobne dłonie zamykają się wokół jego ręki. Westchnął z zadowoleniem i uniósł dłonie Liwii do policzka. Od jej zapachu zakręciło mu się w głowie. Przesunął ustami po smukłych palcach, a potem podniósł wzrok na twarz dziewczyny i zobaczył łzy spływające po policzkach.

– Ale – wyjąkała – to niemożliwe.

– Cichooo – nie! Nie mów tak, proszę... – Ucałował jej palce. – Jesteśmy sobie przeznaczeni.

Seth wypowiedział te słowa, ale nagle spochmurniał. Skąd wzięło się to przekonanie? Pogardzał tanim sentymentalizmem, lecz rozumiał, że to nie jest kwestia sentymentu. Ta dziewczyna zachwiała podstawami jego świata. Przez lata jego życie nastawione było całkowicie i bezustannie na fizyczne przetrwanie. Robił wszystko, by odpędzić niechciane myśli i uczucia. Wiara, nadzieja i miłość były zakazane. Wiedział, że przetrwanie zależy od tego, jak skutecznie uda mu się wyprzeć te potrzeby. A teraz nagle rezygnował sam z siebie, gotów stopić się w jedno z drugą osobą. Nie troszczył się już o przetrwanie, bo zależało ono wyłącznie od Liwii. Bez niej nie potrafił już żyć.

Ona jednak patrzyła gdzieś w pustkę i potrząsała głową.

– To nie powinno się zdarzyć – powiedziała.

– Zrozumiałem to, gdy tylko cię zobaczyłem – wyszeptał, znów widząc jej twarz na arenie.

– Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam... nie zdajesz sobie nawet sprawy.

– Znajdziemy sposób. Potrzebujemy tylko czasu.

– Nie mamy czasu. Muszę uciec. Jeśli tu zostanę, wydadzą mnie za mąż...

Wzdrygnął się.

– Kiedy?

Głos Liwii był pozbawiony emocji.

– Datę już ustalono. Ślub ma się odbyć za dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie? – powtórzył.

– Kasjusz Malchus nie chce czekać.

Kasjusz Malchus. To imię wydawało się Sethowi znajome.

– Nikt mu się nie sprzeciwi. Jest potężnym i wpływowym człowiekiem.

– Jak potężnym?

– Jest prokuratorem.

– Nie boję się prokuratora – oznajmił Sethos. – Boję się tylko tego, że cię stracę.

– Już mnie straciłeś, Sethosie.

Kiedy Liwia to powiedziała, jego pierś uniosła się gwałtownie, co spowodowało eksplozję bólu w ramieniu. Ranny miał wyschnięte usta i czuł, że gorączka znów za chwilę odbierze mu przytomność, ale walczył z nią ze wszystkich sił.

Liwia zamoczyła szmatkę w wodzie i delikatnie otarła pot z jego twarzy.

– Cicho... Wszystko dobrze – powiedziała uspokajająco. – Jestem tutaj.

Seth usiłował opierać się gorączce, ale ogarnęła go ponownie. Nie wiedział, ile razy próbował wyrwać się z jej uścisku, ale zawsze, gdy otwierał oczy, musiał pić gorzkie mikstury, a potem znów odpływał, rzucały go raz kolejny w objęcia mrocznych snów. Czuł, że Liwia czeka na niego gdzieś daleko, w strefie światła, ale nie mógł jej sięgnąć, gdyż tak bardzo ciążyły mu kończyny...

Od czasu do czasu zza zasłony nieświadomości przebijały się głosy, a niekiedy wydawało mu się, że słyszy własny głos – jęczący, krzyczący, wrzeszczący.

Czasem kolor jego snów ulegał zmianie. Czerwienie i czernie koszmarów ustępowały miejsca miękkiemu, rozmytemu błękitowi i żółciom. Słowa stawały się pieśniami, a muzyka odpędzała cienie. Seth dryfował uspokojony po gładkich wodach i osuwał się na ciepły piasek.

Teraz sunął na połyskujących falach Koryntu. Słońce stało wysoko na czystym, błękitnym niebie. Osłonił oczy przed palącym blaskiem.

– Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć!

Otworzył oczy.

– Liwia?

Nie był w Koryncie. Nadal leżał w tym samym pokoju. Liwia stała przed nim, trzymając lampę oliwną. Otaczała ją ciepła aura światła. Wyciągnął dłoń. Podeszła bliżej i ujęła ją.

– Dziękuję -- wyszeptał.



– Za co? – zapytała.

– Za to, że jesteś tutaj... Za to, że jesteś...

Dotknęła jego twarzy, ale się nie uśmiechnęła.

– Seth, muszę już iść.

– Liwia, proszę...

– Nie mogę. Muszę odjechać bardzo daleko. Pozwól mi odejść. Albo on cię zabije...

Sethos zaśmiał się okrutnie.

– Myślisz, że się go boję? Przez całe lata każdego dnia spoglądałem śmierci w oczy i przestałem się bać. Uciekniemy razem...

– Zabije nas oboje... albo zleci zamordowanie nas. Ma wielu przyjaciół, którzy zrobią wszystko, o co poprosi – powiedziała gorzko. – Nie mamy szans.

– Liwio, zdobyłem osiem wieńców laurowych...

– Dziewięć – poprawiła go.

Potrząsnął głową.

– Nie poddam się – zapowiedział z mocą, biorąc krótki, urywany oddech.

Zebrał się w sobie, przeklinając medykamenty, przez które głowa wydawała się tak bardzo mu ciężki, i zaczął podnosić się z posłania. Nie spodziewał się obezwładniających zawrotów głowy będących wynikiem wybuchu bólu w ramieniu; nie spodziewał się również reakcji Liwii.

– Co ty robisz? – Powstrzymała go, przyciskając obiema rękami do posłania. – Otworzysz ranę na ramieniu i nigdy nie wrócisz do zdrowia...

– Liwio – jęknął, znów opierając się plecami na posłaniu, słaby i wycieńczony. – Muszę odzyskać siły... Muszę ćwiczyć.

Smutno potrząsnęła głową.

– Nie teraz. Teraz musisz odpocząć. Odzyskasz siły – zapewniła go, delikatnie gładząc po twarzy.

Jej dłoń opadła na jego pierś. Napięte mięśnie były potwierdzeniem tego, co powiedziała. Chwyił jej rękę, gdy wodziła po jego skórze, i pociągnął ją ku sobie. Całował jej włosy, a ona uniosła głowę, by na niego spojrzeć. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, przeszedł go dreszcz. Odruchowo sięgnął ku jej twarzy i pociągnął ją do siebie. Zamknął oczy i ustami poszukał jej ust. Kiedy ich wargi się zetknęły, westchnął i poczuł, jak ich oddechy zlewają się w jedno, a serca

biją w tym samym przyspieszonym rytmie. Wreszcie Liwia, zdyszana i oszołomiona, odsunęła go od siebie. Obydwoje boleśnie odczuli stratę i Liwia ponownie pochyliła się ku niemu, całując go miękko i czule.

Wargami przesunęła po jego oczach, policzkach, brodzie, szyi, a on wdychał jej odurzający zapach. Ponownie ich usta się spotkały; tym razem namiętność wzięła górę i po chwili oboje oddychali ciężko i chrapliwie. Seth jęknął i Liwia odsunęła się gwałtownie.

– Skrzywdziłam cię?

– Och, Liwio... – wydyszał, szorstko pociągając ją ku sobie. – Zrobiłaś to, czego nie dokonał żaden gladiator – wyrwałaś mi serce z piersi...

– Tak mi przykro – wyszeptala, a łzy toczyły się z jej oczu, kiedy ich usta ponownie się spotkały.

Ich zmysły się wyostrzyły, więc oboje usłyszeli ruch na zewnątrz w tym samym momencie. Niewolnicy pracujący w kuchni szykowali się do rozpoczęcia kolejnego dnia. Dotknęła jego ust koniuszkami palców i zniknęła.

Jej brak odczuł jak pustkę ziejącą gdzieś w środku. Marzył o powrocie Liwii, ale ona nie wróciła. Zamknął oczy i zaczął planować.

Jeśli to, co powiedziała na temat Kasjusza, okaże się prawdą, będą musieli opuścić Brytanię i pokonać morze. Zamknął na chwilę oczy, marząc o zabraniu Liwii do Koryntu. Nie chciał jednak sprowadzić gniewu Rzymu na swoją ojczyznę. Byliby bezpieczniejsi, gdyby wybrali podróż na ziemie barbarzyńców, których Rzymianie jeszcze nie podbili, choć wiedział, że Rzymianie mieli powody, by się na nie nie zapuszczać. Albo natura była tam niegościnna i bezlitosna, albo – co bardziej prawdopodobne – tacy właśnie byli mieszkańcy. Nie chciał ryzykować, że Liwia zetknie się z jednym lub z drugim, nie widział jednak innego wyjścia.

Nie próbował nawet rozważać trudów podróży zranionego, napiętnowanego gladiatora i młodej pięknej Rzymianki przez nieprzyjazne terytorium. Wydawało się, że wszystko sprzyściło się przeciwko nim, ale Seth miał doświadczenie w odwracaniu wyroków losu.

Zaoszczędził trochę pieniędzy i nieco kosztowności – hojnych darów od wielbicieli -- które zagrzebał w bezpiecznym miejscu w koszarach. Wróci tam, by je odzyskać. Musiał więc zwlec się z łóżka.

Zacisnął zęby i jeszcze spróbował się podnieść. Zignorował palący ból w ramieniu i gorącą krew ściekającą przez opatrunek na jego pierś. Nie mógł jednak zignorować czarnej mgły,

która przesłoniła mu oczy.

Kiedy pojawiła się Flawia, Seth był rozpalony, miał omamy i spływał krwią. Zaniepokojona wezwała Tychona, który nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że szwy puściły. Ponownie zszyl ranę i przymocował ramię chorego do łóżka. Zaordynował kolejną dawkę opium, którego rozgorączkowany Seth starał się nie przyjąć – musiał oczyścić umysł! – jednak doświadczony życiowo grecki lekarz z łatwością pokonał opór dzielnego gladiatora i Seth mógł już tylko osunąć się w otępienie.

O zmierzchu Seth drgnął nagle i się obudził. Był zdezorientowany. Marzył o podróżach, gromadzeniu swoich rzeczy, koszarach...

– Matthias? – wychrypiał.

– Kim jest Matthias? – zapytał jakiś człowiek obojętnie.

Sethos odwrócił się w stronę głosu. Głowę rozsadzał mu pulsujący ból, z trudem otwierał oczy, ale rozróżniał sylwetki dwóch osób stojących przy jego łóżku. Osób, których nie rozpoznawał.

– Wydaje mi się, że Matthias to imię niewolnika z koszarów, któremu z braku umiejętności prawie udało się zabić tego gladiatora – zachichotał drugi.

Oczy Setha zwięzły się w reakcji na tę zniewagę. Zacisnął pięści.

– Ach, Sethos Leontis...

Ten głos rozpoznał. Podążył wzrokiem w kierunku władczej Flawii Natalis. Stała pod oknem, a jej oczy miały błyskawice. Jej obecność spotęgowała jedynie poczucie dojmującej pustki. Brakowało tej jednej osoby, której widoku pożądał. Seth niespokojnie rzucał oczami we wszystkich kierunkach, szukając jej wzrokiem, ale nigdzie jej nie dostrzegął.

– Skoro jesteś już przytomny – ciągnęła Flawia – myślę, że zachowasz się odpowiednio, kiedy spotkasz się z człowiekiem, który ocalił ci życie – Domitusem Natalisem, twoim gospodarzem i moim mężem.

Uśmiechnęła się i podeszła do wysokiego, szczupłego mężczyzny, który obraził właśnie najlepszego przyjaciela Setha.

Domitus poklepał jej dłoń i czekał. Flawia znacząco spojrzała na Setha.

Przełknął kulę w gardle i wymamrotał podziękowania.

– Dziś wieczór dostępujesz podwójnego zaszczytu, mogąc poznać naszego wpływowego

gościa Kasjusza Malchusa... który wkrótce będzie w tym domu kimś więcej niż gościem. Naszym przyszłym synem.

Seth przez chwilę sądził, że się przesłyszał. Przyszłym synem? Wyglądał na dziesięć lat starszego od Flawii. Wbił wzrok w przysłonięte kapturem oczy znienawidzonego rywala – barczystego mężczyzny, sądząc z postury, byłego żołnierza o pełnych, lekko skrzywionych ustach, dużym, szerokim nosie i bujnej czuprynie siwiejących włosów. Na myśl o tym, że ten mężczyzna mógłby dotykać Liwii, Seth poczuł mdłości.

Kasjusz zaczynał się niecierpliwić.

– Gdzie jest ta moja narieczona? Nie przyszedłem tutaj, żeby patrzeć na chorego niewolnika... Mam nadzieję, że Liwia zaśpiewa dziś wieczorem – wysyczał, po czym zaczął wypychać Domitusa z pokoju.

Knykie Setha pobiełały. Próbuąc odzyskać miarowy oddech, patrzył, jak dwaj mężczyźni kierują się ku wyjściu.

Flawia stała przy oknie, bacznie obserwując Setha. Westchnęła głęboko. Zobaczyła już to, co chciała. Od wielu dni Seth mamrotał w gorączce wystarczająco wyraźnie, by zrozumiała, co zaprzęta jego myśli, ale do tej pory miała nadzieję, że jego słowa były tylko majaczeniem rozgorączkowanej wyobraźni. Tym razem dostrzegła świadomy wysiłek, którego dokonał, by utrzymać w ryzach wrogość, którą odczuwał w stosunku do Kasjusza. Nietrudno było odgadnąć jej przyczynę. Flawia nie była głupią kobietą. Wiedziała, że Liwia odznacza się nadzwyczajną urodą i ma w sobie coś, co przyciąga do niej innych. Czy Domitus i ona sama nie padli ofiarą tego magnetycznego przyciągania?

Nie miała już wątpliwości, że Sethos Leontis zakochał się w jej adoptowanej córce.

Przygryzła wargi, próbując zdławić spazm, który mógłby ją zdradzić. Już wczoraj, kiedy go pocałowała, zrozumiała, że nie jest obiektem jego pożądania. Była jednak pewna, że z czasem uda się jej go zdobyć. Teraz już wiedziała, że nie. Zazdrość była bardzo niemiłym towarzyszem. Wbijala się w duszę Flawii zimnymi szponami i napelniała serce goryczą. Wychodząc za dwójką mężczyzn, kobieta uznała, że trzeba działać szybko.

W rozpaczliwych i niespokojnych snach Seth słyszał w oddali dziwną zmysłową pieśń snującą się przedziwną, intrygującą linią melodyczną. Jakąś częścią siebie rozumiał, że to Liwia. Jej głos przyzywał go, przypominał mu, że jest coś, czym powinien się zająć.

Obudził się. Było ciemno. Pokój wypełniał jej zapach.

– Liwia? – wyszeptał.

Poczuł jej usta tuż obok swojego ucha.

– Seth, nie mam czasu. Wiedzą o nas... Mam wyjść za mąż dziś rano. Straże już po mnie idą... Muszę uciekać.

– Liwia! – wyrzucił z siebie. – Idę z tobą.

– Nie, Sethosie. Nie możesz. Wrócę po ciebie... Kocham cię...

I już jej nie było.

Gładiator próbował się podnieść i pójść za nią, ale był teraz przywiązany do łóżka. Leżał opuszczony i bezradny i czuł, jak gniew rozpała się w jego piersi.

# Rozdział 17

## Pułapka

*Londinium*

*A.D. 152*

– Sethos.

Seth marzył o tym, by nie otwierać oczu.

Miotał się w obezwładniającym chaosie furii i rozpacz. Gdzieś w samym środku tej koszmarnej burzy stała Liwia: maleńka... coraz mniejsza... Kiedy się tak rzucał, ciemność rozświetliły nagle białe błyski strachu. Liwia krzyczała. Krzyczała jego imię... Serce waliło mu jak młotem, kiedy walczył z więzami niepozwalającymi mu unieść się z łóżka. Nawet jako gladiator nigdy do tego stopnia nie czuł się uwięziony. Bezradność go dusiła, odbierała mu tożsamość. Nie miał nic... I był nikim...

– Sethosie, obudź się!

Nie za tym głosem tęsknił. Odwrócił twarz.

– Przestań! Mam wiadomość od Liwii!

Natychmiast otworzył oczy. Vibia, stara kucharka, skuliła się niespokojnie u jego boku.

– Złapali ją, gdy próbowała uciec... I zaślubili siłą.

– Kiedy? – zapytał.

– Wczoraj. Dostałeś dużą dawkę środka znieczulającego...

– Gdzie ona jest?

– Zabrali ją do willi Kasjusza.

– O bogowie... – jęknął.

To było nie do zniesienia.

Zakrył oczy ramieniem. Nie potrafił spojrzeć Vibii w twarz. Nie był w stanie zmierzyć się z sobą samym. Zawiódł Liwię, kiedy najbardziej go potrzebowała. A teraz widział już tylko ciemność. Nadzieja zgasła.

– Sethosie Leontisie, nie wszystko jeszcze stracone – syknęła Vibia, niespokojnie rzucając okiem na drzwi.

Seth zadrżał.

– Mam bratanicę... Jest służącą w domu Kasjusza. Można jej zaufać...

– Ale Vibio...

Kucharka nieoczekiwanie się wyprostowała i zaczęła mówić głośniej.

– Zaraz przyniosę ci chleba. Dobrze, że się wreszcie obudziłeś.

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie i ruszyła do wyjścia.

– Ach, Vibio. Jedzenie będzie musiało poczekać – powiedziała Flawia, szybko kierując się do łóżka Sethosa. – Przyszedł lekarz.

– Oczywiście, pani – powiedziała Vibia i opuściła pokój.

Seth zamknął oczy, czekając na kolejnych gości. Starał się nie zwracać uwagi na zimny, władczy dotyk palców Flawii na jego ramieniu, ale kiedy wyczuł stojącego nad nim Greka badającego opatrunek, całe jego ciało się napięło.

Tychon odchrząknął z szacunkiem.

– Pani, potrzebuję więcej czasu, by dokładnie zbadać tego człowieka. Zawołam sługę, by dał ci znać, kiedy skończę.

– Doskonale – prychnęła Flawia i wyszła, trzaskając za sobą drzwiami.

Kiedy nie było już wątpliwości, że nie może ich usłyszeć, Tychon odezwał się do Sethosa po grecku.

– Co ci dolega, człowieku? Nieustannie walczysz z moją terapią. Masz siłę dziesięciu ogierów, a jednak wciąż pali cię gorączka. Dwukrotnie już udało ci się otworzyć ranę... Skóra wokół niej jest cienka i nie można jej szyć w nieskończoność. Musisz pozwolić jej się zagoić. Czy chcesz żyć? A może lata pracy na arenie odebrały ci chęć do życia?

Seth potrząsnął głową.

– Chcę żyć, Tychonie. Muszę odzyskać siły. Muszę się stąd wydostać... Nie mogę być przywiązany jak zwierzę...

– Jeśli cię rozwiążę, rana nigdy się nie zagoi.

– Czy naprawdę trzeba było mnie przywiązać do łóżka? Czy nie mógłbyś w taki sposób obwiązać mi ramienia, żebym mógł usiąść i poruszać się swobodnie? Moje nogi nadal pracują... moje ręce...

Tychon w zamyśleniu podrapał się po głowie.

– No cóż, zobaczymy, jak trzymają się szwy i czy rana jest nadal tak opuchnięta...

Seth przygotował się na zmianę opatrunku, ale dziś przeszywający ból kwaśnego płynu i męczące, skrupulatne obmywanie i badanie rany tylko wyostrzyły jego zmysły. Był zdecydowany wzmocnić się na tyle, by uwolnić Liwię z jej więzienia.

Tychon nie zabrał dziś ze sobą żadnych pomocników, więc nie zdecydował się na upuszczanie krwi. Seth wyszeptał podziękowania do bogów za tę drobną łaskę. Kiedy ranę ponownie opatrzone, Tychon nie przywiązał Setha do łóżka, lecz zawołał Vibię.

– Czy możesz mi znaleźć czyste prześcieradło i porwać je na paski, mniej więcej tej długości i szerokości? – zapytał, gestami pokazując jej odpowiednie wymiary.

Vibia skinęła głową i wyszła. Kiedy wróciła ze zgrabnym stosikiem prześcieradeł w kolorze kremowym, Tychon starannie rozłożył paski na marmurowym stole obok łóżka.

– Dziękuję, Vibio. Czy mogłabyś zostać jeszcze chwilę i mi pomóc?

Z jej pomocą Tychon delikatnie uniósł Sethosa do pozycji siedzącej. Seth z trudem wciągnął powietrze, gdy ból rozdarł mu ramię.

– Pamiętaj, że to był twój pomysł – przypomniał mu lekarz ostrzegawczo.

– Nic mi nie jest – wydyszał Sethos.

Tychon delikatnie zgiął lewą rękę Setha tuż przy jego ciele i zaczął owijać paski wokół jego ramienia, aż ciasno przylegały do ciała. Kiedy zawiązał ostatni pasek, stanął naprzeciwko Setha z rękami założonymi na piersiach.

– Nie próbuj używać tej ręki. Poruszaj się bardzo ostrożnie. Zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby to ramię nie doświadczało żadnych wstrząsów. Nie chciałbym po raz kolejny zszywać twojej rany. Jeśli poczujesz w ramieniu bardzo intensywne ciepło, natychmiast daj mi o tym znać. Będziesz zażywał bez protestów środki nasenne i znieczulające, które ci dam, i trzy razy dziennie będziesz pił napar z ziół oczyszczających krew. Nie zawieź mnie, Sethosie.

– Dziękuję ci – wyszeptał Sethos.

– Zobaczymy się na zewnątrz – powiedziała Vibia.

Seth usiadł na brzegu łóżka, oddychając gwałtownie i z wysiłkiem. Ból zelżał, przyjmując postać znajomego, znośnego mrowienia, a umysł pracował jaśniej niż przez wiele ostatnich dni... a może tygodni? Nie mógł sobie przypomnieć, od jak dawna tu był.

Vibia wróciła z chlebem, suszonymi owocami i gorącym winem z miodem. Seth zjadł i



wypił z wdzięcznością. Z pewnym zdumieniem oglądał ten pokój pod nowym kątem. Był to, zdał sobie z tego nagle sprawę, bardzo ładny pokój: przestronny, o ścianach w kolorze bladego błękitu. Niewielkie, proste wzory na ścianach odcinały się bielą. Podłogę wyłożono kafelkami ułożonymi w prosty, geometryczny szaro-biały wzór, a szary marmur stolika był delikatnie złamany błękitem. Pomalowane na szaro posłanie, na którym leżał, miało wałek pod głowę.

Kiedy Seth skończył śniadanie, położył talerz i kubek na stole obok łóżka i oparł się na nim, by wstać. Była to bolesna operacja i towarzyszyły jej zawroty głowy, ale kiedy już stanął pewnie, poczuł satysfakcję. Zrobił kilka kroków. Fala mdłości rzuciła go z powrotem na łóżko, ale nie na długo. Wziął kilka głębokich oddechów i po raz kolejny odepchnął się od stolika, by pewnie stanąć na nogach.

Nie mógł się oszczędzać, jeśli miał powrócić do pełni sił i sprawności, więc zmusił się do spaceru wokół pokoju. Kiedy tylko czuł słabość w kolanach, opierał się o chłodną błękitną ścianę. Kiedy tylko zauważał, że zaczyna odpływać, kulił się na podłodze, dopóki wrażenie nie minęło. Zrobił trzy okrążenia i opierał się właśnie o ścianę, kiedy nagle weszła Flawia.

Z zaskoczeniem wciągnęła powietrze, kiedy zobaczyła go stojącego pod ścianą, i uśmiechnęła się.

– Doskonale! Udało ci się stanąć!

– Jeśli bogowie tego zechcą, niedługo uwolnię cię od mojej osoby!

Czuł na sobie jej spojrzenie i próbował się lekko uśmiechnąć, ale usta nie chciały być mu posłuszne.

– Sethosie – wyszeptała Flawia, po czym podeszła bardzo blisko i delikatnie dotknęła jego policzka. – Jak dobrze widzieć, że w twojej piersi znów płonie serce gladiatora.

Jej dłonie czule przesunęły się po jego torsie, a Sethos próbował poddać się im bez wstrętu. Nagle Flawia podeszła do dzwonka i wezwała Vibię.

– Przynieś miskę z ciepłą wodą różaną, ręczniki i olejek jałowcowy.

Myśl o kąpieli ucieszyła Seta, ale obawiał się, że Flawia nie zamierza zostawić go samego. Jej palce nadal władczo spoczywały na jego ramieniu.

Rozważył dostępne możliwości. Czy był już wystarczająco sprawny, by uciec od razu? Lekarz oczywiście udzieliłby odpowiedzi przeczącej, ale Seth znał siebie i wiedział, że jest dość wytrzymały. A potem przypomniał sobie, że Tychon wspominał, iż rodzina gladiatorów opuściła koszary na co najmniej dwa tygodnie. W tej chwili nie będzie mógł całkowicie się o siebie

zatrościć. Seth wiedział również, że jeśli odrzuci zaloty Flawii, nie zdoła tu przeżyć. Wzgardzone rzymskie żony były nieobliczalne...

Musiał się z tym pogodzić – znalazł się w pułapce.

Vibia zapukała i weszła, niosąc dużą misę, z której unosił się cudowny zapach wypełniający cały pokój. Nie postawiła jednak misy na stole i nie wyszła. Gestem głowy wskazała na drzwi.

– Przyprowadziłam Ochirę, by pomogła mi umyć gladiatora, pani – powiedziała Vibia ze znaczącym uśmiechem.

Ochira, dziewczyna o pełnej twarzy, przydreptała za kucharką, niosąc ręczniki, oleje i czystą tunikę.

Flawia wpadła we wściekłość. Została pokonana przez starą niewolnicę, ale było nie do pomyślenia, by mogła zrobić coś innego, niż odejść.

– Dziękuję, Vibio – wysyczała i wybiegła z pokoju.

Seth zaniósł cichą modlitwę dziękczynną i uśmiechnął się do swojej wybawicielki. Nieoczekiwanie wpadł w dobry nastrój. Przy pomocy Vibii uda mu się razem z Liwią ująć z Londinium. Napiął swoje zdrowe ramię i zamknął oczy. Jeśli będzie ciężko ćwiczył, odzyska siły, by stawić czoło Kasjuszowi.

Ciepła, perfumowana woda ukoiliła jego skórę. W miarę jak niewolnice zmywały z niego nędzę tego dnia, zaczął oddychać głębiej, ośmielając się marzyć o dniu, kiedy on i Liwia będą w końcu razem.

# Rozdział 18

## Gorączka

*St Magdalene's*

*A.D. 2012*

Zatrzasnęłam drzwi laboratorium biologicznego i podeszłam do ekranu. Kipiałam z ciekawości. Zaatakowane komórki nie mogły tak po prostu zniknąć. Widziałam, jak eksplodują, ale musiały pozostać po nich jakieś materialne szczątki, do tego ten zmultiplikowany wirus albo bakteria, który wypłynąłby, by zaatakować kolejne komórki. A one jakby wyparowały... To nie mieściło mi się w głowie.

Musiałam to zobaczyć jeszcze raz. Szybko ustawiłam powtórkę, tym razem pięćset procent wolniej – tak wolno, jak tylko się dało.

Spowolnienie nie dostarczyło mi jednak żadnych nowych danych. Tak jak wcześniej wszystko zniknęło, tylko tym razem nieco wolniej.

Sfrustrowana odwróciłam się od ekranu i potknęłam o otwartą torbę profesora Ambrose'a ustawioną na podłodze. Zerknęłam na nią i zorientowałam się, że nie odłożył zakraplacza i fiołki. Nadal leżały na stole tuż obok mikroskopu. Serce zaczęło walić mi jak młotem, kiedy patrzyłam na nie ze świadomością podjętej już decyzji.

Jeśli zamierzałam powtórzyć eksperyment, potrzebowałam normalnych limfocytów T.

Nie ma problemu, miałam całe swoje ciało. Szybko wyjęłam z torby cyrkiel, ukłułam się w palec i rozsmarowałam krew na nowym szkiełku. A potem wzięłam małą fiołkę, dodałam kropelkę na powierzchnię szkiełka, umieściłam je pod mikroskopem i nastawiłam ostrość.

– Niemożliwe!

Oddychałam ciężko, obserwując powtórkę. Nawet w zwolnionym tempie wszystko działo się tak szybko: atak, replikacja, powielenie, eksplozja... wyparowanie... a potem już tylko całkiem pusty ekran.

Gapiałam się na niego przez kilka minut. To była czysta nauka, więc musiało istnieć

logiczne uzasadnienie. Musiałam coś przeoczyć. Wstałam, by jeszcze raz powtórzyć eksperyment.

Znalazłam nieużywane szkiełko, chwyciłam cyrkiel, ukłułam się w palec, wzięłam fiolkę...

– Ewa Koretsky! Co ty tutaj jeszcze robisz?

Profesor Franklin i profesor Ambrose wrócili. Byłam tak pochłonięta własnymi myślami, że na dźwięk tych słów podskoczyłam z zaskoczenia. Zawartość cennej fiołki połała mi się na palce i ściekła na podłogę.

– Bardzo przepraszam! – wyrzuciłam z siebie przerażona.

Profesor Ambrose patrzył ze zgrozą na opróżniony do połowy pojemnik.

– Ewo, wiesz doskonale, że nie macie wstępu do laboratoriów, kiedy nie ma tu nikogo z personelu. Mam nadzieję, że to nie było nic cennego, profesorze Ambrose?

Wstrzymałam oddech.

Profesor Ambrose przez kilka chwil patrzył na maleńką kałużę rozlanego na podłodze płynu. A potem, nie podnosząc wzroku, powiedział cicho:

– Nie, nie, nic się nie stało... Mam tego mnóstwo.

– Co za ulga. Ewo, lepiej pospiesz się na lunch.

– Strasznie przepraszam. Tylko to posprzątam i już idę.

– Idź już, Ewo – powiedział profesor Ambrose, delikatnie popychając mnie do wyjścia. – Zajmę się tym. Pani profesor, czy ma pani papierowe ręczniki?

Wyszła, żeby mu przynieść jeden.

– No cóż... Bardzo dziękuję i przepraszam, profesorze Ambrose – wymamrotałam, otwierając drzwi. – No to... do widzenia.

– Do widzenia, Ewo. Myślę, że niedługo znów się spotkamy.

Zostało mi sześć minut. Pobiełam do pustej stołówki, ale było już za późno. Poszłam więc prosto na matematykę z poczuciem, że w głowie kręci mi się od pytań bez odpowiedzi.

Zanim lekcja dobiegła końca, trochę się rozluźniłam. Uznałam, że przed próbą muszę coś zjeść, więc pozbierałam swoje rzeczy i wstałam. Najwyraźniej za szybko, bo dopadły mnie zawroty głowy. Zachwiałam się niezgrabnie i nie upadłam tylko dlatego, że podtrzymał mnie Rob Wilmer.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Przegapiłam lunch... I śniadanie, właśnie mi się przypomniało. To nic.

– Masz.

Dał mi połówkę batonika Mars.

Odgryzłam kawałek.

– Dzięki -- wymamrotałam z wdzięcznością.

Mniej więcej po trzydziestu minutach lekcji historii zaczęło mi się robić gorąco. Naprawdę gorąco. Zdjęłam bluzę z kapturem, ale pot nadal płynął ze mnie strumieniami. Wytarłam sobie czoło. Byłam cała rozpalona.

Naprawdę nie miałam teraz czasu na grypę. Zanim zdołałam dokończyć tę myśl, poczułam, że skręca mnie w żołądku. O rany, zaraz zwymiotuję. Przeklęty batonik! Ciekawe, ile czasu leżał w kieszeni Roba. Wstałam szybko i to był błąd. Cała sala zaczęła się wokół mnie szaleńczo kręcić. Próbowałam ją zatrzymać na tyle długo, żeby zlokalizować drzwi. Gdy tak ich wypatrywałam, oczy zaczęła zasnuwać mi mgła i wszystko pociemniało. Kiedy usłyszałam uderzenie, wiedziałam, że to moje ciało upadło na podłogę.

# Rozdział 19

## Gniew

### *Londinium*

*A.D. 152*

Seth włożył tę samą energię, skupienie i zaangażowanie w proces swojego zdrowienia co w walki na arenie. Pokonywał ból, zmęczenie, drzenie kończyn i codzienne upuszczanie krwi, odmawiając swojemu ciału litości. Do działania popychała go nie tylko potrzeba odzyskania sił i sprawności, lecz także wstyd. Zżerała go frustracja, że nie potrafił zapobiec uprowadzeniu Liwii. Czuł wstyd gladiatora po sromotnie przegranej walce, ale tym razem naprawdę zrozumiał obezwładniające poczucie utraty honoru. Choć dla niego ta utrata honoru była znacznie gorsza. Na arenie gladiator zawodził jedynie samego siebie, a tu Seth zawiódł kogoś jeszcze – dziewczynę, której przyrzekł miłość.

Jego bezlitosne ćwiczenia przerywały regularne wizyty Flawii. Czasem jedynie opierała się o ścianę i zachłannie pożerała go wzrokiem. Czasem stawiała za nim i wdychała jego zapach. Kiedy była pewna, że nikt nie będzie im przeszkadzał, opierała głowę na jego ramieniu i całowała jego szyję albo wodziła dłońmi po jego plecach, ciemnych włosach, szczęce i wreszcie ustach. Seth zamykał oczy i stał bez ruchu, jak dzikie zwierzę schwyte przez drapieżnika. Nie drgnął nawet; poddawał się dotykowi palców Flawii, aż w końcu wzdychała rozczarowana i wychodziła. Kiedy drzwi się za nią zamykały, otrząsał się z jej dotyku i wracał do ćwiczeń.

O poranku szóstego dnia, krótko po tym, jak Tychon zakończył męczącą procedurę zmiany opatrunku i upuszczania krwi, do pokoju wsunęła się Vibia. Oczekała, aż lekarz i jego pomocnicy wyjdą z budynku, upewniła się, czy drzwi są starannie zamknięte, a potem skuliła się przy jego łóżku i wyszeptwała:

– Mam wiadomość.

Seth nachylił się ku niej, a ona przekazała swoją nowinę. Westchnął głęboko i skinął głową, patrząc w roztargnieniu, jak kucharka podnosi pusty kubek na wodę i talerz po jego

śniadaniu i wychodzi z pokoju. Kiedy usłyszał trzask zamykających się drzwi, zamrugał oczami, uniósł się boleśnie z łóżka i zabrał się do robienia przysiadów.

Przez następne dwie godziny ćwiczył wytrwale: pompki na jednej ręce, bieg w miejscu, podskoki, podnoszenie ciężarków (marmurowe lichtarze i taborety), wypadki i parady. Nie wiedział już, czy serce biło mu gwałtownie z powodu wysiłku fizycznego, czy bolesnego oczekiwania.

W południe w jego pokoju pojawiła się Vibia z miską ciepłej wody i olejkami i pomogła mu umyć się i ogolić. Dopóki Flawia nie przystąpiła do swoich codziennych podchodów, Sethowi nigdy nie przeszkadzała jego nagość. Teraz zmysły miał wyczulone na niepożądany dotyk. Vibia doskonale wybrała czas swoich odwiedzin. Pomogła mu właśnie włożyć tunikę, kiedy do pokoju wsunęła się Flawia.

– Vibia! – wyszczała. – Co ty tu robisz?

– Wybacz mi, pani, czy mnie potrzebujesz?

Vibia wzięła miskę, ręcznik i znoszoną tunikę i wycofała się z pokoju, nie ośmielając się podnieść wzroku na swoją panią. Kamienny wyraz twarzy Flawii nie wróżył nic dobrego.

– Pani, bardzo przepraszam – powiedział Seth. – To moja wina. Cały czas mam ograniczony zakres ruchów i poprosiłem Vibię o pomoc.

Flawia prychnęła.

– Kucharka powinna przebywać w kuchni, o ile nie otrzymała innego polecenia. Jednak tym razem nie zamierzałam jeść w domu, więc przymknę oko na to wykroczenie... ze względu na ciebie.

Spojrzenia Flawii i Seta spotkały się i zrozumiał ostrzeżenie malujące się w jej oczach. Los Vibii był teraz niebezpiecznie związany z jego własnym. Przełknął gorycz. Każda komórka jego ciała stawiała opór w sytuacji, w której był tak całkowicie bezradny. Gardził tą kobietą dzierżącą władzę z taką bezwzględnością.

– Dziękuję ci, pani – wyszeptał przez zaciśnięte zęby.

Flawia uśmiechnęła się, pochyliła ku niemu i wycisnęła pocałunek na jego ustach. Zaciśnął powieki, przywołał obraz Liwii i... oddał jej pocałunek. Flawia westchnęła z zadowolenia, przesunęła palcami między jego włosami, objęła go za szyję i przyciągnęła bliżej.

Oderwała się od jego ust, by zaczerpnąć oddechu, dotknęła jego warg i zaśmiała się miękko.

– Sethosie, kochanie, nie mogę zostać! Spóźnię się do Tawinii! Ale nie bój się, dokończymy później...

Pocałowała go raz jeszcze i wyfrunęła z pokoju.

– Ochiro! – zawołała. – Mój płaszcz!

Pięć minut później Flawia i Ochira opuścili willę, a Seth wstał z zaciśniętymi pięściami, starając się opanować dławiącą go wściekłość.

Zatrzeszczały otwierane drzwi i Sethos drgnął, ale była to tylko Vibia, niosąca tokę i płaszcz.

Sethos patrzył zdumiony na przyniesioną przez nią odzież.

– Toga? – zapytał cicho i niepewnie.

– Nie możesz wyjść z tego domu w tunice niewolnika, a ten strój przykryje twoje tatuaże i ranę na ramieniu.

Rzymska toga była symbolem obywatelstwa i zaszczytem. Jej nieuprawnione noszenie zakrawało niemal na bluźnierstwo. Co więcej, Seth nie miał bladego pojęcia, jak ma się zabrać do jej założenia. Ale Vibia, choć jej palce nie były już tak zręczne jak kiedyś, miała za sobą wiele lat praktyki i już po chwili wygładzała na nim fałdy stroju. Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy przerzuciła ciężką, ciemną tkaninę przez jego zranione ramię.

– Przepraszam – wymamrotała, mocując zapięcie. – Ale przekonasz się, że kaptur jest bardzo użytecznym dodatkiem do tego stroju.

Kiedy skończyła upinać tokę, cofnęła się o krok.

– Dobrze. – Skinęła głową z aprobatą. – Wyglądasz jak prawdziwy obywatel Rzymu.

Skrzywił usta w uśmiechu. Oboje mieli świadomość tego, jak niejednoznaczny był to komplement w jego przypadku. Nie cierpiał większości Rzymian.

Vibia dotknęła jego ramienia.

– Sethosie, cokolwiek zobaczysz, nie ujawniaj się. Nasze życie od tego zależy.

Sethos zmrużył oczy. Rozumiał doskonale, gdy udzielano mu ostrzeżenia, i poczuł, że strach przechodzi go dreszczem.

Vibia wyszła na chwilę z pokoju, sprawdziła, czy nikogo nie ma w pobliżu, a potem skinęła na gladiatora, by poszedł za nią. Wyprowadziła go przez ogród i boczne wyjście, gestem każąc mu poczekać, kiedy ostrożnie wysunęła się na ulicę za domem. Gdy już była pewna, że droga jest wolna, zwróciła się do Seta, bez słowa skinęła głową i nagle on znalazł się na ulicy.



Sam.

Poczuł smak wolności po raz pierwszy od czasu łąpanki w Koryncie. Gladiator będący niewolnikiem nigdy nie poruszał się ulicami Londinium sam, chyba że skutym i pod strażą. Seth nie tracił jednak czasu na rozkoszowanie się wolnością, bo wiedział, że chociaż czuł się błogo, gdy jego rąk nie pętały więzy, słodczy ta zaprawiona była gorzką pewnością, że gdyby złapano go na podszywaniu się pod rzymskiego obywatela, nie okazano by mu łaski. A teraz zapuszczał się do jaskini lwa – na forum.

To był lekkomyślny plan. Forum stanowiło centralny ośrodek handlowego i politycznego życia Londinium. Roilo się na nim od ludzi, było miejscem spotkań wszystkich ważnych osobistości. I oto on, Sethos Leontis, słynny gladiator, zmierzał prosto w tamtą stronę.

Seth pojmował jednak tok rozumowania Rzymian. Niewolnicy stali się dla nich niewidzialni. Byli podludźmi. Choć był fetowanym niewolnikiem, gwiazdą na arenie, wątpił, by ludzie zadawali sobie trud przyglądania się jego twarzy. Nawet gdyby, to większa część publiczności siedziała na rozległej arenie zbyt daleko, by widzieć wyraźnie jakiegokolwiek gladiatora, więc czuł się dość pewnie w swoim przebraniu. Jedyne ludźmi, których musiał się obawiać, byli ci, którzy znali go osobiście. Na szczęście jego familia gladiatorów nie wróciła jeszcze z Akwitanii. Musiał jednak przyznać, że kilka rzymskich kobiet znało go dokładnie. Odepchnął od siebie tę myśl.

Willę Natalisa dzielił od forum krótki spacer. Kiedy Seth starał się iść dość szybko, ale bez pośpiechu (jak poinstruowała go Vibia), rozważał wiadomość, którą otrzymał od bratanicy Vibii Sabiny.

Sabina miała w samo południe towarzyszyć Liwii wybierającej się z domu Kasjusza, by odwiedzić kramy na forum. Miało być to pierwsze samodzielne wyjście Liwii od czasu jej zamążpójścia. Kasjusz uznał, że można jej zaufać i pozwolić na pewien stopień swobody, choć rzecz jasna, pod czujnym okiem Sabiny i strażnika. Seth starał się nie wyobrażać sobie, jak Liwia przekonała Kasjusza do tego, by jej zaufał. Czy w taki sam sposób, w jaki on przekonał Flawię?

Wiedział, że może mieć nadzieję najwyżej na to, iż ujrzy Liwię tylko przez chwilę, ale myśl o zobaczeniu jej choć z daleka podnosiła go na duchu przez cały poranek. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by podważać sensowność tego planu. Potrzebował jej widoku tak, jak roślina potrzebuje wody.

Droga ku forum była spokojna. Zbliżając się do celu, Seth naciągnął kaptur na głowę. Był

chłodny, ale suchy wrześnieowy dzień, więc pogoda nie uzasadniała jego zachowania, co trochę go niepokoiło, ale kaptur zgrabnie ocieniał jego twarz, zatem po chwili zastanowienia uznał, że jest to bezpieczniejsze. Łączny ciężar togi i płaszcz stanowił bolesne obciążenie dla jego ramienia i każdy kolejny krok coraz bardziej jątrzył ranę, ale Seth nie zwracał na to uwagi. Przesuwał wzrokiem w tłumie ludzi, wypatrując Liwii i potencjalnych zagrożeń.

I wtedy ją zobaczył. Stała przy straganie piekarza i skubała ciastko migdałowe. Była odwrócona plecami, ale od razu ją rozpoznał. Jej włosy skrywał piękny, liliowy, jedwabny szal wyszywany złotem. Biała tunika była ciężka od eleganckich purpurowych ozdób. Trzy drogocenne bransolety błyszczały na nadgarstku Liwii, a na palcu – co Seth dostrzegł z bólem – połyskiwał imponujący pierścień zaręczynowy. Cały ten strój pokazywał wszem wobec, że Liwia była żoną bardzo bogatego mężczyzny. Roztaczała jednak wokół siebie taką aurę cierpienia, że Seth poczuł ból w piersiach. Jadła bez zainteresowania, jakby jedzenie nie miało smaku, i patrzyła wokół siebie niespokojnie.

Seth nie musiał silić się na to, by zwrócić na siebie jej uwagę. Kiedy tylko ją dostrzegł, ich spojrzenia spotkały się, jakby przyciągała ich do siebie niepojęta siła. Liwia zamarła. On również. Uśmiech radości przyćmiła furia. Na jej twarzy widoczne były ślady obrażeń – gojąca się, ale napuchnięta jeszcze rana na policzku, siniaki na szczęce, napuchnięte i popękane usta. Seth oddychał urywanie, uważnie obserwując Liwię w poszukiwaniu dalszych obrażeń, ale jej strój pozwalał się jedynie domyślać reszty.

Oszalały z wściekłości Seth ruszył w jej stronę, ale jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Ukradkiem spojrziała w lewą stronę. Dostrzegł jej strażnika: potężnego, wyglądającego bardzo walecznie mężczyznę o gęstych rudych włosach i posturze żołnierza. Nie próbował nawet ukryć sztyletu u pasa i miecza przewieszzonego przez plecy.

Seth nie miał broni, miał za to rozerwane ramię i zobowiązania wobec wszystkich zaangażowanych w intrygę. Walczył ze sobą, starając się zdławić przemożną chęć zabicia strażnika i ocalenia dziewczyny. Lata temu nauczył się jednak, że wojownik musi kontrolować swój gniew. Pozostanie rozważny. Od tego zależało życie zbyt wielu osób.

Kiedy Seth posuwał się ostrożnie w jej stronę, Liwia nagle wyciągnęła dłoń do strażnika.

– Otho, mój mąż Kasjusz poprosił mnie, żebym sprezentowała mu nowy zestaw kości. Trochę kręci mi się w głowie... Czy mógłbyś je dla mnie kupić? Widziałam cudowny sklep z grammi, szło się do niego po tych schodach. Poczekam tutaj z Sabiną.

Liwia wyciągnęła portmonetkę zza paska i wręczyła strażnikowi trzy monety.

Strażnik nie wyglądał na człowieka, którego obchodzi, czy jego więzień ma zawroty głowy, czy nie, a jednak Seth ze zdumieniem zobaczył, jak Otho odwraca się i idzie do sklepu. Seth natychmiast podbiegł i przyciągnął Liwię do siebie. Oparła się o jego pierś i pozwoliła, by wstrząsnął nią tłumiony szloch.

Nachylił się ku jej twarzy.

– Kto ci to zrobił? – syknął.

– Kasjusz jest teraz moim mężem -- szepnęła bez wahania.

– Zabiję go! – wydyszał Seth.

Liwia potrząsnęła głową.

– Nie masz pojęcia, co to za człowiek.

Seth spojrzał jeszcze raz na jej poranioną twarz i uznał, że chyba jednak wie.

– Muszę cię stamtąd zabrać, najdroższa -- jęknął.

– Nie teraz. Jeszcze nie teraz!

Ze złością starła łzę spływającą jej po policzku.

– Pani! – Oczy Sabiny rozszerzyły się z niepokoju. – Wszyscy nas widzą, a Otho wróci lada chwila.

Seth zacisnął dłonie w pięści, próbując wyrównać oddech. Czuł przypływ adrenaliny. Był gotów do walki i nie radził sobie z tą przymusową beczynnością.

Liwia ostrzegawczo położyła dłoń na jego ramieniu.

– Kiedy cię znów zobaczę?

– Pani, Otho idzie!

– Idź, Sethosie. Dam ci znać.

Nie mógł jednak zdobyć się na to, by odejść.

– Proszę, najdroższy...

Zdławiła szloch i odwróciła się.

Usunął się w cień i bezradnie obserwował, jak jego ukochana się oddala. To było nie do zniesienia. Musiał biec, wyładować tę niszczycielską energię narastającą w piersiach. Rzymscy obywatele odziani w togi i płaszcze jednak nie biegali. Poruszali się zdecydowanie i bez zbędnego wysiłku.

Każda cząstka jego ciała buntowała się przeciwko obranemu kierunkowi, ale potrafił

narzucić sobie niewiarygodną dyscyplinę. Musiał przetrwać. Miał zadanie do wykonania, a rozmyślanie o tym, jak ma zrealizować swój plan, pochłonęło go całkowicie. Dotarł z powrotem do willi Natalisa, nie zapamiętując drogi, którą pokonał. Kiedy tylko znalazł się w ogrodzie, Vibia podbiegła do niego, zdarła z niego togę i płaszcz i szeptem skłoniła go do powrotu do domu. Flawia już wróciła.

Czekała na niego, gdy wszedł do pokoju, a wściekłość wręcz z niej buchała.

– Sethosie Leontisie, gdzie byłeś?

Oczy Sethosa zwęziły się momentalnie, kiedy tłumił w sobie pogardę, jaką czuł wobec tej kobiety i władzy, którą nad nim miała, ale po chwili odzyskał kontrolę nad sobą i przypomniał sobie rolę, którą miał odegrać.

– Byłem, pani, w ogrodzie. To dla ciebie.

Podał Flawii błyszczące, czerwone jabłko, które Vibia wsunęła mu w dłoń chwilę wcześniej, i nieoczekiwanie stał się świadkiem najgwałtowniejszej zmiany nastroju, jaką kiedykolwiek widział.

Zachwycona Flawia zmieniła się z władczej tyranki w zalotną kokietkę.

– Och, Seth... – wyszeptwała. – Jak to miło z twojej strony.

Potem przesunęła się do drzwi, zamknęła je i wzięła go w ramiona. Kiedy zaczęła go całować, Seth zamknął oczy i przywołał obraz Liwii. Tylko Liwii.

## Rozdział 20

### Sekrety

#### *Londinium*

*A.D. 152*

Od ostatniego spotkania Setha z Liwią minęło osiem długich dni. W tym czasie zniósł pięć niedwuznacznych wizyt Flawii, trzydzieści dwie godziny wyczerpującego treningu i siedmiokrotne upuszczanie krwi. Teraz siedział na brzegu swojego posłania, poddając się kolejnej zmianie opatrunku i starając się stłumić w sobie nadmierne pobudzenie.

Kiedy już Tychon miał się zabrać do powolnego usztywniania jego ramienia, Seth nagle odwrócił się do medyka i zaczął go błagać, by ponownie rozważył swoją strategię terapii.

– Nie da się sensownie ćwiczyć, gdy ma się do dyspozycji tylko jedno ramię. Nawet w najdrobniejszych sprawach jestem zależny od pani tego domu. Musisz mnie uwolnić!

Nie wspomniał, że usztywnione ramię utrudnia mu przebieranie się za obywatela rzymskiego, co zamierzał uczynić ponownie w ciągu pół godziny. Nie dodał również, że z tak ograniczonym zakresem ruchów może nie zdołać uciec z Londinium i ochronić Liwii.

Tychon poważnie potrząsnął głową.

– Cierpliwości, Sethosie! Poszarpane mięśnie i skóra już się goją, ale zrastanie się kości trwa o wiele dłużej. Jeśli nie usztywnię ci ramienia, nigdy nie odzyskasz jego pełnej sprawności. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co to oznacza? Staniesz się niezdatny do niczego.

Tychon nigdy wcześniej nie wyraził się równie bezwzględnie.

Seth przełknął ślinę i nie odezwał się już ani słowem. Odplynał myślami w bardziej pogodne rejony – ku listom Liwii. Otrzymał od niej dwa. Oba napisano greką. Seth uśmiechnął się. Rzymskie damy zazwyczaj nie uczyły się greki, ale przypomniał sobie, że Liwia nie urodziła się w Rzymie. Był za to niezmiernie wdzięczny losowi, bo nie umiał czytać ani pisać po łacinie.

Natychmiast spalił oba listy, co przyszło mu z najwyższym trudem – spalić jedyny widomy znak więzi łączącej go z ukochaną wydawało się świętokradztwem, ale zatrzymanie

listów było zbyt ryzykowne. Dla wszystkich zaangażowanych w intrygę. Tak czy inaczej, zapamiętał każde słowo. Teraz czytał w myślach list, który otrzymał wczoraj.

*Najdroższy*

*Łąka za świątynią Apolla*

*Jutro o zmroku*

*Tęsknię za Tobą*

*Na zawsze Twoja*

*L*

Miała jej towarzyszyć przyzwoitka, kuzynka Vibii, Sabina, i dwóch strażników, którzy zostaną pod świątynią, gdy Liwia będzie się „modlić”. Liwia miała zamiar z pomocą Sabiny wymknąć się niezauważona ze świątyni i spotkać się z Sethem. On zaś miał żołądek ściśnięty w supeł ze zdenerwowania. Ten plan nie wydawał mu się dobry. Seth obawiał się, że to naraża Liwię na zbyt wielkie ryzyko, ale ona była pewna, że jej się uda. Dobrze znała rozkład świątyni.

Był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył wyjścia lekarza i pojawienia się Vibii z wodą i czystą tuniką z delikatnej szarej wełny.

Zręcznie pomogła mu ogolić się i ubrać i właśnie podnosiła misę z wodą, by wrócić do kuchni, kiedy do pokoju wsunęła się Flawia.

– Pani... – zaczęła Vibia.

– Dziękuję, Vibio, możesz już odejść.

Seth zamarł. Flawia miała pójść w odwiedziny do swojej siostry. Dlaczego nie wyszła?

– Sethosie, mój najśłodszy – wyszeptła, całując go w usta.

Nieomal się udławił. Flawia powtórzyła właśnie słowa wypowiedziane przez Liwię na forum. Czy nie zabrała mu już wystarczająco dużo? Umył się i zmienił ubranie, zrobił wszystko, co w jego mocy, by zmyć z siebie Flawię przed spotkaniem z ukochaną, a teraz wszystko to zostało zbrukane.

Ogarnęła go fala wstydu i obrzydzenia. Odepchnął Flawię i oparł się o ścianę, dysząc ciężko.

– Co się stało, Sethosie? – zapytała. – Źle się czujesz?

Bezgłośnie skinął głową, zakrywając oczy ramieniem. Osunął się po ścianie na podłogę i zanurzył twarz w dłoniach.

– Vibio! – zawołała Flawia. – Poślij po lekarza!

Kucharka weszła i obrzuciła wzrokiem skulonego na podłodze Setha.

– Oczywiście, pani... – zaczęła. – Pan właśnie wrócił do domu i pyta, czy jesteś, pani, gotowa.

– Gotowa?

– Na wizytę w domu twojej siostry.

Flawia straciła oddech. Fascynacja nowym kochankiem sprawiła, że zaczęła zaniedbywać swoje obowiązki. Szybko wyszła z pokoju.

Vibia stanęła nad Sethosem.

– Nadal potrzeba ci lekarza?

Wolno potrząsnął głową.

Kiedy tylko Flawia i Domitus wyszli z domu, Vibia pomogła Sethosowi włożyć płaszcz.

– Nie musisz dziś zakładać togi, jest już prawie ciemno. A teraz już idź!

Seth przemknął przez ogród i opuścił willę. Znał drogę do świątyni Apollina. Nie podnosił głowy i unikał kontaktu wzrokowego z innymi przechodniami. Kiedy tylko mógł, wybierał mniejsze, rzadziej uczęszczane uliczki.

Piętnaście minut później okrążył już świątynię i przemykał między drzewami w kierunku skraju polany. Zgodnie z planem Liwii mieli się spotkać pod wielkim dębem od strony lasu. Miało ich to osłonić przed wzrokiem ciekawskich. Seth opierał się o pień, modląc się do bogów, w których już nie wierzył, by Liwii się udało.

Nagle była tuż przy nim, biegnąca wśród drzew w jego stronę. Ruszył jej na spotkanie i bez tchu padli sobie w ramiona.

– Liwio... – jęknął, kryjąc twarz w jej pachnących włosach. – Moja Liwio...

Wsunęła ramiona pod jego płaszcz i otoczyła go nimi w pasie, zamknęła oczy i upajała się jego zapachem.

– Och, Sethosie, tak bardzo za tobą tęskniłam... A mamy tylko kilka minut, zanim...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Długie dni tęsknoty i nieobecności, strachu i frustracji splotły się w tym jednym momencie rozkoszy. Całował ją, przebiegając palcami po jej pięknej długiej szyi i wzdłuż cudownie zarysowanych pleców. Chciał poznać wszystkie zakamarki jej ciała, na każdym fragmencie skóry złożyć pocałunek. Przesunął ustami po jej szyi i zawahał się, gdy dotarł do wyszywanego brzegu jej jedwabnej tuniki. Nienawidził tej tuniki za to, że oddzielała ich od siebie. Pociągnął ukochaną delikatnie na ziemię, rozpinając jej płaszcz i

rozpościerając go pod nimi. A potem otulił ją ramionami i całował, wpatrując się w jej cudowne oczy, zatrzymując je w pamięci, by karmić się wspomnieniami aż do następnej skradzionej chwili.

– Sethosie – zamruczała, kiedy na chwilę oderwał usta od jej ust, by zaczerpnąć oddechu.

– Mam nowinę. Kasjusz planuje podróż w interesach do Camulodunum. Zabierze ze sobą większą część straży.

– Wtedy właśnie powinniśmy wyjechać. Znajdę sposób, by wrócić do koszar i zabrać swoje pieniądze. Mam też kilka klejnotów na łapówki...

– Sethosie, nie mogę prosić cię o to, żebyś zrobił to dla mnie. Bierzesz na siebie zbyt duże ryzyko. Będzie bezpieczniej, jeśli ucieknę sama. Mam możliwości, których ty nie masz. Jeśli nas złapią, zostaniesz wychłostany i stracony. Nie mogę pozwolić, byś ryzykował dla mnie życie.

– Liwio... Ty jesteś moim życiem. Bez ciebie moje życie jest niczym. Nie chcę go.

– Ale, pomyśl tylko, kochany! W ciągu roku albo dwóch lat zyskasz wolność. Masz oszczędności. Będziesz mógł wrócić do Koryntu, kupić ziemię, wieść spokojne życie. Jak mogę ci odebrać twoją przyszłość?

– Ty jesteś moją terażniejszością i moją przyszłością, Liwio. Proszę, nie traćmy cennego czasu na sprzeczki. Gdy tylko się dowiesz, kiedy Kasjusz wyjeżdża, prześlij mi wiadomość przez Sabinę. Powinniśmy się spotkać po zmroku, blisko portu. Największe szanse da nam dotarcie na statek handlowy zmierzający na północ. Dowiem się, ile zdołam.

– Sabina też ma wielu przyjaciół w pobliżu portu... Sethosie...

– Co takiego? Coś zobaczyłaś?

– Sygnał od Sabiny... Muszę uciekać... – Liwia przytrzymała jego twarz w dłoniach i ucałowała go ostatni raz. – Kocham cię. Nie narażaj się niepotrzebnie. Do widzenia.

Sethos patrzył, jak Liwia wchodzi do świątyni, i czekał do momentu, w którym cała grupa się oddaliła. A potem sam odszedł.

Choć nie miał wątpliwości, że tej nocy będzie musiał jeszcze zmierzyć się z Flawią, nic nie mogło przyćmić jego radości. Słyszał, że familia wróci do koszar w ciągu dwóch najbliższych dni, więc musiał jak najszybciej podjąć próbę wyciągnięcia swojej cennej szkatułki z miejsca, w którym ją ukrył. Koszary były teraz wyludnione i Seth mógł zboczyć w ich stronę w drodze powrotnej, co nie powinno potrwać długo.

Wtedy wszystko będzie gotowe do ich ucieczki. Już za dwa dni on i Liwia znów będą



razem.

# Rozdział 21

## Dryfowanie

*St Magdalene's*

*A.D. 2012*

Uświadamiałam sobie jak przez mgłę, że wyniesiono mnie z sali historii sztuki, ale nie mogłam otworzyć oczu. Teraz już się nie pocilałam -- wstrząsały mną niekontrolowane dreszcze. Nie mogłam opanować szczykania zębami. Słyszałam, jak jacyś ludzie wołają mnie gdzieś z oddali, ale moje usta nie mogły sformułować odpowiedzi, język stawał mi kołkiem. Odplynęłam.

Na krótko obudziło mnie wycie syren. Leżałam na wąskim łóżku. Coś zakrywało mi usta i nos. Czuję się bezwładna i było mi niedobrze. Czy dokądś jechałam, czy były to tylko zawroty głowy?

Wieziono mnie oślepiająco białymi korytarzami. Słyszałam tupot nóg. Brzęczenie i szczykanie odbijały się echem od ścian. Światło było zbyt jasne. Wszechogarniający zapach bólu. Walenie w głowie. Ktoś bardzo blisko mnie jęczał rozpaczliwie. A może to byłam ja?

## Rozdział 22

### Zapaść

#### *Londinium*

*A.D. 152*

Matthias był zmęczony i smutny po długiej morskiej podróży, ale szczęśliwy, że z powrotem jest w Londinium. Tu przynajmniej można było się umyć, a jedzenie było przyzwoite. I nie obawiał się nieustannie o swoje życie.

Ostatnie tygodnie były prawdziwym koszmarem. Podczas podróży trzykrotnie napadli ich barbarzyńcy i chociaż napaść na grupę gladiatorów okazała się z punktu widzenia napastników śmiertelnym błędem (żaden z barbarzyńców nie przeżył ataku), Matthias był mimo wszystko przerażony. Nie potrafił walczyć.

Jego umiejętności jako lekarza również wystawiono na poważną próbę. Ran do opatrzenia było tak wiele. I nie chodziło jedynie o rany będące wynikiem ataku barbarzyńców, ale również częściej niż zazwyczaj odnoszone przez gladiatorów na arenie. Gladiatorzy wyjeżdżali z Londinium z ciężkim sercem, przesądnie obawiając się podróży bez najlepszego wojownika. W obecności Setha wszyscy czuli, że sprzyja im szczęście. Bez niego wydawało im się, że nad wyprawą ciąży fatum. Bezwzględne żądania Tertiusa, by walczyli jak mężczyźni, były nieskuteczne w obliczu irracjonalnego lęku. Strach odbierał im zdolność koncentracji. Nie minął tydzień, a dwóch mężczyzn zostało śmiertelnie rannych, Matthias zaś nie zdołał ich ocalić.

Tertius był wściekły: zakup, wyszkolenie i utrzymanie gladiatora kosztowały dużo, równie kosztowna była więc jego utrata. Na szczęście za ich śmierć obarczył winą ich własną słabość i brak przygotowania, a nie Matthiasa.

Ich śmierć sprawiła, że Matthiasowi doskwierał brak wieści o Sethosie. Wszyscy tęsknili za Sethosem gladiatorem i modlili się o jego powrót do zdrowia, ale Matthias tęsknił za Sethem przyjacielem. Bez niego tracił grunt pod nogami.

Przez osiem ostatnich tygodni nie dostał żadnej wiadomości na jego temat. Kiedy tylko

wrócili, pierwszą rzeczą, o jaką zapytał lanistę, było to, czy wiedział coś o losach swojego ulubionego wojownika.

– Cierpliwości, Matthiasie. Posłałem po informacje do domu Natalisa. Wkrótce wszystkiego się dowiemy!

Matthias spędził popołudnie, ucierając koper i nasiona maku i sprawdzając stan swoich uszczuplonych zapasów. Zapadł już prawie zmrok, kiedy był gotów spisać listę rzeczy do zamówienia. Zapalił lampę i przystąpił do żmudnego remanentu. Dwie godziny później lampa zaczęła dymić i przygasać. Zaklął. Będzie musiał wycyganąć więcej oliwy od Brude'a, opryskliwego piktyjskiego niewolnika broniącego dostępu do zapasów łożu i oliwy. Westchnął, wziął migoczącą lampę i przygotował się do starcia.

– Można by pomyśleć, że to jego własne zapasy – zrzędził, przecinając pospiesznie arenę w drodze powrotnej do swojego pokoju.

Lampa Matthiasa rzucała teraz ciepłe jasne światło, przez co skraj areny wydawał się jeszcze bardziej mroczny i niepokojący. Dotarł już prawie do wrót, kiedy usłyszał dziwny zgrzyt. Zastygł bez ruchu i wbił wzrok w ciemność. Po chwili dostrzegł zarys sylwetki człowieka czołgającego się powoli w jego stronę. Strach zjeżył mu włosy na karku. Bał się duchów i wszelkich zjaw, a instynkt podpowiadał mu, by rzucić się do ucieczki, ale zdołał się opanować. Po chwili tajemniczy kształt zastygł w bezruchu i nie poruszył się już więcej.

Ciekawość wzięła górę i Matt ostrożnie zbliżył się do ciemnej sylwetki, wysoko trzymając lampę. Kiedy podpełzł wystarczająco blisko, zrozumiał nagle, że patrzy na pobitego, broczącego krwią człowieka. Człowieka, który umiera.

Odwrócił ciało i zachłysnął się.

– Sethos! Och, Seth, bracie... Co się stało?

Twarz Setha pokrywały siniaki i skrzepla krew. Jego powieki drgały. Próbował coś mówić.

Matt nachylił się, by usłyszeć jego słowa.

– Kasjusz... – wychrypiał.

– Kasjusz? Kim jest Kasjusz?

Oczy Setha się zamknęły. Próbował złapać oddech.

– Czy Kasjusz ci to zrobił?

Seth próbował przełknąć.

– Ona... nie żyje. Matthias... Liwia nie żyje.  
Umilkł, wstrząsany konwulsjami.

# Rozdział 23

## Gorączka

*St Magdalene's*

*A.D. 2012*

Dlaczego leżałam na śniegu? Było mi tak zimno. W moją stronę wlokły się wielkie polarne niedźwiedzie... Wstrząsały mną dreszcze, ale nie mogłam się ruszyć, a wiatr szumiał mi w uszach. Marzyłam o tym, by przestał, bo huczało mi od tego w głowie. Musiałam się stąd wydostać, ale nie widziałam drogi... Zaciskałam powieki, by ochronić oczy przed gwałtownymi porywami wiatru. Próbowałam je otworzyć. Musiałam. Nadludzkim wysiłkiem zmusiłam się do rozchylenia powiek. Nie rozumiałam tego, co widzę. W popłochu rozejrzałam się wokół siebie. Leżałam na szpitalnym łóżku połączona przewodami z dziesiątkami monitorów zapelniających pokój. Niedźwiedzie polarne pochylały się nade mną.

– Nie! – krzyknęłam, ale kiedy im się przyjrzałam, niedźwiedzie polarne skurczyły się i przyjęły kształt... lekarzy.

Potem sylwetki ponownie zmieniły kształt i przybrały postać... białych wilków... a później zniknęły. Ciemność... Biegłam... Uciekając od tego śniegu, wbiegłam w czarny tunel... Światło zgasło i otoczyła mnie ciemność. Brakowało mi powietrza. Tylko ciemność i skwar... Odwróciłam się, ale nie widziałam już drogi wyjścia.

– Niech mi ktoś pomoże! – krzyknęłam, ale nie słyszałam własnego głosu.

Rozlegało się jedynie rytmiczne pikanie... Ekran... Pikanie zaczęło się urywać... Ludzie biegali, krzyczeli, nawoływali...

– Ona ma zapaść!

Ktoś uderzył mnie w pierś, nie mogłam oddychać.

– Dobra! Dawaj 200.

– Nie ma pulsu.

– Jeszcze raz, daj mi 250.

- Migotanie komór.
- Zwiększamy napięcie, 300.
- Straciliśmy ją.

## Część II

### Parallon

Być może istnieje nieskończona liczba światów i każdym z nich rządzą odmienne prawa fizyki. Do Wielkich Wybuchów dochodzi prawdopodobnie co chwila. Nasz wszechświat współistnieje z innymi, które również się rozszerzają. Nasz wszechświat jest być może tylko bańką unoszącą się w oceanie innych baniek.

Michio Kaku, Uniwersytet Nowojorski



## Rozdział 24

### Inność

Seth biegł od strony koszar. Dlaczego nikt nie pilnował wrót? Dlaczego ulice były opuszczone? Pozostawało kwestią czasu, zanim ktoś zauważy, że go nie ma, i puści się za nim w pościg.

Gladiator był pewien siły swoich mięśni i klarowności myśli. Zgiął zranione ramię. Ani śladu po bólu. Żadnej sztywności. Spojrzał w dół... Pozostała tylko delikatna blizna.

Jak to możliwe?

Pustka wokół napełniała go niepokojem, który podnosił mu włosy na głowie. Jedynym dźwiękiem, który dobiegał do jego uszu, był szelest sandałów na żwirze i rytmiczne bicie serca.

Nic się nie zgadzało. Nic.

Czy w Londinium doszło do katastrofy?

Jego puls, zazwyczaj tak wolny i miarowy, zaczął przyspieszać.

Od tak dawna koncentrował się na przetrwaniu, że weszło mu to w krew, stając się czymś więcej niż wyuczonym odruchem – określało jego tożsamość. Przetrwanie równało się ucieczce, więc musiał biec. Gnał naprzód, mechanicznie odpychając się nogami od ziemi, niespokojnie rozglądając się we wszystkie strony.

Wiedział, dokąd zmierza. Choć trudno było uznać to za bezpieczną przystań, było to jedyne miejsce, w którym w tej chwili chciał się znaleźć.

Przed sobą widział świątynię Jupitera, co oznaczało, że był już bardzo blisko. Na chwilę podniósł wzrok i oszołomiły go marmurowe filary błyszczące w słońcu. Mury otaczające świątynny dziedziniec wydawały się delikatnie skrzyć i migotać, gdy obracał głowę. Czy nadal dręczyła go gorączka? Przyłożył dłoń do czoła. Ciepłe, ale nie gorące. Jego ciałem nie wstrząsały ból ani dreszcz.

Pobiegł naprzód, koncentrując się na obrazie górującej przed nim świątyni. W oddali nad drogą unosiła się dziwna wielobarwna poświata. To musiało być złudzenie optyczne. Zwolnił i

wrażenie minęło. Przyspieszył ponownie, aż wreszcie minął świątynię i dostrzegł zieloną łąkę schodzącą łagodnie w dół od świątynnych budynków. Poczł skurcz żołądka. Rzucił się naprzód. Oto była, miękka trawa upstrzona dzikimi letnimi kwiatami, wysokie, dające rozkoszny cień drzewa... długie, głębokie cienie w promieniach zachodzącego słońca.

Pobiegł w stronę miejsca, do którego zmierzał. Do ich dębu.

Nie znalazł jej tam. Łąka była pusta. Cisza dźwięczała w uszach. Nawet ptaki nie śpiewały. Wokół migotała cienista zieleń. Seth skulił się pod drzewem, dotykając pnia, trawy, ziemi, wszystkiego, co mogło go znów z nią związać. Nie pozostał tu jednak nawet jej ślad.

Wędrował niezmordowanie, próbując przywołać z pamięci chwile, które udało im się skraść i spędzić razem. Wszystkim, co mu pozostało, był jej obraz z ostatniego spotkania. Ten, którego nie chciał przyjąć do wiadomości. W końcu usiadł na ziemi pod drzewem i rozplakał się, odczuwając swoją samotność tak, jakby otulił go koc ze śniegu.

Musiał usnąć, bo kiedy znów otworzył oczy, panował już mrok. Był zupełnie zeszywniały. Ziemia była bezlitośnie twarda. Seth wstał i rozejrzał się wokół. Łąka materializowała się wokół niego. Przestał się poruszać i utkwil wzrok w przestrzeni przed sobą. Wszystko się ustabilizowało. Zrobił znów gwałtowny zwrot, chcąc uchwycić wrażenie świata w ruchu i rzeczywiście, kiedy przesuwiał wzrokiem po łące, drzewa wydawały się migotliwie nabierać kształtu i ostrości. Poszedł wolno do świątyni, zatrzymując się pod marmurową kolumną. Wyciągnął dłoń i dotknął jej końcami palców. Była twarda i gładka. Spojrzał na cienisty dziedziniec – pusto.

Poszedł w stronę drogi. Kiedy dotarł do wielkich wrót koszar, było już zupełnie ciemno. Nie miał pojęcia, dlaczego wrócił do własnego więzienia. Wydawało się to samobójstwem... Ale może to było właśnie jego celem? Życie straciło sens.

Jednym pchnięciem otworzył drewniane wrota i przeszedł obok areny ćwiczebnej, nie kryjąc się już w cieniu. Nie obchodziło go, czy go znajdują, ale nikt go nie ściagał. Zajrzał do własnej celi... Była taka jak w dniu, w którym ją opuścił. Seth boleśnie uświadamiał sobie dźwięk własnego oddechu, bicia własnego serca. Dźwięki, które normalnie zagłuszały kłótnie, brzękanie kajdanów, wrzaski wartowników.

Przeszedł przez wszystkie cele gladiatorów – wszystkie były puste. Udał się do komnat lanisty – również opuszczone. Zazwyczaj roilo się w nich od niewolników zajętych różnymi czynnościami: gotowaniem, sprzątaniami, kuciem, bieganiem w tę i z powrotem... Pierwszy raz w

życiu Seth miał cały budynek do swojej dyspozycji.

Kwaterna lanisty przewyższała wygodą cele zajmowane przez gladiatorów. Składały się na nią wielkie pokoje, utwardzone podłogi, kuchnia, w której nie brakowało owoców, chleba i mięsiwa. Był nawet rosół gotujący się na piecu. Seth zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jest głodny, więc wziął z półki miskę i zjadł kilka łyżek. Na sam zapach ślinka napływała mu do ust. Rozglądając się w poszukiwaniu czegoś do picia, dostrzegł na stole dzban pełen doprawionego miodem wina. Uniósł go, nalał nieco do kubka stojącego obok i wziął potężny łyk. A potem zaniósł miskę, kubek i dzban do własnej celi. Kiedy już skończył się posilać, wyciągnął się na posłaniu i próbował zasnąć, ale było zbyt cicho. Nie chciał już słuchać tego jedyne go dźwięku – własnego bijącego mocno serca – który tak boleśnie przypominał mu, że on żyje, a ona umarła.

Czy ta bezgraniczna samotność była ceną za miłość do niej? Czy też za to, że pozwolił jej umrzeć?

Niech tak będzie. Zasłużył na swój los.

## Rozdział 25

### Odbicie

– Seth?

Seth otworzył oczy. Światło poranka próbowało przeniknąć przez maleńkie okienko. Usiadł i zamrugał oczami. Matthias stał w drzwiach jego celi z zastygłą twarzą i wytrzeszczonymi oczami.

– Matthias! – Seth aż się zachłysnął, zeskoczył z posłania i rzucił się w jego stronę. – Na Zeusa, jak dobrze cię widzieć!

Próbował uściskać przyjaciela, ale Matt odskoczył jak rażony gromem.

– O co chodzi? Co się stało?

– Seth? – wydyszał Matthias. – Jak to możliwe?

Seth przełknął ślinę. Matthias nadal wbijał w niego przerażone spojrzenie.

– Matt?

– Czym ty jesteś? – wychrypiął Matt.

Seth zmarszczył brwi.

– O co ci chodzi?

– Seth... Spójrz na siebie.

Seth spojrzał. Wszystko wyglądało tak, jak tego oczekiwał. Tunika była na swoim miejscu, ręce, nogi, stopy... Zdziwiony reakcją przyjaciela milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Twoje ramię...

Seth zgiął rękę. Idealnie. Niepokój, który zdławił wczoraj, zaczął się znowu powoli przebijać do jego świadomości.

– Twoja noga...

„Noga? No tak. Świeża rana od noża”. Przesunął kciukiem po łydce – zagoiła się całkowicie.

Matt ostrożnie wyciągnął dłoń i położył ją na piersi Seta. Poczł miarowe bicie jego

serca.

– To niemożliwe, Seth. Nie powinno cię tu być. Nic nie pamiętasz? Czołgania się do koszar? Nie mogłem ci pomóc... Przystałeś oddychać, serce przestało bić! Ty... umarłeś!

Seth powoli potrząsnął głową.

Pamiętał.

Wiedział od chwili, w której obudził się wczoraj, że świat wykonał nagły, nieoczekiwany zwrot. Był taki sam – i jednocześnie zupełnie inny. Opuszczone koszary. Znajome drogi. Światło.

Migotanie.

Zmusił się teraz, by zmierzyć się z pytaniem, którego starał się sobie nie zadawać.

Nie czuł się jak trup, ale nie miał pojęcia, jak mógłby się czuć w tym charakterze.

Jeśli naprawdę był martwy – to co robił w Londinium? Czy nie powinien być teraz w Hadesie? I – co znacznie bardziej istotne – co tu robił Matthias?

Matthias krążył po niewielkim pomieszczeniu z ponurą miną.

Seth obserwował go.

Żaden z nich nie znajdował słów ujmujących chaos dręczących ich myśli.

W końcu Matt podniósł do ust dzban słodzonego miodem wina, które Seth przyniósł z domu lanisty, i wypił wszystko, co jeszcze w nim zostało.

Otarł usta grzbietem dłoni, odchrząknął i powiedział:

– Seth, myślę, że ja również jestem martwy.

# Rozdział 26

## Mroczne sny

*Londyn*  
*A.D. 2012*

Znów biegnę... Popycha mnie strach. Coś koszmarnego czai się tuż za mną, ściga mnie w ciemnościach. A w oddali otoczone światłem... jasnym... oszalamiającym... coś, co mnie przyciąga... Mrok oddycha, zagarnia mnie, odbiera mi oddech. Ciemne palce wyciągają się po mnie, sięgają... Ramiona ogarniają mnie, wiążą... nie ma ucieczki. Nie!

Próbowałam krzyczeć.

Z obolałego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Miałam coś w ustach i sięgnęłam, by tego dotknąć. Moja dłoń była ciężka, napięta skóra wydawała się ograniczać ruchy, krępować ramiona. Otworzyłam oczy.

Leżałam na szpitalnym łóżku. Ekrany popiskiwały, wszędzie plątały się przewody, jakieś rurki w moich ustach, w rękach, w nosie. Lekarze i pielęgniarki krążyli dookoła. Ale czegoś brakowało. Oszalałym wzrokiem rozejrzałam się po pokoju, próbując przypomnieć sobie tę twarz. Ból rozsadzał mi czaszkę, kiedy próbowałam pozbierać strzępy myśli, ale jedynym, co byłam w stanie przywołać, był strach. Serce biło jak oszalałe, a każdy oddech sprawiał mi ból.

– Tym razem niewiele brakowało! – powiedział jeden z lekarzy ze zmarszczonym czołem.

Dziwnie mi się przyglądał. Potem zmierzył mi ciśnienie krwi i temperaturę, coś zapisał, mamrocząc niewyraźnie do innych postaci ubranych w białe kitle i tłoczących się wokół mojego łóżka.

Zamknęłam oczy. Nie mogłam tego zrozumieć. Wymagało to zbyt wielkiego wysiłku. Pozwoliłam sobie odpłynąć w rozkoszną nieświadomość.

Kiedy ponownie otworzyłam oczy, większość przewodów zniknęła. Ze stojącego obok mnie urządzenia dobiegało rytmiczne, kojące popiskiwanie. Ktoś stał nade mną.

– Dzień dobry, Ewo!

Zamrugałam oczami.

– Jestem doktor Falana. Czy wiesz, gdzie się znajdujesz?

Rozejrzałam się. Łóżka, monitory, zielone zasłony, pielęgniarki. Odpowiedź na pytanie nie wymagała doktoratu.

– W szpitalu?

Czy ja to powiedziałam? Z mojego gardła nie wydobył się głos, lecz charkot.

– Świetnie! Tak, jesteś w szpitalu Guya. Jak się dziś czujesz?

Leżałam przez chwilę, próbując zrozumieć to pytanie. Jak się właściwie czułam?

Ból rozsadzający czaszkę ustąpił, mdłości również. Ostrożnie poruszyłam nogami. Potworny ból kończyn zniknął. Gardło było obolałe i zdarte. Miałam wrażenie, jakby ciężarówka przejechała mi po klatce piersiowej, ale poza tym...

– Świetnie! – rozpromieniłam się i usiadłam.

Zakręciło mi się w głowie, ale po chwili nieprzyjemne wrażenie minęło.

Lekarz potrząsnął głową.

– Jestem hematologiem od piętnastu lat i nigdy nie widziałem, by stan chorego pogarszał się równie szybko jak u ciebie i by równie szybko ten organizm wracał do zdrowia.

Wracać do zdrowia. Podobała mi się ta fraza.

– A zatem najgorsze za mną?

– No cóż... Z pewnością twój stan znacznie się poprawił...

– Ale co to było? Jakaś dziwna grypa?

– Hm... Coś w tym rodzaju...

Lekarz niepewnie uciekł wzrokiem w stronę drzwi. Wyglądał, jakby jak najszybciej chciał wyjść.

– A więc grypa?

Nie patrzył mi w oczy. Żołądek skurczył mi się ze strachu.

– Jest coś, o czym mi pan nie mówi?

Odchrząknął, a ja przygotowałam się na przyjęcie najgorszej wiadomości.

– No cóż, prawdę mówiąc, Ewo, nie mamy bladego pojęcia...

– Och, proszę dać spokój!

W obronnym geście wysunął dolną szczękę.

– Symptomy wskazywały na zakażenie jakąś zjadliwą bakterią albo wirusem, ale wyniki badań krwi były... tak odbiegające od normalnego wzorca, że nie mogliśmy się nimi posłużyć.

– Odbiegającego od wzorca? Czy to jest jakiś medyczny termin określający fuszerkę laboranta?

Lekarz gwałtownie uciekł spojrzeniem w bok. Boże, miałam rację!

– W tej chwili w laboratorium prowadzone jest już dochodzenie. Na obronę jego pracowników powiem, że chyba nigdy wcześniej nie udało im się wypuścić tak absurdalnego zestawu danych.

– Ale co właściwie chce mi pan powiedzieć? Że wasze laboratorium nawaliło i nie wiecie, co mi jest?

– Na pocieszenie mogę powiedzieć, że ostatnie badania krwi wykazują całkowitą nieobecność jakichkolwiek infekcji.

– To chyba dobrze, prawda?

– Tak! Doskonale... Chociaż ostatniej nocy...

– Ostatniej nocy?

Zagryzł wargi i wbił wzrok w podłogę.

– Ostatniej nocy? – powtórzyłam nagłoco.

– No cóż, ostatniej nocy... nastąpiła zapaść. Tak naprawdę my...

Boże, czy on nie potrafił normalnie dokończyć zdania?

– Tak naprawdę ty...

– Co?

– Więc my przez chwilę sądziliśmy, że cię straciliśmy...

Z wysiłkiem przełknęłam ślinę.

Podszedł krok bliżej i delikatnie uniósł moje powieki, zaglądając mi w oczy latarką.

– Twoi rodzice...

– Moi rodzice?

– Czekają na zewnątrz...

O nie.

– Twoja matka zapewniała nas, że otrzymałaś wszystkie zalecane szczepienia i nie miałaś kontaktu z żadnymi rzadkimi chorobami tropikalnymi.

W miarę jak mówił, coraz szerzej otwierałam oczy. Rzadkimi chorobami tropikalnymi?



Tak naprawdę zetknęłam się z czymś bardzo niespotykanym... w szkolnym laboratorium biologicznym. Nagle wszystko mi się przypomniało z niezwykłą ostrością: dziwne mnożące się jak szalone nitki... rozlana zawartość fiolki... Profesor wirusologii...

– A zatem przyczyną mógł być wirus? – wychrypiałam.

– Cokolwiek to jest – było – to niemożliwe, aby to był wirus. W wynikach krwi nie widać podwyższonego poziomu przeciwciał. Tak potężny wirus miałby znaczący wpływ na obraz krwi. I chociaż jesteś po chorobie znacznie osłabiona, wszystkie organy wydają się funkcjonować prawidłowo. To wszystko nie ma sensu.

Kiedy doktor Falana przeglądał notatki, mój umysł zaczął pracować na przyspieszonych obrotach. To nie miało sensu, ale za dużo było zbiegów okoliczności, by je zlekceważyć.

A zatem z czym miałam styczność? I jeśli to nie był wirus, to co to było, do cholery? Czy profesor Ambrose znał rozmiary zagrożenia? A jeśli znał, to dlaczego mnie przed tym nie ostrzegł? W chaos moich myśli wkradł się znajomy głos.

– Ewo! Jak się czujesz?

– Mama?

Stała tuż obok mojego łóżka, wyglądając pięćdziesiąt lat starzej.

– Tak się baliśmy!

Rzuciła okiem na drzwi, w których stał Colin. Sprawiał wrażenie człowieka znajdującego się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji.

Sprawa musiała być bardzo poważna, skoro ściągnęła tu Colina.

– Czy Ted też tu jest? – zapytałam ostrożnie.

– Nie... Został w domu.

– Od jak dawna tu jesteście?

Nagle uświadomiłam sobie, że sama nie mam pojęcia, od jak dawna tu jestem.

– Zadzwonili ze szkoły wczoraj po południu z informacją, że przewieziono cię do szpitala, a kiedy dotarliśmy, sądziłam już, że jest... za późno. Wszystko stało się tak nagle. I do tego wydaje się, że oni nie znają przyczyn tego wszystkiego. Dzięki Bogu, że czujesz się lepiej – powiedziała, niezręcznie mnie poklepując.

Pokiwałam głową.

– A więc zachorowałam wczoraj?

– Byłaś chora dokładnie dwanaście godzin, tak myślę. – Mama patrzyła na mnie

nadspodziewanie ciepło. – Zabieramy cię do domu, żebyś wydobrzała.

Do domu? Z Colinem i Tedem? Nie ma mowy. Nie byłam na to gotowa.

– Mamo, naprawdę nic mi nie jest. Mam mnóstwo pracy... Zbliżają się egzaminy próbne.

Z uśmiechem pokiwała głową.

– Nie rozumiem cię, Ewo. Większość dzieciaków w twoim wieku dałaby się pokroić za kilka dni wolnych od szkoły.

– Znasz mnie, mamo... Zawsze byłam dziwna – wymamrotałam.

Przyszła pielęgniarka, żeby zmierzyć mi ciśnienie krwi, co uratowało mnie od dalszych niezręcznych rozważań o mojej najbliższej przyszłości.

## Rozdział 27

### Objawienie

Matt i Seth powoli przemierzali arenę ćwiczebną. Żaden z nich się nie odzywał, bo żaden nie mógł się zdobyć na odwagę ujęcia w słowa myśli, które dopiero zaczęły kiełkować w ich głowach.

W końcu odezwał się Seth.

– Rozumiem, że nie powinno mnie tu być, Matt... Że powinienem nie żyć. Pamiętam obrażenia, gorączkę... wszystko. Ale ja naprawdę nie mogę być martwy.

– Dlaczego? -- zapytał zupełnie zwyczajnie Matt.

– Bo ty tutaj jesteś, bracie! -- Seth poklepał go po ramieniu.

Matt zatrzymał się i odwrócił w jego stronę.

– Straciłeś przytomność na arenie. Próbowalesz doczołgać się z powrotem do koszar. Pamiętasz?

Oczywiście, że pamiętał. Chociaż nie potrafił zmusić się do przywoływania z pamięci pozostałych wydarzeń tamtego wieczoru.

– Zanieśliśmy cię do celi. Majaczyłeś... wstrząsały tobą dreszcze, już wtedy byłeś bardziej martwy niż żywy. Pokryty krwią, cały posiniaczony, miałeś połamane żebra, ślady ciosów nożem na klatce piersiowej, złamaną szczękę, złamany nos... Ramię uległo przemieszczeniu i wcześniejsza rana znów się otworzyła. No i jeszcze miałeś to potwornie głębokie cięcie na nodze. Byłem na ciebie wściekły, że naraziłeś się na kolejne obrażenia. Oczywiście zacząłem zmywać całą tę krew... Rany były nabrzmiące od trucizny... robiłem ci gorące okłady z siemienia lnianego... napary, które miały zbić gorączkę, ale żaden z moich medykamentów nie działał. W ciągu kilku godzin gorączka wzrosła tak bardzo, że nie miałeś siły nawet samodzielnie obrócić głowy. W końcu chwyciłem się ostatniej deski ratunku. Ostatni raz podjąłem próbę upuszczenia krwi z okolic ran...

– Do czegoś ta gorączka się przydała -- nie musiałem świadomie znieść kolejnego

upuszczania krwi. – Seth się uśmiechnął.

– Nawet pozbawiony świadomości robiłeś wszystko, żeby się od tego wymigać – warknął Matt. – Rzucałeś się tak bardzo, że nóż mi się obsunął i skończyło się na tym, że zafundowałem upuszczanie krwi samemu sobie!

Uniósł rękę. Nie było na niej ani śladu zranienia.

– No to posmakowałaś własnej terapii – zachichotał Seth.

– Może doznałeś jakiegoś wstrząsu... Nie wiem. Ale zaraz przestałeś się rzucać. Nagle leżałeś nieruchomo. I wtedy zrozumiałem dlaczego... Przestałeś oddychać. Siedziałem tam i próbowałem przyjąć do wiadomości, że już po tobie. Pamiętam, że myślałem, iż powinienem pójść i powiedzieć komuś, że nie żyjesz... ale nagle poczułem zaskakujące ciepło w lędźwiach i światło nagle jakby pojaśniało. Pomyślałem, że może ktoś wniósł do celi płonącą pochodnię. Rozejrzałem się, ale w pokoju było pusto... Pomyślałem więc, że może to dusza opuszcza ciało. Ale to przejmujące ciepło odczułem we własnym ciele. Wstałem i nagle dopadły mnie potworne zawroty głowy. Dowlokłem się do własnej celi i rzuciłem na posłanie, kompletnie wyczerpany. Niewiele więcej pamiętam... Tylko ból, mdłości i to uczucie gorąca. A potem obudziłem się tutaj.

Seth powoli pokiwał głową. Uważał, że Matt prawdopodobnie ma rację.

Obaj byli martwi.

## Rozdział 28

### Elizjum

Matt i Seth siedzieli w kuchni lanisty, pijąc wino i pogryzając chleb i oliwki.

– Myślisz, że to jest właśnie Elizjum? – zastanawiał się na głos Matt.

Seth potrząsnął głową.

– A jeśli gorączka tak nas oszołomiła, że przepłynęliśmy rzekę Lete, nie zauważywszy tego?

– Czy to wygląda jak Elizjum? Gdzie są łąki, nimfy i nieustająca muzyka? Nie, Matt – to jest Londinium. A w każdym razie miejsce bardzo do niego podobne.

– A może nie znaleźliśmy jeszcze łąk i nimf? Daleko nie szukaliśmy...

Nagle Seta aż zatkało. Zeskoczył z posłania i niemal wyważył drzwi, pospiesznie wychodząc z pomieszczenia.

– Dokąd idziesz? – krzyknął za nim Matt.

– Odnaleźć Liwię! – odkrzyknął Seth. – Nie wiem, co to za miejsce, ale jeśli my jesteśmy martwi, to ona też musi gdzieś tu być.

Przebiegł przez wrota koszar i rzucił się szeroką drogą prowadzącą do centrum miasta. Świt już wstawał, ogarniając miękką poświatą wielkie ciche domy i małe zamknięte stragany. Seth minął dwa zajazdy i łaźnię... i nagle się zatrzymał. Zaniepokoiło go coś w widoku łaźni. Właściwie wszystko było inne. Nie ta wysokość, nie ten kolor. Gdzie podziały się kolumny strzegące wejścia? Czym były te dziwne lustrzane panele pokrywające fronton? Dlaczego ten budynek był taki wysoki? Seth poczuł, że serce zaczyna walić mu w piersi jak oszalałe.

Podszedł do budynku i potarł go koniuszkami palców. Mienił się delikatnie jak wszystko, ale w dotyku był twardy. Ostrożnie kroczył naprzód, minął trzy kolejne budynki, których nie rozpoznawał, i poszedł w stronę forum. Zachłysnął się ze zdumienia. Zamiast forum z jego otwartym placem i bazyliką wyrastała przed nim ogromna przedziwna budowla. Nie tylko upiornie błyszcząca, ale jeszcze odbijała niebo.

Seth z niedowierzaniem wbił w nią wzrok. Stanowiła zaprzeczenie wszystkich zasad architektury rządzących budynkami, z którymi zetknął się do tej pory. Nie wydawała się ani stabilna, ani zrównoważona. Jak to możliwe, że utrzymywała się w pionie? Ilu niewolników potrzeba było, by ją wznieść?

I co tutaj robiła?

Ścisnęło go w żołądku. Jeśli nie mógł odnaleźć forum, to czy uda mu się odnaleźć Liwię? Odwrócił się od dziwacznej budowli i pobiegł w kierunku domu Natalisa.

Sethos zatrzymał się z poślizgiem. Znalazł willę Natalisa, która wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał, błyszcząca we wschodzącym słońcu.

Na podwórku jednak nie było niewolników. Nikt nie wyszedł, by wyjaśnić kwestię pojawienia się niespodziewanego obcego gościa. Seth przeszedł na wprost przez główne drzwi, prosto do pokoju, w którym Liwia zwykła siedzieć u jego łóżka. Zamknął oczy, przypominając sobie jej obecność i marząc o jej powrocie. Nie zjawiała się jednak.

Przebiegł przez cały dom, trzaskając drzwiami, odciągając zasłony w rozpacz, przekonany, że jeśli będzie szukał wystarczająco żarliwie, ona się pojawi.

Tak się jednak nie stało.

Seth nie chciał się poddać. Przekonanie, że ona musi gdzieś tu być, w tym dziwnym życiu po życiu, popychało go nieustannie naprzód. Kiedy już trzykrotnie przebiegł dom i ochrypl od nawoływania ukochanej, postanowił sprawdzić duży ogród na tyłach. Wyglądał tak, jak go zapamiętał. Z przyciętych gałęzi niewielkich drzew zwieszały się ciężkie dojrzałe owoce. Warzywa i rozmaite zioła rosły w równych rzędkach po jednej stronie, pachnące kwiaty po drugiej. Ale Liwii tam nie było.

Gładiator zaczął gnać ulicami, które nie wydawały się już znajome. Chociaż niektóre utrzymały zdecydowanie rzymski charakter, inne okalały gigantyczne błyszczące struktury, które odcinały dostęp porannego światła. Jak Seth miał tu kiedykolwiek znaleźć Liwię?

Powoli zaczynała ogarniać go niema rozpacz, ale silne nogi wciąż niosły go szybko w kierunku najbardziej eleganckiej ulicy Londinium.

„Wille godne cezara” – pomyślał Seth z wściekłością.

Wiedział, której szuka. Tej, która w ostentacyjny sposób złotymi figurami orłów podkreślała zamożność swojego właściciela – pałacu prokuratora Kasjusza Malchusa. To tam

Kasjusz zabrał Liwię. Oddech Setha stał się szybszy, a w piersi zapłonął mu gniew.

Ten pałac przyprawiał go o dreszcze. Seth znajdował pocieszenie w myśli, że nadal stał w tym samym miejscu, niezastąpiony przez żaden inny budynek. Czy to możliwe, by Liwia była w środku?

Chociaż nikogo do tej pory nie zauważył, ukrył się w cieniu i wspiał po wysokich schodach na wielki, otoczony filarami podwórzec wejściowy. Ostrożnie wyciągnął dłoń i zdecydowanym pchnięciem otworzył drzwi, które lekko zaskrzypiały.

Sethos wsunął się do środka i zagwizdał cicho przez zęby, rozglądając się jednocześnie dookoła. Liwia dokładnie mu wszystko opisała, ale nadal robiło to na nim duże wrażenie. Wilę zbudowano wokół ogromnego, centralnie położonego, skąpanego w słońcu atrium. Efekt potęgowały ściany i kolumny zbudowane z białego, błyszczącego, wypolerowanego marmuru. Na turkusowej mozaikowej podłodze odcinały się wizerunki złotych ptaków skrzące się w promieniach słońca.

Wewnątrz atrium znajdowała się duża rzeźbiona fontanna otoczona ławkami spoczywającymi na kamiennych lwich łapach. Starannie przystrzyżone śródziemnomorskie drzewa owocowe rosły w rogach i w tym jasnym świetle całość przypominała Sethowi rodzinne strony. Z głębi serca przeklął Kasjusza. Jakby nie był winien wystarczająco wielu zbrodni!

Nagle na zewnątrz rozległy się kroki. Sethos poczuł przyływ adrenaliny.

Kasjusz?

Sethowi nie przyszło do głowy, by uciekać lub się ukryć. Po śmierci Liwii niczego bardziej nie pragnął niż spotkania z Kasjuszem. Wyciągnął sztylet zza paska, a pierś unosił mu szybki oddech człowieka czekającego na rozwój wydarzeń. Spędził na arenie wiele lat, ale nigdy do tego stopnia nie przepelniało go pragnienie walki. Wściekłość zjeżyła mu włosy na karku. Stał twarzą do drzwi, spięty i gotowy do skoku.

Kiedy tylko drzwi się otworzyły, gladiator rzucił się na przybysza.

– Seth! Co ty robisz? – wydyszał Matt.

Na szczęście Seth miał szybki refleks. Wylądował jak kot tuż obok przyjaciela. Sztylet gotów przeszyć wroga zastygł na gardle Matthiasa.

– Strasznie cię przepraszam! -- wysapał Seth, rozluźniając się i cofając nóż.

Pozostawił niewielki ślad na skórze Matta, po którego szyi spłynęła cienka strużka krwi.

– Na Zeusa! Jedna śmierć mi wystarczy! – zaburczał Matthias i wyprostował się.

Seth jednak tylko patrzył na gardło przyjaciela. Cięcie, którego przed chwilą stał się mimowolnym sprawcą, goiło się na jego oczach. Już po chwili nie pozostał po nim najmniejszy ślad.

Gdzie oni się znajdowali?

Seth natychmiast odwrócił ostrze sztyletu i rozciął sobie skórę na całej długości przedramienia.

– Czy ty postradałeś rozum? – wrzasnął Matthias i wyciągnął dłoń, żeby go powstrzymać.

– Patrz tylko, Matt.

Seth miał nadzieję, że cięcie będzie bezbolesne, ale nie było. Kiedy krew zaczęła ściekać z ramienia i skapywać na mozaikową podłogę, zaczął już wątpić w swoją teorię, ale nie odrywał wzroku od rany. Po chwili skóra wokół cięcia zaczęła się ściągać i w ciągu kilku sekund rana całkowicie się zagoiła. Na skórze nie pozostał nawet ślad.

– Na Herkulesa! – wyszeptał Matt, zastygły bez ruchu i wpatrzony w rękę Setha.

Nagle zaczął się śmiać, wiwatować i skakać dookoła. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co to oznacza? Jesteśmy nieśmiertelni! Staliśmy się podobni bogom!



## Rozdział 29

### Wybawienie

*St Magdalene's*

*Grudzień A.D. 2012*

Siedziałam na brzegu szpitalnego łóżka i czekałam. Konsultant oficjalnie wypisał mnie dziesięć minut temu i rozpaczliwie pragnęłam jak najszybciej opuścić to miejsce. Po milionie testów krwi, rozlicznych EKG, obrazowaniu magnetyczno-rezonansowym i tomografii komputerowej miałam już zdecydowanie dość. Personel szpitala nie chciał jednak pozwolić mi wyjść. W każdym razie musiałam czekać na przyjazd kogoś, kto miał mnie odebrać.

Tym kimś była Rose Marley, szkolna pielęgniarka. Odwiedziła mnie już kilka razy i wydawało mi się, że jest w porządku. Naprawdę w porządku.

Kiedy tydzień temu wspomniałam jej, że wolałabym wrócić do szkoły niż do domu, obrzuciła mnie zagadkowym spojrzeniem, ale nie zadała ani jednego niewygodnego pytania. Podejrzewam, że błagalny wyraz moich oczu pozwolił jej zrozumieć poziom desperacji, choć nie wspomniała o tym ani słowem.

Wzięła na siebie przekazanie tej wiadomości mojej matce.

– Ach, dzień dobry. Zapewne pani Koretsky, prawda? Miło mi panią poznać.

– Tak naprawdę mam na nazwisko Brewer... Jane Brewer. Powtórnie wyszłam za mąż.

Rose Marley rzuciła mi dyskretne spojrzenie i przeprosiła mamę za niezamierzoną pomyłkę.

– Och, bardzo przepraszam, pani Brewer, musiałam przeoczyć tę informację w dokumentach Ewy.

Bo jej tam nie było. Udzieliłam szkole minimum informacji na temat mojej rodziny.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, jaka to dla pani ulga widzieć, że stan Ewy tak bardzo się poprawił – kontynuowała niezrażona.

– No cóż, tak. To ogromna ulga – odpowiedziała moja matka.

– My w St Magdalene’s również bardzo się cieszymy. Ogromnie się niepokoiłiśmy. Ewa jest tak niezwykle utalentowana...

Moja matka sprawiała wrażenie osoby, która znalazła się w niezręcznej sytuacji. Najwyraźniej moja niezwykłość nie była dla niej przejawem jakiegokolwiek talentu.

– No cóż, tak...

– Dyrektor szkoły tak bardzo niepokoił się stanem zdrowia Ewy, że zasugerował, by spędziła kilka pierwszych tygodni po wyjściu ze szpitala w skrzydle medycznym pod moją opieką. Jeśli doszłoby do jakiegokolwiek nawrotu choroby, moglibyśmy natychmiast podjąć konieczne działania – przecież od szpitala dzieli nas zaledwie dziesięć minut... i to od szpitala, który ma najlepszy w hrabstwie oddział hematologiczny. Czy to nie szczęście, że mamy tak doskonałą lokalizację?

Zaskoczona wbiłam spojrzenie w Rose Marley. To zdecydowanie wykraczało poza jej obowiązki. Skrzydło medyczne? Dlaczego miałabym tam przebywać? A może był to wybieg, który miał przekonać moją matkę, by się ode mnie odczepiła? Na pewno. Doskonała strategia. W tej sytuacji moja matka nie powinna się upierać, żebym jechała razem z nią aż do Yorku. Jak mogłaby do tego stopnia narażać moje życie?

Myślę, że gdybym choć przez minutę wierzyła, że moja matka naprawdę chce mnie zabrać do Yorku, by mnie doglądać, mogłabym czuć coś na kształt wyrzutów sumienia, ale na jej twarzy dostrzegałam wyłącznie ulgę. Była bezgranicznie wdzięczna Rose Marley za wzięcie za mnie odpowiedzialności. I ja również... Nie będę musiała znosić Colina ani Teda. Wracalam do szkoły. Po tym niewielkim, ale jakże ważnym zwycięstwie mój szacunek wobec Rose Marley był przeogromny.

Teraz, kiedy siedziałam na szpitalnym łóżku, zastanawiając się nad swoją wielką ucieczką, usłyszałam dźwięk, na który czekałam. Rose Marley, stojąc na końcu korytarza, ucięła sobie pogawędkę z pielęgniarkami przy kontuarze. Podniosłam niewielką torbę z rzeczami osobistymi i ruszyłam jej na spotkanie.

Udało mi się przejść zaledwie kilka kroków, zanim musiałam oprzeć się o ścianę. Jak to możliwe, że po dwunastu krokach dostawałam zawrotów głowy? Osunęłam się na podłogę i włożyłam głowę między kolana. Nie czułam się dobrze. Miałam nadzieję, że pielęgniarki są tak pogrążone w rozmowie, że żadna z nich mnie nie dostrzeże.

Byłby to nadmiar szczęścia. Zanim udało mi się podnieść, silne ramiona wciągnęły mnie

na wózek inwalidzki. Najbardziej irytujące było to, że wstrząsana mdłościami nie mogłam nawet zaprotestować.

Wózek został popchnięty do karetki. Największym koszmarem był przejazd mojego wózka inwalidzkiego z karetki do skrzydła szpitalnego przez dziedziniec St Magdalene's. Co za upokorzenie. Co gorsza, nie miałam siły się kłócić.

Czy Rose Marley przez cały czas wiedziała, że nie jestem w tak dobrej formie, jak mi się wydawało? Zachowywała się tak, jakby taka słabość była normalna. A przez dwa tygodnie byłam beznadziejnie słaba. Pomagała mi przejść pod prysznic i z powrotem, pomagała mi nawet przy jedzeniu, kiedy nie miałam siły trzymać widelca.

Przebywanie z Rose w skrzydle szpitalnym okazało się zaskakująco kojącym doświadczeniem. Może dlatego, że pielęgniarka była tak swobodna w obejściu... A może zadziałała atmosfera tego miejsca... wyjątkowy błękit ścian – uroczy bladzi ciemnoniebieski – który wydawał się znajomy i pocieszający. A może czułam ulgę, że w moim pokoju nie pachniało tak bardzo szpitalem? No dobrze, na ścianie znajdował się dzwonek alarmujący pielęgniarki, a obok łóżka stał stolik z medycznym osprzętem – rękaw do mierzenia ciśnienia, miseczka na wypadek mdłości, butla z tlenem, stojak na kroplówkę. Nad łóżkiem wisiało jednak kilka uroczych szkiców Raoula Dufy'ego. I jeszcze to wielkie okno wychodzące na dziedziniec. Do tego przyzwoitej wielkości biurko, lampa, laptop i bezprzewodowy internet. Czego więcej chcieć?

Powoli odzyskiwałam siły. W drugim tygodniu chodziłam już na poranne zajęcia, a w trzecim – zdarzało mi się zaliczać również popołudniowe. Irytujące było to, że wyczerpanie utrudniało koncentrację, więc moje zobowiązania na tym cierpiały, ale Rose powiedziała, że do swojej listy umiejętności muszę dodać cierpliwość.

– Phi! – prychnęłam w odpowiedzi.

Uszczęśliwiało mnie przebywanie w towarzystwie kogoś, kto traktował mnie tak, jakby nic się nie stało, bo kiedy chodziłam na zajęcia, wszyscy zachowywali się tak, jakbym była jakąś niebezpieczną substancją chemiczną na granicy samoczynnego wybuchu. Nauczyciele nieustannie pytali, czy dobrze się czuję, sugerowali, że ich zajęcia mogę opuścić, i ze sztucznym entuzjazmem witali wszelkie moje osiągnięcia. Uczniowie notorycznie chcieli nosić za mną torbę i przynosić mi lunch. Było to nawet wzruszające, ale nienawidziłam uwagi, którą na siebie w ten sposób ściągałam. Poczułam więc ogromną ulgę, kiedy w końcu udało mi się pójść na wszystkie

zajęcia danego dnia, i powoli zapominano o moim bliskim spotkaniu ze śmiercią.

Pod koniec trzeciego tygodnia opuściłam skrzydło szpitalne i wróciłam do własnego pokoju. Byłam mniej więcej gotowa wejść w normalny szkolny rytm: lekcje, zajęcia uzupełniające, ćwiczenia zespołu, a nawet próby *Hamleta*. Profesor Kidd wyszkolił dublerkę, ale wydawał się zadowolony z tego, że wróciłam. Nie mogłam w to uwierzyć.

Wyglądało więc na to, że wszystko wróciło do normy.

Co nie było prawdą.

Nie pokazywałam po sobie, jakim wstrząsem były dla mnie te dni w szpitalu. Coś się we mnie zmieniło...

Nawet teraz, pięć tygodni po wyjściu ze szpitala, stale czułam się zmęczona i osłabiona. Byłam przekonana, że Rose ma rację – należało po prostu nauczyć się cierpliwości. Przyrzekłam sobie jednak, że kiedy tylko odzyskam energię, rozpocznę badania nad tym cholernym wirusem.

# Rozdział 30

## Dom

– Musimy nazwać to miejsce.

Seth i Matt leżeli na ziemi na arenie ćwiczebnej i patrzyli w gwiazdy. Żyli tu od tak dawna i nadal nie znaleźli odpowiedniej nazwy.

– Londinium? – zaproponował sarkastycznie Seth.

– Obaj wiemy, że to nie jest Londinium – odparł niezrażony Matt. – Nadal sądzę, że jesteśmy w Elizjum.

– Daj spokój, Matt! – wyrzucił z siebie Seth. – Elizjum jest przeznaczeniem dobrych ludzi, bohaterów...

– Ty jesteś bohaterem! Nigdy nie widziałem waleczniejszego gladiatora...

– Matt! Bohater wygrywa wojny i walczy w szlachetnej sprawie. Nie jest wytatuowanym niewolnikiem, walczącym na ringu jak zwierzę.

– Można walczyć godnie na arenie.

– Nie, Matt, nie można. Pragnąłem tylko jednej szlachetnej walki... ale odmówiono mi jej. Matt spojrzał na niego pytająco.

– Walki, w wyniku której pozbawiłbym świat Kasjusza Malchusa.

Matthias westchnął. Dlaczego Seth nie potrafił się odnaleźć w tym nowym świecie? On sam powitał go z otwartymi ramionami – każdego dnia objawiały się nowe dziwy.

– Seth, Seth, popatrz na to!

I Seth musiał przyglądać się cierpliwie, jak Matt stał przed stołem i zaczynał marzyć o pojawieniu się wieczornej uczy. Wszystko, o czym tylko Matt pomyślał, pojawiało się niemal natychmiast. Pieczone kurczaki, bochny chleba, ciastka ryżowe, zupy, rosół... dzbany wina, puchary trunków...

Najpierw było to jedzenie, później odzienie, obrazy na ścianach, zwoje, leki... Podczas gdy Matt spędzał dni na tworzeniu, Seth niezmordowanie szukał Liwii, biegał i ćwiczył. Nie

potrzebował partnerów do ćwiczeń. Wbił pal na arenie i ćwiczył na nim ciosy i parady. Codziennie stawiał sobie nowe wyzwania w bieganiu, badając swoją prędkość i wytrzymałość. Gdyby się nie ruszał, rozpacz by go zabiła. Biegając, nigdy nie przestawał szukać Liwii wzrokiem.

Zaczął określać pewne części tego świata jako ich: ich świątynia, ich koszary, ich arena. Nie czuł się tak swobodnie, biegając po obcych kwartałach. Wznoszące się w nich budynki wydawały mu się groźne i niesamowite. Nie rozumiał, z czego wykonane są ich elewacje. Nie rozumiał również ich rozmiarów i przeznaczenia. Omijał je więc szerokim łukiem... Aż do dnia, w którym zdecydował się stawić czoło rzece.

Od przybycia tutaj omijał Tamizę – nad nią właśnie ostatni raz widział Liwię żywą i nie miał siły, by się z tym zmierzyć. Czas jednak płynął i skończyły mu się miejsca, które mógłby przeszukać. Wiedział, że nie może już dłużej unikać Tamizy.

Minął ostatni róg i oto była, błyszcząca w promieniach słońca. Seth spochmurniał. Rzeka wyglądała inaczej – jakby zmaląła. Może dlatego, że otaczały ją teraz nieznajome, wysokie budynki? Powodowany jakimś odruchem wszedł w cień błyszczącego budynku, obok którego stanął. Czy coś usłyszał?

Chyba tak, bo kilka chwil później ze stojącego nad wodą budynku wyszło trzech mężczyzn.

Ludzie.

A zatem byli tu inni.

Serce zabiło Sethowi mocniej. Może widzieli Liwię?

Ale czy go rozumieją? Czy rozpoznają w nim niewolnika? Seth zaklął – jego tatuaże natychmiast go zdradzą. Gdyby choć miał na sobie płaszcz. Jeszcze zanim wyraził tę myśl do końca, poczuł na ramionach delikatną wełnę – spojrzał na siebie i ujrzał, że ma sobie wierną replikę płaszcza, który pożyczała mu Vibia. Uśmiechnął się do siebie. Zapomniał już, że potrafi to robić.

Pozostał jednak w ukryciu. Jeśli było coś, czego nauczyły go długie lata niewolnictwa, to była to ostrożność. Z miejsca, w którym się znajdował, mógł niezauważony słuchać i obserwować.

Trójka nieznajomych podeszła do brzegu rzeki i spojrzała na wodę. Jeden z nich zaśmiał się i coś pokazał. Mieli na sobie dziwne, wyglądające nieznajomo stroje – ręce i nogi okryte były

całkowicie tkaniną, choć dzień był bardzo gorący. Jeden z nich miał brodę.

„Może jest Grekiem?” – pomyślał Seth z nadzieją. Większość Rzymian, z którymi się zetknął, gładko goliła policzki.

Podkraść się bliżej, by uchwycić fragmenty rozmowy. Mówili w języku, z którym nigdy się nie spotkał. A zatem to nie Grecy. Skąd mogli pochodzić?

Kiedy obserwował ich z ukrycia, najwyższy z trójki mężczyzn podniósł nagle wzrok i spojrzał, jak się wydawało, wprost na niego. Seth instynktownie odwrócił się i uciekł.

Kiedy dotarł do swojej celi, splotał potem i dusił się z pragnienia. Nalał sobie właśnie wody do kubka i przełykał ją z wdzięcznością, kiedy do celi w podskokach wpadł Matthias.

– Czas się ruszyć.

– Śledzili mnie? – wydyszał Seth i rzucił się do okna.

– Śledzili? A kto miałby cię śledzić?

Seth uważnie obrzucił wzrokiem arenę, wypatrując poruszenia.

– Trzech mężczyzn...

– Jakich trzech mężczyzn?

– Obok rzeki. Widziałem ludzi...

– Są tu inni? – Matt był wniebowzięty.

– Nie wydaje mi się, żeby mogli być do nas przyjaźnie nastawieni.

Matthias stanął obok niego przy oknie.

– No to mamy kolejny powód...

– Powód do czego?

– Żeby się ruszyć. Znalazłem dla nas inne miejsce. Żyjemy tu jak niewolnicy, ale teraz jesteśmy wolni. Musimy się ruszyć.

– Tutaj jest mi dobrze – powiedział Seth, podszedł do stołu i wylał sobie na głowę resztkę wody.

– Bracie, może tobie się wydaje, że to twoje miejsce, ale mnie nie. Nie urodziłem się po to, żeby żyć jak zwierzę – i ty też nie.

– Żyłem jak zwierzę tak długo, że zapomniałem, iż można żyć inaczej.

– Seth... Teraz to wszystko nie ma już znaczenia.

– To ma znaczenie, Matt. To po prostu ciąg dalszy. Dzień, noc – nic się nie zmieniło. Mój ból nie zniknął. Rozejrzyj się – wszędzie wokół pustka... Przecież to rozumiesz?

– Nie rozumiem tego, Seth, naprawdę. Kiedy się rozglądam, widzę cały wachlarz możliwości. Zwłaszcza jeśli, jak twierdzisz, są tu inni... Jak długo mamy pozostawać w ciemnościach? Jak długo będziesz oplakiwał tę dziewczynę?

– Nigdy nie przestanę...

– Na krew Apollina, Seth! Ona odeszła! Ale ty nadal żyjesz.

– I co z tego, Matt? Kim ja jestem? Nie jestem już Sethosem, Koryntczykiem, nie jestem również Sethosem Leontisem, zdobywcą dziewięciu wieńców laurowych. On skonał w koszarach gladiatorów. Nie wiem, kim ani czym jestem teraz, ale nie jestem już tą samą osobą...

Matthias potrząsnął głową i postawił swojego przyjaciela na nogi.

– Chodź.

Przeciągnął Seta przez wielkie drewniane wrota koszar w kierunku zachodniego krańca miasta. Rzymskie budynki, które znali, stopniowo się rozplywały. Seth rozejrzał się wokół siebie. Ten fragment krajobrazu nie został zdominowany przez dziwne, obce budynki... Właściwie nie było tu nic. Było pusto: ziemia i niebo bez charakteru. Matthias się uśmiechnął.

– Już prawie jesteśmy.

– Prawie jesteśmy gdzie? – wymamrotał Seth, rozglądając się dookoła z irytacją.

Przeszli jeszcze kawałek i stopniowo na horyzoncie pojawił się niewielki gaj oliwny. Listki drgały delikatnie na wietrze. A tuż za drzewami błyszczał ogromny biały budynek.

– Przyjacielu – to tutaj!

– A co to jest?

– Nasz nowy dom!

Stali przed, no cóż, pałacem... okazałe zdobionym pałacem.

– Co masz na myśli?

Matthias nie odpowiedział, lecz pociągnął swojego przyjaciela przez zdobne kolumnami wejście do marmurowego atrium. W centrum znajdowała się fontanna, po której obu stronach stała para błyszczących marmurowych figur.

Seth obszedł je w milczeniu i nagle zaczął chichotać. Coś, czego nie robił od... sam nie pamiętał od jak dawna.

– Ile dodałeś sobie wzrostu?

– Oj, może kilka centymetrów! I co o tym sądzisz? Dobrze oddałem podobieństwo?

– Biorąc pod uwagę, że obaj wyglądamy jak bogowie...



– No i co w tym złego? – wyszczerzył się Matthias. – Tutaj jesteśmy bogami. A teraz chodź i zobacz nasz plac do ćwiczeń! Nie zapomniałem o niczym!

Popchnął Seta na otwartą przestrzeń znajdującą się po jednej ze stron pałacu. Z detalami odtworzył arenę w koszarach. Jedyne podłoże było gładziej, pale nowsze, broń służąca do ćwiczeń czysta i błyszcząca.

Seth uśmiechnął się.

Matthias wyczuł, że atmosfera zelżała, chwycił go za ramię i ruszył do pałacu.

– Poczekaj tylko, aż zobaczysz swoją komnatę!

Stąpali cicho po pięknych mozaikowych podłogach, mijając bujne wewnętrzne ogrody porośnięte wszystkimi gatunkami drzew i krzewów z ich ojczystych stron, o jakich kiedykolwiek rozmawiali, łaźnię z zimną i gorącą wodą, wygodną jadalnię i miejsca odpoczynku i w końcu dotarli do dwóch par drewnianych rzeźbionych drzwi.

– Twój pokój jest po lewej.

Komnata była przestronna, z wielkim łóżkiem na jednym końcu. Okno i drzwi zasłaniały ciężkie kotary przypominające Seta pokój, w którym przebywał w willi Natalisa. Piękny, bolesny, pusty...

Seth potrząsnął głową, klepnął Matthiasa po ramieniu i się wycofał. A potem odwrócił się i pobiegł przed siebie.

– Co się stało? Jak coś ci się nie podoba, to możemy to zmienić. Hej, poczekaj!

Nikt jednak nie mógł dogonić uciekającego Seta.

# Rozdział 31

## Starcie

*Londyn*

*A.D. 2012*

– Ziemia do statku, Koretsky. Jest tam kto?

Podskoczyłam, jakby mnie ktoś uszczypnął. W drzwiach stała Astrid z rękami założonymi na piersiach.

– Boże, Astrid! Co ty tu robisz?

– Przepraszam? Co ty tutaj robisz?

Spojrzałam na zegarek. O nie! Próba naszego zespołu zaczęła się pół godziny temu.

– Astrid, strasznie przepraszam! Dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Dzwoniłam. Jakies dwadzieścia razy.

Telefon wrzuciłam do torby. Wyciszony. O rany. Dwadzieścia jeden nieodebranych połączeń.

– Nie zdecydowałam się jeszcze, czy mam być wściekła, bo zapomniałaś o naszej próbie zajęta jakąś pracą, czy czuć ulgę, że nie znalazłam twojego trupa na podłodze... Myślę, że zwycięży wściekłość.

– Tak sądziłam – powiedziałam, po czym zamknęłam laptopa i poszłam za Astrid. – Już wiele tygodni temu powinnaś mnie wyrzucić z zespołu. Nie zasługuję na to.

– To prawda. Niech ci się nie wydaje, że nie szukałyśmy zastępstwa.

Rzuciłam jej szybkie spojrzenie. Uśmiechała się szeroko.

Prawda była jednak taka, że byłam dość bezużyteczna. Odkąd wróciłam ze szpitala, prawie nie ćwiczyłyśmy, a nasze próby trwały dwa razy krócej niż normalnie.

Jak się jednak okazało, tego wieczoru udało nam się nie przerywać próby przez dwie godziny. Kiedy dogorywałam w szpitalu, Astrid napisała kilka nowych świetnych piosenek, których melodie były dokładnie w tonacji mojego głosu, więc ich zaśpiewanie nie wymagało ode

mnie wielkiego wysiłku. Przepracowałyśmy mnóstwo nowego materiału i wyszłam ze skrzydła muzycznego wyczerpana, ale w euforycznym nastroju. To mogło oznaczać tylko jedno. Byłam coraz silniejsza, co było mi bardzo na rękę, bo miałam co robić.

Astrid myliła się co do jednego. Nie pracowałam, kiedy przyszła. No, przynajmniej nie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Prowadziłam badania...

Nad wirusami.

Musiałam się dowiedzieć, co takiego obserwowałam z profesorem Ambrose'em, ponieważ byłam prawie pewna, że cokolwiek to było, prawie mnie zabiło.

Jeśli wziąć pod uwagę, że był wirusologiem, założenie, że obserwowaliśmy wirus, wydawało się rozsądne, choć nie mogłam sobie dokładnie przypomnieć, czy profesor jednoznacznie powiedział mi, że to był właśnie wirus.

Tak czy inaczej, od wielu dni intensywnie szukałam nietypowych wirusów.

Musiałam przegrzebać się przez tysiące wirusów, wiele naprawdę nieprzyjemnych, i trudno było zorientować się, od czego zacząć poszukiwania tego właściwego. Zaczęłam więc od objawów: gorączka, ból głowy, zapaść, mdłości, wymioty. Trochę udało mi się wyeliminować.

Drugim czynnikiem, który wydawał się istotny, był kształt.

Wiedziałam, że wirusy miały różne kształty. Większość miała budowę kulistą, niektóre były kuliste, ale miały ostre wypustki, ale żaden nie przypominał nitek, nie wspominając o nitkach z kolcami.

Dlatego właśnie, kiedy trafiłam na wirus Ebola, wiedziałam, że mam do czynienia z bardzo poważnym kandydatem. Objawy prawie idealnie odpowiadały moim i choć nie dostrzegłam żadnych kolców, wirus kształtem przypominał nitkę. Próbowałam właśnie uzyskać powiększenie obrazu wirusa, kiedy w drzwiach stanęła Astrid. W tych okolicznościach trudno się dziwić, że straciłam poczucie czasu.

To oznaczało, że chociaż próba była naprawdę świetna, marzyłam o powrocie przed ekran.

Poczekalam do ciszy nocnej, wpakowałam się z laptopem do łóżka i włączyłam go.

Przewijając stronę do informacji o wirusie, nagle poczułam dreszcz przechodzący mi po kręgosłupie... śmiertelność pomiędzy 50 a 89 procent.

To naprawdę paskudny wirus, co dodatkowo przemawiało na jego korzyść jako potencjalnego rozwiązania zagadki. Kształt co prawda nieco się różnił, ale może była to kwestia

innej skali?

Ale dlaczego profesor Ambrose miałby zajmować się wirusem Ebola? Dlaczego chciał mi go pokazać? Dlaczego nie powiedział mi, co właściwie mi pokazuje?

Bezmyślnie przewijałam stronę, kiedy nagle aż podskoczyłam. Serce zabiło mi mocniej, gdy przeczytałam:

*...ten niszczycielski, zjadliwy wirus może mieć niezwykle krótki okres inkubacji...*

Szybko przesunęłam dalej:

*...pierwsze objawy mogą wystąpić w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od zakażenia, chociaż okres inkubacji może trwać do dwudziestu jeden dni.*

Czterdzieści osiem godzin do dwudziestu jeden dni? O wiele za długo. Rozchorowałam się w ciągu dwóch godzin od zarażenia.

A zatem wirus Ebola nie wchodził w grę. Jak wszystkie inne wirusy, które zdołałam znaleźć. Tempo rozprzestrzeniania się wirusa, które widziałam na płytce, nawet zwolnione pięćset razy, znacznie przekraczało wszystko, o czym czytałam w literaturze.

Przejrzałam kolejnych trzydzieści wirusów, ale żaden z nich nie pasował do poszukiwanego profilu.

Dopiero kiedy zorientowałam się, że amorficzne kształty mające mi przed oczami to już nie wirusy na ekranie, ale plamy na wewnętrznej stronie moich powiek, uznałam, że pora zgasić światło i pójść spać.

## Rozdział 32

### Koniec

Seth biegł na oślep, byle dalej od Matthiasa i jego błyszczącej iluzji pałacu, aż wreszcie nogi poniosły go do świątyni Jupitera i ich łąki. Jego i Liwii.

To był błąd. Poczul się bardziej samotny niż kiedykolwiek. Oparł się o kolumnę świątyni, zapatrzył na trawę i wypełniło go takie poczucie osamotnienia i straty, że z rozpaczy zaczął walić głową o marmur. Ból przyniósł mu ulgę, krew, która spłynęła po policzku, była prawdziwa... Zamarł i patrzył tępo na zbryzgany krwią kamień. Patrzył tak długo, aż krew zaczęła znikać. A potem powiódł wzrokiem wzdłuż kolumny aż do jońskiego kapitelu. Powyżej trzonu kolumny znajdował się fryz, a powyżej fryzu – gzyms.

Seth zaczął się wspinać. Marmur był gładki, ale rzeźbienia dały jego palcom i stopom oparcie. Wkrótce chwiał się na szczycie budynku, obejmując wzrokiem miasto poniżej. Z oddali widział koszary i arenę kulące się między wysokimi obcymi konstrukcjami. Za koszarami rozróżniał fort, ale dalej nie było już nic, tylko słońce i ziemia. Przeniósł wzrok z powrotem na miasto. Czy widział nowy dom Matta i zadrzewiony ogród stojące dumnie w swej samotnej chwale? Nagle w promieniach słońca coś błysnęło. Serce zabolalo Setha ostro i mocno, kiedy przypomniał sobie błysk bransoletki Liwii, ale potem zrozumiał, skąd wziął się złoty refleks... Był to jeden ze złotych orłów zdobiących willę Kasjusza.

Gładiator warknął z nienawiścią. Ponownie ogarnęła go rozpacz. Skoczył.

Spadanie było radosne. Ale upadek na ziemię już nie. Jego ciało rozdarł ostry ból. Na chwilę mężczyzna stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, rozciągnięty u stóp świątyni, był zdezorientowany. Zaczął się zastanawiać, czy w końcu nie znalazł się w Elizjum.

Cichy, wymuszony śmiech sugerował jednak coś zupełnie innego. Seth usiadł i stwierdził, że patrzy prosto w twarde, kryształowoszare oczy wysokiego nieznajomego, od którego uciekł wcześniej.

Sekundę później gladiator zerwał się na nogi, przyjmując sztywną pozycję obronną, która

była znakiem rozpoznawczym jego stylu walki jako gladiatora.

Obcy wzdrygnął się i cofnął o krok.

– Kim jesteś? – zapytał Seth, nadal gotów do walki.

Obcy spochmurniał.

– Kim ja jestem?

Seth zauważył, że mężczyzna mówił po łacinie z silnym, dziwnie znajomym akcentem.

Nastąpiła krótka przerwa, kiedy starali się wzajemnie wyczuć. A potem nieznajomy oparł się o jeden z filarów i powiedział:

– Jestem Zackary. Ale przejdźmy do rzeczy: kim ty jesteś?

– Jestem Sethos Leontis z Koryntu.

– Przybyłeś tu z Koryntu? – zdziwił się Zackary.

– Nie, z Londinium.

Zackary powoli pokiwał głową.

– A jak się tu dostałeś?

Seth wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Zackary przypatrywał mu się w skupieniu, pocierając szczękę.

– Co to za miejsce? – zapytał Seth cicho.

Zackary nie spuszczał z niego zmrużonych oczu.

– Parallon – powiedział w końcu.

– Parallon?

Zanim Seth mógł zadać kolejne pytanie, Zackary podjął:

– I nie powinno cię tu być.

– Nie pchałem się tutaj – odparował Seth z goryczą. – Dałbym wszystko za możliwość opuszczenia tego miejsca.

– Naprawdę wolałbyś śmierć od tego wszystkiego? – zapytał zaskoczony Zackary.

– Owszem.

– No cóż, skakanie z budynków nie zbliży cię do celu! Jak ty niewiele jeszcze wiesz...

Seth w głębi serca to czuł. Pozwolił jedynie, by nadzieja na chwilę przeważała nad głosem rozsądku. Nie odpowiadała mu rola szczeniaka besztanego przez tego mężczyznę, więc odwrócił się, zbierając się do odejścia. Wtedy Zackary chwycił go za ramię.

– Mogę ci pomóc – powiedział.

– Nie, nie możesz – wysyczał Seth, strząsając jego rękę.

– Naprawdę chcesz z tym skończyć?

Seth odwrócił się ku niemu w desperacji.

– No to dawaj. Lepszego momentu nie będzie.

Seth niechętnie poszedł za Zackarym zakurzoną rzymską drogą, przez niezbadane ulice ocienione wyglądającymi nieznajomo budynkami, aż w końcu znaleźli się w pobliżu rzeki. Tym razem nikogo tu nie było. Gladiator podążył za Zackarym schodami, aż w końcu stanęli tuż nad brzegiem. Zackary zrobił jeszcze kilka kroków i przywołał Seta.

– Teraz musisz tylko skoczyć – rzucił nonszalancko, prowokując Seta.

Niewolnik spojrzał na niego sceptycznie.

– Przrzekam! – powiedział Zackary. – Jeśli naprawdę tak mocno kochasz swoją śmiertelność, jak ci się wydaje, nie będziesz rozczarowany.

Seth popatrzył na wodę. Nad jej powierzchnią unosiła się delikatna mgiełka, za którą majaczył przeciwległy brzeg. Podejmując decyzję, nie uświadamiał sobie, że wieje lekki wiatr. Czuł tylko delikatny przeblysł nadziei. Zdjął sandały i skoczył.

Nie próbował płynąć. Jego ciało miało tak silne odruchy samozachowawcze, że powstrzymanie go od działania wymagało ogromnego wysiłku, ale kilka sekund po tym, jak znalazł się w wodzie, poczuł, jak coś przemożnie ciągnie go na dno. Jakaś część jego umysłu była zaskoczona. Nie spodziewał się tego. Sądził, że może mieć trudności z powstrzymaniem się od unoszenia się na powierzchni, ale teraz odkrył, że nie ma szans w starciu z tą siłą. Siła ciągnąca go w dół znacznie przekraczała ciężar ubrania czy jakiegokolwiek podwodny prąd i kiedy tak Seth kręcił się i obracał, zorientował się, że dostał się w dziwny wir wciągający go na dno.

Kiedy wraz z wodą płynął w dół, zrozumiał. Śmierć. Przeżywał ponownie własną śmierć, drżąc i spływając potem. Ostry ból rozdzierał każdą kość, każdy mięsień, każdy nerw. Nie mógł krzyczeć, nie mógł oddychać, nie mógł uciec, mógł jedynie znosić własne ciało... rzuć, skreć, unicestwiane... I nagle ból zniknął... A on się unosił.

Czy zatem wreszcie ostatecznie umarł? Czy w końcu odnalazł drogę do podziemnego świata?

Nie. Odnalazł drogę powrotną na powierzchnię wody i uderzył o drugi brzeg rzeki.

Przeklął nieznajomego Zackary'ego, wydobył się z wody i otrząsnął, po czym

zdezorientowany wbił wzrok w niebo. Powinno być popołudnie, ale wydawało się, że jest później. Cienie były długie jak pod wieczór. Rozejrzył się wokół. Wszystko było znajome, a jednak nie takie, jak powinno być: mosty, łodzie – wszystko mniejsze od tego, co zapamiętał. Otaczał go zgiełk... Smród palonego mięsa i zdechłych ryb. Ludzie wokół niego krzyčeli, biegali i targowali się. Psy szczekały. Budowniczoie uderzali młotami. Gdzie się podziała ta cicha błyszcząca pustka – jak nazwał to Zackary – Parallonu? Tu wszystko było głośne i irytujące.

Londinium. Znalazł drogę powrotną do Londinium. Dziwnego i zapewne nieprzyjaznego. Zapomniał już niemal o tym dławiącym strachu towarzyszącym mu wówczas, gdy był zbiegłym gladiatorem, ale nagle stał tu, otoczony obywatelami i żołnierzami. I każdy z nich gotów był pochwycić zaginionego niewolnika. Musi być ostrożny.



## Rozdział 33

### Powrót

Seth usunął się w cień. Czekał i obserwował. Kiedy zmierzch nad Londinium przeszedł w mrok, był gotów ruszyć. Nie miał jednak pewności, co powinien zrobić ani gdzie pójść. Czuł się słaby i niezdolny do podjęcia decyzji. Spojrzał na swoją moką tunikę i nagie stopy i zaczął się zastanawiać, dlaczego wcześniej nie odczuwał zimna, tylko odrętwienie. Kusilo go, żeby po prostu zostać tam, gdzie był, ale w końcu zrobił to co zawsze – ruszył do koszar.

Strażnicy przechadzali się przed wielkimi wrotami jak zawsze, co było potwierdzeniem, że rzeczywiście znalazł się w Londinium. Jeśli wszystko było tak jak zwykle, kolejna warta stała po drugiej stronie wrót. Seth kręcił się w cieniu po drugiej stronie, starając się opracować plan. Nie myślał jasno. Miał ochotę położyć się i zasnąć. Osunął się na ziemię, ale nie poczuł pod sobą zimnego twardego kamienia. Był oszołomiony, ale wiedział, że musi zachować czujność.

Chciał dostać się do własnej celi. Nie miał pewności, dlaczego to właśnie musiał zrobić, szczególnie że każda komórka jego ciała domagała się powrotu nad rzekę. Wystarczająco długo walczył z odruchami własnego ciała, by pokonać również tę pokusę. Zaśmiał się cicho i ponuro: nigdy nie wyobrażał sobie, że pewnego dnia będzie próbował włamać się do własnego więzienia. Teraz już nie miał wątpliwości, że jest szalony.

W końcu wyczekał na właściwy moment. O tej godzinie następowała zmiana warty. Usłyszał trzech nowych strażników idących przez arenę w kierunku wrót. Lada chwila wrota się otworzą. Było ciemno, a on był zwinny. Postara się prześlizgnąć między nimi jak kot, z nadzieją, że nie zauważą.

Wrota otworzyły się i Seth przemknął między mężczyznami. Dobrze ocenił sytuację. Żaden z nich nie wyczuł jego obecności. Ostrożnie przemknął przez arenę ćwiczebną w kierunku swojej celi. W koszarach panowało wielkie poruszenie – ludzie biegali w tę i z powrotem, rozlegały się podniesione w sprzeczkach głosy, ktoś gwizdał, kilku mężczyzn walczyło. Seth rozpoznał Telemacha niosącego ręczniki i miski i ruszył za nim w dyskretnej odległości.

Telemach zmierzał prosto do celi Setha, w której zniknął. Seth dogonił go i zajął przez drzwi i niemal krzyknął.

W mroku patrzył na siebie samego leżącego na posłaniu, jęczącego, wstrząsanego gorączką. Aureliusz klęczał nad nim, wachlując go wielkim płóciennym prześcieradłem, a Telemach, skulony obok posłania, ocierał strugi potu z ciała, którego właściciel nie był świadom żadnego z tych zabiegów.

– Tym razem on nie przeżyje, prawda? – wyszeptał Aureliusz do Telemacha.

Zanim Telemach miał szansę odpowiedzieć, pojawił się blady i posępny Matthias.

– Jakież zmiany?

– Z każdą minutą jest gorzej. Już nie wymiotuje, ale oddycha z wysiłkiem i ma bardzo podwyższony puls. Nie wydaje mi się...

– Co ci się nie wydaje, Aureliuszu? Że potrafisz utrzymać go przy życiu? No to wyjdź! Daj mi go powachlować i wyjdź.

– Matthiasie – odezwał się spokojnie Telemach – jesteś zmęczony, musisz odpocząć.

– Nie potrzebuję odpoczynku. Upuszczę mu jeszcze krwi... może tym razem trucizna wypłynie. Telemachu, możesz przytrzymać lampę...

Seth naprawdę nie chciał tego oglądać – robiło mu się słabo i niedobrze. Wiedział doskonale, co się stanie, więc osunął się po framudze i usiadł na ziemi. Ten wysiłek wyczerpał jego siły. Instynkt pchał go do rzeki, ale wola przeciwstawiała się temu zdecydowanie – musiał zostać. Zerknął w stronę łóżka. Z tego miejsca widział twarz Matthiasa pochylonego nad jego ciałem i pracującego. Poczł nagły przypływ troski i wyrzutów sumienia, kiedy tak patrzył na twarz przyjaciela, skoncentrowanego na wykonywanym zadaniu, walczącego o jego życie. Nie spodziewał się tak silnej reakcji ze strony swojego drugiego ja, kiedy Matthias zanurzył nóż w pobliżu starej rany na ramieniu. Patrzył, jak jego nadzwyczaj mocne, nieświadome ciało rzuca się gwałtownie, miska z krwią rozbija się na podłodze, a nóż trafia w lewą rękę Matthiasa.

– Na Zeusa! – syknął Matthias, podnosząc zranioną dłoń do ust.

Oderwał pasek tkaniny ze stosu prześcieradeł na stole i owinał sobie ranę. Miał już wrócić do upuszczania krwi, kiedy leżące teraz twarzą w dół ciało westchnęło, wzdrgnęło się i zastygło bez ruchu.

– Seth? – wyszeptał Matthias.

Ciężki oddech ucichł.

– Seth! – krzyknął, podnosząc ciało do światła i przykładając ucho do nieruchomej klatki piersiowej. – Seth! Nie zostawiaj mnie! – jęknął i delikatnie ułożył ciało na posłaniu.

Telemach ruszył w stronę Matthiasa i położył dłoń na jego ramieniu.

– On odszedł. Jest już w lepszym świecie.

Matthias nie odpowiedział. Klęczał nad ciałem swojego przyjaciela, nie odrywając od niego wzroku.

Po chwili Telemach wyszedł z celi, czego Matthias nie zauważył. Seth patrzył na swego zrozpaczonego przyjaciela, aż w końcu nie mógł znieść tego widoku. Stał na nogi i powoli podszedł do Matta. Dzieląca ich odległość wydała się nagle ogromna, a trud jej pokonania niemal przekraczał jego możliwości.

– Matt – powiedział.

Jego głos był najwyraźniej niesłyszalny.

Seth wyciągnął dłoń, chcąc dotknąć Matthiasa, ale nie poczuł pod palcami jego tuniki. Spojrzał na swoją rękę i osłupiał. Była jedynie półprzezroczystym wspomnieniem zarysu – jakby on sam został wymazany. Dotyk musiał być jednak odczuwalny dla Matthiasa, który drgnął i nagle obrócił twarz w stronę Seta, wytrzeszczając oczy, jakby próbował wypatrzeć coś w ciemnościach.

– Seth? – wyszeptał i wyciągnął rękę, jak gdyby chciał go dotknąć.

Gladiator patrzył z przerażeniem, jak ręka Matthiasa przechodzi przez jego ciało. A potem Matt zatoczył się w stronę drzwi, jakby nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa.

– Pozwól sobie pomóc! – krzyknął Seth, ale słowa ponownie zawisły w powietrzu. Nie towarzyszył im żaden dźwięk.

Poszedł za Mattem do jego celi i patrzył, jak przyjaciel rzuca się na posłanie. Ogarniała go już gorączka. Seth osunął się na kolana i obserwował z przerażeniem, jak Matt, miotany bólem, zaczyna się rzucać i trząść.

– Pomocy! Telemach... Aureliusz! – krzyknął Seth, ale oczywiście nikt się nie pojawił.

Nikt go nie słyszał.

Usiadł przy łóżku Matthiasa i patrzył, jak jego przyjaciel umiera. Żal i otępienie przytłumiły potrzebę powrotu nad rzekę, do Parallonu. Potem, w napadzie majaków, Matt wyjęczał jego imię.

– Jestem tutaj! – odpowiedział Seth, choć nie miało to sensu.

Matthias nie mógł go usłyszeć, już nigdy go nie usłyszy... poza Parallonem.

Parallon. W otępiątym umyśle Setha pojawiła się mglista myśl. Spróbował się skoncentrować. Powinien podjąć próbę powrotu. Matt będzie na niego czekał. I nagle, pierwszy raz, zdał sobie sprawę z tego, że Matt go potrzebuje. Przepelniał go żal z powodu ucieczki od przyjaciela. Jeśli nie wróci, Matthias zostanie całkiem sam.

Seth był jednak bardzo zmęczony. Słaby.

„I ty nazywasz siebie wojownikiem? – uderzyła go myśl wyrażona przez jakiś świadomy fragment jego jaźni. – Wstawaj i rusz się”.

Zebrał wszystkie siły i zwał się. Od wysiłku dostał mdłości i zawrotów głowy, ale parł przed siebie niezmordowanie. Wyszedł z koszar. Miał wrażenie, że jego czas ucieka. Przemierzał arenę, kiedy usłyszał za sobą pospieszne kroki. Odwrócił się w ostatniej chwili, by dostrzec, że Aureliusz zmierza tą samą drogą co on. Zanim zdołał temu zapobiec, Aureliusz już przez niego przenikał. Oszołomiony, przez chwilę oddychał ciężko. Aureliusz po prostu prześlizgnął się przez niego, nie napotykając oporu. Był teraz równie nienamacalny jak powietrze. Potykając się, Seth ruszył przed siebie i dotarł do wrót w chwili, w której Aureliusz i strażnicy zaczęli rozmawiać.

– Sethos nie żyje!

– Był dzielnym wojownikiem. Będzie go brakowało w naszej rodzinie.

– Kobietom też.

Aureliusz przytaknął smutno, a potem ruszył z wiadomością do lanisty, więc ominęła go pozostała część przyciszonej rozmowy strażników.

– Czy myślisz o tym samym co ja?

– Myślę, że to bardzo interesujące, iż Kasjusz Malchus wycofał swoje udziały w Sethosie Leontisie dziś rano.

Seth warknął. Kasjusz Malchus. Człowiek, którego nienawidził ponad wszystko. Nie wiedział, że Kasjusz inwestował w jego sukcesy. Myśl o tym, że jego zwycięstwa na arenie przysparzały Kasjuszowi pieniędzy i władzy, napęłała go takim gniewem, że jego płomień popchnął go naprzód. Nie pozwolił sobie na to, by odejść, słaby i niepomszczony.

Wzmocniony tym postanowieniem rzucił się w stronę strażników. Przeniknął między nimi i dalej przez wrota, nie wzbudzając nawet zawirowań powietrza. Potem zmusił nogi do marszu, sięgając do ostatnich rezerw energii, by w nim nie ustać. Półprzytomny dotarł w końcu

do rzeki. Modląc się, by nie było za późno, rzucił się w jej nurt.

## Rozdział 34

### Światło

Seth otworzył oczy i poczuł, że jego ciało obija się o twardą powierzchnię. Rozejrzał się zdezorientowany i niechętny zachłysnął się rzeczną wodą. Kaszląc i trzęsąc się, wypełził na brzeg. Drżał z zimna, wyczerpany i ociekający wodą. Gdzie wylądował tym razem? Było mu zbyt zimno, by mógł normalnie funkcjonować, więc usiadł na chwilę, próbując zebrać myśli.

W końcu pojawiła się sensowna myśl: „Muszę się wysuszyć”. Natychmiast poczuł miły dotyk świeżej i suchej tuniki, a na ramionach ciężar ogromnego, ciepłego, wełnianego płaszcza. Wiedział, że dotarł do Parallonu.

Nie znalazł sandałów, które zsunął wcześniej, więc stworzył sobie nową parę, którą od razu włożył. Gdy zapinał sprzączki, zauważył z ulgą, że jego ręce wydawały się teraz całkowicie materialne. Nie czuł się komfortowo jako niewidzialny cień i teraz z wdzięcznością myślał o tym, że mógł wrócić.

Gotów był stanąć przed Matthiasem. Kiedy jednak wstał, by pójść przed siebie, usłyszał głosy.

Śmiechy. Bezszelestnie przemknął w górę po schodach nad brzegiem rzeki. Skulił się w cieniu wielkiego budynku i wtedy ich zobaczył. Naliczył jedenastu ludzi siedzących przy okrągłych białych stołach na drewnianym tarasie. Na każdym stole stało migoczące światełko. Pili z przezroczystych naczyń, rozmawiając w dziwnym języku, który Seth słyszał ostatnim razem. Uśmiechali się.

Między nimi krążył Zackary, potakując, śmiejąc się i słuchając. Seth podpełzł bliżej. Poczul się jak żebrak podglądający przez okno rodzinne przyjęcie. Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy ci ludzie przynależeli do tego miejsca... z wyjątkiem niego. Czy Zackary nie powiedział czegoś podobnego wcześniej? Kim był Zackary? I skąd wiedział aż tyle o tym świecie? Seth obiecał sobie znaleźć odpowiedzi na te pytania.

W końcu Zackary ziewnął, pomachał grupie, z którą rozmawiał, i poszedł w stronę

błyszczącej wieży sięgającego chmur budynku. Bez zastanowienia Seth ruszył chyłkiem za nim.

Obserwował z cienia, jak Zackary pokonał trzy stopnie do wielkiego wejścia i stanął przed imponującymi czarnymi drzwiami. Nie pchnął ich jednak, lecz na gładkiej powierzchni z zaznaczonymi guzikami obok nich wyrysował wzór palcami. Drzwi się rozsunęły i Zackary zniknął za nimi. Czy Seth mógł za nim pójść? Czy powinien?

Co właściwie miał do stracenia?

Zackary nie stanowił dla niego fizycznego zagrożenia. Był szczupły i słabo umięśniony. Ale fizyczna sprawność w Parallonie miała niewielkie znaczenie. Seth starał się nie analizować zbyt dogłębnie rosnącego przekonania, że Zackary dzierży tu jakąś władzę, znacznie przewyższającą czysto fizyczną siłę gladiatora.

Przez chwilę przestępował niepewnie z nogi na nogę. Czy mógłby przesunąć się niezauważony między stolikami? Uznał, że ma spore szanse, więc wybrał moment hałaśliwego rozbawienia i bezszelestnie przemknął przez taras w stronę stopni prowadzących do drzwi. Drzwi były zamknięte.

Znalazł panel, którego dotykał Zackary, i postukał w niego. Nic. Dostrzegł wyrysowane na guzikach symbole. Jakiś kod wejściowy? Zaczął przypadkowo naciskać guziki, ale drzwi się nie otwierały. Zamknął oczy, próbując przywołać z pamięci to, co dokładnie zrobił Zackary. To był jakiś wzór. Przy trzeciej próbie odtworzenia go drzwi nagle wydały się z siebie długi, niski dźwięk i otworzyły się szeroko. Seth rzucił się naprzód i drzwi z szumem zamknęły się za nim.

Stał w białym holu wejściowym. Na ścianach wisiały kolorowe, prostokątne obrazy. Po lewej stronie znajdowały się drzwi, a na wprost schody.

Gladiator stał przez chwilę bez ruchu i nasłuchiwał. Gdzie był teraz Zackary? Seth usłyszał nad sobą bardzo ciche wytłumione kroki. Doskonale. A zatem nie groziło mu to, że za chwilę zostanie przypadkowo odkryty. Nie miał pojęcia, czy znajdował się tu jeszcze ktoś oprócz niego i Zackary'ego, ale musiał zbadać wnętrze tego budynku.

Bardzo cicho popchnął drzwi po lewej i westchnął ze zdumienia. Nie widział nigdy niczego przypominającego tę kakofonię kolorów i wynalazków, którą właśnie zobaczył. Wielką prostokątną powierzchnię ożywiały poruszające się obrazy i wzory. Po jego obu stronach znajdowały się dodatkowe niewielkie powierzchnie – ciemne i nieruchome. Pod przeciwległą ścianą stały dwa długie białe stoły, na których ustawiono kilka dużych cylindrycznych instrumentów wokół dwóch kolejnych płaskich powierzchni. Trzecią ścianę pokrywały kolorowe

przyciski mrugające obok srebrnych skrzynek.

Seth stanął w drzwiach, obserwując w milczeniu to, co widział przed sobą.

Nagle nogi poniosły go przed siebie. Kolory i ruch na wielkiej płaskiej powierzchni przed nim przyciągały go z magnetyczną siłą. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Patrzył w chłodnym zdumieniu, jak jego ręka wyciąga się do przodu, by dotknąć lustrzanej powierzchni. Kiedy tylko palce jej dotknęły, w całej dłoni poczuł nieoczekiwane ciepło, które powędrowało w górę ramienia i rozeszło się po ciele. Nie – nie ciepło... gorąco. Palące gorąco... Nieznośne gorąco. Pokój zachwiał się i zawirował. Seth zamknął oczy, próbując się oderwać, ale palce przywarły mu do nieznanej powierzchni. Przez głowę przelatywały mu miliony obrazów i dźwięków, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu nie mógł już za nimi nadążyć, nie mógł oddychać, nie mógł wchłonąć w siebie już nic więcej... Ktoś krzyczał i nagle jego głowa eksplodowała oślepiającym bólem... Stracił przytomność.



# Rozdział 35

## Aleje ślepców

*Londyn*  
*A.D. 2012*

Kiedy na biologii profesor Franklin zaczęła mówić o nietypowej reakcji monocytów, zaczęłam się nagle zastanawiać, czy nie umknęło mi coś istotnego. Prawdę mówiąc, byłam potwornie sfrustrowana. W poszukiwaniu mojego wirusa zaliczałam jedno pudło za drugim, a nie byłam przyzwyczajona do tego rodzaju porażek. Prowadziłam poszukiwania metodycznie i skrupulatnie. Przeczesałam wszystkie instytuty badawcze świata. Coś musiałam przeoczyć. Zawsze gdy objawy i kształt wirusa wydawały się pasować, dwugodzinny okres inkubacji okazywał się nie do przeskoczenia.

Nawet Instytut Medycyny Biochemicznej w Hongkongu, gdzie prowadzono niewiarygodne badania nad sensacyjnymi (i dość przerażającymi) wirusami, nie miał mi nic do zaoferowania. Było to szalenie irytujące, jeśli wziąć pod uwagę, ile czasu zajęło mi włamanie się do ich systemu.

Gdzie zatem był mój wirus?

Jeszcze raz rzuciłam okiem na tablicę. Profesor Franklin rysowała diagram typowej reakcji immunologicznej. System odpornościowy był jedną z rzeczy, która naprawdę zainteresowała mnie mikrobiologią, kiedy miałam jedenaście lat. Bardzo podobała mi się koncepcja tej mikroskopijnej armii dokładającej wszelkich starań, by obronić swój świat (mnie) przed najazdem obcych. Gdy już odkryłam, ile mikroskopijnych prac te komórki mają do wykonania, jeszcze mocniej mnie to oczarowało.

Reakcje systemu odpornościowego nadal pod wieloma względami mnie fascynowały. Kiedy więc patrzyłam, jak profesor Franklin rysuje swoje limfocyty T i monocyty atakujące rozprzestrzeniające się zakażenie, nagle zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie dostrzegłam żadnej reakcji obronnej, kiedy razem z profesorem Ambrose'em oglądałam proces zakażenia pod

mikroskopem. Żadnej aktywacji limfocytów T, żadnej reakcji makrofagów i zdecydowanie żadnej reakcji monocytów.

Podniosłam rękę do góry.

– Pani profesor, czy tempo rozprzestrzeniania się infekcji może zdławić reakcję układu odpornościowego?

– Wydaje mi się, że wszystkie rodzaje infekcji wywołują taką czy inną reakcję układu odpornościowego, Ewo. Jak wiesz, limfocyty wyczuwają atak i ruszają na spotkanie najeźdźcy. Jeśli infekcja rozprzestrzenia się zbyt szybko, oczywiście obrońcy mogą zostać obezwładnieni, ale zawsze zostaje ślad w postaci podwyższonej liczby białych krwinek w trakcie infekcji i po jej zakończeniu.

Podczas ataku, który obserwowałam, wszystkie te zasady zostały złamane. Był tak celowy, tak zaplanowany, skoncentrowany, tak dokładnie wymierzony...

– Pani profesor – zaczęłam raz jeszcze – a jeśli podczas infekcji zostaną zaatakowane same limfocyty T – czy to mogłoby zneutralizować reakcję immunologiczną?

– Taki podstęp? Sprytne. Uderzenie uprzedzające na komórki obronne... Hm... Tylko jeden ze znanych mi wirusów bierze na cel komórki T...

Wstrzymałam oddech.

– Wirus HIV.

Westchnęłam. Miałam pewność, że mój wirus nie przypominał w niczym wirusa HIV.

HIV nie był zatem jedynym sprytnym wirusem.

Zadzwoił dzwonek. Koniec zajęć, koniec dnia pracy. Spakowałam książki, zastanawiając się, czego mogłabym się chwycić w moich badaniach, które – jak mi się wydawało – zabrnęły w ślepą uliczkę. Stałam i wpadłam na Harry'ego, który stał tuż za mną.

– Oj, przepraszam, Harry – powiedziałam, próbując wstać.

Wyciągnął ręce, żeby mnie przytrzymać.

– Ewa, chyba całkiem odpłynęłaś. Wszystko w porządku?

– Jasne, nic mi nie jest – powiedziałam, ostrożnie wysuwając się z jego objęć.

– No cóż, lepiej chodźmy, bo się spóźnimy.

Zmarszczyłam brwi.

– Spóźnimy? To nie były nasze ostatnie zajęcia?

– Eee... Próba *Hamleta*, Ewo.

Uśmiechał się i kręcił głową, jakbym była głupiutkim dzieckiem. Co w sumie nie było aż tak dalekie od prawdy. Co się ze mną działo?

Kiedy przechodziliśmy przez dziedziniec do studia teatralnego, dogoniliśmy Astrid, George'a i Louisa, którzy wracali właśnie z angielskiego.

Uchwyciłam spojrzenie, które wymienili Astrid i Harry, i nagle zdałam sobie sprawę, że to Astrid obarczyła go zadaniem doprowadzenia mnie na miejsce.

Połączyłam kilka faktów, które wcześniej umknęły mojej uwadze. Harry nie był jedyną osobą poinstruowaną przez Astrid. Przedwczoraj to był Omar. Omar teraz pojawiał się na próbach *Hamleta* codziennie, bo Felix wyleciał za nieregularne chodzenie na próby. Wyglądało na to, że Astrid włączyła go do kontyngentu historii sztuki w ramach nowej kampanii „Doprowadźmy Ewę na próbę”.

Byłam jednak pewna, że zgoda Omara na występowanie w charakterze mojego budzika wynikała raczej z podziwu dla Astrid niż chęci ponownego zbliżenia się do mnie. Zaczął się spotykać z Verity Sutton i wydawał się z nią naprawdę szczęśliwy. Szczerze mówiąc, miło było móc z nim znów rozmawiać. W pewnym sensie za nim tęskniłam. Za Ruby oczywiście też, ale nadal starała się nawet na mnie nie patrzeć. Dzięki Bogu, nie uczestniczyła w próbach *Hamleta*.

Po próbie miałam napisać esej z filozofii i wypracowanie na temat eksperymentu fizycznego, więc tego wieczoru musiałam odpuścić poszukiwania mojego wirusa. W gruncie rzeczy poczułam ulgę. Doszłam do ściany. Coś przeoczyłam – ale co?

Byłam tak pogrążona we frustrujących myślach, że następnego ranka wyszłam z lekcji greki bez podręcznika.

W chwili, w której dotarłam do drzwi, chaotyczny bieg moich myśli przerwał głos profesora Mylne'a:

– Zamierzasz napisać esej o Platonie bez tekstu źródłowego, Ewo? – zapytał, rzucając okiem na książkę leżącą na mojej ławce.

Stałam w drzwiach ze zmarszczonymi brwiami.

– Czy wszystko w porządku?

Próbowałam otrząsnąć się z moich rozmyślań i wrócić do teraźniejszości.

– Tak, wszystko dobrze, przepraszam, panie profesorze – wymamrotałam, chwyciłam książkę i wepchnęłam ją do torby.

Wyszłam z sali nieoczekiwanie podniesiona na duchu. Dzięki uwadze profesora Mylne'a

zrozumiałam, że podjęłam fałszywy trop. Obsesyjnie poszukując odpowiedniego wirusa, zapomniałam o jego źródle – fiołce.

Musiałam odnaleźć profesora Ambrose'a.

## Rozdział 36

### Przeciążenie

Seth słyszał własny oddech. A zatem... żył. Ból rozsadzający czaszkę był tego dowodem. Próbował się zorientować, gdzie właściwie się znajduje. W jego umyśle odbijały się obrazy rzeczy, które rozpoznawał, ale których nie znał.

Gdzie był? Na arenie? Ostrożnie wyciągnął dłoń. Nie. To nie była arena. Żadnego piasku. Leżał płasko na plecach z zamkniętymi oczami na twardej powierzchni kompletnie wyczerpany.

Odpłynął na chwilę i obudził się gwałtownie. Poruszał się. Ktoś złapał go za nogi i ciągnął po ziemi.

Jęknął, próbując się skoncentrować. Był tak zdezorientowany, że nie mógł myśleć o tym, gdzie jest. Czy został właśnie zraniony na arenie? Czy Protix nie żył? Nie, to zdarzyło się dawno temu...

Stopniowo zaczęło mu się rozjaśniać w głowie. Wiedział już teraz na pewno, że nie jest na arenie, bo ciągnięto go po schodach.

– Aaargh! – wycharczał i uniośł ręce w obronnym geście, by chronić głowę. – Otworzył oczy i podniósł wzrok. – Zackary? – zapytał.

Zackary odwrócił się, by na niego spojrzeć, i w tym momencie Seth zrozumiał, że on zamierza go zabić.

Ale w Parallonie nie można przecież umrzeć, próbował przekonać samego siebie.

I choć Seth był osłabiony, jego instynkt samozachowawczy wziął górę. Nagle zrozumiał, dokąd zmierzają. Do rzeki.

Zackary burczał z wysiłkiem, z trudem chwytał oddech, ale znajdowali się już prawie u celu. Seth dziko rzucał wzrokiem w poszukiwaniu czegoś, czego mógłby się chwycić. Potrzebował ściany, pała, czegokolwiek, co mogłoby powstrzymać Zackary'ego.

Ponieważ byli w Parallonie, a Seth tego właśnie chciał, obok niego pojawił się drewniany palik, którego uchwycił się obiema rękami.

Zackary potknął się i nogi Setha niemal wysunęły mu się z objęć, co dało gladiatorowi chwilę niezbędną do tego, by kopnąć gwałtownie i wytrącić swojego porywacza z równowagi. Kiedy Zackary upadł na plecy, Seth skoczył na równe nogi i w myślach zamarzył o sztylcie w dłoni.

Zackary wstał powoli i chłodno spojrzął na Setha.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że sztylet ci teraz nie pomoże?

Seth szerzej otworzył oczy ze zdumienia. Zackary nie mówił po łacinie. Mówił w obcym języku, którego używał wcześniej w rozmowie z innymi ludźmi. A jednak w jakiś niewyjaśniony sposób część umysłu gladiatora zdołała zrozumieć słowa.

– Już go nie potrzebuję -- wydyszał Seth w języku Zackary'ego i rzucił sztylet na ziemię.

Zackary zmrużył oczy. Przyglądał się spiętej sylwetce stojącego przed nim człowieka i wiedział, że Seth ma rację. Rozejrzał się chaotycznie wokół. Szukał sprzymierzeńca.

Gladiator przyglądał mu się z zażenowaniem.

– Dlaczego mnie nienawidzisz? -- zapytał cicho.

Zackary również patrzył na niego.

– To złe pytanie, Sethosie.

Seth zacisnął zęby ze złością, ale się nie poruszył – czekał. W końcu Zackary podjął przerwany wątek.

– Nie nienawidzę cię -- prychnął. – Jak mógłbym? Nikt nigdy nie był mi bliższy...

Seth nie zrozumiał. Co on mówił? To nie miało sensu.

– To dlaczego chcesz mojej śmierci?

– To lepsze pytanie. Odpowiedź jest prosta – w Parallonie nie ma miejsca dla nas obu.

– To dlatego wysłałeś mnie do Londinium?

– Nie wysłałem cię do Londinium, ale założyłem, że tam właśnie dotrzesz. – Zackary potrząsnął głową. – Dlatego właśnie nie rozumiem, jak to możliwe, że przeżyłeś. Byłeś tam za długo...

– Tylko jedną noc.

– Całą noc w swoim czasie? To nie powinno się zdarzyć. Można tam przeżyć najwyżej dwie godziny. Nie czułeś, że znikasz? Że twoje życie gaśnie?

Seth wzruszył ramionami, próbując nie przypominać sobie przemożnej chęci powrotu nad rzekę.

Zackary nie spuszczał z niego wzroku.

– Albo jesteś niesamowicie silny, albo masz niewiarygodne szczęście. Powrót do własnej śmierci to pierwotny odruch, dlatego się tam znalazłeś. Ale zostałeś tam tak długo, że powinieneś zostać uwięziony w swoim własnym czasie.

– Uwięziony?

– Kiedy zostaniesz uwięziony, nie możesz się wydostać. Na zawsze pozostajesz duchem.

Seth skinął głową.

– A ty założyłeś, że taki właśnie los przypadnie mi w udziale.

– Oczywiście. -- Zackary nadal nie spuszczał z niego wzroku. – Dlaczego zatem wróciłeś? Myślałem, że masz już dość Parallonu?

Seth już miał mu powiedzieć o Matthiasie, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Zackary nie wiedział nic o jego przyjacielu, a Seth był prawie pewien, że nieświadomianie Zackary'ego leżało w interesie Matta.

– A zatem – powiedział cicho Zackary – przeżyłeś nie tylko wizytę we własnym czasie, lecz także wir. Wróciłeś, włamałeś się do mojego biura, połączyłeś z moim terminalem i...

– ...w przedziwny sposób zdobyłem tę odrobinę wiedzy, której niewolnik będący gladiatorem nie ma potrzeby posiadać -- dokończył Seth.

Zackary potrząsnął głową.

– To mało powiedziane.

– Zackary...

– Sethosie – powiedział Zackary, unosząc rękę. – Muszę pomyśleć. Zostaw mnie teraz.

Porozmawiamy ponownie o poranku. Spotkaj się ze mną o jedenastej.

– O jedenastej? Skąd mam wiedzieć, która jest godzina?

– Och, na Boga, to jest Parallon. Skombinuj sobie zegarek.

## Rozdział 37

### Zwrócony

Kiedy Seth wrócił do wykreowanego przez przyjaciela pałacu, znalazł Matthiasa mocno śpiącego w jego komnacie, ale stół w jadalni zastawiony był zgoła imponująco. Seth poczuł ucisk w piersiach, kiedy wyobraził sobie Matta siedzącego samotnie i czekającego na jego powrót. Westchnął, wziął talerz i nałożył sałatę z rzodkiewką i plaster kaczki w sosie z ostryg.

Jadł z rozmysłem, starając się zrozumieć, co mu się przydarzyło. Czy to możliwe, że mówił w języku, którego nigdy się nie uczył? I co jeszcze wiedział w tej chwili? Podniósł oliwkę, która spadła z talerza, i nagle jego wzrok padł na nowy dodatek błyszczący na jego nadgarstku. Pojawił się tam, kiedy na rozkaz Zackary'ego pomyślał o zegarku. Teraz cicho wyświetlał czas, który z łatwością mógł odczytać – jakby nosił go od zawsze.

Potrząsnął głową. Był zbyt zmęczony, by dłużej o tym myśleć, więc wypił duży kubek wody i powlókł się do swojej komnaty. Chwilę później już spał pod gęsto wyszywanym pledem na swoim nowym miękkim łóżku.

Kiedy Matthias pojawił się następnego ranka, Sethos trenował już na arenie ćwiczebnej. Przerwał na chwilę atak na pal, by uśmiechnąć się szeroko do przyjaciela.

– Dzięki za to -- powiedział, gestem wskazując na arenę – i za ucztę ostatniej nocy. Przepraszam, że wróciłem za późno, żeby zjeść razem z tobą.

Matthias uniósł brwi ze zdumienia. Tak bardzo przyzwyczył się do milczącej rozpacz Setha, że z trudem rozpoznał ciepłego, miłego młodzieńca stojącego właśnie przed nim.

– Co się wczoraj stało? Nie było cię całą noc. Gdzie byłeś? – zapytał ostrożnie.

Seth wbił wzrok w przyjaciela, zastanawiając się, co, do licha, mu odpowiedzieć. Wstrząsające informacje, które zdobył, a których sam jeszcze nie zdołał przyswoić, utworzyły teraz ogromną przepaść między nimi i Seth nie wiedział, jak ma ją zasypać. Stał więc niezdecydowanie przez chwilę, zastanawiając się, czy mógłby się podzielić choćby niewielką częścią tego, co przeżył.



- Dowiedziałem się, jak się nazywa to miejsce.
- Bogom niech będą dzięki – zaśmiał się Matthias. – No to teraz chodź i zjedz śniadanie.

Seth nie spóźnił się na wyznaczone spotkanie. Kiedy przyszedł, Zackary siedział na schodach swojego domu, w zamyśleniu patrząc na rzekę. Seth usiadł obok niego i Zackary podał mu kubek z uchem wypełniony gorącym parującym płynem.

- Hmm... Kawa! Dzięki – powiedział Seth automatycznie.

Po czym wbił wzrok w swój kubek. Skąd wiedział, co to był za napój? Nigdy nie widział kubka, nigdy nie pił kawy, a jednak kiedy wziął łyk, smakowała tak, jak się spodziewał. Wybornie.

Spojrzał na zrezygnowaną twarz Zackary'ego i zaczął rozumieć, że posiadał wiedzę znacznie wykraczającą poza znajomość nowego języka.

Nie miał pojęcia, jaki był jej zakres. Nie wiedział, że potrafi mówić po angielsku, dopóki Zackary nie przemówił do niego w tym języku. Nie wiedział, czym jest kawa – aż do tej chwili.

Rozejrzał się, badając swoją wiedzę: Zackary miał na sobie dzinsy i T-shirt, dziwaczne ubrania, które jeszcze wczoraj wydawały mu się obce i nienazwane. Teraz wydawały się normalne... właściwe. Spojrzał na swoją tunikę. Nie wydawała się zła, ale nagle jakby mniej odpowiednia. Spochmurniał.

Zackary zachichotał cicho na widok jego zmieszania i położył mu na kolanach zgrabny stosik ubrań.

- Miejmy to już za sobą. Nie możesz do końca życia chodzić w sukience.

Seth się nie roześmiał. Spojrzał chłodno na Zackary'ego i poirytowany zaczął się zastanawiać, skąd on pochodzi.

Odpowiedź pojawiła się w jego głowie, zanim jeszcze do końca sformułował pytanie – z Londynu. I choć się nad tym nie zastanawiał, zrozumiał, że Londyn był tym, czym Londinium miało się stać w przyszłości. Czym się stało. Seth zaczął oddychać szybciej, orientując się, że cała koncepcja stabilnego, mierzalnego, następującego w określonej sekwencji czasu nagle zdecydowanie straciła na aktualności.

Zackary wyczuł jego niepokój i odwrócił się do niego.

- A zatem co drażni gladiatora? Nie ubrania ani kawa, jak mi się wydaje.

- Który mamy rok? – wychrypiał Seth.

Zackary zamrugał oczami.

– Och, daj spokój, gladiatorze. Nie wierzę, że nie stać cię na nic więcej.

Seth zmarszczył brwi. Wylądował w Parallonie i nagle znalazł się pod rządami kolejnego lanisty. Zackary nie był gwałtowny i bezwzględny jak Tertius, ale Seth rozpoznał tę samą bezwzględną obojętność. Podobnie jak Tertius Zackary czerpał przyjemność z podpuszczania go.

Seth jednak nie dał wyprowadzić się z równowagi. Rozważył komentarz Zackary'ego i nagle zdał sobie sprawę, jak głupie było pytanie, które zadał.

– Żyjemy tu poza czasem, prawda? – wyszeptał w nagłym olśnieniu.

Skąd to wiedział?

Zackary kiwnął głową.

– Czy wróciłeś, by odwiedzić swój czas?

– Oczywiście.

– A inni?

– Wielu innych. -- Zackary gwałtownie odwrócił głowę do Setha. – Ty również wrócisz.

– O nie – wymamrotał Seth, potrząsając głową. – Nie ja.

Zackary uniósł brwi i wstał.

– Czas wejść do środka – powiedział energicznie. – Jest kilka rzeczy, które chciałbym ci pokazać.

Seth wstał, ale nie wykonał kroku. Co zamierzał Zackary? Poprzedniego wieczoru ten człowiek próbował go zamordować i Seth nie miał najmniejszych wątpliwości, że teraz nie ma już zamiaru umierać.

Zackary stał w otwartych drzwiach i czekał.

– Mam rozumieć, że gladiator jest zbyt przerażony, by wejść do środka? – zadrwił.

– Co ja tu robię, Zackary? – syknął Sethos.

– Wkrótce się dowiesz – powiedział Zackary łagodnie. – A teraz chodź, nie mam zbyt wiele czasu.

Sethos ryknął śmiechem.

– Oczywiście, że nie. Czas jest tutaj na wagę złota.

Zackary obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Seth spojrzał na niego z wściekłością, po czym odwrócił się, gotów do wyjścia.

– Jasne! Uciekaj... Bohaterski, wszechmocny gladiatorze! – zakpił Zackary. – Jak już zbierzesz się na odwagę, żeby wrócić i zadać mi właściwe pytania, to wróc. Będę czekał.

Seth prychnął gniewnie i zdecydowanym krokiem odszedł. Nie uszedł daleko, gdy poczuł uścisk dłoni na swoim ramieniu. Odwrócił się na pięcie, mrużąc oczy.

– Zanim odejdziesz, przysięgnij, że nie powiesz nikomu o wirze.

Seth zacisnął zęby.

– A komu miałbym powiedzieć?

– Nie mów nikomu – powtórzył Zackary. – Życie w Parallonie zależy od twojego milczenia.

Seth zmarszczył brwi. Miał ważniejsze zobowiązania niż te, do których przestrzegania teraz próbowano go skłonić. A jednak głos Zackary'ego pobrzmiwał szczerością i determinacją. Zawahał się przez chwilę, po czym skinął głową.

– W porządku – burknął. – Przysięgam.

# Rozdział 38

## Kontakt

*Londyn*

*A.D. 2012*

Próba *Hamleta* skończyła się nieco wcześniej, więc zamiast pójść prosto na kolację, jak najszybciej wróciłam do swojego pokoju, by podjąć trop – profesor Ambrose, wirusolog.

Pamiętałam, że kiedy profesor Franklin przedstawiła go nam na biologii, powiedziała, że pracuje w Instytucie Badań Mikrobiologicznych Uniwersytetu Nowojorskiego, więc zaczęłam od przeszukania internetu.

Robiło to wrażenie.

Kliknęłam na „Zespoły badawcze”, plując sobie w brodę, że nie zaczęłam swoich poszukiwań od profesora Ambrose’a i że nie uwzględniłam na etapie poszukiwania wirusa uniwersyteckich jednostek badawczych. Nagle zrozumiałam, że bardziej prawdopodobne jest prowadzenie badań nad wirusami przez zespoły uniwersyteckie niż laboratoria finansowane ze środków prywatnych.

Uniwersytety na swoich stronach wymieniały nazwiska wszystkich członków zespołów badawczych i kadry dydaktycznej, co oznaczało, że mogłam zabrać się do poszukiwań profesora Ambrose’a całkowicie legalnie.

Nie musiałam się włamywać.

Łatwizna. W teorii, jak się okazało. Zakładając, że nazwisko profesora Ambrose’a znalazłoby się w jakimkolwiek zestawieniu.

Zaczęłam, co oczywiste, od katedr wirusologii. Ani śladu. Rozszerzyłam więc poszukiwania na wszystkie wydziały i instytuty mikrobiologii. Nie pojawił się w składzie żadnego zespołu badawczego, więc jeszcze bardziej poszerzyłam zakres poszukiwań. Biologia komórki, biochemia, nawet parazytologia medyczna.

Nie znalazłam go.

Nie dałam się tak łatwo zniechęcić. Uznałam, że spróbuję zapuścić w Google proste wyszukiwanie: „profesor Ambrose wirusologia”.

Jedno umiarkowanie pasujące trafienie. Doktor Ambrose jako współautor pracy naukowej na temat malarii.

Czy to mógł być mój profesor Ambrose? Nie było zdjęcia. Nie o tej dziedzinie badań z nami rozmawiał. Ślad się urywał, ale miałam coś, czego mogłam się chwycić... Dopóki nie odkryłam, że doktor Ambrose jest kobietą – doktor Caroline Ambrose.

Przez dłuższą chwilę sprawdzałam różnych niezwiązanych z tematem Ambrose’ów: Belinda Ambrose, historyk zajmująca się wojną secesyjną, kilku prawników, poeta i kwatermistrz.

W końcu musiałam przyznać, że ponownie zabrnęłam w ślepą uliczkę.

– Ewa! Co ty tutaj robisz?

Podskoczyłam.

– Astrid? Boże! O czym tym razem zapomniałam?

Stała w drzwiach, kręcąc głową.

– Przepraszam – powiedziałam, wstając pospiesznie. – Gdzie powinnam teraz być?

– Znów się rozchorujesz, jeśli będziesz zapominać o posiłkach. Co się z tobą dzieje?

Zaciągnęła mnie do stołówki. Zdążyłyśmy tuż przed zamknięciem, ale udało mi się jeszcze złapać talerz zimnego makaronu i jabłko.

– A ty? Nic nie jesz? – zapytałam, kiedy Astrid prowadziła mnie przez salę do stolika.

Rob, Harry i George siedzieli nad pustymi talerzami, a Sadie pilnowała tacy zastawionej jedzeniem, która okazała się należeć do Astrid. To oznaczało, że przerwała posiłek, żeby po mnie przyjść. Byłam zakłopotana i wzruszona.

Rozmawiali o próbie *Hamleta*, ale byłam zbyt pochłonięta własnymi myślami, żeby włączyć się do rozmowy.

– No to jak, Ewo?

Drgnęłam i wróciłam na ziemię. Szłam do swojego pokoju, a Astrid lekko mną kierowała, przytrzymując mnie za łokieć.

– Przepraszam, Astrid, co powiedziałaś?

– Ewa! – krzyknęła. – Gdzie ty jesteś?

Zamrugałam oczami. Musiałam. Jej twarz dzieliło od mojej zaledwie kilka centymetrów.

Westchnęłam.

– Chodzi o to, Astrid, że jest coś, z czym nie mogę sobie poradzić... Naprawdę mnie to dręczy...

– Rozważałaś może taką możliwość, że jeśli ty nie możesz znaleźć rozwiązania, to może go nie ma? – Uśmiechnęła się z wyższością.

Przewróciłam oczami.

– O co chodzi?

Zerknęłam na nią. Czy mogłam jej zaufać? Mój sekret był zbyt niebezpieczny, by podzielić się nim z kimkolwiek. Ale Astrid była taka... fajna.

– Na miłość boską, Ewa, co to za wielka tajemnica?

A ja sądziłam... nie było żadnej wielkiej tajemnicy. Dlaczego tak mnie to dręczyło?

Opowiedziałam zatem Astrid o wszystkim. O moim wirusie, o fiołce profesora Ambrose'a i moich bezowocnych poszukiwaniach.

Stała przede mną z wyrazem sceptycyzmu na twarzy.

– Zgodzisz się ze mną, że znikające wirusy w połączeniu ze znikającymi profesorami brzmią trochę... jak opowieść szaleńca?

Natychmiast pożałowałam, że się wygadałam.

– A co mówi na ten temat stara Frankie?

– Kto?

Astrid przewróciła oczami.

– Profesor Franklin. No, jak ona znalazła tego Ambrose'a?

Milczałam.

– Przecież ją o to zapytałaś, nie?

– Oczywiście, że nie! Dlaczego miałabym to zrobić?

– Boże! Nie sądzisz, że oszczędziłabyś sobie w ten sposób nieco czasu?

Spojrzałam na nią bezmyślnie. Chyba miała rację. Mogłam zapytać profesora Franklina.

Nigdy jednak nie prosiłam nikogo o pomoc. Ostatnim dorosłym, któremu zaufałam, była bibliotekarka, która doniosła na mnie opiece społecznej. Myśl o zawierzeniu profesora Franklina sprawiła, że zebrało mi się na wymioty.

Astrid patrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem. A potem powiedziała cicho:

– To nie jest tak, że wszyscy chcą ci zrobić krzywdę, wiesz?

Zmrużyłam oczy.

– Z wyjątkiem Willa, Harry’ego i George’a! – roześmiała się. – Oni wydają się dość zdeterminowani. Gdziekolwiek i kiedykolwiek, o ile mogę to osądzić. Ale zgaduję, że prawdopodobnie ich spławisz.

Dotarliśmy już do mojego budynku.

– Kładź się już do łóżka, Ewo, a rano wyświadczyć mi przysługę i porozmawiaj ze swoją nauczycielką biologii.

I to właśnie zrobiłam.

Złapałam profesor Franklin pod koniec zajęć. Rozpoczęła się właśnie długa przerwa i większość ludzi zmierzała do stołówki. Wyszłam z laboratorium tuż za nią. Zdałam się na los. Jeśli zboczy do pokoju nauczycielskiego, to nie zadam jej pytania. Jeśli pójdzie w tym samym kierunku co ja, zapytam ją. Nie zboczyła, więc zebrałam się na odwagę.

– Pani profesor?

– Cześć, Ewo! Wszystko w porządku?

– Jasne... Myślałam tylko ostatnio o... profesorze Ambrosie.

Zmarszczyła brwi. Chodziło chyba o to, że St Mag’s dość często odwiedzali różni naukowcy.

– Wirusologu – odpowiedziałam.

– Ach, tak, oczywiście! Dobrze wam się rozmawiało, prawda?

Uznałam, że nie będę odpowiadać na to pytanie.

– Chodzi o to, że mam jedno pytanie dotyczące wirusów, które chciałabym mu zadać... i zastanawiałam się, czy ma pani na niego jakieś namiary?

– Hm... niech pomyślę. Sprawdzę, czy mam jego adres e-mailowy. Staram się właśnie przypomnieć sobie, jak właściwie nawiązaliśmy kontakt...

– Och. A zatem to on się z panią skontaktował?

– Tak. Powiedział, że jest właśnie w Anglii z cyklem wykładów, i zapytał, czy chcielibyśmy, by uwzględnił również wykład w St Mag’s. Wysłał mi do przejrzania kilka prac badawczych, więc chyba muszę mieć jego adres e-mailowy. Sprawdzę dziś wieczorem.

– Bardzo dziękuję, pani profesor.

Ku mojej irytacji Astrid podsłuchiwała końcówkę rozmowy i przez całą długą przerwę nie przestawała się szczerzyć. Musiałam to jednak znieść z godnością.

Na szczęście do wieczornej próby Astrid już odpuściła. Wtedy to ja zaczęłam się szeroko uśmiechać, bo dotarłam do skrzydła muzycznego przed Astrid i Sadie. Nie było mi już tak bardzo do śmiechu, kiedy odkryłam, że spóźniły się nieco tylko dlatego, że zahaczyły o mój pokój, żeby mnie zgarnąć.

Tak czy inaczej, dobrze nam się grało tego wieczoru. To była najlepsza próba od czasu mojego wyjścia ze szpitala. Wracalam do pokoju w radosnym nastroju.

Radosna, ale potwornie zmęczona. Zdecydowanie powinnam pójść jak najwcześniej spać. Musiałam tylko szybko odrobić pracę domową z fizyki i przygotować listę łacińskich słówek, które obiecałam wysłać Astrid e-mailem na test następnego dnia.

Fizyka zajęła mi dosłownie pięć minut, więc otworzyłam laptop, żeby się podłączyć do sieci.

W skrzynce migąła nowa wiadomość.

Wiadomość od profesor Franklin. O rany...

*Cześć, Ewo!*

*Niestety, nie mam adresu e-mail profesora Ambrose'a. Przypomniałam sobie, że skontaktował się ze mną telefonicznie. Wysłał kurierem kilka prac badawczych tydzień przed swoim przyjazdem, ale nie było tam żadnych danych kontaktowych.*

*Zrobiłam Ci ksero artykułów, które mi przesłał, na wypadek gdybyś mogła w nich znaleźć odpowiedź na nurtujące Cię pytanie. Możesz je wziąć ode mnie jutro na zajęciach.*

A.F.

Cholera jasna.



# Rozdział 39

## Towarzystwo

Po konfrontacji z Zackarym Seth próbował wrócić do codzienności -- treningów, biegania i poszukiwania Liwii – starając się jednocześnie unikać rzeki i przylegających do niej kwartałów.

Biegał, a głowę rozsadzały mu nowe pytania i odpowiedzi. Pytania o Parallon, o Londyn, o koniec Londinium, zmierzch kultury łacińskiej i świt Anglii. Zastanawiał się, jak można być martwym i żywym jednocześnie. Zastanawiał się, czy jego Londinium istniało w tym samym czasie co Londyn Zackary’ego. Jeśli on i Zackary podróżowali jednocześnie ku swojej śmierci, to zapewne oba te czasy istniały równolegle? A może czas istniał tylko wtedy, gdy byłeś świadkiem jego przemijania? Czy prawdziwy świat, jego dawny świat, rzeczywiście istniał? A Parallon? Gdzie w tej czasoprzestrzeni była Liwia?

Oczywiście większością swoich przemyśleń nie dzielił się z Matthiasem. Matt nie wiedział o Zackarym, wirze ani nowo zdobytej wiedzy i Seth nie zamierzał zmieniać tego stanu rzeczy. Posiadanie tej wiedzy mogłoby narazić Matthiasa na ryzyko.

Nawet jeśli Matthias podejrzewał, że Seth coś ukrywa, nie ośmielał się poruszyć tego tematu. Był tak uszczęśliwiony tym, że znów ma u swego boku radosnego kompana, iż nie starał się dociec przyczyn tej odmiany.

Pewnego wieczoru Seth wrócił zmęczony i ociekający potem po szczególnie wyczerpującym biegu i w progu domu natknął się na Matthiasa, który wyglądał, jakby zaraz miał eksplodować z podekscytowania.

- Seth, przed chwilą widziałem ludzi! Mnóstwo ludzi!
- Niedaleko rzeki? – zapytał Seth ostrożnie.
- Nie! Pokażę ci, tylko...
- Co? – ponaglił go Seth.
- Mieli na sobie takie dziwne ubrania... i mówili...

Seth westchnął.

– Pozwól mi się umyć i zaraz rzucę na to okiem! – zawołał i poszedł do łazienki.

Zdjął przepoconą tunikę, zastanawiając się leniwie, co by powiedział Matthias na zainstalowanie prysznicza.

Kiedy wyszedł z łazienki, Matthiasa zatchnęło.

– Seth! Jesteś ubrany tak samo jak oni!

– Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś poszedł za moim przykładem -- powiedział Seth łagodnie.

Matthias nastroszył się, ale posłuchał rady przyjaciela. Seth pokazał mu, jak zapinać suwak i przewlec pasek do spodni przez szlufki. Matthias przyglądał się temu oszołomiony.

– Kiedy... gdzie się tego nauczyłeś? – wyszeptał.

Seth zrozumiał, że będzie musiał wyjaśnić co nieco, ale potrzebował czasu, by się do tego mentalnie przygotować.

– Później ci wszystko opowiem -- obiecał.

Matthias ze złością potrząsnął głową, ale nie oponował. Był zbyt podekscytowany.

– No to chodźmy – powiedział, wyciągając Seta na zewnątrz.

Ich dom znajdował się na zachód od centrum Parallonu, za świątynią i łąką. Sethos lubił biegać w tej okolicy, ale Matthias powiódł go na wschód, w kierunku domu Kasjusza – najmniej ulubionej dzielnicy Seta.

Zanim dotarli do drogi Kasjusza, Matthias skręcił w prawo, przeciął dwie kolejne ulice i się zatrzymał. Stali twarzą do zarośniętego trawnikiem placu. Seth wiedział, że wysokie błyszczące budynki otaczające skwer pochodziły z czasów edwardiańskich. Kiedy tylko uświadamiał sobie nowy fragment posiadanej wiedzy, wzdrygał się lekko. Trudno było się do tego przyzwyczaić. Matthias wskazywał na odległy róg placu.

– Tam -- wyszeptał.

– Kawiarnia – również szeptem odpowiedział Seth, wypowiadając to słowo po raz pierwszy i po raz pierwszy uświadamiając sobie jego istnienie.

Kawiarnia. Stoliki wystawione na trawę. I siedzący przy nich ludzie. Nie rozpoznawał wśród nich nikogo, kogo widziałby wcześniej nad rzeką.

Liczba kobiet była zbliżona do liczby mężczyzn. Większość była mniej więcej w jego wieku, niektórzy – może kilka lat starsi. Matt miał rację. Żaden z nich nie był ubrany jak

Rzymianin. Seth poczuł ulgę, że przebrali się ze swoich własnych strojów. Czuł się zaskakująco swobodnie w dżinsach i tenisówkach.

Matthias uśmiechał się szeroko i Seth zaczął się obawiać, że za chwilę pobiegnie przez trawnik i podstawi sobie krzesło.

– Nie wychodź z cienia, Matt. Nie mamy pojęcia, kim są ci ludzie.

Matt nie bał się już jednak, że zostanie odkryty, a jego poczucie nieśmiertelności zaraziło go beztronską pewnością siebie. Nie chciał się cofnąć. Seth pożałował, że wcześniej nie ostrzegł Matta przed Zackarym.

– Matt... – zaczął, ale było już za późno.

Jedna z dziewcząt dostrzegła go i zamachała do niego entuzjastycznie.

Matthias odmachął i ruszył ku niej. Kiedy zorientował się, że Seth stoi jak skamieniały, zawrócił i pociągnął przyjaciela w stronę światła.

Tego wieczoru Seth i Matt powrócili do domu w ciszy.

Kiedy weszli do holu, Matthias wpadł do swojego pokoju, a Seth z głębokim westchnieniem wślizgnął się do swojego.

Nie chcąc analizować podłego nastroju Matta, Seth położył się na łóżku i zapatrzył w sufit, po czym zaczął się zastanawiać nad charakterem ludności Parallonu. Większość ludzi, których spotkali tego wieczoru, przybyła tu dość niedawno. Niektórzy znali się wcześniej, jak on i Matt, a inni byli sobie zupełnie obcy.

Co ich tu przywiodło?

Co ich wszystkich łączy?

Nie dane mu było dokończyć tej myśli, bo nagle wpadł z krzykiem Matthias.

– O co tu właściwie chodzi? Jak mogłeś mi to zrobić?

Seth porzucił analizowane pytania, by stawić czoła tej napaści. Ale był kompletnie zdezorientowany.

– A co ja ci zrobiłem, bracie?

Matt popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Jak mogłeś udawać, że o niczym nie wiesz? Ci wszyscy ludzie! Wszystkie te dziewczyny! Uśmiechnięte, machające. Czułem się, jakbym tym razem naprawdę trafił do Elizjum. A potem usiedliśmy przy stole i... nie rozumiałem ani słowa.

– Matt, próbowałem...

– Ale ty owszem! – natarł ostro Matt. – Ty, który udawałeś, że w ogóle nie chcesz tam iść. Najwyraźniej wykradałeś się tam, nie mówiąc mi ani słowa, w sekrecie przede mną ucząc się ich języka!

– Nie, Matt. To nie tak...

– Siedziałeś tam i udawałeś, że wcale nie masz ochoty tam siedzieć, a wszystkie te dziewczyny wdzięczyły się do ciebie...

– Matt, one po prostu...

– A ja nie mogłem nawet powiedzieć: „Podobają mi się twoje włosy”, nie prosząc cię o tłumaczenie.

– Matt, ja...

– Przy tobie wyszedłem na kompletnego głąba.

Matt rzucił się na brzeg łóżka i wbił wzrok w podłogę.

Seth usiadł i wziął głęboki oddech. Nie można było już dłużej uciekać od tej rozmowy.

– Pamiętasz tę noc, kiedy nie wróciłem do domu? – zaczął.

Matta najwyraźniej zirytowała nagła zmiana tematu, mimo to niechętnie pokiwał głową.

– No cóż... – Seth się zawahał.

Jak miał to wytłumaczyć? Nie miał odpowiedniego greckiego słownictwa. Wiedział, bo pojął to jego niedawno oświecony umysł, że w przedziwny sposób przyswoił olbrzymią porcję wiedzy z terminala komputerowego. Wiedział również, że Zackary był tym zdarzeniem równie zdumiony co przerażony. Choć nie miał pojęcia, ile Seth odkrył, nie miał wątpliwości, że nie ma. Na tyle dużo, że Zackary pragnął jego śmierci. Głównie z tego powodu nie powiedział nic Mattowi. Nie powiedział nic również dlatego, że nie rozumiał, jak do tego doszło. Z tego, co wiedział teraz na temat komputerów, wynikało, że nie miało prawa dojść do fizycznego transferu danych.

Matthias tracił cierpliwość.

– Tej nocy przypadkowo... otworzyłem taką skrzynkę... straciłem przytomność... a kiedy się obudziłem, mówiłem już po angielsku...

Brzmiało to niedorzecznie, ale Seth nie potrafił ująć tego w słowa bliższe prawdy.

Na szczęście Matt spędził już wystarczająco dużo czasu w Parallonie, by zaakceptować bez protestów niedorzeczności.

– Coś jak... puszka Pandory? – wyszeptał.

– Coś w tym rodzaju... – wykręcił się Seth.

– To dlaczego mnie tam nie zabrałeś? Gdybym ja znalazł taką skrzynkę, tobym ci o niej powiedział!

Seth wbił spojrzenie w Matta.

– Bo człowiek, który jej pilnował, próbował mnie zabić – powiedział w końcu.

– W Parallonie nie możesz zostać zabi... – Słowa zamarły Mattowi na ustach, kiedy zobaczył wyraz twarzy Seta.

– A kim był ten człowiek?

Seth zacisnął usta i potrząsnął głową.

– Nie wiem.

To była prawda. Rola, jaką Zackary odgrywał w Parallonie, nadal stanowiła dla niego zagadkę. Matthias nie odzywał się przez kilka chwil. Wiedział z doświadczenia, że jeśli Seth nie chciał mu czegoś powiedzieć, to nie można było zmusić go do tego żadną siłą.

W końcu Matthias westchnął głęboko i wstał.

– No dobra – warknął. – Ale będziesz mnie uczył angielskiego! Od jutrzejszego ranka poczynając.

## Rozdział 40

### Refleksje

Seth gotował zupę. W tradycyjny sposób: zgromadził składniki, rozkruszył przyprawy, poszatkował cebulki, podgrzał wszystko i zamieszał. Gdy był dzieckiem, z przyjemnością pomagał Acancie, niewolnicy pracującej w kuchni, podczas przygotowywania posiłków dla całej rodziny. Matthias nie mógł zrozumieć, dlaczego Seth spędzał tyle czasu na krojeniu i mieszaniu, kiedy wystarczyło strzepnąć palcami, by wyczarować z powietrza gotowy posiłek. Seta jednak cieszyła sama czynność przygotowywania posiłku. Uspokajało go to. Tyle myśli wirowało nieustannie w jego głowie, że szukał ukojenia w powtarzalnych czynnościach. Każdego ranka biegał przez dwie godziny, wracał do domu wykąpać się, budził Matta i zjadał z nim śniadanie. Potem przez kilka godzin uczył go angielskiego – każdego ranka od pamiętnego wieczoru w kawiarni.

Lekcje szły im całkiem dobrze. Seth był cierpliwym nauczycielem, a Matthias miał motywację do ciężkiej pracy. Do tego stopnia opanował nowy język, że każdego wieczoru z przyjemnością odwiedzał kafejkę.

Zazwyczaj wychodził wkrótce po rozpoczęciu ćwiczeń przez Seta, co im obu bardzo odpowiadało. Seth nienawidził ćwiczyć przy świadkach, a Matthias z trudem znosił jego widok podczas ćwiczeń. Po prostu nie mógł zrozumieć, dlaczego jego przyjaciel nadal to robi. Seth nienawidził bycia gladiatorem. Walka nigdy nie sprawiała mu przyjemności. Co zatem motywowało go do dalszych ćwiczeń? Przecież umiejętność walki nie miała w Parallonie znaczenia.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Matt z takim trudem znosił niezmordowane ćwiczenia Seta. Gdzieś w głębi duszy obawiał się, że Seth skrywa pragnienie pomszczenia śmierci Liwii. Nie zazna spokoju, póki nie dopełni zemsty. I chociaż Matt był prawie pewien, że Seth nigdy więcej nie zobaczy Kasjusza, miał ponurą świadomość, że Seth zawsze będzie się zmagał sam ze sobą.

Nigdy nie rozmawiali o Liwii. To był temat tabu. Podobnie jak Kasjusz i noc zniknięcia Seta. Ale ich związek wytrzymał tę próbę. Ewolował. Szanowali się nawzajem i rezerwowali dla siebie sporo prywatności.

Zupa Seta gotowała się na wolnym ogniu, aromatem przypominając o innej kuchni i innym życiu. Nie dał sobie jednak przyzwolenia na wycofanie się w te bezpieczne obszary. Kiedy posypywał liśćmi fenkułu fasolę, rozmyślał leniwie o tym, czy Matt wróci do domu, by zjeść z nim posiłek. Jak na zawołanie usłyszał trzaśnięcie drzwi frontowych.

– Cześć, Seth – rzucił Matt z ożywieniem. – Coś tu smakowicie pachnie!

– Jestem w kuch... – Seth urwał.

– Poznaj Georgię i Clare. Przyprowadziłem je, żeby zjadły dziś z nami kolację.

Nikt nigdy wcześniej nie przyszedł do ich domu. To był ich kokon, ich prywatne sanktuarium, i nagle Matthias bez uprzedzenia otworzył drzwi i zaprosił Parallon do środka.

Seth rozważył szybko, czy szok będący wynikiem tego najazdu jest silniejszy niż kurtuazja. Matthias pozorował nonszalancję, a dziewczęta czujnie przyglądały się Sethowi, wyczuwając niezręczność sytuacji.

Seth miał jednak refleks i wychowano go do przestrzegania zasad gościnności.

– Witajcie, Clare i Georgio. Mam nadzieję, że jesteście głodne.

Obie skinęły głowami, oczarowane jego uśmiechem. Matthias przyzwyczajony był do piorunującego wrażenia, jakie Seth robił na kobietach, ale patrzył na to ze smutkiem. Już zaczął żałować, że przyprowadził je do domu. Georgia bez dwóch zdań była nim zainteresowana -- dopóki nie weszła do kuchni i nie zobaczyła jego przyjaciela.

Seth wrócił do przyrządzania jedzenia. Musiał zwiększyć jego objętość. Z pewnością nie mógł zacząć kroić i gotować od zera, ale piękno Parallonu polegało na tym, że można było na życzenie dowolnie zwiększać ilość i objętość. Postanowił dodać proste danie rybne: cefala w mięcie i kolendrę z sosem cytrynowym. Z deserami miał okazję zetknąć się jedynie w domu Natalisa. Chociaż więc wspomnienie to wywołało bolesne ukłucie, skupił myśli i kilka chwil później przypomniał sobie smakowity talerz, który przyniosła mu kiedyś Liwia, na którym nie brakowało nadziejanych daktyli i ciastek migdałowych. Wyczarował go teraz, a zapach był tak zniewalający, że niemal zapał mu dech w piersiach.

Clare wsunęła głowę przez kuchenne drzwi w chwili, w której umęczona twarz Seta

dokładnie oddawała jego zmagania z pamięcią.

– Ja... zastanawiałam się tylko, czy mogłabym w czymś pomóc.

Potrząsnęła głową, nieufny, czy potrafi zapanować nad swoim głosem. Wycofała się pospiesznie.

Seth odetchnął głęboko kilka razy i jeszcze raz cofnął się myślami do tego bezpiecznego, mrocznego zakątka swojej świadomości. Nalał chochlą zupę do miseczek i zaniósł je do jadalni, gdzie siedzieli już pozostali. W atmosferze wyczuwało się napięcie. Seth nie odzywał się, za to Matthias gadał za dwóch.

Kiedy zjedli zupę, Seth wrócił do kuchni po rybę. Po tym jednak jak postawił kamionkowe talerze przed dziewczętami, te zdezorientowane wbiły wzrok w stół.

– Ups! Chyba nie mam widelca – zaśmiała się Georgia nerwowo.

Matthias wyglądał na skonsternowanego. Jaki znów widelec? Ale Seth, który początkowo z zaskoczeniem uniósł brwi, zrozumiał natychmiast, czego oczekują, i wyczarował cztery widelce. Matthias rzucił mu pytające spojrzenie. Seth wzruszył ramionami i zabrał się do swojego dania. Na szczęście lata praktyki lekarskiej Matthiasa nadały jego dłoniom zręczność, więc wystarczyło, by przez chwilę przyglądał się, w jaki sposób pozostali posługują się tym nowym dla niego narzędziem, by szybko przyswoił sobie tę umiejętność.

Kiedy Seth przyniósł ostatnie danie, Georgia szerzej otworzyła oczy z zadowolenia. Ciasto wyglądało przepysznie. Ukroił każdemu kawałek i usiadł, by samemu spróbować. Momentalnie przeniósł się myślami do pokoju w domu Natalisa, gdy patrzył przez pokój na Liwię niosącą mu aromatyczny talerz. W żartach podał jej do ust kawałek ciasta. Uwielbiała migdały, a on uwielbiał przyglądać się, jak je. Kiedy skończyli ciasto, zlizwała okruszyny z jego palców...

Matthias odchrząknął.

– Seth, może pokażesz Clare pozostałą część naszego domu?

Seth wrócił na ziemię.

– Och, bardzo chciałabym go zobaczyć – pisnęła Clare, podskakując.

– Oczywiście – odpowiedział sucho Seth i spojrzał ostro na Matthiasa.

Wstał i wyprowadził Clare z pokoju, by pokazać jej swój ogród ziołowy. Pokazał jej, w jaki sposób rozkruszać liście różnych ziół między palcami, by móc naprawdę docenić ich zapach, a ona skwapliwie skorzystała z jego instrukcji.



– Urocze! Całe życie mieszkałam w mieście i nigdy niczego nie uprawiałam.

– W Londynie?

– Tak.

– Który był rok, kiedy... wyjechałaś?

– 1969.

– Na Zeusa – wyszeptał bezwiednie.

– Na Zeusa? Seth, skąd ty się wziąłeś?

– Z czasów znacznie wcześniejszych niż twoje. Ale tutaj czas biegnie inaczej. Wydaje się, że ludzie nie przybywają w jakimś określonym porządku chronologicznym... To bardzo trudne.

– Seth... Muszę wiedzieć, a Georgia ciągle zmienia temat... Powiedz mi... proszę... Czy wiesz, dlaczego tu jesteśmy?

Utkwiła w nim nieporuszone spojrzenie.

Zagryzł wargi. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

– Musisz powiedzieć mi prawdę... Czy my jesteśmy martwi?

Spojrzał na swoje dłonie i wziął głęboki oddech.

– Wiem o tym świecie niewiele więcej niż ty... Ale tak, Clare... Myślę, że w swoich czasach jesteś martwa.

Oparła się o niski murek i zapatrzyła na krzaki róż. Po policzkach spływały jej łzy. Potrząsnęła głową.

– Ale dlaczego? Jestem taka młoda... Chodziłam jeszcze do szkoły. Nic nie udało mi się w życiu osiągnąć...

Seth usiadł na murku obok niej i objął ją ramieniem. Rozszlochała się.

– Clare – powiedział cicho. – Jesteś martwa w swoich czasach, ale tu żyjesz.

– Ale chciałam jeszcze tyle zrobić... – Pociągnęła nosem.

Seth żałował, że na jego miejscu nie ma Matthiasa. Matthias był tak oczarowany tym nowym życiem, że bez trudu znalazłby słowa pocieszenia. Próbował sobie przypomnieć choć część argumentów swojego przyjaciela.

– Clare, w Parallonie możesz robić wszystko, co chcesz. Masz na to tyle czasu, ile ci trzeba. Nie starzejesz się, cały czas jesteś silna i piękna...

Pociągnęła nosem i skinęła głową, próbując grzbietem dłoni obetrzeć łzy.

– Matt powiedziałby pewnie, że nigdy nie żyliśmy równie mocno jak tu.

Jeszcze raz skinęła głową i uśmiechnęła się słabo.

– To prawda... Już mi lepiej. Ta gorączka strasznie mnie osłabiła.

Seth podskoczył na dźwięk słowa „gorączka”.

– Byłaś chora? – zapytał.

Clare zamrużyła oczami zaskoczona nagłą zmianą tonu. Skinęła głową.

– Możesz to opisać? Mam na myśli gorączkę.

– No cóż, to był koszmar! Nie mogłam się poruszać. Paralizujący ból głowy, wymioty, koszmary senne i... więcej nie pamiętam. Obudziłam się już tutaj.

Seth przytaknął i zaczął krążyć po ogrodzie ziołowym.

– Seth?

Odwrócił się.

– Mam jeszcze jedno pytanie...

Zatrzymał się i czekał w milczeniu.

– Jeśli nie żyjemy, to... gdzie są wszyscy? – wyszeptwała.

– Jest tu całkiem sporo ludzi – odrzekła mętnie, uchylając się od odpowiedzi.

– Tak, wiem, ale gdzie są pozostali? Moi dziadkowie? Szekspir? No nie wiem, królowa Wiktorია?

Clare zadała właśnie pytanie, które prześladowało Seta, odkąd pojawił się w Parallonie. Ostatecznie od tego dnia szukał Liwii. Gdzie była? Gdzie byli wszyscy inni? Sofokles? Jego rodzice? Jego zamordowani bracia i siostry?

– Nie wiem – powiedział zmienionym głosem. – Ale... zaczynam sądzić, że może być w tym jakaś prawidłowość. Chodź.

Clare poszła za nim przez atrium do głównego pokoju, którego drzwi otworzył. Matthias i Georgia gwałtownie odsunęli się od siebie.

– Seth! Czy możemy prosić o odrobinę prywatności?

– Przepraszam, muszę tylko zapytać o coś Georgię.

Georgia wygładziła włosy i uniosła brwi.

– A co chcesz wiedzieć?

Seth zorientował się, że chce zadać bardzo niezręczne pytanie. Stał przez chwilę, zastanawiając się, jak to najlepiej ująć.

– Seth?

– Georgia... Jak umarłaś?

# Rozdział 41

## Mozaika

*Londyn*

*A.D. 2012*

– Idziesz wreszcie, Astrid?

– Wyluzuj! Nie jestem w stanie jeść tej tarty szybciej. Można by pomyśleć, że naprawdę miałaś ochotę jechać na tę wycieczkę.

Obrzuciła mnie tym swoim słynnym spojrzeniem.

– Możesz już sobie przestać na mnie używać? – odburknęłam. – Można by pomyśleć, że tylko mnie to ekscytuje.

– Ależ przepraszam, Ewo. Zapomniałam o... profesorze Mylnie, profesorze Crispinie i kilku kujonach z dziewiątej klasy...

Fuknęłam, założyłam ręce na piersiach i tęsknie wyjrzałam przez okno jadalni na punkt zbiórki znajdujący się po drugiej stronie dziedzińca.

– Teraz już z pewnością się spóźnimy. Mylne, Andropolus, Edwards i Crispin już tam są.

Astrid jęknęła, wpakowała sobie do ust ostatnią łyżkę tarty i odniosła talerz do okienka.

Nie byliśmy jednak ostatnie. Ruby i jej nowy chłopak Dominic Patel dowlekli się po nas. Cała czwórka nauczycieli od razu ruszyła z wymówkami.

Czterech nauczycieli i dwudziestu czterech uczniów wydziału historii i filologii klasycznej postanowiło pojechać razem na tę szczególną wycieczkę szkolną. Wyczekiwanie wśród kadry było niemal namacalne. Większość uczniów okazywała mniej więcej taki entuzjazm jak Astrid.

– No dobrze -- zaczął profesor Mylne, kiedy skończył sprawdzać listę -- pójdziemy teraz na miejsce, co zabierze nam mniej więcej kwadrans. Kiedy tam dotrzemy, wszyscy otrzymacie informatory dotyczące zasad bezpieczeństwa oraz kaski. Nie muszę wam zapewne powtarzać, że to dla nas wyjątkowa okazja. Bardzo rzadko zdarza się w dzisiejszych czasach, by burzono jakiś

budynek znajdujący się powyżej stanowiska archeologicznego z okresu Londinium. Archeolodzy odkryli nie tylko fundamenty czegoś, co wygląda na rzymski pałac, ale również wiele bogato zdobionych rzymskich przedmiotów. Mam nadzieję, że na nie również będziemy mieli okazję rzucić okiem. Zapewne wiecie, że zazwyczaj nie wpuszcza się wycieczek szkolnych na teren wykopalisk, ale jestem przyjacielem Allana Hardcastle'a, jednego z kierowników badań, i obiecałem mu, że będziecie się zachowywać nienagannie.

Obrzucił nas znaczącym spojrzeniem. Może dwoje uczniów z entuzjazmem podniosło wzrok. Niektórzy po prostu ziewnęli. No cóż, słyszeliśmy pogadankę o nienagannym zachowaniu przed każdą wycieczką szkolną. A St Mag's organizowała mnóstwo wycieczek — teatry, koncerty, galerie sztuki, muzea — więc większość dzieciaków była już dość zblazowana. Nie ja... Mnie to wszystko nieodmiennie zachwycało. Podreptałam tuż za profesorem Mylne'em, kiedy on zdecydowanym krokiem ruszył w stronę wyjścia ze szkoły. Astrid wzniosła oczy ku górze i podążyła za mną.

Profesor Mylne szybko przeszedł wzdłuż City Road, potem pokonał London Wall i wkroczył na Moorgate. Szliśmy tuż za nim, a reszta wycieczki wlokła się z tyłu.

Kiedy stanęliśmy przed Bank Station, żeby wszystkich jeszcze raz przeliczyć, Astrid założyła ręce na piersiach.

– Kwadrans należy uznać za optymistyczne oszacowanie — syknęła.

– Trwa to tak długo tylko dlatego, że co chwila musimy się zatrzymywać, żeby poczekać na resztę.

Z wdzięcznością myślałam o tych wszystkich przystankach. Chodzenie było dla mnie dość wyczerpujące i musiałam odpoczywać co jakiś czas. Ale też chodziło o to, że kochałam tę część Londynu. Przypominała trochę katalog architektury: setki budynków o różnych kształtach, w różnych stylach znajdujących się w tak bliskim sąsiedztwie, bez przestrzegania jakiegokolwiek porządku.

Kiedy już wszyscy się dowlekli i ogarnęli, poszliśmy dalej.

– No, wreszcie — wydyszała Astrid.

Dotarliśmy do... trudno powiedzieć, było to coś w rodzaju zakurzonego placu budowy, którego rozmaite części pokrywały płachty impregnowanego brezentu.

Profesor Mylne popędził poinformować o naszej obecności i wrócił kilka minut później ze swoim przyjacielem Allanem Hardcastle'em. Obaj nieśli skrzynki wypełnione kaskami. Astrid

rozpogodziła się nieco, kiedy założyła jaskrawopomarańczowy kask – lubiła się przebierać, zwłaszcza w rzeczy w takich kolorach.

Potem poprowadzono nas ostrożnie po czymś w rodzaju prostokątnych murków.

– Sądzymy, że były to pałacowe spiżarnie – powiedział Allan Hardcastle.

– A skąd wiecie? – zapytał jeden z chłopców z dziewiątej klasy.

– Jezu, nienawidzę chodzić na te wycieczki z dziećmiakami – wymamrotała mi do ucha Astrid. – Zawsze przez nich wszystko się zaczyna rozwlekać.

– Po pierwsze, wymiary – ciągnął nasz przewodnik. – Po drugie, znaleźliśmy mnóstwo pozostałości wyrobów garncarskich – prawdopodobnie dzbanów na wodę i wino. Obecnie są sklepane i łączone przez koordynatora znalezisk.

Zerknęliśmy na dwa mniejsze obszary, ale trudno było je sobie wyobrazić zastawione naczyniami z wodą i winem. Właściwie w ogóle trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś znajdowały się tam jakieś pomieszczenia.

– Jeśli staniecie ostrożnie na tym podwyższeniu – mówił Allan Hardcastle – znajdziecie się na pozostałościach jednej z zewnętrznych ścian pałacu.

Weszliśmy za nim na wyższy murek i spojrzałam w dół na coś, co zapewne było kiedyś wnętrzem pałacu. Mogłam rozróżnić zakurzone, wybrukowane podłogi znajdujące się mniej więcej metr poniżej murku. Rzuciłam okiem na cały obszar stanowiska archeologicznego. Była to siatka podobnych murków – większość wznosiła się na mniej więcej metr podobnie jak ten, na którym staliśmy – pozostałość wewnętrznych ścian. Usilnie próbowałam wyobrazić sobie budynek, który kiedyś stał w tym miejscu.

– Dobry Boże! – wykrzyknął znajdujący się przed nami profesor Mylne. – Fontanny pozostały nieomal nietknięte!

Allan Hardcastle z dumą skinął głową.

– Można nawet rozpoznać płaskorzeźby ptaków ciągnące się wokół nich. Kimkolwiek był właściciel tego pałacu, najwyraźniej lubił ptaki – odkryliśmy pozostałości dwóch wielkich rzeźb orłów. Sądzymy, że najprawdopodobniej stały pierwotnie po dwóch stronach drzwi wejściowych.

– Czy możemy je zobaczyć? – zapytał Rob Wilmer.

Rob należał najwyraźniej do grupy entuzjastów. I zapunktował u mnie.

– Mam nadzieję. O ile ich jeszcze nie zapakowano i nie wysłano do British Museum. Będę musiał sprawdzić u koordynatora znalezisk.

– Jeśli zejdziecie teraz pojedynczym rzędem, będziecie mogli przyjrzeć się bliżej tym rzeźbieniom. Są wyjątkowe...

Ruszyłam za profesorem Mylne'em. Choć brakowało wielu elementów, mogłam sobie dokładnie wyobrazić, jak wyglądała taka fontanna. Wrażenie było tak silne, że niemal widziałam ją stojącą przede mną... Błyszczący wypolerowany marmur i światło odbijające się od jej powierzchni.

– Czy widzieliśmy wcześniej slajdy przedstawiające tę fontannę? – zapytałam profesora Mylne'a.

– Nie, oczywiście, że nie, Ewo. Dopiero niedawno została odkryta.

– A coś podobnego? Wydaje mi się dziwnie znajoma -- upierałam się.

Potrząsnął głową.

– Nie. W każdym razie nie na moich zajęciach. Nigdy nie widziałem fontanny tak kunsztownie zdobionej ptakami. Jest niezwykła.

Poczułam wyraźny niepokój. Byłam pewna, że widziałam tę fontannę wcześniej, a jeśli nie na zajęciach profesora Mylne'a, to gdzie? W bibliotece szkolnej? W internecie? Ale tak jak powiedział profesor Mylne – była ukryta pod nowszymi budowlami przez ostatnie dwa tysiące lat. A zatem nie mogłam widzieć jej zdjęć ani rysunków. Musiała istnieć jakaś inna fontanna, bardzo do niej podobna. Przeczesałam umysł w poszukiwaniu podobnych obrazów. Zazwyczaj przypominanie sobie źródeł danej informacji nie sprawiało mi najmniejszych problemów.

– Chodź, Ewa – syknęła Astrid.

Zamrugałam oczami i zdałam sobie sprawę, że zostałam przy fontannie sama. Wszyscy inni poszli już dalej. Astrid pociągnęła mnie pod ścianę obok siebie i poszliśmy na przełaj, żeby dołączyć do grupy.

Allan Hardcastle prowadził całą wycieczkę.

– Tutaj znajdują się najbardziej ekscytujące nas fragmenty – rozpromienił się, okrążając ostrożnie pozostałości centralnego atrium i idąc wzdłuż kolejnego ciągu murów.

Wszyscy ruszyliśmy za nim.

– Stańcie tutaj – powiedział, pokazując fragment murów, a sam zszedł ostrożnie na znajdującą się niżej posadzkę, którą całkowicie pokrywała wielka płachta białego brezentu.

Obserwowaliśmy go z położonego wyżej dogodnego punktu widokowego, kiedy

ostrożnie odsuwał materiał. Stopniowo odsłaniał przed naszymi oczami piękną turkusową podłogę wyłożoną mozaiką.

– Teraz wiecie, dlaczego uważamy, że właściciel tego pałacu był miłośnikiem ptaków! Spójrzcie na to...

Patrzyłam na motyw błyszczących złotych ptaków na tle skomplikowanego wzoru liści odcinających się wyraźnie od błyszczącego turkusu i nagle serce zaczęło mi walić jak młotem, a żołądek zwinął się tak, jakbym zaraz miała zwymiotować. Boże, to nie był właściwy moment na to, żeby się rozchorować. Powinnam pójść do łazienki, ale nogi miałam jak z ołowiu. Próbowałam się odwrócić, ale nagle zakręciło mi się w głowie. Musiałam się skoncentrować. Mój umysł starał się skupić na słowach wypowiedzianych przez Allana Hardcastle'a, ale jego głos wydawał się dobiegać z coraz większej odległości. Próbowałam skupić wzrok na jego twarzy... ale zniknął... w ciemnościach. Nie mogłam już nic zrobić. Zapadłam w ciemność.



## Rozdział 42

### Statystyka

– Seth, czy ty się wybierasz do łóżka? Już prawie świta.

– Tak, Matt, za chwilę. Muszę to rozpracować.

Seth siedział przy kuchennym stole nad stosem rozłożonych wokół niego papierów i tablelek.

Matthias stanął w kuchennych drzwiach, potrząsając głową. Georgia pojawiła się tuż za nim.

– Seth, jutro będziesz narzekał. Skąd weźmiesz energię do biegania? – powiedziała.

Georgia i Clare przeniosły się do pałacu kilka tygodni po tej pierwszej kolacji. Matthias dodał nowe skrzydło i każda z nich otrzymała własną przestronną komnatę. Ku jego lekkiej irytacji obie natychmiast przemeblowały pokoje. Georgia przemalowała sobie ściany na czarno i srebrno, a Clare zawiesiła plakaty Beatlesów i Rolling Stonesów. Sprawiała sobie również żółtawozielony odtwarzacz i puszczała im na okrągło ulubione płyty i single. Georgia, która opuściła Londyn w 1982 roku, szybko dorzuciła stos swoich ulubionych przebojów: The Stranglers, Adama Anta i Squeeze, które Mattowi było nieco trudniej docenić.

Kilka miesięcy później Matt dokonał kolejnej rozbudowy, by zrobić miejsce dla nowych przyjaciół z kawiarni: Blake’a, Emersona i Tamary.

Matthias był w swoim żywiole. Wydawał niezapomniane przyjęcia i tak urocze kolacje, że ich dom stał się ośrodkiem ożywionych kontaktów towarzyskich. Chociaż Seth nie podzielał entuzjazmu Matta dla tego rodzaju rozrywek, czasem się na nich pojawiał. Większą część dnia spędzał na realizacji swojego obecnego projektu badawczego.

Przyszedł do domu z zamiarem uporządkowania swoich odkryć, ale we wszystkich pokojach było pełno gości, a głośna muzyka uniemożliwiała skupienie się na czymkolwiek. Musiał więc poczekać, aż impreza dobiegnie końca i w domu znów zapanuje spokój.

Systematycznie gromadził kolejne informacje. Od pierwszego wieczoru z Clare i Georgią

zmienił przedmiot badań. Wcześniej wszystkie jego wysiłki obracały się wokół poszukiwań Liwii i uśmierzenia bólu po jej stracie. Teraz jego poszukiwania przybrały zupełnie inny obrót.

Zaczął niezobowiązująco wypytywać o różne sprawy ludzi, którzy nieustannie przewijali się przez ich dom. Kiedy już skończyli mu się dyskutanci, przeniósł się do kawiarni, a później do sklepów. Przestał mieć nawet opory przed zagadywaniem przechodniów. Jego wrodzona niechęć do inicjowania rozmów ustąpiła ciekawości, która kazała mu zdobyć jak najwięcej informacji na temat tajemniczej gorączki. Teraz porządkował wypowiedzi setek osób.

Kiedy tylko usłyszał, że Georgia i Matt zamknęli w końcu drzwi do sypialni, zabrał się do porządkowania wszystkich informacji, które zdołał zgromadzić.

#### BADANIE 543 OSÓB Z PARALLONU

WIEK	MĘŻCZYZNA	KOBIETA	OBJAWY	DŁUGOŚĆ TRWANIA GORĄCZKI	PRZEKAZYWANIE (liczba połączonych przypadków)	RANA ALBO SKALECZENIE
16	31	27	gorączka, mdłości, ból głowy, słabość	niepewni: <12 godzin?	12	2
17	39	35	gorączka, mdłości, ból głowy, słabość	niepewni: <12 godzin?	36	6
18	47	41	gorączka, mdłości, ból głowy, słabość	niepewni: <12 godzin?	46	12
19	43	44	gorączka, mdłości, ból głowy, słabość	niepewni: <12 godzin?	38	14
20	39	33	gorączka, mdłości, ból głowy, słabość	niepewni: <12 godzin?	24	6

21	31	29	gorączka, mdłości, ból głowy, słabość	niepewni: <12 godzin?	28	4
22	29	27	gorączka, mdłości, ból głowy, słabość	niepewni: <12 godzin?	24	2
23	24	21	gorączka, mdłości, ból głowy, słabość	niepewni: <12 godzin?	16	0
22-24	2	1	lekka gorączka, lekkie mdłości, słaby ból głowy, lekkie osłabienie	między 4 a 13 miesiące	2	0
OGÓLEM	285	258			216	46

Seth wbił wzrok w tabelkę, porównując zawarte w niej informacje ze swoimi notatkami. Wydawało mu się, że słyszy śmiech Clare. A potem usłyszał głos Emersona.

„Czy Clare jest teraz z Emersonem?” – zastanowił się.

Seth bardzo słabo znał Emersona. Podobnie jak Blake’a czy Tamarę. Lubił ciszę i samotność. Sądził, że po niedługim czasie się od nich wyprowadzą. Pałac na dłuższą metę potrafił być męczący.

Nie tak bardzo jednak męczący jak nierozwiązywalna zagadka, z którą się właśnie zmagał.

Rozumiał część informacji, które miał przed sobą – było dość jednoznaczne na przykład, że klucz do rozwiązania zagadki stanowiła gorączka. Ale do jakich drzwi pasował ten klucz? I dlaczego te drzwi prowadziły właśnie tutaj?

Tego dnia, kiedy nieoczekiwanie natknął się na Matthiasa, który nie był akurat w niczym towarzystwie, pokazał mu część danych.

– Matt, co o tym myślisz jako lekarz... Co twoim zdaniem może być logicznym powodem tego rodzaju gorączki?

Matt usiadł i zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– No cóż... Nauczono mnie zakładać, że gorączka jest zazwyczaj efektem zaburzeń krwi: krew jest albo zbyt ciężka, albo płynie zbyt wolno, albo zawiera zbyt wiele ciepła. Rozumiem jednak, że chodzi ci o tę konkretną gorączkę, która poprzedzała nasze przybycie tutaj?

Seth uśmiechnął się. Niewielkie było prawdopodobieństwo, by Matt nie wiedział o jego projekcie badawczym.

– Oczywiście, że o tym myślałem. Uznałem, że skoro obaj dostaliśmy tak wysokiej gorączki, to cała ta choroba była wynikiem przegrzania krwi.

– Ale z tego, co udało mi się zrozumieć – zaproponował Seth – gorączka nie jest sama w sobie chorobą, lecz jej objawem. Zastanawiałem się, czy może być objawem potężnego zakażenia?

– Zakażenia? – Matt wyglądał na zaskoczonego.

Seth skrzywił się, zbyt późno orientując się, że koncepcja zakażenia była Mattowi zupełnie obca.

– Mam na myśli zatrucie... jakiś rodzaj potężnego zatrucia?

– Ale trucizna musiałaby przecież w jakiś sposób znaleźć się w twoim ciele.

– Rana?

– Rana? Myślałem o czymś w rodzaju zepsutego mięsa albo zatrutego piwa... ale tak, myślę, że rana...

– Zraniłeś się i ty, i ja...

– To ty zostałeś ranny, Seth, nie ja...

– Ale czy to nie ty mi opowiadałeś, jak skaleczyłeś się, kiedy próbowałeś upuścić mi krwi?

Seth nie chciał wspominać o tym, że jako duch był świadkiem tego zdarzenia.

Matt nie odzywał się przez chwilę.

– Masz rację.

– Nie. Nie mam. Myślałem, że wpadłem na jakiś trop, ale tylko kilka osób, z którymi rozmawiałem, przypomniało sobie jakąś ranę albo skaleczenie, więc nie może to być poszukiwane przeze mnie rozwiązanie.

Seth z irytacją zmarszczył brwi.

Matthias westchnął.

– Seth, bracie, jakie to ma znaczenie? Jesteśmy tu i teraz, bezpieczni i w świetnej formie w tym cudownym nowym świecie, otoczeni interesującymi, zabawnymi ludźmi. Możemy robić, co nam się żywnie podoba i kiedy nam się podoba. Nie jesteśmy niewolnikami. Nie cierpimy. Posiedliśmy wieczną młodość. Jakie to ma znaczenie, jak się tu dostaliśmy?

Seth utkwiał spojrzenie w Matthiasie i przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

Nie mógł wyznać Mattowi, że motorem wszystkich jego badań była Liwia. Stracił ją i zamierzał kontynuować poszukiwania tak długo, aż dowie się, dlaczego.

# Rozdział 43

## Upadek

*Londyn*

*A.D. 2012*

Jęknęłam i obróciłam głowę.

– Niezły numer, Ewa. Żałuję, że sama na to nie wpadłam.

Podniosłam wzrok. Astrid stała nade mną i szczyrzyła się beztrzesko. Próbowałam się uśmiechnąć, ale usta odmówiły mi posłuszeństwa.

– Co się stało? – jęknęłam i ponownie zamknęłam oczy.

Bolała mnie głowa.

– To był genialny fortel. Stoisz sobie koło mnie na rozsypującej się antycznej ścianie i gapisz się na jakąś zatęchłą mozaikę, a chwilę później dajesz nura w dół. No, może nie tyle dajesz nura, ile się osuwasz, uczciwie rzecz ujmując. Gdybym tylko wiedziała, że tak bardzo chcesz się urwać z tej wycieczki, mogłabym wpaść na coś lepszego. Na przykład wymyśliłabym coś, co pozwoliłoby ci nie runąć głową w dół z metrowego muru.

– Nie! Nie spadłam chyba na tę mozaikę?

Boże, miałam nadzieję, że niczego nie zniszczyłam.

– Spadłaś na tę wielką płachtę brezentu. Udało ci się zwrócić na siebie uwagę – wszystkie kaski do ciebie pobiegły! Ujawnił się jakiś specjalista od pierwszej pomocy, sprawdził, czy nie skręciłaś sobie karku, i przyniósł cię tutaj. Karetka jest już w drodze.

– No nie! – jęczałam. – Nic mi nie jest! Chcę tam wrócić i przyjrzeć się temu miejscu.

Próbowałam usiąść, ale Astrid pchnęła mnie z powrotem na materac.

– Nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoli ci jeszcze raz łązić po tym unikatowym stanowisku archeologicznym! Wyobraź sobie, jakie mogłaś spowodować szkody! – Mówiąc to, zachichotała cicho. – Pogódź się z tym. Tak czy inaczej, wycieczka ma się skończyć za jakieś... trzydzieści sekund. Jak będziesz miała szczęście, to odwiedzi cię...

– Profesor Crispin. – Z wysiłkiem przełknęłam ślinę, kiedy w naszą stronę ruszył postawny dyrektor St Mag’s.

– Witaj, Ewo. Cieszę się, że odzyskałaś przytomność. Trochę się tu wszyscy zdenerwowaliśmy... Zwłaszcza biedny stary Allan Hardcastle.

Kiedy tak leżałam, usiłując skupić wzrok na jego twarzy, coś zaczęło ściekać mi do oka. Próbowałam mrugnąć i dalej patrzeć z uwagą, ale to coś nie pozwalało mi się skupić. Uniosłam niecierpliwie dłoń, żeby wytrzeć sobie twarz. Został na niej mokry i lepki ślad krwi.

Astrid uniosła brwi i obdarzyła mnie spojrzeniem, które oznaczało: „Nie próbuj się tego pozbyć”.

I słusznie. Nie mogłam się tego pozbyć. Ostatecznie wylądowałam na oddziale ratunkowym, gdzie założono mi siedem szwów na głowie i pięć na długim głębokim cięciu na rękę, którego nawet nie zauważyłam.

Kiedy wreszcie tego wieczoru zgasiałam światło i wdrapałam się do łóżka, z wysiłkiem zaczęłam przypominać sobie, na co patrzyłam, kiedy straciłam przytomność. Nie wiadomo dlaczego serce zaczęło mi bić mocniej, a żołądek skurczył się ze strachu. Namacałam włącznik światła i z ulgą rozejrzałam się po znajomym pokoju. Nigdy wcześniej ciemność nie budziła we mnie lęku, ale tej nocy chyba nikt nie zdołałby mnie przekonać do zgaszenia światła.

# Rozdział 44

## Wir

Seth pobiegł do domu Zackary'ego i załomotał do drzwi. To samo zrobił dzień wcześniej. I jeszcze dzień wcześniej. Kultywował ten zwyczaj każdego dnia od pięciu miesięcy.

Jak zwykle nie doczekał się żadnej reakcji. Jak zwykle zaklął. Przeklinał Zackary'ego za nieobecność i przeklinał samego siebie za to, że wiele miesięcy wcześniej odszedł. Bo musiał w końcu przyznać, że Zackary był mu potrzebny. Bez niego nie posunie się naprzód w swoich badaniach.

A Zackary zniknął.

Seth westchnął głęboko i odwrócił się, by znów odejść z niczym, próbując stłumić potęgującą się z każdym dniem rozpacz.

Nagle usłyszał, jak drzwi wejściowe otwierają się za jego plecami. Odwrócił się na pięcie i westchnął głośno.

W drzwiach stał Zackary owinięty ręcznikiem. Z jego mokrych włosów woda ściekała na posadzkę.

Seth nie odrywał jednak wzroku od jego twarzy.

– Zackary! Co ci się stało?

Zackary wyglądał nie tylko na zmęczonego i zmarzniętego, ale również... znacznie starszego. Przynajmniej dziesięć lat starszego. Miał wymizerowaną twarz, pobrużdżone zmarszczkami czoło i zapadnięte oczy.

– Nie było mnie przez jakiś czas – odpowiedział Zackary.

– Ale przecież nie na tyle długo, żeby...

– ...postarzyć się tak bardzo?

Seth patrzył na niego z zakłopotaniem.

– Czas się zwija, Sethosie.

– Zwija się?



Ta koncepcja budziła jakieś odległe skojarzenia.

– Jak długo nie było mnie w Parallonie?

– Pukałem do twoich drzwi bezskutecznie przez pięć miesięcy.

Zackary skinął głową.

– To było nieostrożne. Chciałem oddalić się zaledwie na kilka godzin. Domyślam się, że trochę się niecierpliwiłeś?

Seth przewrócił oczami.

– Cieszę się, że pozbyłeś się sukieneczki – zadrwił Zackary, rzucając okiem na dzinsy Seta. – Lepiej wejdź do środka.

Zackary zostawił drzwi otwarte i ruszył na górę. Seth zawahał się przez chwilę, a potem zamknął drzwi za sobą i poszedł za nim.

– Kawa?

– Jasne – powiedział Seth.

Zackary zaczął krzątać się metodycznie po kuchni. Było to przestronne pomieszczenie wyposażone w szereg urządzeń ze stali nierdzewnej. Seth usiadł przy dużym stole i patrzył, jak Zackary wyjmie pudełko z papierowymi filtrami, wyciąga jeden z pudełka i umieszcza go starannie w ekspresie. Potem odmierzył trzy miarki kawy ze słoika i wsypał je do filtra. Wziął szklany dzbanek i troskliwie odmierzył odpowiednią ilość wody, którą następnie uważnie wlał do maszyny. W końcu włączył ekspres, by zaparzyć kawę.

Seth zrozumiał frustrację Matthiasa, on sam przecież obstawał przy przygotowywaniu posiłków, zamiast wyczarowywać je z powietrza. Był zdecydowany porozmawiać z Zackarym i miał poczucie, że ten człowiek świadomie tę rozmowę odwleka.

Kiedy kawa powolutku się parzyła, kropla po kropli przesączając się przez papierowy filtr, Zackary wyjął płytką patelnię, którą lekko naoliwił, a następnie postawił na stalowej kuchence. Kiedy się rozgrzała, wyciągnął pudełko jajek i zaczął je rozbijać nad patelnią.

– Śniadanie?

– Nie, dziękuję — powiedział Seth przez zaciśnięte zęby.

Starał się nie tracić panowania nad sobą. Tak długo czekał na tę rozmowę, że mógł poczekać jeszcze trochę.

Kiedy Zackary usiadł w końcu nad swoim talerzem i dwoma tostami posmarowanymi masłem, Seth zaczął mówić:

– Zackary...

– Czy mógłbyś sobie nalać kawy? Mleko jest w lodówce.

Seth przygryzł wargi, wstał, nalał kawy do kubków, postawił karton mleka na stole i ponownie usiadł.

– Zackary...

Zackary przeżuwał starannie, wyglądając jednocześnie za okno. Wydawało się, że nie słucha.

– Mam kilka pytań.

– Czy to są właściwe pytania?

Seth stracił panowanie nad sobą.

– A skąd wiesz, które pytania są właściwe? Jak można mówić o właściwych pytaniach? Czym jest niewłaściwe pytanie? Każesz mi zadawać właściwe pytania, a potem znikasz na wiele miesięcy. Kiedy w końcu wracasz, traktujesz mnie jeszcze bardziej protekcjonalnie niż wcześniej. Na Zeusa, zadasz sobie trud wysłuchania moich niewłaściwych pytań czy też tracę czas?

Zackary odłożył widelec na talerz, zwrócił twarz w stronę Setha i uniósł brwi.

Głosem zimnym jak lód i twardym jak skała powiedział:

– Przydałoby się nieco cierpliwości i odrobina szacunku. Wróciłem dziś rano po dwunastu latach spędzonych z dala od tego miejsca, zmęczony i zmarznięty. Zdecydowanie nie planowałem przyjmowania wizyty zdziczałego, nadmiernie podekscytowanego gladiatora w charakterze prezentu powitalnego. Rozgość się, daj mi pięć minut na zebranie myśli, a obiecuję cię wysłuchać.

Sethos przypominał w tym momencie ściśniętą sprężynę. Przebiegł już tego ranka swoją zwyczajową dwugodzinną trasę, ale teraz poczuł, że najchętniej pobiegałby przez dwie kolejne godziny. Ciało kipiało od nadmiaru adrenaliny. Czy mógł poczekać jeszcze kolejne pięć minut? Nie był tego wcale pewien. Wstał więc i zaczął krążyć po pomieszczeniu.

Zackary powolnymi łykami pił kawę, nie przestając wyglądać przez okno. W końcu odwrócił się do Setha, okazując gotowość do rozmowy.

Seth wziął głęboki oddech.

– Zackary, dlaczego tu jesteśmy?

Zackary w zamyśleniu zawiesił wzrok na Sethosie.

– Wiem, dlaczego ja tutaj jestem, ale myślę, że nie mogę powiedzieć z przekonaniem, dlaczego ty tutaj jesteś.

– Gdzie powinienem teraz być?

Zackary beztrąsco wzruszył ramionami.

– W Londinium, oczywiście.

Seth walczył z pragnieniem wyjścia z kuchni i trzaśnięcia drzwiami. Ale wbrew zarzutom Zackary'ego, potrafił nad sobą zapanować. Wyrównał oddech, policzył do dziesięciu i podjął przerwany wątek.

– Z badań, które przeprowadziłem, wynika, że wszyscy tu obecni zmarli z tego samego powodu. Zjadliwa gorączka. To jest właśnie wspólny mianownik łączący nas wszystkich.

Zackary wbił spojrzenie w Seta.

– Nie objąłeś się.

– Muszę zrozumieć tę gorączkę...

– Dlaczego?

– Najwyraźniej nie każda śmierć prowadzi do życia w Parallonie. W tej infekcji musi być coś wyjątkowego.

– Jak zatem zamierzasz się dowiedzieć co?

– Miałem nadzieję, że ty...

– Na co miałeś nadzieję? Że znam wszystkie odpowiedzi? Przykro mi, Sethosie.

Seth spiorunował Zackary'ego wzrokiem.

– Wiesz, dlaczego tu jesteśmy.

Zackary zapatrzył się w okno.

– Tak i nie. Podobnie jak ty mam wiele pytań, na które nie znajduję odpowiedzi.

– A czy twoje pytania różnią się od moich?

– Nasze drogi bardzo się różnią... ale kto wie? Może się krzyżują?

Seth stłumił irytację. Zackary najwyraźniej unikał odpowiedzi na zadawane przez niego pytania.

– Dokąd zatem prowadzi moja droga? – warknął.

– A skąd mam wiedzieć? – Zackary się uśmiechnął. – Jak myślisz?

– Chcę tylko się dowiedzieć, dlaczego tu jesteśmy. Jak gorączka mogła nas przenieść do innego świata? Czym jest ta infekcja? W jaki sposób dochodzi do zakażenia? I... gdzie są

pozostali?

– Pozostali?

– Ludzie, którzy nie zmarli na gorączkę.

– Znakomite pytania. Wiele odpowiedzi uzyskasz, kontynuując badania, które tak metodycznie rozpocząłeś. Myślę jednak, że szukasz rozwiązania, którego nigdy nie znajdziesz. Może jednak nie dzieli nas tak wiele, jak sądziłem.

– Nie szukam rozwiązania, Zackary. Szukam odpowiedzi.

Zackary przyjrzał się Sethowi uważnie.

– A zatem... co chciałbyś wiedzieć?

– Jak zdiagnozować infekcję?

– To już wiesz. Żeby zdiagnozować infekcję, musisz ją najpierw zrozumieć. Jaki to rodzaj patogenów? Pasożyty? Bakterie? Wirusy? Grzyby? Priony? Jak wyglądają? Jak się rozprzestrzeniają? Jak wygląda inkubacja? Kiedy już zidentyfikujesz patogen i nazwiesz go, możesz zacząć szukać przyczyny. Ostatecznie powinieneś być w stanie zidentyfikować źródło. Zanim jednak przystąpisz do tego pracochłonnego i czasochłonnego zadania, musisz zadać sobie pytanie, dlaczego to robisz?

– Bo chcę zrozumieć.

– Ale do czego ma ci posłużyć ta wiedza? Sobie nie zdołasz już pomóc.

– Wiem. Nie szukam zbawienia.

Zackary westchnął głęboko.

– Niech i tak będzie. Wygląda na to, że będę musiał nauczyć cię, jak podróżować.

– Podróżować?

– Sethosie! Jaki z ciebie pożytek? Wciąż tylko powtarzasz moje słowa. Kiedy w końcu zrobisz użytek z własnego mózgu i zaczniesz wreszcie przetrawiać tę ogromną ilość informacji, które zostały ci przypadkiem podarowane?

Seth stał przed Zackarym, rozpalony z gniewu do białości. Zackary miał rację – był głupi... głupi, że tu wrócił, licząc na jakąkolwiek pomoc. Co sobie myślał? Nienawidził tego człowieka. Sytuację pogarszał fakt, że Zackary wydawał się nie zwracać uwagi na jego wściekłość.

– Musiało przecież dotrzeć do ciebie, że zrozumienie źródła tej infekcji wymaga podróży do tego źródła.

– Mam jeszcze raz przejść przez wir? – wyszeptał Seth.

– A z jakiego powodu do mnie przyszedłeś?

– Miałem głupią nadzieję, że mi pomożesz!

Zackary roześmiał się.

– Wróc do mnie, kiedy już będziesz gotów przyjąć to, co mam ci do zaoferowania – powiedział, po czym wziął puste kubki po kawie i zaniósł je do zlewu.

Seth chciał już wyjść. Podeszedł do drzwi. Zatrzymał się, wziął kilka głębokich oddechów i zawrócił. Kiedy przemówił, głos nie zdrzął mu nawet na moment.

– Potrzebuję dostępu do krwi – zakażonej i niezakażonej. A także wyposażenia, które pozwoli mi zidentyfikować patogen.

Zackary stał przy zlewie odwrócony plecami do Seta.

– Dobrze – powiedział.

A potem umył kubki i ustawił je ostrożnie na suszarce. Kiedy skończył, wytarł ręce w ściereczkę, złożył ją starannie i powoli odwrócił się do Seta.

– Pozwól, że zapytam: co wiesz o wirze?

Seth stał przez chwilę bez ruchu, rozważając pytanie.

– Rozumiem, że jest to jakiś rodzaj tunelu. Skrót przez czasoprzestrzeń?

Zackary niedostrzegalnie skinął głową.

– Kiedy jednak przejdziesz nim do świata fizycznego, wracasz do swojej ludzkiej postaci: komórki twojego ciała stają się znów kruche i wrażliwe. Starzeją się i giną równie szybko, jak starzałyby się, gdybyś pozostał w Londinium. Jeśli zostaniesz ranny i nie zdołasz dotrzeć do wiru, nie będziesz mógł tu powrócić. Jednak, co bardzo interesujące, im bardziej oddalasz się od swoich czasów, tym silniejszy stajesz się w tym świecie. Dla ciebie może to być bardzo korzystne. Ale uważaj na siebie, bo twoje słabości potęgują się równie szybko jak twoje mocne strony. I muszę ci przypomnieć – odwrotną stroną odwagi jest beztroska. Masz impulsywną naturę, nad którą będziesz musiał zapanować.

Seth zacisnął pięści i ponownie rozprostował palce. Nie zamierzał dać się sprowokować Zackary'emu.

– Jesteś bardzo młody, więc nie wiem, czy zdołam ci oddać moc i koszmarną siłę, jaką przedstawia wir. Już samo to, że o nim wiesz, potęguje ryzyko dla obu światów.

– Dlatego właśnie chciałeś mojej śmierci?

– To tylko jeden z kilku powodów, ale – tak. Wiedza potrafi być niebezpiecznym darem. A wiedza tych rozmiarów... – Zackary potrząsnął głową i spochmurniał. – Wir jest unikatowym w swoim rodzaju przejściem – gdyby wykorzystano go w niewłaściwy sposób, efekty byłyby... katastrofalne.

– Przysięgam, że nikomu nie powiedziałem.

Zackary powoli skinął głową i westchnął.

– Czy zatem zdecydowałeś, dokąd chcesz się udać?

Seth sięgnął do ostatnich rezerw samokontroli i wziął głęboki oddech.

– A co byś sugerował?

– Nareszcie! Nareszcie właściwe pytanie! – powiedział Zackary, uśmiechając się lekko. – Musisz wybrać się gdzieś, gdzie będziesz miał dostęp do grupy losowej niezbędnej do twoich badań.

– Może nie aż tak losowej. Moja grupa docelowa to osoby w wieku 16–23 lata.

– Ciekawe. Potrzebne ci otoczenie, w którym twoja młodość nie będzie zwracać niczyjej uwagi. Doskonale, zatem zacznijmy. Zanim jednak napuszczę cię na niczego niespodziewających się ludzi, wprowadzę cię nieco w zagadnienie podróży w czasie.

## Część III

*Przekroczył granice czasu i przestrzeni,  
Zasiadł na szafirowym tronie w blasku płomieni,  
Gdzie drżące anioły trzymają pieczę,  
Zobaczył – i porażony blaskiem mocy  
Zamknął oczy w bezkresnej nocy.*

Thomas Gray

# Rozdział 45

## Wysiedlenie

### *Gdzieś między Yorkiem a Londynem*

*A.D. 2013*

Ferie bożonarodzeniowe wreszcie dobiegły końca i wsiadłam do pociągu zmierzającego na południe, z powrotem do St Mag's. Zapatrzyłam się w gasnący dzień, starając się wybiec myślami w przyszłość i nie oglądać się za siebie.

Spędziłam ostatnie dwa tygodnie zaszyta w swoim pokoju pod kołdrą, ze stosem książek pod ręką i laptopem. Oczywiście wszystkie książki dotyczyły jednego tematu (wirusologii), do tego zdołałam się podpiąć do WiFi sąsiedniego domu, więc zorganizowałam sobie nieograniczone wręcz możliwości przeszukiwania sieci.

Przyjechałam do domu, spodziewając się, że podczas świąt będę się zajmować głównie unikaniem Teda i kontynuowaniem własnych badań, ale wkrótce na pierwszy plan wybiła się zupełnie inna kwestia: jak nie zmarznąć. Albo te wszystkie miesiące w St Mag's sprawiły, że stałam się taka delikatna, albo choroba poprzestawiała mój osobisty termostat.

W Yorku panowały oczywiście temperatury o kilka stopni niższe niż w Londynie i leżała odrobina śniegu, ale dom miał centralne ogrzewanie. Choć trochę ciągnęło po podłodze, nigdy wcześniej mi to nie przeszkadzało. A jednak jedynym miejscem, w którym nie trzęsłam się z zimna, było moje własne łóżko.

I tak starałam się spędzać możliwie dużo czasu we własnym pokoju. Nawet gdyby kraj ogarnęła nagle fala grudniowych upałów, mój pokój był najlepiej bronionym przed Tedem fragmentem domu. Ale naprawdę nie mogłam wysiedzieć w dużym pokoju dłużej niż dziesięć minut, bo zaraz zaczynałam szcząkać zębami.

Przez kilka pierwszych dni mama pozwalała mi znosić kołdrę na dół, ale Colin nie potrafił znieść nieporządku w dużym pokoju i kołdry, która burzyła ład, więc z ulgą wycofałam się do swojego pokoju, zdecydowana nie wychylać z niego nosa. Ten mały szczęśliwy trójkącik



tak przyzwyczał się do mojej nieobecności, kiedy byłam w szkole, że bez trudu zapominali o mojej obecności na wiele godzin. To oczywiście bardzo mi odpowiadało. Za zamkniętymi drzwiami własnego pokoju czułam się niemal zrelaksowana. Kiedy oni oglądali filmy, dźwięk był nastawiony na tyle głośno, że mogłam sobie pozwolić na to, by wyjąć gitarę i trochę poćwiczyć.

Od kilku tygodni nie dawała mi spokoju melodia, którą słyszałam w głowie, ale miałam tyle roboty, że nie dopuszczałam jej do świadomości. Teraz, gdy tak niewiele rzeczy zaprzętało moją uwagę, przyjrzałam się jej uważniej. Wiedziałam, że musiałam ją gdzieś usłyszeć, chociaż nie miałam pojęcia gdzie. Była to jednak ładna melodia, zapadająca w pamięć, więc uznałam, że warto ją zapisać, dopisać do niej słowa i zapytać Astrid, czy z czymś się jej kojarzy, jak już wrócę do St Mag's. Kilka dni po świętach Bożego Narodzenia już prawie ją uchwyciłam i brzdąkałam sobie właśnie ostatnią frazę, kiedy pod drzwiami usłyszałam mamę.

– Ewo? Czy mogę wejść?

Oparłam gitarę o ścianę i ostrożnie uchyliłam drzwi.

– Cześć – powiedziałam. – Wszystko w porządku?

Przez kilka chwil stała niezdecydowanie, wreszcie weszła do środka i przysiadła na brzegu łóżka. Usiadłam po drugiej stronie, podciągnęłam kolana pod brodę i czekałam. Wyrzała za okno – wielkie płatki śniegu wirowały na tle atramentowego nieba. Miała zaciśnięte usta i pochmurny wyraz twarzy. Dręczyła mnie ciekawość. Mama rzadko wpadała do mojego pokoju. Nigdy nie prowadziłyśmy babskich pogaduszek. Zdecydowanie coś ją gryzło. Czekałam.

– Ewo...

Zaczerwieniła się. Boże, co zrobiłam tym razem?

– Mamo?

– No więc Colin i ja... eee...

– Colin i ty...?

– Ewo... Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

– Wyduś to wreszcie.

– Dobrze. – Wzięła głęboki oddech. – Jestem w ciąży.

Łał... Tego się nie spodziewałam.

– Moje gratulacje – wyjąkałam. Co innego mogłam powiedzieć? – A... powiedzieliście już Tedowi?

Niespokojnie zerknęła na drzwi. Najwyraźniej nie. Nie zdziwiło mnie to. Nie trzeba było dyplomowanego psychologa, by zgadnąć, że Ted nie przyjmie tego dobrze. Mogłam mieć tylko nadzieję, że zdetonują tę bombę, kiedy już będę trzysta kilometrów stąd.

Zastanawiałam się, dlaczego postanowiła mi o tym powiedzieć... kiedy nagle wszystko stało się jasne.

– Colin uznał, że skoro pojawiaasz się w domu tylko na wakacje, to nie zrobi ci różnicy, jeśli zamienimy się na pokoje. Prawie cię tu nie ma, a dzieci zabierają tyle przestrzeni... – powiedziała, uśmiechając się niezręcznie.

Miałam pustkę w głowie. Nawet gdybym wymyśliła jakąś odpowiedź, chyba nie zdołałabym jej wyrazić zdrętwiałymi nagle ustami. Zamrugałam więc tylko oczami, zastanawiając się, czy kiedykolwiek byłam dla niej najważniejsza.

Znałam odpowiedź. Nie chodziło o to, że nie miała uczuć dla innych. Stawiała na pierwszym miejscu mojego ojca, potem Colina i Teda, a teraz... ten płód.

Dlaczego więc po tych wszystkich latach oczekiwałam czegoś innego? Mój pokój był nieduży, ale był moją jedyną przystanią. Rupieciarnia (do której miałam się przenieść) była bardziej komórką niż pokojem: z trudem mieściło się w niej łóżko. Zdecydowanie nie było tam gdzie postawić gitary. Przygryzłam wargi i zaczęłam wodzić palcem po wzorach na kołdrze.

– Jasne – wymamrotałam.

Wzięłam leżącą najbliżej książkę na temat wirusologii i tak długo wbijałam w nią wzrok, aż w końcu mama wyszła.

Ręce mi drżały. Im bardziej starałam się skupić wzrok na tekście, tym bardziej wszystko mi się rozmazywało. Zacisnęłam mocno powieki, a łzy trysnęły na gładkie kartki na moich kolanach. Wytarłam je ze złością, nienawidząc samej siebie za potrzeby, których nie potrafiłam stłumić. Miałam już prawie siedemnaście lat, na miłość boską. Kiedy wreszcie dorosnę? Dlaczego nadal jakaś ułomna część mnie oczekiwała rodzicielskiej troski ze strony mojej matki? To było żalosne. Wstałam, wpadłam do łazienki, obmyłam twarz i przyrzekłam sobie, że są to ostatnie dni, które spędzam w domu. Musiałabym oszaleć, żeby przyjechać tu tylko po to, by kulić się w jakimś kącie. Dlaczego nie mogłabym znaleźć sobie pracy na wakacje i jakiejś stancji w Londynie?

Ta myśl trochę mnie pocieszyła. Tylko ona podtrzymywała mnie przy życiu przez kilka ostatnich pełnych napięcia dni.

I oto wracałam pociągiem do szkoły, patrząc, jak kolejne kilometry przesuwają się za oknami. Pociąg zatrzymał się właśnie w Stevenage, co oznaczało, że do końca podróży pozostało niecałe pół godziny.

– Ewa?

Podskoczyłam, kiedy jakaś dłoń przesunęła się po moim ramieniu.

– Rob!

Uśmiechnęłam się.

Rob Wilmer. Jeden z fajniejszych chłopaków w St Mag's. Wysoki piegowaty blondyn. Nigdy nie próbował do mnie startować. Miły.

– Czy to miejsce jest wolne? – zapytał, rzucając okiem na etykietkę rezerwacji na oparciu fotela naprzeciwko mnie.

– Kobieta, która tutaj siedziała, właśnie wysiadła, więc myślę, że możesz je zająć – powiedziałam i uśmiechnęłam się.

Położył swój bagaż na półce i usiadł.

– Mieszkasz w Stevenage? – zapytałam.

– To stacja najbliższej mojego domu – odpowiedział.

– To... dość blisko St Mag's.

– Moi rodzice dużo podróżują. Dlatego mieszkam w internacie.

Skinęłam głową. Kiepsko mi szło w takich niezobowiązujących pogaduszkach i szybko skończyły mi się pytania, które mogłabym zadać. Wzięłam książkę, by uniknąć żenującej ciszy. Ale Robowi, jak się okazało, prowadzenie swobodnej konwersacji wychodziło lepiej niż mnie.

– A zatem... jak ci minęły święta?

– Mogło być gorzej.

„Chyba już niewiele gorzej” – dodałam w myślach.

– Rozumiem – roześmiał się. – Zatem St Mag's to długo wyczekiwany azyl?

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo – wyszeptalam.

– A więc... wróciłaś do normalności?

Co?

– No wiesz, chodzi mi o to, że wróciłaś do zdrowia. Po chorobie.

Przytaknęłam. Nie miałam ochoty na rozmowy o moim stanie zdrowia.

– Pewnie nie możesz się doczekać kolejnego semestru wypełnionego zajęciami?

Uśmiechnęłam się.

– Jasne. A ty?

– Oczywiście. To znaczy... jak ci się podoba St Mag's? Spełnia twoje oczekiwania?

– Chyba tak... – powiedziałam ostrożnie.

– Podoba ci się tu?

– Tak. Znacznie bardziej niż tam, gdzie chodziłam wcześniej.

Źle. Podaję za dużo informacji.

– A gdzie byłaś wcześniej?

– Nigdzie. W lokalnej szkole...

Uniósł brwi zdziwiony moją odpowiedzią.

– Rozwiniesz tę myśl?

– Nie ma o czym mówić.

Zagryzłam wargi.

Zmrużył oczy.

– Jasne. – Uśmiechnął się. – Nie szkodzi, chciałbym ci zadać znacznie ważniejsze pytanie... na przykład, czy w tym pociągu jest wagon restauracyjny? Umieram z głodu!

Wskazałam mu właściwy kierunek i ponownie wyciągnęłam książkę. Byłam prawie pewna, że dotrzemy do Londynu, zanim wróci.

Mylłam się.

– Mam nadzieję, że lubisz muffinki. Tylko to im zostało.

Pochylał się nade mną z dwoma styropianowymi kubkami i trochę rozmiękłą torbą. Pociąg szarpnął, a on zgrabnie utrzymał pozycję, by nie wylądować mi na kolanach, ale nie zdołał utrzymać kubków tak, by wrząca herbata nie polała mu się na rękę.

– Kurde, gorące! -- syknął.

Szybko przetrząsnęłam kieszenie i znalazłam dość czystą, lekko pogniecioną chusteczkę, którą udało mi się wytrzeć większość rozlanej herbaty.

Usiadł i podał mi kubek, kilka saszetek cukru i ciastko.

– Dzięki? Ile ci jestem winna? -- zapytałam.

– Hej, to dopiero początek semestru, mam kupę szmalu -- rzucił obojętnie i wrzucił ramionami. – Następnym razem ty stawiasz.

Zerknęłam na jego twarz, szukając podtekstów. Trzymałam się żelaznej zasady

nieprzyjmowania prezentów od chłopców. Ale tym razem nie miałam obiekcji. Zrelaksowany Rob niedbale odgryzał kawałki muffina i przeżuwał je, wyglądając przez okno. Odprężyłam się. Może tym razem będzie dobrze.

# Rozdział 46

## Nowy Rok

*St Magdalene's*  
*Styczeń A.D. 2013*

Czekało mnie twarde lądowanie. Ledwie zdołałam wciągnąć walizkę na łóżko, kiedy do mojego pokoju wpadła Astrid.

– Szczęśliwego nowego roku, laleczko! – wyszczerzyła się i podała mi kartkę. – Wydrukowałam ci to.

– Plan prób *Hamleta*? – Szybko zerknęłam na kartkę.

Aż gęsto. Ale właściwie nie ma co się dziwić, skoro wystawiamy sztukę lada moment.

– Dzięki – powiedziałam zdumiona trochę jej skutecznością działania.

Potem sobie przypomniałam, że postawiła sobie za cel skłonienie mnie do większej efektywności.

– No więc... – zaczęła, wskazując wszystkie moje wolne popołudnia – to oznacza, że będziemy musiały zmienić dni i godziny prób zespołu. Wiesz, że mamy koncerty w czwartkowe wieczory...

– Aha – przytaknęłam, zastanawiając się, do czego Astrid zmierza.

– No cóż... Na szczęście udało mi się zarezerwować studio na szóstą czterdzieści pięć każdego dnia.

– Ale właśnie mi pokazałaś rozkład prób do *Hamleta*. Mamy próbę prawie co wieczór.

– No tak!

Cisza.

– Astrid... Nie wierzę, że chodzi ci o szóstą czterdzieści pięć rano...

Szybko schyliła głowę i wybiegła z pokoju.

– Astrid... – jęknęłam, ale już jej nie było.

Była ósma pięćdziesiąt rano i od ośmiu dni trzymałyśmy się porannego reżimu narzuconego przez Astrid. Ośmiu bardzo długich dni. Nie byłam już w stanie przeżyć poranka bez kawy, więc ruszyłam sprintem ze skrzydła muzycznego przez dziedziniec do stołówki, marząc, by była jeszcze otwarta.

Pędem przelatując koło gabinetu dyrektora, zatrzymałam się nagle z poślizgiem. Bieganie po korytarzach było w St Mag's surowo zakazane, ale to nie złamanie szkolnej zasady tak nagle zatrzymało mnie w miejscu. Słyszałam, jak dyrektor Crispin z kimś rozmawia. Niby nic nadzwyczajnego, miał mnóstwo gości, ale nagle zaczęło mi rozpaczliwie zależeć na tym, by się dowiedzieć, kto to jest.

Wahałam się, niezdolna zdecydować, czy silniejsza jest potrzeba wypicia kawy, czy ta niespotykana ciekawość. Wydawało mi się, że słyszę głos gościa, ale w głowie tak zaczęło mi szumieć, że uznałam, iż kawa musi tym razem mieć pierwszeństwo. Już miałam ruszyć dalej, kiedy nagle zostałam odepchnięta przez Ruby, który obrzuciła mnie twardym spojrzeniem i zapukała do gabinetu dyrektora, po czym zniknęła za drzwiami, zostawiając mnie z rozdziawionymi ustami.

# Rozdział 47

## Kurs kolizyjny

*Londyn*

*Styczeń A.D. 2013*

Sethos Leontis siedział w czerwonym skórzanym fotelu i patrzył na Terence'a Crispina, dyrektora St Magdalene's. Choć odpowiadał na wszystkie pytania, którymi zarzucał go Crispin, wiedział, że nie musi się przechwalać swoimi możliwościami intelektualnymi. W świecie dwudziestego pierwszego wieku jego naturalna charyzma była wręcz nie do odparcia. Rzadko używał jej świadomie, ale od czasu do czasu okazywała się użyteczna. Jak wcześniej tego ranka, kiedy wyszedł z rzeki, ociekając wodą i trzęsąc się z zimna.

Wiedział, że umrze z zimna, jeśli szybko się nie ogrzeje, więc wszedł do najbliższej kawiarni i poprosił dziewczynę z za kontuaru o jakieś ubrania.

Elena (miała plakietkę z imieniem) zamrugała zdziwiona, uśmiechnęła się i bez słowa zniknęła w kuchni. Pojawiła się chwilę później z džinsami, swetrem, parą butów i wiatrówką.

– Mój eks zostawił to w pośpiechu. – Uśmiechnęła się.

Kiedy Seth sięgnął przez kontuar, by wziąć rzeczy, dziewczyna nagle zdała sobie sprawę z tego, że nieznajomy ocieka wodą. Szybko odsunęła zasuwkę i poprowadziła go wąskimi tylnymi schodami do swojego mieszkania, upierając się, że powinien wziąć gorący prysznic. Podziękował jej, obiecując zwrócić ubrania tak szybko, jak będzie to możliwe.

Przyniósł je z powrotem kilka godzin później, wyciągnąwszy kufer pełen ubrań z bagażu pozostawionego przez siebie i Zackary'ego podczas ich ostatniej wizyty. Nie miałyby do niego żalu, gdyby tego nie zrobił. Gotowa była zrobić dla niego prawie wszystko. Jego uroda i spotęgowana czasem charyzma sprawiały, że niemal nie sposób było mu się oprzeć. To wszystko w połączeniu z jego pozazmysłową intuicją oznaczało, że potrafił odczytać ludzkie intencje, a nawet zmodyfikować je, jeśli było to konieczne.

Kiedy więc teraz siedział w gabinecie dyrektora, nie znajdował w sobie cierpliwości do



wypełniania formularzy. Musiał się dostać do szkoły i znajdującego się w jej wyposażeniu mikroskopu kwantowego.

Miejsce było idealne. Seth nie mógł uwierzyć, że Zackary dokonał takiego znaleziska – szkoła dysponująca wyposażeniem laboratorium badawczego z prawdziwego zdarzenia, mnóstwo przedstawicieli grupy wiekowej znajdującej się w obszarze jego zainteresowań i ponad dwa lata na prowadzenie badań naukowych.

Spotkał się już z kadrą naukową i przeciągnął ją na swoją stronę, ale wiedział, że spotkanie z dyrektorem miało kluczowe znaczenie.

Terence Crispin starał się ocenić dziwnie ujmującego młodego człowieka siedzącego przed nim i miał już niemal zapytać go, skąd się wziął, kiedy nagle zorientował się, że jego długopis sam pisze odpowiedzi, których on nie słyszał, jego głowa potakuje z powagą, a usta układają się w błogi uśmiech zadowolenia. Tak niezwykle młody człowiek będzie bez wątpienia cennym nabytkiem dla szkoły. Potrzeba było zaledwie kilku minut, by dopełnić wszelkich formalności. Dyrektor Crispin podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do swojej sekretarki.

– Marcia, czy mogłabyś zorganizować na szybko jakiegoś miłego szóstoklasistę, żeby zajął się naszym nowym uczniem? Najlepiej kogoś, kto wcześniej już robił coś takiego.

– Oczywiście, panie dyrektorze.

Pięć minut później Ruby Garcia, która miała do roboty mnóstwo ciekawszych rzeczy niż oprowadzenie kolejnego nowicjusza, weszła do biura dyrektora Crispina.

– Och, Ruby, jak miło cię widzieć. Pozwól, że przedstawię ci Sethosa Leontisa.

Chłopak, który siedział w czerwonym skórzanym fotelu, wstał i odwrócił się twarzą do niej. Uniósł niepokojąco błękitne oczy i obdarzył ją uśmiechem, który wydawał się rozwiewać wszystkie jej wątpliwości. Bezwiednie pokonała dzielącą ich odległość. Chęć dotknięcia nieznanego była tak silna, że pierwszy raz w życiu pierwsza wyciągnęła dłoń w powitalnym geście. Kiedy dotknęła Sethosa, wstrząsnął nią tak rozkoszny dreszcz, że nabrała nagle niewzruszonego przekonania, że ona i Sethos Leontis są dla siebie stworzeni. Całe jej życie było jedynie preludem do tego spotkania, do tego mężczyzny i ich wspólnej przyszłości. Uśmiechnęła się radośnie. Dominic Patel stracił jakiegokolwiek znaczenie.

# Rozdział 48

## Elektryczność

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Profesor Isaacs wypuściła nas z filozofii z lekkim opóźnieniem, więc musiałam biec przez dziedziniec, żeby zdążyć na biologię. Tego dnia było naprawdę mroźno – kiedy już dotarłam na zajęcia, miałam niemal sine ręce. Szybko wcisnęłam się przez ciężkie szklane drzwi do laboratorium i spojrzałam niespokojnie na katedrę. Świetnie. Profesor Franklin jeszcze nie przyszła.

Rob Wilmer siedział z przodu. Odwrócił się i pomachał mi, wskazując gestem na puste miejsce obok siebie. Uśmiechnęłam się. On również się uśmiechnął, może odrobinę zbyt entuzjastycznie. Cholera. Polubiłam go. Od czasu naszej krótkiej wspólnej podróży pociągiem siedzieliśmy przy tym samym stoliku na kilku zajęciach i przy kilku posiłkach. Był zabawny i rozśmieszał mnie. Chciał teraz to wszystko zepsuć? Westchnęłam i usiadłam. Naprawdę czekałam na te zajęcia, a teraz czułam, że żołądek zaczyna mnie boleć z nerwów.

Drzwi ponownie się otworzyły. Odwróciłam się, spodziewając się ujrzeć profesor Franklin.

Mylłam się. Ktoś niepewnie stał w drzwiach wejściowych.

– Ach, tak, nowy uczeń. Jak on się nazywa? – wymruczał Rob.

– Nowy uczeń w styczniu?

Nie widziałam go dokładnie, bo odcinał się ciemną sylwetką od jasnego tła, ale nagle wydało mi się, że jest zbyt wysoki i zbyt barczysty, by mógł być uczniem St Mag's.

Nie tak dawno sama byłam zagubioną nowicjuską. Skrzywiłam się na to wspomnienie. Miałam ochotę podejść do niego i pomóc mu pokonać barierę oddzielającą go od klasy. Nie mogłam jednak narażać się na ściągnięcie na siebie uwagi pozostałych. Nie należało się wychylać.

Niepotrzebnie się martwiłam. Tuż za nim stała Ruby.

– Słuchajcie wszyscy. To jest Sethos Leontis. Seth – to jest laboratorium! – Szerokim gestem wskazała salę. -- Siadaj! – zakomenderowała, władczo ciągnąc go do ławki i poklepując siedzenie obok niej. Zanim usiadł, przyszła profesor Franklin.

– Przepraszam wszystkich za spóźnienie. Ach, doskonale, widzę, Ruby, że zajęłaś się naszym nowym uczniem. Seth właśnie rozpoczął naukę w St Mag's, więc przyjmijcie go do swojego grona.

Seth uśmiechnął się do profesor Franklin, a potem rozejrzał się szybko po klasie.

Kiedy mnie dostrzegł, zastygł na chwilę, a oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Zaszło mi w gardle.

Szybko spuściłam wzrok. Dlaczego serce waliło mi tak mocno? Dlaczego?

Przez resztę zajęć na wszelkie sposoby unikałam kontaktu wzrokowego. Mimo to z najwyższym trudem koncentrowałam się na patogennych mikrobach, którym się przyglądaliśmy.

Sethos kogoś mi przypominał, ale nie miałam pojęcia kogo. Przecież pamiętałabym, gdybym już kiedyś go spotkała... Łatwo zapadał w pamięć: te niezwykle, błękitne, rozświetlone oczy. Jeśli wziąć pod uwagę jego wzrost, to poruszał się z kocią gracją. Nie garbił się tak dziwacznie jak większość z nas. Z twarzy można by sądzić, że jest w naszym wieku, ale cały jego wygląd temu przeczył. Chciałam spojrzeć na niego ponownie – choćby po to, by potwierdzić swoje wcześniejsze spostrzeżenia (w interesie nauki, oczywiście) – ale nie śmiałam. Starłam się więc skupić na patogennych mikrobach.

W końcu zadzwonił dzwonek na długą przerwę. Zbierając w pośpiechu swoje rzeczy, rzuciłam okiem na tył klasy w chwili, w której Ruby z dumą wyprowadzała nowego ucznia. Poczułam delikatne ukłucie... czego? Nie. Zdecydowanie nie. Mowy nie ma!

– Chodź, Ewo, zanim zrobi się kolejka.

Rob cierpliwie na mnie czekał. Wcisnęłam kitel roboczy do torby i wstałam. Poszliśmy na lunch.

Podnosiłam właśnie do ust ostatni kęs zapiekanki, kiedy wpadli Louis i George.

– Ewo, już prawie wpół do drugiej!

– Świetnie, chłopcy, znacie się na zegarku.

– Strasznie zabawne. Czy słowo „próba” coś ci mówi?

Boże, próba *Hamleta*. Wychyliłam duszkiem napój, położyłam moją tacę na stos i

poszłam za nimi.

Profesor Kidd stał na drabinie, mocując oświetlenie, kiedy weszliśmy na scenę.

– Zaczniście się przygotowywać, zaraz schodzę! -- zawołał.

Nikogo nie krępowało bieganie w miejscu ani wymachiwanie ramionami – coś, co poza sceną byłoby żenujące.

– Nie do wiary! – powiedział profesor Kidd. – Wszyscy przyszli. Bijemy jakiś rekord czy co? Zapewne nie ma to nic wspólnego z tym, że mamy odegrać to przedstawienie przed całą szkołą w przyszłym tygodniu?

Żołądek ścisnął mi się w twardą kulę. O rany... Dam radę?

Miałam czas się uspokoić, bo nie grałam w dwóch pierwszych scenach, które chcieli przećwiczyć, więc siedziałam na widowni i patrzyłam, odpływając myślami.

Kim był tajemniczy Seth? Dlaczego pojawił się w szkole w połowie roku? I co ważniejsze: co robił w mojej głowie?

– Ewo, w twoim czasie...

Wróciłam na ziemię. A w każdym razie do teatru. Profesorowi Kiddowi właśnie kończyła się cierpliwość.

– Ups, przepraszam, profesorze Kidd.

– Miło, że znów jesteś z nami. Scena szaleństwa?

Zostałam obsadzona w roli (jakby) dziewczyny Hamleta Ofelii, która ostatecznie popada w obłąd. Nie byłam pewna, jak odnieść się do tej decyzji dotyczącej obsady – ale robiłam, co w mojej mocy, by stanąć na wysokości zadania. Publiczne osuwanie się w szaleństwo nie jest łatwe. Zwłaszcza z tym rodzajem zapamiętania, którego oczekiwał profesor Kidd. Ale było coś w szaleństwie Ofelii, co znajdowało oddźwięk w mojej duszy – może jej bezradność? Znalazła się w świecie, nad którym nie miała żadnej kontroli. Mogłam się z tym utożsamić.

Staralam się nie myśleć o wszystkich tych dzieciakach, które na mnie patrzyły. To było obezwładniające. I nagle do mnie dotarło. Może mogłabym wykorzystać wstyd i zażenowanie? Może tego właśnie potrzebowałam, by sobie uporządkować kwestię relacji z ludźmi? Nie było nic atrakcyjnego w osuwaniu się na scenie w szaleństwo. Jeśli odegram to odpowiednio sugestywnie, chłopcy powinni się trwale ode mnie odczepić... I może dziewczyny znowu zaczną ze mną rozmawiać?

Zdecydowałam, że moje szaleństwo będzie spektakularne.

Ku mojemu zadowoleniu profesor Kidd wydawał się usatysfakcjonowany.

– Doskonale, Ewo. Naprawdę zaczynasz wczuwać się w rolę. Do wszystkich: próbę techniczną mamy dziś o czwartej trzydzieści po południu. Nie spóźnijcie się!

Wysypaliśmy się z teatru, mrugając oczami w oślepiającym słońcu.

Will (Hamlet) dogonił mnie, kiedy szybkim krokiem szłam na zajęcia z historii.

– Ewo, nie chciałabyś przećwiczyć wcześniej naszej sceny przed jutrem?

Zamarłam.

– Której sceny? – zapytałam, wiedząc doskonale, którą scenę ma na myśli.

– Eee... Akt trzeci, scena druga – powiedział szybko, obgryzając paznokcie.

Co za niespodzianka. To ta, w której obejmował mnie coraz ciaśniej i dłużej za każdym razem, gdy ją ćwiczyliśmy. A zatem nie podziałało na niego moje spektakularne szaleństwo. Będę musiała się bardziej wysilić... albo skończyć z teatrem. Westchnęłam.

Czekał na odpowiedź.

– Przepraszam, Will, ale chyba nie znajdę czasu. Mam próby zespołu muzycznego... I muszę zabrać się do pisania pracy dla profesor Franklin. Słuchaj, będzie dobrze. Nie przejmuj się.

Nie czekając na jego odpowiedź, zdecydowanym krokiem pomaszero wałam na zajęcia z historii.

Trochę się spóźniłam. W sali panował mrok. Profesor Lofts rozpoczęła prezentację na temat Cézanne'a. Szybko wymacałam sobie drogę do pierwszego pustego krzesła. Miałam nadzieję, że wiele mi nie umknęło. Jego obrazy mnie uspokajały. Nawet jeśli obierał trywialny temat – kobiety, owoce, drzewa – nadawał mu rys ponadczasowości. Utrwalał je na zawsze, zakotwiczał, unieśmiertelniał. Gdyby tylko życie takie było. Gdyby tylko moje życie takie było. Nie mogłam pokładać nadziei w trwałości jakiegokolwiek relacji. Odetchnęłam głęboko, marząc o tym, by zasady panujące w świecie Cézanne'a przeniknęły do mojego.

– Zapal światła, proszę, Amit.

W moje rozmyślenia wdarł się głos profesor Lofts. Zdezorientowana zamrugałam oczami, przypominając sobie nagle, gdzie jestem. Kiedy obróciłam głowę, żeby się rozejrzeć, zauważyłam, obok kogo usiadłam. Odwrócił się w tej samej chwili. Nasze spojrzenia się spotkały.

Przełknął z wysiłkiem ślinę, a jego twarz przybrała wyraz... czego? Bólu? Zaskoczenia?

Oszołomiona odwróciłam wzrok. Czy miałam tak kiepską opinię, że dotarła już nawet do niego?

I wtedy przypomniałam sobie o Ruby. Oczywiście. Sporo z nią przebywał. Co mu powiedziała? Naprawdę sądziłam, że nad sprawą z Omarem przeszła już do porządku dziennego.

Pochyliłam się do przodu na łokciach tak, żeby włosy opadły mi na twarz, więc przez resztę zajęć mogłam nie patrzeć na niego nawet kątem oka. Jego obecność paliła mnie jednak żywym ogniem. Co się ze mną działo? To nie było racjonalne. Może za bardzo przejmowałam się rolą Ofelii? Może powinnam przestać się tak wzuwać? Może naprawdę popadałam w szaleństwo? Nigdy wcześniej czterdziestominutowa lekcja tak mi się nie dłużyła. W końcu zadzwonił dzwonek, a ja nie rozglądałam się na boki, tylko ruszyłam prosto do drzwi. Gdy znalazłam się na dziedzińcu, oparłam się o ścianę, by odzyskać równowagę, a kiedy dołączył do mnie Rob, znów poczułam się zupełnie normalnie.

Matematyka przebiegła bez zakłóceń. Setha nie było i mogłam bez przeszkód cieszyć się równaniami różniczkowymi. W trakcie krótkiej przerwy przed próbą pobiegłam do swojego pokoju, żeby się przebrać. Wyszłam dokładnie wtedy, gdy Ruby zamykała swoje drzwi.

– Cześć, Ewo — powiedziała.

– Eee... cześć.

– Idziesz na próbę?

– Tak.

– No to do zobaczenia.

Ruby ze mną rozmawiała? Łał. Od miesiący nie odezwała się do mnie ani słowem. Ucieszyłam się. Kiepsko się czujesz, gdy ktoś cię unika.

Ruszyłam do teatru. Próby techniczne składały się z wejść, wyjść, światła, dźwięku i poprawek kostiumów. To oznaczało, że kiedy profesor Kidd ustawiał światła, ja miałam mnóstwo czasu, by pomyśleć o tym, co mnie martwiło i niepokoiło. Wykorzystałam ten czas bardzo konstruktywnie. Najpierw sprawdziłam, czy pamiętam wszystkie swoje kwestie. Był to zdecydowanie priorytet. Potem przeczytałam jeszcze raz pracę z biologii na jutro (tę, o której wspominałam Willowi, a której rzekomo nie napisałam). Była w porządku, gotowa do złożenia. Zerknęłam na scenę. Cały czas pracowali nad sceną Ducha. Jeszcze przez chwilę nie będę potrzebna. Przetrzęsłam torbę. Mogłam przerobić stochastyczne równania różniczkowe, ale mieliśmy je robić dopiero w przyszłym tygodniu, powinnam więc zająć się bardziej nagłymi zmartwieniami. Na przykład znów zaczęłam myśleć o tym nowym uczniu. Naprawdę nie

lubiłam, jak coś mnie dekoncentrowało. Musiałam go wyrzucić z głowy, co nie było łatwe. Mieliliśmy wspólnie co najmniej dwie lekcje. A jeśli robił do tego jeszcze fizykę i chemię?

# Rozdział 49

## Makroszok

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Szósta trzydzieści rano. Budzik bezlitośnie ściągnął mnie z łóżka. Nie byłam gotowa. To była fatalna noc sennych koszmarów, po których zrywałam się mokra od potu, z sercem głucho walącym w piersiach. Nie mogłam sobie przypomnieć szczegółów, chociaż się starałam. Pamiętałam jedynie własny strach.

Bolała mnie głowa, wyschło mi w gardle, a żarówka wydawała się świecić zbyt jasno. Ubrałam się, nalałam sobie wody do kubka do mycia zębów i wypiłam ją duszkiem, a potem powlokłam się na próbę zespołu. Kilka razy przeciwiczyliśmy wszystkie numery i skończyliśmy akurat na apel. Nie byłam gotowa się z tym zmierzyć, więc starając się nie rzucić w oczy, powędrowałam na fizykę.

Chciałam jeszcze przejrzeć notatki na temat algorytmów kwantowych. Miał nas dziś odwiedzić słynny profesor, by wyjaśnić nam swoją teorię kwantowych bramek logicznych i ponoć miało być to coś naprawdę oszałamiającego. Musiałam się skupić.

Jak się okazało, tak się zatopiłam w notatkach, że nie zauważyłam napływających stopniowo na zajęcia uczniów. Dopiero gdy poraził mnie prąd, wróciłam do rzeczywistości. Naprawdę mnie poraził. Z trudem złapałam powietrze i odwróciłam się, by zobaczyć, jak można się domyślić, kto siada na krześle obok mnie. Przesuwając się, dotknął łokciem mojego ramienia. Zdezorientowana potarłam skórę i poczułam mrowienie. Ruby odsuwała właśnie krzesło po jego drugiej stronie. Rzuciła mi spojrzenie, w którym nie było już przyjaznego nastawienia z ostatniego wieczoru.

Odwróciłam się od niej i próbowałam stworzyć dystans między sobą a elektryzującym chłopakiem. Nie byłam gotowa na kolejne zajęcia podobne do lekcji historii sztuki, więc poszukałam wzrokiem pustych siedzeń. Było tylko jedno w pierwszym rzędzie. Wzięłam swoje



rzeczy i właśnie wstawałam, żeby się przenieść, kiedy do sali wszedł profesor Chad z naszym gościem. Usiadłam z powrotem. Odetchnęłam głęboko kilka razy i odsunęłam moje krzesło tak daleko od Setha, jak było to możliwe bez siadania na kolanach Kumala. Zasłoniłam sobie dłońmi oczy po obu stronach głowy, unikając jakiegokolwiek kontaktu fizycznego, i wyłączyłam go ze swojego pola widzenia. No i zdołałam skoncentrować się na fizyce.

Gość przyjechał z laboratorium badawczego w Queensland. Eksperymentował z energią molekuł. Niesamowite rzeczy. Kiedy zadzwonił dzwonek, zaproponował po przerwie sesję pytań i odpowiedzi dla wszystkich, którzy nie spieszili się na kolejne zajęcia. Na szczęście moje zajęcia dodatkowe z łaciny zostały odwołane, więc byłam wolna. Niestety, najwyraźniej Seth również nie musiał się nigdzie spieszyć. Zachowywał jednak dystans, a ja dokładałam starań, by unikać jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego.

Wydawało się, jakby dzwonek zadzwonił już pięć minut później, i tym razem naprawdę musiałam iść na chemię z profesorem Burleigh, na którą nikt nie ośmielał się spóźnić.

Spakowałam książki i pospiesznie ruszyłam przez dziedziniec. Słyszałam za sobą kroki. Nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, kto za mną szedł. Czułam, że się do mnie zbliża.

– Liwia, poczekaj!

Wyciągnął rękę i dotknął mojego ramienia. Kolejny wstrząs. Zadrżałam i odwróciłam się do niego.

– Mam na imię Ew... – zaczęłam, napotykając spojrzenie jego niewiarygodnie niebieskich oczu.

Słowa uwięzły mi w gardle. Stałam, nie mogąc się odezwać.

– Kim jesteś? – wyszeptałam.

– Seth, Seth! Poczekaj! – krzyknęła Ruby, biegnąc za nami i upychając jednocześnie w torbie skoroszyt. – Nie idziesz na historię?

Seth opuścił rękę. Ruby spojrzała na mnie groźnie. Wbiłam wzrok w ziemię.

– Nie, mam chemię – powiedział.

– Ale jestem pewna... – zaczęła, a potem potrząsnęła głową. – Pewnie się pomyliłam. No to się pospiesz. Burleigh jest bezlitosny dla spóźnialskich.

Odeszła, a Seth ruszył u mojego boku. Nie podnosiłam wzroku, przyciskając torbę z książkami do piersi. W sposobie, w jaki na mnie patrzył, było coś, co przywoływało... wspomnienia? Marzenia? Nie potrafiłam tego nazwać.

Mogę uczciwie powiedzieć, że nie pamiętam, co się wydarzyło na chemii. Miałam w mózgu zwarcie i nie mogłam się skoncentrować. Seth siedział za mną i – znów – emanował czymś, jakimś potężnym magnetyzmem. Musiałam zebrać wszystkie siły, by oprzeć się jego charyzmie.

Nie da się przez całą lekcję stawiać oporu magnetycznemu przyciąganiu i jednocześnie zrozumieć reakcję adiabatyczną. To po prostu nie jest możliwe. A potem, choć popołudnie miałam wolne od Seta, nie mogłam się uwolnić od myśli o nim. Pod koniec dnia uznałam, że muszę złożyć wizytę doradcy i dokonać stosownych zmian w rozkładzie zajęć. Nie mogłam chodzić na zajęcia z tym chłopakiem. Mącił mi w głowie.

Prawie dotarłam do pokoju nauczycielskiego, kiedy usłyszałam za sobą krzyk.

– Ewa! Nie ten kierunek!

Odwróciłam się. Astrid przemierzała dziedziniec, idąc w stronę skrzydła muzycznego. Spojrzałam na zegarek. Prawie szesnasta trzydzieści. Mieliśmy ostatnią próbę przed dzisiejszym występem. Nasz pierwszy występ od wieków. Tak naprawdę pierwszy od czasu, gdy wyłądownałam w szpitalu. Zawróciłam i dogoniłam ją. Będę musiała postarać się wyprostować to wszystko przed kolejnym dniem szkoły.

Ćwiczyłyśmy tego wieczoru moją nową piosenkę. Zebrałam się w końcu na odwagę, by zaprezentować ją Astrid we wtorek.

– Świetna!

Astrid potrząsnęła głową.

Wiedziałam. Teraz ją zjedzie. Głupia byłam, że w ogóle zdecydowałam się to zagrać – nie potrafiłam pisać piosenek.

– Nie nadaje się, prawda? – westchnęłam i odłożyłam gitarę.

– Nie. Doskonale się nadaje. Nie wiedziałam, że... żywiesz wobec kogoś takie uczucia.

Znam go?

Roześmiałam się.

– Nawet ja go nie znam. Niestety.

Wiedziałam tylko tyle, że z jakiegoś nieznanego mi powodu zgodziłam się zaśpiewać tę piosenkę tego wieczoru.

# Rozdział 50

## Zgubiony

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Seth z najwyższym trudem zniósł jej obecność na zajęciach z chemii. Miał ją na wyciągnięcie ręki. Czuł się tak, jakby jakiś okrutny bóg bezlitośnie sobie z niego zażartował. Natknął się na nią tutaj, na dziewczynę, w miłości do której całkowicie się zapamiętał i którą tak boleśnie utracił, po wszystkich tych poszukiwaniach w czasie, tylko po to, by zrozumieć, że stała się niedostępna, nie należała już do niego. Nosila inne imię. Nie znała go. Był jej zupełnie obcy. To było nie do zniesienia.

Kiedy zadzwonił dzwonek na koniec lekcji, a ona wyszła z sali, nie spojrzawszy nawet na niego, mógł jedynie z bólem patrzeć, jak odchodzi.

Pod koniec dnia był w nastroju już nie tyle przygnębienia, ile depresji. Powoli pozbierał swoje książki, zastanawiając się, czy szukanie jej miało jakkolwiek sens. I nagle ta wysoka blondynka znów znalazła się u jego boku.

– Seth! – Rozpłynęła się w uśmiechu. – Jak ci minęło popołudnie?

– W porządku – wymamrotał, ruszając do drzwi.

Zdecydował, że postara się znaleźć Liwię.

– Seth, poczekaj! Może byśmy poszli na herbatę?

Znów stała tuż obok niego.

– Herbatę? -- powtórzył.

– Chodź! – powiedziała, sterując nim w stronę stołówki.

Rozejrzał się po dziedzińcu w poszukiwaniu ukochanej, ale nie było po niej śladu. Może była w stołówce? Pozwolił się tam zaciągnąć. Było tam mnóstwo ludzi i wszyscy stali w kolejce po coś do picia. Rozejrzał się czujnie po sali.

Ruby ciągnęła go do kontuaru. Nagle zdał sobie sprawę, jak potwornie go irytowała.

– Słuchaj, nie chce mi się pić – powiedział i wyszedł.

Ruby spojrzała za nim bezradnie. Czy powinna za nim pójść? Poczwała nieodpartą chęć, by go dogonić – tak bardzo go pragnęła – nawet jeśli szedł w przeciwnym niż ona kierunku. Stopy już miały ją ponieść w jego stronę, kiedy usłyszała za sobą krzyk.

– Hej, Rubes! – Harry pomachał do niej, przywołując ją do stolika, przy którym siedział.

– Weź swoją herbatę i usiądź z nami!

Wahała się przez chwilę, po czym uznała, że to lepszy wybór. Wzięła filiżankę herbaty, słodką bułeczkę i usiadła.

Wszyscy rozmawiali o tej cholernej sztuce. *Hamlet*. Nie dostała w niej żadnej roli. Nie chodziło o to, że bardzo jej zależało, chociaż byłaby idealną Ofelią... Mia też tak sądziła. Podobnie jak jej ojciec. A był sędzią Sądu Najwyższego, na litość boską. Profesor Kidd najwyraźniej nie wiedział, że Ofelia powinna być wiotką blondynką. Czy nie widział rysunku na okładce książki? To mógłby być jej portret. No i kto otrzymał tę głupią rolę? Oczywiście Ewa. Jak zawsze ta kretynka Ewa.

– Idziesz?

Harry patrzył na nią wyczekująco. Najwyraźniej czekał na jej odpowiedź.

– Czy gdzie idę?

– Czy idziesz na koncert dziś wieczorem? We wspólnej sali?

– Ach... Nie wiem...

– Przyjdź koniecznie, wszyscy idziemy, po próbie *Hamleta*. Zabieram też Setha, wiesz, tego nowego. Dostał pokój obok mojego. Świetny gość. Dziewczyno, on ma tak niesamowitą rzeźbę. Wszedłem do niego dzisiaj rano, żeby sprawdzić, czy wie, dokąd pójść na śniadanie, a on właśnie wychodził spod prysznic. W pokoju było dość mroczno, ale i tak było widać, jaką ma fantastyczną muskulaturę. Oblęd! Tak czy inaczej, obiecałem Crispinowi, że się nim zajmę.

– Ale Crispin to mnie poprosił, żebym się nim zajęła! – zachnęła się Ruby.

– Wygląda na to, że on potrafi zająć się sam sobą – prychnął Jack.

– Jedno jest pewne – wołałbym nie mieć z nim na pieńku! To co, dołączysz później, Rubes?

– Jasne. Czemu nie, wpadnę. O dziewiątej, tak?

Ruby dopiła herbatę i ruszyła do pokoju. Pójdzie na koncert i spędzi najbliższe cztery godziny, dokładając starań, by Sethosa Leontisa nie interesował nikt i nic oprócz niej.

Kiedy Ruby nakładała sobie maseczkę na twarz, smarowała ciało balsamem i depilowała się, Seth biegał. Harry pokazał mu na przerwie szkolne boiska i Seth już wiedział, że w tym dziwnym świecie będą jego ostoją.

Biegając, próbował uporządkować myśli. Przybył tu, by przeprowadzić swoje badania. Nie mógł tracić z oczu celu przez dziewczynę, która nie była miłością jego życia. Liwia nie żyła.

Więc jak to możliwe, że ta dziewczyna, ta Ewa, była do niej tak niesłychanie podobna? Jak to możliwe, że wszystkie dziewczyny w tej szkole wydawały się nim zainteresowane – z wyjątkiem niej? Nawet jako niewolnik, jako gladiator Seth nigdy nie spotkał kobiety niewrażliwej na jego wdzięki. Nie rozumiał odrzucenia, z którym teraz się zmagał.

Może powinien wrócić do Parallonu? To wszystko wyglądało jednak na bardzo kiepski pomysł. Jak miał prowadzić swoje badania, jeśli nie mógł zebrać myśli?

Tak. Powinien odejść, zanim popadnie w prawdziwą obsesję. Znaleźć inne laboratorium. W innym czasie.

Ale nie chciał. Chciał być blisko niej. Potrzebował jej.

Czuł się tak samotny, że zatęsknił za Matthiasem, chociaż nie mógłby z nim o tym porozmawiać – Matt nie miał pojęcia, gdzie był. Zackary kazał mu to przysiąc. Niezależnie od tego, jak długo miałyby potrwać jego badania, zamierzał spędzić nie więcej niż kilka minut poza Parallonem. Matt nigdy się nie dowie – o ile Seth nie pęknie. Tak czy inaczej, on i Matt zawarli umowę. Seth obiecał nigdy więcej nie wspominać imienia Liwii.

Seth przez chwilę zastanawiał się, czy nie zaufać Zackary'emu. Bardzo krótką chwilę. Wiedział, że Zackary nie okazałby mu współczucia. Byłby wściekły. Po pierwsze dlatego, że Sethowi wystarczyły dwa dni w Londynie, by znaleźć się na uczuciowej huśtawce. Czy nie powtarzał mu, jak istotne jest zachowanie emocjonalnego dystansu? A po drugie dlatego, że marnował cenny czas i zasoby Zackary'ego na całkowicie chybiony projekt badawczy.

Seth biegł i biegł, aż wreszcie bicie serca, rytmiczny oddech i uderzenia stóp o ziemię ukończyły chaos w jego głowie. Cztery godziny później wrócił do pokoju zlany potem, ale znacznie spokojniejszy.

# Rozdział 51

## Cień

Seth nie byłby może tak spokojny, gdyby wiedział, że Matthiasa wcale nie było w Parallonie. Matthias również był w Londynie, zaledwie trzy kilometry dalej, zwinięty na miękkiej, choć nieco wytartej sofie z Elena, dziewczyną z kawiarni, która pożyczyła Sethowi ubrania.

Matthias nie był głupi. Ostatnio to, co robił Seth, wzbudziło jego lekką podejrzliwość. Czy też może raczej to, czego nie robił. Seth nie był mężczyzną, który z przyjemnością przesiadywał w domu, i to wyglądając na wyczerpanego. Niezależnie od tego, czym kusiłby go Matthias, przestrzegał swojego codziennego rozkładu zajęć: rano bieganie, po południu trening. Od tak dawna niezłomnie trzymał się tej codziennej rutyny, że nowy rozkład zajęć siłą rzeczy budził zdziwienie. Matthiasa to zaniepokoiło. Nie chciał, by Seth znów pogrążył się w rozpacz, z której tak długo nie mógł się otrząsnąć.

Choć w życiu Matthiasa było tylu innych ludzi i zajęć, Seth nadal zajmował w nim wyjątkowe miejsce. Matt lubił Georgię i był również poważnie zainteresowany Clare, bo wyglądało na to, że Sethowi najwyraźniej się nie podobała. Jeśli chodzi o dziewczyny, to Matthias był zainteresowany wszystkimi. Nawet Ardent. Jeśli tylko któraś okazała mu cień zainteresowania, gotów był do natychmiastowej reakcji. Nie rozumiał, dlaczego Georgia się wściekała, kiedy spędzał wieczór z Clare, Hanną albo Beccą. Nie uważał tego za zdradę. Mieli dla siebie całą wieczność, bez żadnych ograniczeń. Dlaczego by się tym nie cieszyć?

Matthiasowi zawsze podobały się dziewczyny – w sensie czysto fizycznym. Nigdy jednak nie czuł potrzeby zakochania się w którejkolwiek z nich. Nie myślał również o ożenku. Nawet w Londinium jego marzenia o wolności nie wiązały się z marzeniami o posiadaniu ziemi albo prawie do wejścia w związek małżeński. Chodziło mu jedynie o wolność robienia tego, na co miał ochotę. A teraz, w Parallonie, mógł robić to, co tylko chciał, i był zdecydowany korzystać z tego prawa bez ograniczeń. Dlaczego Seth nie patrzył na to w ten sposób? Dlaczego zawsze

musiał realizować jakąś misję?

Seth był w gruncie rzeczy jedyną osobą, na której Matthiasowi zależało. Jedyną, którą kochał.

A więc co się z nim działo? Matt wiedział, że Seth o czymś mu nie mówił. Był zdecydowany dowiedzieć się, co to takiego.

Pewnego ranka o świcie wyszedł za Sethem z ich domu. Seth miał na sobie koszulkę do biegania i szorty. Pieszko nigdy by za nim nie nadążył, Seth pędził jak wicher. Przez chwilę Matt sądził, że został pokonany, dopóki nie przypomniał sobie forda anglii Georgii zaparkowanego na drodze. Na szczęście nauczyła go nim jeździć, chociaż aż do tej chwili nie widział sensu tej nauki. Matthias zgarnął kluczyki ze stolika przy drzwiach wejściowych i wskoczył do środka. Seth majaczył jeszcze w polu widzenia, więc Matthias uruchomił silnik i utrzymując bezpieczną odległość, podążył za nim. Seth pobiegł prosto do rzeki.

Matthias dostrzegł czekającego na Seta wysokiego szczupłego mężczyznę. Rozmawiali przez chwilę, po czym podeszli do brzegu rzeki. Matthias zaparkował samochód po drugiej stronie mostu i wysiadł tak cicho, jak było to możliwe. Potem bezszelestnie podkrał się do brzegu. Widział, jak obaj przez minutę stali przy linii wody, po czym zniknęli. Rzucił się do miejsca, w którym stali chwilę wcześniej, i spojrzał na rzekę. Ani śladu. Poczul nerwowy skurcz żołądka. Czy Seth zdecydował się skończyć ze sobą? Już miał sam skoczyć, gdy nagle dostrzegł ich obu wynurzających się na powierzchnię. Rzucił się szczupakiem za stos beczek i patrzył, jak wypelzają na brzeg, otrząsając się z wody.

W tym momencie Matthias zmarszczył brwi. Mieli na sobie zupełnie inne ubrania.

Obaj zniknęli w wejściu do wysokiego budynku, z którego mniej więcej dziesięć minut później wyłonił się Seth ubrany w suchy strój do biegania: koszulkę i szorty. Matthias tym razem już nie zadawał sobie trudu śledzenia go. Doskonale wiedział, dokąd zmierza. Do domu.

Dotarł tam kilka minut przed Sethem.

– Kawy? – zapytał nonszalancko, kiedy Seth wszedł do kuchni.

Seth, widząc Matthiasa na nogach tak wcześnie, starał się ukryć zaskoczenie.

– Tak, dzięki — powiedział, rzucając się na krzesło.

– Gdzie biegałeś? – zapytał Matt, starając się, by zabrzmiało to możliwie zwyczajnie.

– Tam gdzie zwykle – odpowiedział Seth wymijająco.

Matthias skinął głową. Było jasne, że Seth nie zamierzał się zdradzać.

Następnego ranka siedział już w fordzie anglia, gdy Seth wyszedł z ich domu w stroju do biegania. Matt zrobił to samo co poprzedniego dnia, ale tym razem, gdy Seth i nieznajomy wskoczyli do wody, po chwili wskoczył za nimi. Pożałował tego sekundę później, gdy poczuł potężną siłę wsysającego go wiru, który bezlitośnie pociągnął go w dół.

Tylko jedna przerażająca myśl pozwalała mu utrzymać się w tej gehennie przy zdrowych zmysłach – nie może stracić Seta.



## Rozdział 52

### Ostrzeżenie

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Ostateczna próba naszego zespołu poszła całkiem nieźle. Zdążyłam jeszcze wpaść do pokoju na szybki prysznic i zmianę stroju, po czym pobiegłam do sali wspólnej na próbę dźwięku. Rozważałam zahaczenie o stołówkę i zgarnięcie czegoś do jedzenia, ale uznałam, że prysznic jest ważniejszy. Właśnie miałam wejść do kabiny prysznicowej, kiedy ktoś zapukał. Cholera. Przez chwilę chciałam zignorować pukanie, ale pomyślałam, że może to Rose Marley. Co jakiś czas nieoczekiwanie mnie sprawdzała. Nie mogłam odpowiedzieć jej przez drzwi, bo zyskałabym tylko tyle, że poszłaby do dozorczy po zapasowy klucz. Zakręciłam więc wodę, owinięłam się ręcznikiem i otworzyłam drzwi.

To był błąd.

To nie była Rose; to była Ruby. Tak, Ruby, która nie przekroczyła progu mojego pokoju od dnia, w którym przyłapała Omara na całowaniu się ze mną.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Jasne, Ruby – odpowiedziałam, pochmurniejąc.

Usiadła na moim łóżku. Stałam przy otwartych drzwiach, owinięta wyłącznie ręcznikiem. Było coś w wyrazie jej twarzy, co sprawiało, że chciałam mieć w razie czego otwartą drogę ucieczki.

– Seth Leontis – powiedziała w końcu.

Boże, jeśli chodzi o zagadkowe wypowiedzi, była mistrzynią.

– Tak?

– Ty mi powiedz.

– Co?

– Nie udawaj niewiniątka. Co jest między tobą i Sethem?

– Nic, Ruby...

– No jasne, i ja mam w to uwierzyć! Widziałam, jak na ciebie patrzył!

– Ruby, on się pojawił w szkole dosłownie pięć minut temu. Patrzy na mnie tak samo jak na wszystkich pozostałych. Zamieniliśmy może trzy słowa... I to tylko dlatego, że wziął mnie za kogoś innego.

Nagle jakby jej ulżyło, ale się nie uśmiechnęła.

– OK. I niech tak zostanie.

– A zatem... wychodzicie dziś razem?

– Wyjdziemy, jeśli nie staniesz nam na drodze.

– Nie staję nikomu na drodze, Ruby – zaproponowałam. – Nigdy nie stawałam... – dodałam cicho.

Prawdopodobnie nie powinnam była tego mówić.

– No jasne! – wybuchnęła, zeskoczyła z łóżka, odepchnęła mnie i trzasnęła za sobą drzwiami.

# Rozdział 53

## Blizny

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

– Człowieku! Ile razy dziennie bierzesz prysznic?

Harry walił w plastikową obudowę kabiny. Seth potrzebował chwili, by wrócić do rzeczywistości. Wszedł w stan relaksacji, który poprzedzał zazwyczaj wyjście na arenę. Otworzył oczy, opanowując dezorientację. Co to za miejsce?

– Seth? Idziesz? Koncert zaczyna się za dziesięć minut.

Koncert? Tak. Zgodził się pójść tam dziś wieczorem. Ten chłopak nie dawał się zbyć.

Seth wyszedł spod prysznic i wziął ręcznik. Harry głośno wciągnął powietrze.

– Coś nie tak?

– Skąd masz te wszystkie blizny, człowieku?

Seth zamarł. Nosił swoje blizny od tak dawna, że o nich nie pamiętał. Zwłaszcza że teraz nie sprawiały mu bólu. Spojrzał na siebie i wzruszył ramionami.

– Bójki – odpowiedział bez wdawania się w szczegóły.

Harry otworzył szeroko oczy i cicho zagwizdał. Usiadł na łóżku Setha, starając się nie patrzeć, gdy Seth w zamyśleniu wycierał swoje ciało i ubierał się. Kilka minut później przemierzali dziedziniec razem z resztą starszych uczniów. Kiedy już wreszcie wcisnęli się do wspólnej sali, zespół stroił instrumenty.

Kiedy tylko Seth przekroczył próg, poczuł, że ktoś łapie go z tyłu. Ci, którzy znali Sethosa Leontisa w Londinium, nigdy by się na coś takiego nie odważyli. Miał niebezpiecznie szybkie reakcje, a jego instynkt samozachowawczy zawsze brał górę. Automatycznie zadał cios, który rzucił napastnika pod przeciwległą ścianę.

Na szczęście w sali było tak tłoczno, że Ruby nie uderzyła plecami o ziemię, lecz wylądowała na grupie dziesiątolasistów.

– Hej, Ruby! Co ci się stało? – zapytał Harry, pomagając jej wstać. – Potknęłaś się?

Ruby rozcierała sobie ramię. Co się stało? Przecież to niemożliwe, żeby Seth tak ją trzepnął. Zszokowana wbiła w niego spojrzenie. Skonsternowany Seth patrzył na nią. Zachęcona tym, że nie okazywał wrogości, zaczęła znów przepychać się do niego. Właśnie wtedy zespół zaczął pierwszy numer i Seth spojrział na scenę.

Przez cztery ostatnie godziny pracowicie odzyskiwał równowagę psychiczną, a teraz w ułamku sekundy cała jego praca poszła na marne. Oto ona, jego osobisty anioł i jego osobisty demon, śpiewała... śpiewała melodię, którą znał. Melodię, która koła jego nocne koszmary w trakcie mrocznych tygodni majaków, które spędził na posłaniu w willi Natalisa. Zaczął przepychać się przez tłum, by znaleźć się bliżej niewielkiej sceny, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Śpiewała z zamkniętymi oczami. Nie musiała patrzeć na swoje dłonie, by łapać odpowiednie chwytów: gitara była niemal jej przedłużeniem. Nagle porywający rytm przygasł. Seth przestał słyszeć instrumenty, pozostał jedynie jej głos, szepczący kolejne nuty z rozdzierającą serce słodyczą. Trzymała mikrofon tak, jakby był jej kotwicą, jej jedynym przyjacielem. Publiczność zastygła oczarowana. Melodię podawaną przez gasnący głos podjęły gitary i perkusja. Uniosła powieki, a jej spojrzenie napotkało jego oczy.

# Rozdział 54

## Przełom

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Dlaczego zgodziłam się zaśpiewać moją nową piosenkę na początku? Co sobie myślałam?

Astrid powiedziała, że się rozluźnię, jak będę miała to już za sobą. I ponieważ zazwyczaj miała rację w takich sprawach, nie sprzeczałam się. Rzeczywiście, poszło nieźle... Naprawdę wczułam się w muzykę, znalazłam w miejscu, w którym brała swoje źródło, kiedy nagle otworzyłam oczy i zobaczyłam go tuż przed sobą. W tej jednej sekundzie uświadomiłam sobie, że ta piosenka była o nim. Dla niego.

Ale napisałam ją, zanim w ogóle go zobaczyłam. Cholera. Cholera. Cholera. Co się ze mną działo? Tym razem naprawdę ogarniało mnie szaleństwo. Stałam na scenie, w samym środku numeru, zupełnie straciwszy wątek przez chłopaka, który stał przede mną i patrzył prosto na mnie. Chłopaka, o którym marzyłam.

Boże. Boże wielki. Nie mogła przypomnieć sobie słów, które miałam zaśpiewać. Na szczęście moje dłonie grały chywy refrenu, kiedy ja próbowałam wziąć się w garść. Biedna Astrid powtarzała riffy basu z nadzieją, że w końcu uda mi się oprzytomnieć i dobrać do ostatniego wersu piosenki, a Sadie mężnie dotrzymywała nam kroku na perkusji. Jak mogłam je tak zawieść? Zmusiłam się do wzięcia głębokiego oddechu i odwróciłam się plecami do chłopaka, który mnie hipnotyzował. Astrid przewróciła oczami i obdarzyła mnie jednym z tych swoich uśmiechów wyrażających anielską cierpliwość, od niechcienia zdejmując wiążący mnie czar. Podjęłam śpiew. Wyśpiewałam ostatnią zwrotkę, omijając publiczność wzrokiem. Z niezrozumiałych powodów oklaski po zakończeniu piosenki były ogłuszające. Musieli przecież zauważyć, jak spaliłam ten numer!

Ich aplauz w zdumiewający sposób dodał mi sił i pozwolił dotrzeć do końca koncertu,

choć musiałam śpiewać z zamkniętymi oczami lub skupiać spojrzenie na pedale od gitary. Nie byłabym zdolna ponownie znieść widoku tego chłopaka.

Kiedy już wszystko się skończyło, starałam się nie rzucać w oczy i skupić na zwijaniu sprzętu. Zwijałam właśnie ostatni kabel, kiedy poczułam, jak prąd przepływa przez całe moje ciało. Złapałam oddech, przekonana, że zaraz zemdleję. Oparłam się, dysząc, o ścianę i zastanawiałam się jednocześnie, jakie może być naukowe wyjaśnienie przepływu prądu przez niepodłączony do niczego kabel, kiedy zorientowałam się, że to on stoi obok mnie i wygląda na przerażonego.

– Seth? – jęknęłam.

Zawroty głowy były tak silne, że osunęłam się na podłogę i oparłam głowę na kolanach.

Usiadł obok mnie.

– Liwia, co się stało? – wyszeptał. – Dobrze się czujesz?

Ten głos. Co mi przypominał ten głos?

Przyglądałam się Sethowi przez chwilę, wyglądając prawdopodobnie jak idiotka, a potem spróbowałam przypomnieć sobie, co powiedział przed chwilą. Potrząsnęłam głową.

– Nie wiem... To jakiś wstrząs. Za chwilę poczuję się lepiej.

– Posłuchaj, Liwio...

– Seth...

Za każdym razem, gdy wymawiałam jego imię, czułam się tak, jakby coraz bardziej stawał się moją własnością. Podobało mi się to. Bardzo. Problem polegał na tym, że Ruby zastrzegła sobie prawa własności do niego, a on był zainteresowany wyłącznie mną, bo sądził, że jestem kimś innym. Uznałam, że muszę położyć kres jego cierpieniu.

– Seth, ja mam na imię Ewa.

Skinął głową. Wyglądał jednak, jakby mi nie wierzył. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– To ty... Wiem, że to ty – wyszeptał. – Ta piosenka... Dlaczego wybrałaś właśnie ją?

Spojrzałam na niego, zajrzałam mu w oczy i poczułam tę dziwną więź.

– Ja jej nie wybrałam... Ja ją napisałam...

Czy na pewno? Melodia od tygodni unosiła się tuż pod powierzchnią mojej świadomości. Czy ja ją wymyśliłam, czy może gdzieś usłyszałam?

– Ta piosenka sprowadziła mnie z powrotem... kiedy się zgubiłem...

Głos mu się załamał. Zerknęłam na jego twarz i widoczna na niej konsternacja sprawiła,

że zapragnęłam wyciągnąć rękę i pocieszyć go. Zanim mój umysł zdążył zracjonalizować tę instynktowną reakcję, moje palce dotykały już jego twarzy. Czysta fizyczna moc tego dotyku odebrała mi na chwilę oddech, ale dopiero gdy on nakrył moją dłoń własną, po raz kolejny niemal straciłam przytomność. Oparłam się o ścianę, dysząc ciężko. Musiałam zamknąć oczy, by uspokoić szaleńcze wirowanie sali. To było żenujące. Kiedy otworzyłam oczy, patrzył na mnie z takim niepokojem, że aż się uśmiechnęłam.

– Przepraszam, Seth. Niedawno byłam chora. Wszystko w porządku, zaraz mi przejdzie...

Seth był blisko. Bardzo blisko. Czulałam zapach jego oddechu. Głęboko wciągnęłam powietrze, jakbym mogła wciągnąć w płuca jego samego. Chciałam... Chciałam... Chciałam się w nim rozpuścić, zatracić się.

– Seth? – wyszeptałam, ponownie dotykając jego twarzy.

Po raz kolejny załapała mnie fala gorąca i poczułam zawroty głowy. Opuściłam rękę, oparłam głowę o ścianę i zamknęłam oczy. Co się ze mną działo? Trudno było wyobrazić sobie mniej dogodny moment na nawrót choroby. Z trudem otworzyłam oczy. Jego utkwione we mnie spojrzenie miało taką intensywność i wyrażało bolesną tęsknotę.

– Przepraszam, Seth... – wyszeptałam. – Ja zazwyczaj nie...

– Liwio, proszę, przypomnij sobie! – zażądał, a głos uwiązł mu w gardle z emocji.

Zamknęłam oczy, czując, że coś czai się tuż na granicy świadomości. Jego głos przypominał mi coś... gdzieś...

– Seth! Gdzie byłeś? Wszędzie cię szukałam.

Ruby nagle przypuściła bezpardonowy atak. Kiedy podeszła na tyle blisko, by dostrzec mnie siedzącą na podłodze u jego boku, zsiniała ze złości.

– Ewa! – wyrzuciła z siebie z nieskrywaną wściekłością. – Nie powinnaś być gdzie indziej? Rozdawać autografy? Odbierać Brit Award?

To było zgryźliwe. Zamrugałam oczami, zastanawiając się, jak mogłam kiedykolwiek myśleć, że jest moją najlepszą przyjaciółką. Byłam przyzwyczajona do radzenia sobie z umiarkowaną wrogością, ale nadal mnie bolało, gdy to ona była jej źródłem. Ruby patrzyła na mnie z góry z nieskrywaną odrazą, która wykrzywiła jej twarz we wstrętnym grymasie.

Musiałam stąd uciec. Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. Chociaż nadal kręciło mi się w głowie i przydałoby mi się posiedzieć jeszcze kilka minut pod tą ścianą, odepchnęłam się rękami od podłogi i spróbowałam wstać.

– Chodź, Seth -- powiedziała Ruby. – Mia zorganizowała małe przyjęcie w swoim pokoju, Jack przemycił trochę wina... Mamy dwadzieścia minut do ciszy nocnej.

I już go odciągała. Westchnęłam. Przynajmniej mogłam teraz w spokoju osunąć się na podłogę, a tego właśnie było mi trzeba. Oparłam głowę na kolanach i zamknęłam oczy. Chwilę później szeroko je otworzyłam.

– Idź na przyjęcie, Ruby, ja tutaj chwilę zostanę.

Seth nadal stał obok mnie.

– Z nią? – Ruby niemal się zakrzuszyła.

– Tak.

– Nie widzisz, że ona tylko udaje? Świetnie się czuła na scenie, jak wszyscy na nią patrzyli. Widziałeś to? A teraz nagle ty przyszedłeś, a jej jest tak słabo, że nie może wstać z podłogi. No proszę cię!

– Ruby... – zaczęłam, ale ona dopiero się rozpędzała.

– Czy to jest dla ciebie jakaś gra, Ewo? Odbijanie innym dziewczynom chłopaków? Kręci cię to? Przecież ty ich tak naprawdę nie chcesz! Pragniesz ich tylko odebrać komuś innemu. Przecież masz już wszystko! Nie brakuje ci inteligencji, talentu ani urody. Dlaczego nie możesz zostawić czegoś innym? Jak możesz czerpać satysfakcję z rujnowania innym życia?

Jakby ta scena i tak nie była wystarczająco koszmarna, Ruby mówiła tak głośno, że przyciągnęła uwagę garstki ludzi kręcących się jeszcze po sali. Włącznie z Astrid, która ruszyła w naszym kierunku.

– Co się dzieje?

– Nic, Astrid – westchnęłam.

– Nic, Astrid. – Ruby zaczęła mnie przedrzeźniać. – Mała dziewczynka właśnie bierze Setha na bezradność.

– Na bezradność? – syknęła Astrid groźnie.

– Och, tak się słabo czuję, nie mogę iść na zajęcia, ale *Hamlet*, próba zespołu, czemu nie...

– Ruby, mylisz się! Nie wiem, co...

– Daruj sobie! Kto ci uwierzy?

W tym momencie do awantury włączył się Rob.

– A zatem twierdzisz, Ruby, że Ewa udawała, kiedy wylądowała w szpitalu? Bo ja akurat



tam byłem, na tej lekcji historii sztuki, na której dostała zapaści. Ratownikom medycznym zajęło godzinę ustabilizowanie jej stanu na tyle, by przewieźć ją do szpitala karetką. Oni też udawali?

– Boże, ona na tobie też robi wrażenie, prawda, Rob? Ona jest jak cholerna syrena. Zwabia cię, a potem wypluwa jak ścierwo.

– A mnie się wydaje, że to ty ją tak potraktowałaś, prawda, Ruby? – powiedziała Astrid cicho.

– Po tym jak ukradła mi chłopaka! To jej specjalność! Nie zauważyliście? – krzyknęła Ruby i wybiegła z pokoju wspólnego.

Zapadła krępująca cisza, kiedy to wszyscy starali się udawać, że nie stoją wokół diabolicznej syreny, która pożera i wypluwa swoje ofiary.

Oparłam głowę na kolanach, modląc się, by wszyscy sobie poszli i zostawili mnie wreszcie w spokoju.

– Ewa, wszystko w porządku? – Rob przepchnął się przed Setha i usiadł na podłodze obok mnie.

– Tak – westchnęłam.

– Byłaś dziś świetna. Naprawdę niesamowita -- powiedział.

– Dzięki.

Uśmiechnęłam się.

– Chodź. Czas zapakować niewinną syrenę do łóżka. Rob, pomożesz mi zaprowadzić ją do pokoju? Ona chyba nie czuje się zbyt dobrze – zakomenderowała Astrid.

Pomogli mi wstać, a ja starałam się nie podnosić głowy, unikając wszelkiego kontaktu wzrokowego. Nie zniósłabym czyjegokolwiek wzroku, a już na pewno nie Setha.

– Bardzo wam wszystkim dziękuję – wyszeptalam, kiedy pomagali mi dojść do pokoju.

Skuliłam się na łóżku.

– Dobranoc, Ewo – zaśmiała się Astrid, gasząc światła.

# Rozdział 55

## Prawda

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Uff! Może dla Astrid to wszystko było zabawne, ale ja tu umierałam. Zamknęłam oczy, marząc o tym, by spłynęło na mnie zapomnienie. Nie chciałam myśleć o tym katastrofalnym wieczorze, w którego epicentrum przed chwilą się znalazłam. Ale oczywiście, kiedy nie chcesz o czymś myśleć, dokładnie te myśli kołaczą ci się po głowie, dręczą cię i nie dają ci spokoju. A ponieważ mój umysł umiał przypominać sobie informacje bardzo dokładnie, pamiętałam każdy szczegół. Każde okrutne słowo. Czy Ruby naprawdę uważała mnie za zdzirę manipulującą uczuciami innych? Czy naprawdę sądziła, że mam wszystko?

Zwlokłam się z łóżka, włączyłam światło i spojrzałam w lustro, próbując znaleźć w sobie podobieństwa do dziewczyny opisanej przez Ruby. Zobaczyłam te same czarne oczy, które zazwyczaj spoglądały na mnie z lustra.

Nie. Naprawdę tego nie rozumiałam. Rzuciłam się z powrotem na łóżko, przypominając sobie jej pozostałe zarzuty. Była bezwzględna, zupełnie nie przejmowała się tym, że wszyscy słyszą to, co mówi. Staralam się nie myśleć o świadkach tej obrzydliwej sceny. Ludziach, na których zaczęło mi zależeć, choć bałam się jeszcze do tego przyznać sama przed sobą.

Oczywiście był też świadek tej sceny, bez którego nie wyobrażałam sobie... Seth Leontis. Musiałam przyznać, że... Naprawdę nie chciałam, żeby to właśnie on nabrał przekonania, że jestem przewrotnym demonem. Chyba więc Ruby miała rację. Tym razem naprawdę byłam żywo zainteresowana jej chłopakiem. Bardziej niż zainteresowana. Seth stał się moją obsesją. Oczywiście, nie mogłam go odebrać Ruby. Była pierwsza i rościła sobie do niego prawo. Nie pozostawiła mi również wątpliwości, że nie odpuści. Ja nie miałam żadnych praw.

Kogo chciałam oszukać? Nie było już o co walczyć. Ruby dołożyła wszelkich starań, by tak się stało. Nawet jeśli odrobinę zainteresowałam Setha wcześniej – i to tylko dlatego, że wziął

mnie za kogoś innego – to na pewno było to już zupełnie nieaktualne.

Próbowałam otrząsnąć się z rozpacz. Powinnam być wdzięczna Ruby za to, że przypuściła swój atak tak wcześnie, zanim zdążyłam się głupio, beznadziejnie zadurzyć. Poza tym wiedziałam, że było jedynie kwestią czasu, zanim Ruby zda Sethowi relację ze wszystkich moich dotychczasowych wpadek.

Jęknęłam. Jutro będę musiała wszystkim tym ludziom spojrzeć w oczy.

# Rozdział 56

## Sukienka

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Musiałam w końcu zasnąć, bo budzik obudził mnie następnego ranka. Umierałam z głodu. Cholera. Pewnie dlatego, że poprzedniego wieczoru nie zjadłam kolacji. Czy miałam jednak w sobie dość sił, by pójść do stołówki? Byłam trochę rozdygotana po niewielkim nawrocie choroby poprzedniego wieczoru, ale wiedziałam z doświadczenia, że na pewno nie poczuję się lepiej, jeżeli nie zjem śniadania.

Rozważałam jeszcze wszystkie za i przeciw, kiedy moje drzwi otworzyły się raptownie. Tylko jedna osoba nie miała przekonania do tak prostych form grzecznościowych jak pukanie do drzwi.

– Astrid.

– Jak się czuje nasza pacjentka dziś rano?! – wrzasnęła radośnie.

– Ze słuchem nie mam problemów, dziękuję – skrzywiłam się.

– No i dobrze. Kiepsko by było, gdybyś dziś wieczorem nie usłyszała podpowiedzi suflera.

– Boże! Próba kostiumowa do *Hamleta*!

– No to może byśmy nakarmili tę przewrotną syrenę, co? Długi dzień przed nami.

– Astrid, czy mogłabyś mi coś przynieść? Ja nie mogę spojrzeć ludziom w oczy.

– Weź się w garść i nie rób z siebie sieroty! Jeśli miejsce pobytu pewnej zwariowanej blondyny może mieć jakikolwiek wpływ na twoją decyzję, to ona już wsunęła swoją porcję i wyniosła się ze stołówki, więc na razie jesteś bezpieczna.

Trochę mnie to podniosło na duchu. Westchnęłam, skończyłam się ubierać i poszłam za Astrid przez dziedziniec. To był kolejny naprawdę chłodny dzień, więc choć nie spieszyłam się do stołówki, musiałyśmy pobiec, żeby nie zamrznąć. Z Astrid nie było dyskusji.

W stołówce było zaskakująco tłoczno. Myślę, że dlatego, iż na zewnątrz było tak zimno, nikt nie chciał wyjść. Kiedy weszliśmy, chaotyczna poranna gadanina nagle przycichła. W sali zapadła cisza. Boże, dlaczego ja tu przyszedłam? Ruby prawdopodobnie ogłosiła publicznie, że w szkole grasuje Przewrotna Łowczyni Cudzych Chłopaków.

Chwyciłam się futryny i zastygłam. Czy mogłabym jeszcze się wymknąć niezauważona?

Zaczęłam się właśnie wycofywać, kiedy ktoś krzyknął:

– Dałyście wczoraj świetny koncert!

Jakiś chłopak zanucił jedną z naszych melodii, akompaniując sobie, uderzając łyżką po stole. Wkrótce perkusja powiększyła się o kilkanaście kolejnych łyżek, a kilka kolejnych głosów utworzyło dość niezdarne chórki. Astrid i ja wrosłyśmy w ziemię, uśmiechając się od ucha do ucha. Kiedy piosenka dobiegła końca, cała sala zaczęła klaskać i wiwatować.

Przez całe śniadanie nie odrywałam wzroku od talerza, chyba że ktoś zadał mi jakieś pytanie, na które nie dawało się uniknąć odpowiedzi. Skupiałam się na tym, by żaden element znajdujący się na peryferiach mojego pola widzenia nie przyciągnął mojej uwagi. Udało mi się przetrwać ten poranek, nie widząc się z Sethem, ale nie wiedziałam, czy był to sukces moich uników, czy po prostu go nigdzie nie było.

Przed południem zaczęłam się rozluźniać. Miałam dwie lekcje matematyki, matematykę stosowaną i filozofię: wszystkie przedmioty, których Seth na szczęście nie wziął.

Profesor Isaacs zorganizowała dyskusję między Willem a Sadie, która miała zilustrować poglądy Marksa i Nietzschego na religię. Dyskutowali tak zaciekle, że lekcja się przeciągnęła i spóźniłam się na biologię.

Wślizgnęłam się cichutko na krzesło z tyłu i próbowałam się skoncentrować na nauce. To byłoby łatwe, gdybym nie dostrzegła Setha siedzącego w drugim rzędzie z Ruby u boku. Ze swojego miejsca mogłam go dyskretnie obserwować, nie zwracając na siebie uwagi.

Siedział w niesamowitym bezruchu. Przesunęłam spojrzeniem po plecach pozostałych uczniów. Wszyscy bezustannie kręcili się i wiercili na krzesłach: Ruby kręciła włosy na palcach, Amit opierała się raz na jednej, raz na drugiej ręce, Rob zmieniał nieustannie środek ciężkości i coś bazgrał na skrawku papieru... Seth zaś siedział wyprostowany w całkowitym bezruchu. Wyglądał jak sprinter czekający w blokach startowych na wystrzał pistoletu. Nieruchomy, ale spięty. Spojrzałam na ludzi siedzących w jego rzędzie. Był niemal dwukrotnie szerszy w ramionach niż Rob. Jego czarne włosy skręcały się na karku w taki sposób, że miałam ochotę

wyciągnąć rękę i je wygładzić.

Staralam się przestać myśleć o Secie i skupić na biologii. Profesor Franklin zaczęła mówić o wirusach RNA, co pozwoliło mi zebrać myśli. Porównywała tempo ich replikacji z tempem replikacji wirusów DNA. Natychmiast przypomniałam sobie jedno z pytań, które chciałam zadać profesorowi Ambrose'owi, a które nie doczekało się odpowiedzi. Nie wahając się ani chwili, podniosłam rękę.

– Pani profesor, czy spotkała się pani kiedykolwiek z wirusem, który potrafi się replikować naprawdę szybko – powiedzmy, trzysta razy szybciej, niż jesteśmy to w stanie zauważyć?

Profesor Franklin zmarszczyła brwi, ale ja już nabrałam rozpędu i parłam naprzód.

– Z wirusem, który może spowodować rozpad i zniknięcie całego limfocytu T w ciągu niecałej milisekundy?

Profesor Franklin patrzyła na mnie tak, jakbym postradała zmysły. A potem wybuchnęła śmiechem.

– Ewo, to do ciebie niepodobne, by mylić *science fiction* z rzetelną hipotezą naukową. Abstrahując od tempa replikacji, żaden patogen nie powoduje znikania komórek. Komórki mogą eksplodować, zostać strawione, ale jak doskonale wiesz, materia nie może tak po prostu zniknąć.

Zmrużyłam oczy. Nauczycielka miała rację. To nie miało sensu. Zagryzłam zęby na ołówku i potrząsnęłam głową. Czego byłam świadkiem tamtego dnia?

Wróciłam do rzeczywistości. Profesor Franklin pisała na białej tablicy teoremat, który mieliśmy przepisać do zeszytów. Rzuciłam okiem na tablicę i zamarłam. Seth niczego nie przepisywał. Patrzył na mnie.

Oderwałam od niego wzrok, znów słysząc głos profesor Franklin.

– Mam komunikat dla osób szczególnie zainteresowanych infekcjami wirusowymi – spojrzała znacząco w moją stronę. – W czasie długiej przerwy będę przygotowywać płytki z adenowirusami na wykład „Wtargnięcie do organizmu żywiciela i replikacja”. Na szczęście replikacja tego konkretnego wirusa zachodzi w takim tempie, że można ją zaobserwować nawet bez spowolnienia!

Przywykłam do sarkastycznych uwag i naprawdę nie robiły na mnie wrażenia. Nie przejmowałam się więc, że ktoś ze mnie zakpił, tylko zaczęłam kalkulować, ile mam czasu, biorąc pod uwagę swój rozkład zajęć. Próba *Hamleta* została przewidziana na trzynastą

trzydzieści, co oznaczało, że mam czterdzieści minut.

Kiedy zadzwonił dzwonek, wybiegłam do stołówki, złapałam kawałek pizzy i ruszyłam prosto do laboratorium biologii z nadzieją, że profesor Franklin zabierze się do pracy nad płytkami, zanim zrobi sobie przerwę na lunch.

Nie było jej tam. Usiadłam przy mikroskopie kwantowym i zapatrzyłam się na niego. Oczywiście, że kusilo mnie, by sprawdzić, co było akurat na tapecie, ale nie zamierzałam dotykać tego cholerstwa do jej powrotu. Dostałam już bolesną lekcję. Wgryzłam się w swój kawałek pizzy i czekałam.

Nagle wyczułam, że ktoś stoi za moimi plecami. Domyśliłam się kto. Czułam ciepło jego obecności w każdym kręgu mojego kręgosłupa.

Nie zamierzałam się odwracać. Kiedy poczułam, jak delikatnie dotyka mojego ramienia, ciepło ogarnęło mnie tak, jakby przepłynął przeze mnie prąd. Tym razem nie dostałam zawrotów głowy, ale serce zaczęło mi walić jak szalone.

Odwróciłam się.

– Liw... Ewo...

Przyspilił mnie tym swoim niesamowitym spojrzeniem, przenosząc mnie na chwilę z laboratorium biologii do jakiegoś miejsca, gdzie świeciło słońce, rosły drzewa... Czułam nawet zapach trawy.

Zamknęłam oczy. Działo się ze mną coś bardzo dziwnego, co zaczynało mnie przerażać.

– Ewa! Seth!

Do sali weszła profesor Franklin i czar przysł.

– Szybko przyszlście! Widzę, Ewo, że przyniosłaś lunch. Nie jest to do końca zgodne z regulaminem, ale...

Wzruszyła ramionami i zaczęła ustawiać powiększenie na mikroskopie. Przeszłam na jej drugą stronę, żeby móc się skoncentrować.

Kiedy obserwowaliśmy postępy wirusa, nie uszło mojej uwagi, że biologiczne zainteresowania Seta były bardzo zbliżone do moich. Był równie zafascynowany zachowaniem wirusa jak ja. Zamarłam, gdy zapytał profesor Franklin, czy miała porównawcze preparaty ilustrujące różnice w tempie replikacji. Wiedziałam, że przeciąga strunę. Profesor Franklin nie była kobietą skłoną bez oporów zmieniać swoje plany. Porównanie tempa replikacji zdecydowanie nie znajdowało się na liście jej dzisiejszych zadań.

A jednak ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu skinęła głową i przygotowała siedem próbek porównawczych. Nie otrząsnęłam się jeszcze z szoku, kiedy Seth zaczął wypytywać ją o płytkę z wirusem zapalenia wątroby typu B, której właśnie ustawiła ostrość.

– Czy możliwa jest odwrotna transkryptaza umożliwiająca przepisanie materiału genetycznego wirusa z RNA na DNA, które następnie integruje do genomu gospodarza?

Zamrugałam oczami, orientując się nagle, jak poważnie Seth traktował biologię. Jego pytanie najwyraźniej zrobiło duże wrażenie również na profesor Franklin. Pospiesznie odeszła na moment, by przynieść mu książkę, którą powinien przeczytać. Kiedy mu ją wręczała, przypadkiem zerknęłam na zegarek na jej nadgarstku. Boże, była trzynasta czterdzieści pięć i byłam już spóźniona na próbę. Przeprosiłam i wybiegłam z sali.

Profesor Kidd był, rzecz jasna, wściekły i przytrzymał mnie pod koniec dziesięć minut, żeby z odpowiednią intensywnością wyrazić swoją złość, przez co spóźniłam się na lekcję historii sztuki.

Na szczęście profesor Lofts nadal majstrowała coś przy swojej prezentacji w PowerPoint, więc szybko usiadłam na pustym siedzeniu obok Roba i udało mi się nie odwracać wzroku przez całe zajęcia. Ani razu nie szukałam wzrokiem Setha Leontisa i ani razu się spojrzalam mu w oczy.

Wykazywałam się zgoła imponującą samokontrolą.

Profesor Lofts wreszcie skończyła zajęcia, a mnie udało się uniknąć rozglądania się po sali dzięki skupieniu się na pakowaniu torby. Mimo tego pozornego zaabsorbowania nie uszło mojej uwadze, że Rob siedzi obok mnie bez ruchu, ukrywając twarz w dłoniach.

– Co jest? – spytałam.

Westchnął przygnębiony.

– Nie ma mowy, żebym napisał ten esej. Ja po prostu nie chwytam różnicy między naturalizmem a realizmem.

Spojrzał na mnie żałośnie. Jeśli naprawdę nie potrafił tego zrozumieć, to miał rację – odrobienie tego zadania będzie dla niego koszmarem, więc usiadłam z głośnym westchnieniem i wypakowałam książki.

– Dzięki – uśmiechnął się.

Kiedy jednak starałam się jak najlepiej wytłumaczyć mu te dwa prądy, niechący rzuciłam okiem w stronę drzwi. Czulałam jego obecność. No i proszę, w drzwiach stał Seth,



najwyraźniej czekając na mnie. Byłam rozdarta. Marzyłam o tym, by jednym skokiem znaleźć się u jego boku, ale wiedziałam, że nie mogę. Z wielu powodów.

Wróciłam do Roba, do naturalizmu i realizmu, i gdy zyskałam pewność, że Rob sprawnie porusza się w temacie, Setha już nie było. Rzecz jasna, było mi to na rękę, ale jego nieobecność pozostawiła we mnie dziwną pustkę.

Rob tkwił w błogiej nieświadomości.

– Dziękuję raz jeszcze – powiedział, odkładając zeszyt. – Idziesz na herbatę?

Spojrzałam na zegarek. Ach! Właśnie spóźniałam się na próbę kostiumową *Hamleta*! Pobiełam przez dziedziniec do teatru, do którego wpadłam, dysząc i spływając potem. Astrid, już w kostiumie i umalowana, uniosła pytająco brwi i bez słowa rzuciła mi sukienkę. Narzuciłam ją na siebie i wpadłam na widownię, kiedy profesor Kidd zaczynał rozgrzewkę głosów aktorów. Wsunęłam się za Astrid z nadzieją, iż jest na tyle wysoka, że moje wejście pozostanie niezauważone. Na szczęście profesor Kidd był zbyt zajęty rozwiązywaniem kwestii nieciągłej pracy maszyny do wytwarzania dymu, by przejmować się moim spóźnieniem, więc jego sarkazm i irytacja zostały mi oszczędzone.

Kiedy już skończyliśmy fizyczną rozgrzewkę, maszyna do wytwarzania dymu pracowała prawidłowo i mogliśmy zaczynać. Tak naprawdę powinnam powiedzieć: „maszyna do wytwarzania dymu mogła zaczynać”, ponieważ – jak się okazało – reszta z nas zdecydowanie nie.

Próba kostiumowa wyszła fatalnie. Wszyscy zapominali swoich kwestii. Laertes zapomniał pojawić się w scenie pogrzebu. Hamlet zgubił sztylet i przeoczył trzydzieści stron. Poloniusz przypadkowo ściągnął kurtynę, za którą się ukrywał, a Klaudiusz stanął na trenie sukni Gertrudy, która przez to runęła przez pół sceny. Profesor Kidd robił, co w jego mocy, by zachować powagę i powściągnąć irytację, ale pod koniec sprawiał wrażenie człowieka rozważającego samobójstwo.

Uraczył nas potwornie długą przemową na temat odpowiedzialności: los przedstawienia leżał w naszych rękach. Jeśli nie będziemy pracować jako zespół, zawiedziemy wszystkich, więc jeśli będzie to konieczne, przez całą noc będziemy powtarzać nasze kwestie, by upewnić się, że pamiętamy każdą linijkę. Nie musiał mi tego dwa razy powtarzać, naprawdę. Nie zniosłabym upokorzenia przed całą szkołą, więc byłam zdecydowana powtarzać swoje kwestie tak długo, aż wryją mi się w pamięć. Wiedziałałam, że się ich nauczyłam – myślę, że wszyscy byliśmy o tym

przekonani. Wyglądało jednak na to, że trema brała górę i w zdenerwowaniu wszystko wyparowywało nam z głów. Kiedy więc tej nocy gasiłam światło, znalazłam na pamięć kwestie chyba wszystkich aktorów.

Przygotowałam się na sny w klimacie *Hamleta*.

I nie rozczarowałam się. Tej nocy spłynęło ich na mnie mnóstwo.

Nie stałam w nich jednak na scenie przerażona, że nie pamiętam kwestii, czego się spodziewałam. Z tym mogłabym sobie poradzić. Nie... Udało mi się zafundować sobie inny zestaw koszmarów sennych poprzedzających występ sceniczny... Zupełnie tak, jakby moją podświadomość owładnęły sceny śmierci.

W *Hamlecie* wielu bohaterów ginie, więc myślę, że nie powinnam być całkowicie zaskoczona. Można by sądzić, że mój umysł mogłaby przynajmniej trochę zajmować scena śmierci Ofelii, jeśli wziąć pod uwagę, że musiałam zaufać Willowi i Harry'emu, którzy mieli mnie ponieść po scenie w ciemnościach, nie potykając się ani nie upuszczając mnie na podłogę. Z jakiegoś jednak powodu moje sny nie miały wiele wspólnego z naszą wersją *Hamleta*. Moja wypaczona podświadomość podsunęła mi sceny jakiejś krwawej jatki, w której błyskały miecze, sztylety i którą przenikał paraliżujący strach. Byłam w pułapce, uwięziona bez wyjścia, i ociekałam krwią. Nagle pojawił się Hamlet. Pochylił się nade mną, powtarzając moje imię. Nie nazywał mnie jednak Ofelią, lecz Liwią. I nie grał go już Will. Jego rolę odgrywał... Seth.

# Rozdział 57

## Wpływ

*Londyn*

*A.D. 2013*

Kiedy Matthias pierwszy raz przeszedł za Sethem z Parallonu do Londynu dwudziestego pierwszego wieku, niemal przypłacił to doświadczenie życiem. Po tym jak wynurzył się na powierzchnię i wyszedł na wybetonowany brzeg, był tak ogarnięty potrzebą śledzenia Seta, że na oślep rzucił się w tłum ludzi i samochodów, rozpaczliwie pragnąc nie stracić go z pola widzenia.

Gdy tak biegł, dostrzegł kątem oka, jakby w zwolnionym tempie, motocykl zmierzający z rykiem dokładnie tam, gdzie w tym momencie stał. Matt słyszał pisk hamulców, ale nieprzyzwyczajony do pojazdów poruszających się z taką prędkością nie zdołał uskoczyć na czas. Przerażony obserwował, jak kierowca przelatuje nad kierownicą, a motocykl szoruje bokiem, sunąc w stronę Matthiasa po pokonywanym właśnie torze. Siła uderzenia rzuciła go na asfalt. Upadając, podążył wzrokiem za pozbawionym już kierowcy motocyklem, który kontynuował swój nieubłagany ślizg, aż wreszcie wjechał prosto w swojego kierowcę, który słaniając się na nogach, próbował zejść mu z drogi.

Oszołomiony Matthias usiadł, obficie krwawiąc. W zderzeniu z ziemią obtarł sobie część twarzy, ramię, dłoń i nogę. Patrzył na długie głębokie cięcie na ramieniu w oczekiwaniu na to, aż zamknie się i zacznie znikać. Kiedy nadal krwawiło nieprzerwanie, szokująca rzeczywistość w końcu do niego dotarła. Był daleko od domu i nieśmiertelności.

Co on zrobił?

Matt patrzył na swoje ramię, pozwalając części swojego umysłu dostrzec, że krwawienie się zmniejsza. W końcu uspiiony w nim lekarz zaczął przeprowadzać badanie. Zbadał swoją dłoń i nogę. Powierzchowne rany i otarcia. Nic poważnego. Wyczuwał krew na swojej twarzy, ale był niemal pewien, że rany nie były poważne. Ostrożnie stanął i pokuśtykał w kierunku człowieka

leżącego pod motorem.

Zwłókł motor z ciała kierowcy i przerażonym spojrzeniem objął następstwa wypadku. Pochylił się nad porwaną i poplamioną krwią koszulką mężczyzny, dotykiem starając się wyczuć bicie serca. Wyczuwał jeszcze wąty puls, ale nienaturalne ułożenie ciała sygnalizowało poważne uszkodzenia kręgosłupa. Z rany głowy krew sączyła się do kasku, a fontanna krwi dosłownie tryskała z arterii w jego nodze. Matthias widział podobne rany u gladiatorów i wiedział, że ten mężczyzna wkrótce wykrwawi się na śmierć, o ile krwawienie nie zostanie zatamowane. Nie zwracając uwagi na gromadzący się powoli tłum, oderwał pasek dżinsu od nogawki spodni i mocno przycisnął własną zranioną dłoń pulsującą źródło upływającej krwi. Zębami i niezranioną dłoń oderwał pas tkaniny od własnej przesiąkniętej krwią koszulki, starając się zrobić opaskę uciskową. Zawiązał pasek ciasno wokół nogi powyżej rany i odetchnął z ulgą, kiedy krwawienie zaczęło ustępować. Ten niewielki sukces miał jednak, jak się okazało, równie niewielkie znaczenie. Matt był niemal pewien, że mężczyzna umiera – wskazywały na to kolor jego skóry, ułożenie ciała, słaby puls... I była to wina Matthiasa. Nigdy wcześniej nie był winien nikomu śmierci. Ogarnęła go fala mdłości.

– Czy ktoś zadzwonił po karetkę? – usłyszał zadane przez kogoś pytanie.

Nie zrozumiał pytania, więc nadal klęczał obok umierającego mężczyzny, osłaniając go przed spojrzeniami ciekawskich.

Nagle mężczyzna zaczął trząść się i z trudem oddychać. Jego ciało wyprężyło się i zaczęło spływać potem. Matthias obserwował go, mając mgliste poczucie *déjà vu*.

– Co się z nim dzieje? – ktoś niemal zachłysnął się tym pytaniem.

Matthias wiedział. Widział to już wcześniej, w koszarach gladiatorów Londinium. Nagle doświadczał po raz kolejny koszmarne poczucie bezradności, która towarzyszyła mu, gdy Seth umierał z powodu gorączki.

Kiedy motocyklista przestał oddychać i zastygł bez ruchu, Matthias nie dał rady dłużej znieść swojej bezradności. Patrzył na zmarłego z góry, marząc o tym, by mógł przywrócić mu życie, chcąc cofnąć czas, wrócić do Parallonu, gdzie był bezpieczny i gdzie nie mógł nikogo skrzywdzić. Jego żalosne czuwanie przerwał wysoki, jękliwy sygnał. Odwrócił głowę, by zobaczyć, skąd dobiega. Wielki biały pojazd z błyskającym na niebiesko światłem próbował przecisnąć się przez zakorkowane ulice. Gapie wymieniali niespokojne spostrzeżenia.

– Rychło w czas!

– Hańba, że zabrało im to tyle czasu!

Matthias powrócił do ciała. Patrzył. Zmieniło się. W jakimś sensie stało się jakby mniej materialne. Zamrugął oczami. To nie wyobraźnia płatała mu figle. Motocyklista... zniknął. I nagle Matthias zrozumiał. Nie oglądając się już za siebie, zaczął biec.

Kiedy nadjechała karetka, po martwym motocykliście nie zostało już ani śladu podobnie jak po Matthiasie. Ratownicy medyczni znaleźli jedynie skórzane ubrania, grupkę oszołomionych gapiów i wrak motocykla.

# Rozdział 58

## Przybycie

Matthias biegł tak prędko, jak tylko mógł, w kierunku rzeki. Nie rozglądał się na boki i nie szukał Setha. Chciał jedynie wrócić do Parallonu najszybciej, jak to możliwe.

Dotarł do miejsca, w którym wynurzył się wcześniej, skoczył prosto do wody i prawie roześmiał się, kiedy poczuł z ulgą, jak potężny wir wsysa go do środka.

Niemal z radością powitał miazdzącą, zapierającą dech w piersiach potęgę wirującej wody, bo jej rozdzierająca siła pozwalała mu się poddać, uwolnić od wyrzutów sumienia i odpowiedzialności, która znalazła sobie siedlisko w jego klatce piersiowej. W tym zniewalającym wirze wodnym żadne uczucia nie miały znaczenia. Żadne – z wyjątkiem fizycznej pewności, że istniała siła, której potęga znacznie przewyższała jego własną. Wyrzeczenie się samego siebie uwolniło Matthiasa. Kiedy już poczuł, że kokon wody rozprysnął się, wyrzucając jego ciało na powierzchnię, poczucie winy się ulotniło. Był szczęśliwy, bo wiedział, że znalazł się w domu: powitały go barwy, światło i lśniące piękno Parallonu.

Wyskoczył z wody i nie troszcząc się o to, by się wysuszyć, pobiegł do miejsca, w którym w 2013 roku widział umierającego motocyklistę. W jego polu widzenia pojawiła się lśniąca droga będąca idealnym odzwierciedleniem tej, o której myślał, włącznie z dziwnymi przezroczystymi budynkami, które zauważył po obu stronach asfaltu. Fragment drogi, na którym leżał motocyklista, był teraz pusty. Matthias patrzył głupio na szary asfalt. Musiał coś źle zrozumieć. Był pewien, że motocyklista zmaterializuje się właśnie tutaj.

A potem usłyszał dźwięk, który wcześniej słyszał tylko raz, wcześniej tego samego dnia: dźwięk ryczącego motocykla. Zmrużył oczy w promieniach słońca, a motocyklista jechał prosto na niego. Już miał odskoczyć, kiedy maszyna nagle się zatrzymała. Kierowca siedział i przyglądał się Matthiasowi. A potem zdjął kask i zsiadł.

– No dobra, człowieku. Lepiej mi powiedz, gdzie ja, do cholery, jestem.

Matthias uśmiechnął się szeroko, objął go ramieniem i powiedział:

– Witaj w Parallonie, przyjacielu.

# Rozdział 59

## Plan

### *St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Seth stał w stołówce z tacą ze śniadaniem, szukając jej wzrokiem wśród siedzących przy stolikach ludzi. Nie było jej. Tęsknił za nią?

– Seth! Tutaj! – zawołał Harry, machając od zapelnionego do połowy stolika pod oknem.

Seth nieświadomie ruszył w tę stronę, jednocześnie nie spuszczać wzroku z drzwi wejściowych na wypadek, gdyby właśnie wchodziła. Rozglądając się po sali, nieustannie natykał się na spojrzenie wysokiej szczupłej blondynki. Ruby. Siedziała z grupką koleżanek przy stoliku niedaleko kontuaru. Szybko odwrócił wzrok.

Chwilę po tym, jak usiadł między Harrym i Willem, zeszywniał, gdy zobaczył, jak Ruby podnosi swoją szklankę i talerz i podchodzi do nich.

Usiadła naprzeciwko niego.

– Dzień dobry, Seth – zaćwierkała.

Szttywno skinął głową i znów powędrował spojrzeniem w kierunku drzwi. Nie dostrzegł przelotnego grymasu irytacji, jaki wywołał swoją obojętnością.

Nie mógł się pozbyć dręczących go myśli. Czy Liw... Ewa świadomie go unikała? Nie mógł pogodzić uczuć, których doświadczał, gdy była blisko niego, z rosnącą pewnością, że ona nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Spojrzał na swoją tacę. Nie miał apetytu i właśnie miał wstać i wyrzucić zawartość swojego talerza, kiedy nagle jego umysł włączył się do rozmowy. Oczywiście, nie bez przyczyny. Usłyszał nagle, jak ktoś wymienia jej imię.

– Nie, to było wtedy, jak prawie upuściłem Ewę! Boże, to była katastrofa...

– Nigdy nie zagramy tego na przyzwoitym poziomie...

– Udało ci się nauczyć wszystkich kwestii, Harry?



– Wkuwałem do drugiej w nocy...

– Kiedy premiera? – zapytała Ruby.

– Dzisiaj. Ale proszę, nie pojawiaj się. To będzie dramat. Poczekaj chociaż do końca tygodnia.

Ruby zaśmiała się i oczy jej zaślniły.

– Nie bądź głupi, Harry. Wiem, że wyjdzie świetnie. Naprawdę chciałabym dziś przyjść... i jestem pewna, że ty też nie chciałbyś przegapić przedstawienia z Harrym, prawda, Seth?

– No nie, Seth na pewno nie chciałby oglądać mnie na scenie – powiedział szybko Harry.

– Oczywiście, że chciałbyś, prawda, Seth? – naciskała Ruby.

Seth wzruszył ramionami.

– Jasne, czemu nie.

– Doskonale! – rozpromieniła się Ruby. – Odbiorę bilety. Zaczyna się o dziewiętnastej trzydzieści, prawda, Harry?

Harry z miną cierpiętnika skinął głową.

– A zatem spotkajmy się pod drzwiami o dziewiętnastej piętnaście, dobrze, Seth?

Ruby wzięła swoje śniadanie i umknęła, zanim Seth zdążył zmienić zdanie. Zwycięska, wróciła do swojego pokoju. Udało jej się zaaranżować właśnie cały wieczór z Sethosem Leontisem. Cały wieczór koszarnej sztuki teatralnej z Ewą Koretsky w jednej z głównych ról. Zanim spektakl dobiegnie końca, Seth będzie już należał do niej.

# Rozdział 60

## Drama

### *St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Stałam za kulisami teatru, ocierając oczy. Właśnie zagrałam scenę szaleństwa i z jakiegoś powodu naprawdę mnie wzięło. Pierwszy raz w życiu wczułam się w Ofelię, poczułam jej stratę: jej ojciec został zabity, a teraz Hamlet, chłopak, którego kochała, ale którego zakazano jej widywać (dlaczego brzmiało to znajomo?), zwrócił się przeciwko niej. Przez całą scenę widziałam twarz Setha i nagle myśl o tym, że mógłby zwrócić się przeciwko mnie, sprawiła, że naprawdę zapragnęłam krzyknąć. Właśnie w tym momencie nagle do mnie dotarło, że to, co do niego czuję, to już nie jest jedynie niewinne zauroczenie. Beznadziejność całej tej sytuacji sprawiła, że kiedy załamalam się nerwowo na scenie, wcale już nie grałam. I właśnie dlatego nie mogłam przestać płakać. A teraz Will zszedł ze sceny i miałam spocząć na swoim grobie sztywna i martwa w scenie pogrzebu. Rzeczywiście, czysty realizm – trup z łzami płynącymi po policzkach.

Pociągnęłam nosem i nagle ujrzałam obok siebie Astrid. Dała mi kuksańca pod zebra i wręczyła paczkę chusteczek. Uśmiechnęłam się żałośnie, delikatnie otarłam twarz i próbowałam wziąć się w garść. Miałam zaledwie minutę, może dwie: Will wygłaszał jeszcze słynny monolog Hamleta – tym razem nie pomijając na szczęście żadnej kwestii.

Wzięłam głęboki oddech. Dam radę.

Usłyszałam sygnał do wyjścia. Przetarłam dłonią oczy, ocierając kilka ostatnich, zabląkanych łez, i odetchnęłam głęboko.

Scenę zalało błękitne światło. Louis i Harry zanieśli mnie sprawnie na stół (grób), na którym miałam leżeć przez resztę sceny.

Leżenie w całkowitym bezruchu było dla mnie w tym momencie najtrudniejszą częścią całego spektaklu. Chociaż robiłam, co w mojej mocy, by się nie wiercić, nie oddychać głęboko

ani się nie drapać, choć swędziało mnie dosłownie wszystko, musiałam stłumić ogarniającą mnie rozpacz.

Mimo wszystko, kiedy rozpoczął się marsz żałobny, panowałam już nad sobą. Harry (grający Laertes, mojego brata) rozpoczął właśnie swoją mowę żałobną, kiedy usłyszałam jęk i szamotaninę z przodu sceny. Czy ktoś się przewrócił? Musiałam zebrać wszystkie siły, by się nie poruszyć. Oczywiście nie mogłam otworzyć oczu, więc nie miałam pojęcia, co się dzieje, słyszałam jedynie pomruki wśród publiczności, trzasnęły drzwi i po chwili zapadła cisza. Kilka chwil później Harry już bez cienia emocji dokończył swoją przemowę, co muszę przyznać, ujęło nieco dramatyizmu mojej śmierci. Powinam zapewne czuć wdzięczność, że zdołał odzyskać panowanie nad sobą i nie zapomniał kwestii – wczoraj wydawał się wytracony z równowagi.

Gdy już zniesiono mnie ze sceny, Astrid przyparła mnie do muru.

– Co się stało? – syknęła.

– Nie wiem, myślę, że coś odwróciło jego uwagę. Na pewno jutro pójdzie mu lepiej – odszepnęłam.

– Nie sądzę, żeby jutro miał w ogóle przyjść!

– Daj spokój, wcale nie poszło mu tak źle! Trochę się pogubił i miał chwile zawahania, ale...

– Ewa! Ja nie mówię o Harrym! Mówię o Sethosie Leontisie! To było dziwne, nawet trochę przerażające, jak wybiegł tuż po tym...

– Seth?

Zamarłam.

– No!

– Co się stało, Astrid?

– Chcesz mi powiedzieć, że naprawdę przez całą scenę miałaś zamknięte oczy?

– Owszem. Przecież miałam być martwa!

– No tak... Kiedy zapalono światła i zaczęliśmy śpiewać pieśń żałobną, Seth wstał, podszedł do sceny... jakby chciał na nią wskoczyć i pochwycić cię w ramiona! Ruby próbowała go skłonić, żeby usiadł, ale odepchnął ją od siebie i kilku innych koleś w końcu go odciągnęło.

– Boże... – szepnęłam.

– Ruby za nim pobiegła i do tej pory żadne z nich nie wróciło, więc myślę, że wyszli. No to teraz słucham: co się dzieje?

Nie miałam pojęcia. Byłam zupełnie zagubiona. I przestraszona. Przez pół godziny siedziałam za kulisami, aż do opadnięcia kurtyny, i zamiast się uspokajać, denerwowałam się coraz bardziej. Nie pomagało mi to, że dosłownie wszyscy, którzy schodzili ze sceny, patrzyli na mnie i zadawali mi pytanie w stylu: „Czy między tobą i Sethem coś jest?”. Mogłam tylko potrząsać głową i wzruszać ramionami.

Kiedy schodziliśmy za kulisy po tym, jak kurtyna opadła ostatni raz, Will (Hamlet) napadł na mnie.

– A zatem... jest coś między wami?

– O co ci chodzi, Will?

– O ciebie i o Seta – co się dzieje?

– Och, daj już spokój, Will! – syknęłam, ruszając do damskiej garderoby.

Po zdjęciu kostiumu i zmyciu makijażu ruszyłam do drzwi, ale profesor Kidd miał inną koncepcję.

– Wszyscy na widownię, migusiem.

Cholera.

Powlokłam się za nim i usiadłam.

– Doskonała premiera, moi drodzy! Publiczność była zachwycona – no, w każdym razie większość – pochwalił nas profesor Kidd i uśmiechnął się kpiąco, znacząco spoglądając na mnie.

Zagryzłam wargi.

– Doskonale sobie poradziłeś, Harry. Jestem pewien, że jutro w scenie z grobowcem będziesz walczył już tylko z Hamletem – powiedział i rzucił kolejny kpiący uśmiech. – A już poważnie, wszyscy zasłużyliście na odpoczynek. Jutro chciałbym was widzieć tutaj o czwartej trzydzieści. Chciałbym przećwiczyć kilka scen przed spektaklem.

Wstałam, żeby jak najszybciej uciec.

– Ewo, czy możesz jeszcze chwilę zaczekać?

Zmartwiałam.

Pozostali wyszli, Will ociągał się bardziej od innych – miał chyba nadzieję, że uda mu się wysłuchać tej rozmowy albo przyczołnić się gdzieś, żeby dopaść mnie później.

– Do zobaczenia jutro, Will – powiedział profesor Kidd z naciskiem.

Will opuścił wreszcie salę.

– Chciałem ci tylko podziękować za świetną pracę. Doskonale dziś wypadłaś – w scenie

szaleństwa byłaś przerażająco sugestywna!

– Dziękuję – wymamrotałam i odwróciłam się do wyjścia.

Najwyraźniej jednak profesor jeszcze nie skończył. Zacisnęłam zęby.

– Czy... chciałabyś o czymś porozmawiać? O czymś, z czym sobie nie radzisz?

Co? Co on sugerował? Zacisnęłam mocno szczęki.

– Oczywiście, że nie! – rzuciłam wściekle. – Wszystko jest w idealnym porządku. Nie wiem, co tam zaszło, ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Jeśli nie ma pan nic przeciwko... Jestem naprawdę zmęczona.

Zrozumiał aluzję i nie stawiając już oporu, usunął mi się z drogi.

– Jutro czwarta trzydzieści! – zawołał za mną, drapiąc się w głowę.

– Będę! – odrzyknęłam i pognałam biegiem.

Dziś nie miałam już zamiaru z nikim rozmawiać.

No tak. Zupełnie jakbym miała kontrolę nad własnym życiem. Kto na mnie czekał pod moim pokojem, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, niczym demon z piekła rodem?

– Ruby.

– Co ty mu zrobiłaś? – wyrzuciła bez ogródek.

– Komu?

– Bardzo przepraszam, czy ja nie wyrażam się jasno? – syknęła.

– Ale o co chodzi?

Jakbym nie wiedziała.

– O Sethosa Leontisa.

– Ruby, a co ja właściwie zrobiłam? Od naszej ostatniej krótkiej rozmowy nawet na niego nie spojrzałam.

– Wiem, do czego jesteś zdolna, Ewo. Ty... ty wiedzmo! Trzymaj się od niego z daleka. Nie chcę, żeby na ciebie patrzył, żeby na ciebie wpadał... żeby w ogóle się do ciebie zbliżał. Zrozumiałaś? Sethos Leontis jest mój!

– A jeśli on nie ma zamiaru uwzględnić twoich planów względem niego?

Dlaczego to powiedziałam?

– Jeśli nie będziesz się trzymać od niego z daleka – krzyknęła – dołożę wszelkich starań, żeby zatruć ci życie!

No cóż. To było ostrzeżenie.

Padłam na łóżko, próbując nie myśleć o nieuniknionym – przyszła pora, by się zmyć. Wciąż nie miałam pojęcia, co się stało tego wieczoru, ale cokolwiek to było, wiedziałam, że moje życie znów się skomplikowało. Tylko że tym razem miałam tak wiele do stracenia. Uwielbiałam St Mag's: to miejsce, stawiane przede mną zadania, garstkę przyjaciół. Wszystko, co mnie interesowało, wszystkie możliwości, których nie miałabym nigdzie indziej.

No a teraz Seth. I ten cichy szept w mojej głowie, który podpowiadał mi, że potrzebuję go tak bardzo, jak pragnę całej reszty.

Jeśli teraz ucieknę, to stracę wszystko – St Mag's i Seta.

A jeśli zostanę? Jedno było pewne. Nie mogłam mieć Seta. Wzięłam głęboki oddech i zagryzłam drżące wargi. Umyłam twarz i zęby, próbując odepchnąć od siebie poczucie rozdzierającej straty.

# Rozdział 61

## Następstwa

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

– Hej, byłaś rewelacyjna wczoraj wieczorem!

Podniosłam oczy znad jogurtu i wysiliłam się dla Roba na grymas mający udawać uśmiech.

Postawił na stole miseczkę płatków i opadł na krzesło obok mnie.

– Dużo wcześniej grałaś?

– Nie. Szaleństwo mam chyba w genach.

Zdobyłam się na upiorny śmiech.

Kiedy tak mówił dalej o *Hamlecie*, niespokojnie rozglądałam się po sali. Nie było Ruby... ani Setha.

Opróżniliśmy nasze tacki. Na pierwszej lekcji była biologia. Żołądek ścisnął mi się ze zdenerwowania. Będę musiała zmierzyć się z obydwójkiem jednocześnie.

Przyszłam do laboratorium biologicznego dość wcześnie i usiadłam w pierwszym rzędzie, żebym nie musiała nikomu patrzeć w oczy. Rob poszedł za mną i usiadł obok, co szczerze mówiąc, przyjął z ulgą.

Przez całą lekcję ani razu się nie odwróciłam, choć miałam poważne problemy ze skupieniem uwagi. Po zajęciach długo pakowałam swoje rzeczy, czekając, aż wszyscy wyjdą, ale kątem oka dostrzegłam Ruby idącą w stronę drzwi. Była sama.

W porze lunchu ustawiłam się w kolejce po warzywne curry. Nie trzeba było zdolności detektywistycznych na miarę Sherlocka Holmesa, by dostrzec, że ludzie pokazują mnie sobie palcami. Nie podnosiłam wzroku. Znalazłam pusty stolik w rogu, spuściłam głowę tak, by włosy zasłoniły mi twarz, i wbiłam wzrok w talerz. Krzesło obok mnie zaszurało po podłodze, a Will z impetem rzucił tackę na stół tuż obok mnie. I nagle cały stół zappełnił się ludźmi. Szybkie

spojrzenie pozwoliło mi się upewnić, że wokół mnie zgromadziła się cała obsada *Hamleta*.

– No więc? — syknęła Astrid.

Patrzyła na mnie wyczekująco.

– Co?

– Gdzie on jest?

– Kto? – zapytałam, z trudem przełykając ślinę.

– Seth Leontis, oczywiście!

– Seth? – wyszeptalam.

– Ewa, na litość boską! – jęknęła. – On zniknął! Sądziłam – właściwie wszyscy tak myśleliśmy – że będziesz wiedziała, co się stało.

Informacja ta docierała do mnie bardzo powoli. Poczułam, że krew odpływa mi z twarzy.

– Może pojechał do domu? – odrzuciłam.

– Wygląda na to, że nikt nie wie, gdzie się podział. Kierownik internatu dostaje świra, prawda, Harry? Wpadł w szal, jak Seth wieczorem nie wrócił. Zadzwoił na policję i w ogóle. Próbowali się skontaktować z jego rodziną – w Grecji, jak sądzę.

Nagle poczułam krew w ustach i zorientowałam się, że zagryzam wargi.

Rzuciłam rozpaczliwe spojrzenie na drzwi, marząc, by Seth przez nie wszedł. Niestety. Nie pojawił się.

– Może Ruby coś wie, ona z nim była, prawda?

– Ruby jest roztrzęsiona. Mówi, że nigdy go nie dogoniła i że... eee... nic.

– Co? – zapytałam ostro.

Mogłam sobie wyobrazić, do czego zmierza.

– No cóż, powiedziała tylko, żebyśmy zapytali ciebie, bo to wszystko twoja wina.

Mój niepokój i strach zamieniły się nieoczekiwanie we wściekłość.

– Co powiedziała?

Harry unikał mojego wzroku. Wstałam, rzuciłam talerz na tacę i odniosłam do okienka zwrotu naczyń, a potem wymaszerowałam ze stołówki.

Kiedy znalazłam się na dziedzińcu, zaczęłam biec. Musiałam albo pobiec, albo coś rozwalić. Ucieczka wydawała się lepszym wyborem. Mogłam po prostu wybiec przez główne wrota szkoły, szóstoklasiści mieli zgodę na opuszczanie terenu szkoły podczas lunchu, ale nie miałam pewności, czy wrócę, a jednocześnie nie byłam pewna, czy jestem już gotowa dokonać



tego wyboru.

Pobiegłam na oślep przez dziedziniec i dalej, obok laboratorium biologii. Musiałam znaleźć jakąś kryjówkę. Miejsce, w którym nie groziło mi wpadnięcie na Ruby. Gorączkowo rozglądałam się dookoła. Wszędzie kręcili się uczniowie. Gdzie miałam się podziać?

Nagle dostrzegłam profesora Drury'ego opuszczającego skrzydło muzyczne. Skryłam się w cieniu, poczekałam, aż przejdzie obok mnie, i rzuciłam się do środka. Nie rezerwowałam żadnej sali, więc teoretycznie łamałam właśnie szkolny regulamin. Jak mnie złapią, to mnie zawieszają. No i co? Ktoś na górze ćwiczył na klarncie. Podeszłam na palcach do sali prób zespołowych, wstrzymując oddech. Wydawało się, że nikogo nie ma. Nacisnęłam klamkę. Zalała mnie fala ulgi. Pusto.

Podeszłam do gitary, jakby była moją kotwicą. Znalazłam sobie taboret, umościłam się w kącie i zaczęłam delikatnie dotykać strun. W moje głowie kłębiły się tysiące myśli, musiałam się z niej chociaż na chwilę wylogować. Brzdąkanie pomagało mi uspokoić kakofonię myśli walczących o prymat. Melodia, którą sobie brzdąkałam, zaczęła w końcu porządkować ten chaos, choć nie było to pocieszające. Wydawało mi się, że struny pobrzmiwają znajomą kpina: „bezużyteczna, bezużyteczna”.

Gdy już pozwoliłam temu słowu przebić się do mojej świadomości, pociągnęło za sobą łańcuch innych niszczących słów, usłużnie podsuniętych przez Ruby. Ostatnie zdanie odbijało się niekończącym się echem w mojej głowie: „Seth Leontis jest mój!”. Kiedy Ruby to powiedziała, miałam wrażenie, że głęboko się myli. Dlaczego?

Wiedziałam. Gdzieś w środku zawsze wiedziałam. Oczywiście, że Seth nie należał do Ruby. Dlaczego pozwoliłam, by mój strach przed złamaniem obowiązujących w szkole zasad i obawa o opinię przesłoniły mi coś tak oczywistego? Jeśli Seth i Ruby byli sobie przeznaczeni, byłby z nią w tej chwili. Czy to właśnie Seth próbował mi powiedzieć? A teraz... poddał się.

A zatem nie należał również do mnie. Odszedł...

Dokąd?

Czy nic mu się nie stało?

Powtarzałam sobie, że wróci. Nikt nie opuszczał szkoły, by nigdy do niej nie wrócić.

Chociaż przecież sama zrobiłam to dwukrotnie.

Myśl o przyszłości bez niego wywołała falę paniki.

## Rozdział 62

### Otchłań

Seth wskoczył do wody, nie odzyskawszy świadomości swoich czynów. Z ulgą poczuł, jak wir zasysa go i zabiera ze sobą.

Co zrobił, by zasłużyć sobie na takie męki? Dlaczego kolejny raz musiał oglądać śmierć Liwii? Jego ciało poddało się zagarniającej je sile, a on marzył jedynie o zapomnieniu. Tak długo i tak ciężko pracował nad tym, by osiągnąć bezbarwny spokój ducha, a teraz jego dusza ponownie została boleśnie zraniona.

Woda wyrzuciła go na powierzchnię, gdy nie był na to jeszcze gotowy. Nie chciał znów brać odpowiedzialności za swoje fizyczne wcielenie. Unosił się na wodzie, marząc, by zamknęła się nad nim, zagarnęła go, oczyściła.

Jego ręce i nogi nie czekały jednak na zgodę i już po chwili leżał na chłodnym brzegu Tamizy Parallonu. Usiadł nad wodą i błędził wokół nieobecny wzrokiem, a jego umysł odtwarzał sceny, które dawno chciał wymazać z pamięci. Nie obchodziło go już, czy jego wcześniejszy powrót rozwścieczy Zackary'ego. Nie interesowały go badania, które wcześniej stały się niemal jego obsesją. Nic go nie obchodziło. Doświadczył nieśmiertelności i wiedział, że niczego nie pragnął bardziej, niż położyć jej kres.

Nie zwracał uwagi na chłód ani na ciemność. Nie zauważył Matthiasa wylaniającego się z wody nieopodal i nie dostrzegł przerażenia na jego twarzy. Prawie nie poczuł uścisku dłoni Matta, który siłą postawił go do pionu i odciągnął od rzeki do domu.

Matthias czuwał nad swoim przyjacielem, odczuwając rosnący i jednocześnie znajomy niepokój. Wyglądało na to, że Seth osunął się w cierpienie, które tak długo próbował od siebie odpędzić.

Co mogło rozdrapać stare rany?

Jedynie, co zrobił, to odbył krótką podróż w czasie, ale w miejsce, którego wcześniej nie znał, więc skąd mogły wziąć się duchy, które przywołały dawno pogrzebane wspomnienia?

Sethos nie odezwał się do Matthiasa. Nie odezwał się do nikogo. Spał przez dwa dni, a potem zjadł kilka oliwek i zaczął biegać. Coraz dalej. Biegał dzień po dniu, aż wreszcie niebo zmieniało kolor, błękit przybierał odcień różu, a potem stawał się atramentową czernią. Kiedy jego nogi znajdowały drogę do domu, niebo było już jasno rozgwieżdżone.

Nie potrafił jednak zagłuszyć bólu bieganiem. Ból go rozdzierał, przyginał do ziemi, dusił. Oddech zamierał mu w gardle każdego wieczoru, gdy docierał do swojego ozdobionego filarami domu, zastanawiając się mgliście, jak znalazł drogę powrotną.

Dlaczego pozwolił otworzyć się starej ranie? Tak ciężko pracował nad tym, by się zbliżniła. Sądził, że został niemal uzdrowiony.

Może tak właśnie wyglądało to drugie życie? Nieubłagany, nieuchronny krąg rozpacz i ośpienia. Nigdy się od tego nie uwolni.

Nigdy nie uwolni się od niej.

Imię, które tak długo wypierał, wypełniło jego umysł, drwiło z niego i paliło go.

Liwia.

– Seth, bracie?

Matt ostrożnie dotknął jego ramienia.

– Powiedz mi, co się stało.

Seth spojrzał przez niego nieobecny wzrokiem, a jego umysł wypełniały obrazy poprzedzające jego ucieczkę.

– Znalazłeś swój mikroskop kwantowy? – dopytywał się Matt.

Seth odwrócił się powoli. Mikroskop kwantowy. Powód, dla którego udał się do Londynu. Wydawało się to tak odległe w czasie... Ale skąd Matthias o tym wiedział? To była tajemnica jego i Zackary'ego. Ciekawość okazała się silniejsza od cierpienia. Odwrócił się do Matta i wbił w niego pytające spojrzenie, zastanawiając się, ile wie.

– Mikroskop kwantowy? – powtórzył.

Matt nie spuszczał z niego wzroku. Po chwili zaczął mówić.

– Twój pokój jest zavalony notatkami, tabelkami i pytaniami. Przeczytałem je.

Seth skinął głową.

Matt podjął temat.

– I co, znalazłeś? Czy to był dobry pomysł, by prowadzić badania w tej szkole? Naprawdę chciałbym się tego dowiedzieć, bo sam zacząłem prowadzić swoje interesujące badania.

Seth uniósł brwi.

– Jakie badania?

– No cóż, szedłem za tobą...

– Szedłeś za mną? – wyszeptał Seth.

– Nad rzekę. Do rzeki. Do Londynu.

Seth potrząsnął głową i zdobył się na półuśmiech.

– Poszedłeś za mną do Londynu?

– Za tobą i tym wysokim mężczyzną. Potem cię prawie zgubiłem, nieomal potracił mnie motocykl i...

– Powinienem się domyślić, że wcześniej czy później się dowiesz. Mogłeś zginąć. Kiedy wracamy, tracimy nieśmiertelność. A świat, do którego za mną poszedłeś, tak bardzo różni się od naszego... Zanim sam tam poszedłem, zostałem przygotowany i wprowadzony. Nie bałeś się?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. – Matthias uśmiechnął się. – Ale... czy znalazłeś mikroskop? Mam tyle pytań.

– Tak, znalazłem.

– I?

– I co?

– Czy znalazłeś odpowiedzi na swoje pytania?

Seth potrząsnął głową. Ostatnią rzeczą, o której teraz myślał, był mikroskop.

– Nie, nie znalazłem odpowiedzi. Mam za to coraz więcej pytań.

– Pytań?

– Teraz to są... inne pytania.

– Jakie pytania?

Seth spojrzał na swojego przyjaciela. Matt towarzyszył mu od początku, ale czy mógł się tym z nim podzielić? W końcu zawarli umowę. Jeśli Seth wspomni teraz Liwię, umowa zostanie złamana. A tyle ich obu kosztowała.

– Ja... nie mogę tam wrócić – wyszeptał w końcu.

– Co się stało, mój przyjacielu? – zapytał Matthias.

Seth poczuł, że musi zaryzykować złamanie umowy.

– Widziałem ją – wyrzucił z siebie wreszcie. – Była tam.

– Kto? – zapytał Matthias ze ściśniętym sercem.

– A któż inny? Liwia.

– Ale Seth... To niemożliwe.

– Może i niemożliwe, ale to prawda.

Seth potrząsnął głową, próbując odnaleźć w tym sens.

– Nie rozumiem tego, ale ona tam była. Inne imię, inny strój, inny czas, ale to była Liwia...

– Rozpoznała cię?

Seth spuścił wzrok na swoje dłonie.

– No cóż... nie...

Matthias zagwizdał przez zęby.

– Twój mózg płata ci figle. Liwia żyje wyłącznie w twojej głowie. I musisz się jej stamtąd pozbyć. Ta dziewczyna, kimkolwiek była...

– Ewa...

– Och, Seth, co ty sobie myślałeś? – Matthias z niedowierzaniem potrząsnął głową. – Ona ma inne imię, jest inną osobą, jest ci zupełnie obca. Tylko wygląda jak Liwia. Ma szczęście, natomiast ty go nie masz.

– To nie wszystko...

– Coś jeszcze? – westchnął Matt.

Seth ze smutkiem pokiwał głową.

– Ja już chciałem... nie wiem... w jakiś sposób jej o tym wszystkim powiedzieć, i wtedy... ona leżała... martwa... znów...

– Seth... Zabiłeś ją?

Matt z przerażenia szeroko otworzył oczy.

– Uważasz, że mógłbym zrobić coś takiego? Nawet jej nie dotknąłem...

– Więc co ją zabiło?

– To nie była taka śmierć jak w Londinium... To było udawane. Spektakl. Ale kiedy zobaczyłem ją leżącą nieruchomo, ja...

Seth nie znajdował słów, by opisać swoje cierpienie.

Matthias przyglądał mu się uważnie. To, co mówił jego przyjaciel, nie miało najmniejszego sensu. Liwia od dawna już nie żyła. Gdyby przeżyła, byłaby teraz razem z nimi w Parallonie. I on doskonale o tym wiedział. A Liwii tu nie było. Szukali jej przecież wielokrotnie,

przeszukali wszystkie możliwe miejsca.

– Seth, wejdź do środka. Napij się wina. Zjedz coś. Jutro o tym porozmawiamy.

Seth zjadł kolację i napił się wina. W nocy budził się nieustannie i dręczyły go koszmary. Wstał wcześniej, ubrał się i wyruszył na kolejną morderczą przebieżkę. Potrzebował aktywności fizycznej sprowadzającej na niego odrętwienie. Wrócił w końcu do domu, wykąpał się i poszedł ćwiczyć na arenie, gdzie walczył ze swoimi niewidocznymi przeciwnikami z tą samą zaciętością, która pozwoliła mu zdobyć laury.

Matthias nie ośmielał się mu przeszkadzać.

Po siedmiu dniach tych bezlitosnych ćwiczeń w samotności Seth wpadł do kuchni i zaczął gotować. Może gotowanie pomoże mu odnaleźć spokój? Nie obchodziło go, czy znajdzie się ktoś, komu będzie mógł zaserwować przygotowany przez siebie posiłek. Nie o jedzenie chodziło. Uspokajała go terapeutyczna moc krojenia i mieszania.

Matthias podszedł do niego i wręczył mu kieliszek wina. Seth uśmiechnął się, podziękował i pociągnął łyk. Matthias odchrząknął.

– Czy to jest dobry moment, czy też jesteś bardzo zajęty szatkowaniem rzepy?

Seth potrząsnął głową i roześmiał się.

– Nigdy nie docenisz tej sztuki. Powiedz mi, co cię gryzie.

– Mnie nic nie gryzie! Ale rzeczywiście, są sprawy, o których muszę z tobą porozmawiać.

Odkąd zniknąłeś, zaszły pewne istotne zmiany.

– Ale ile mnie nie było?

– No cóż, wystarczająco długo...

– Wystarczająco długo na co?

– Możesz na chwilę zostawić ten sos?

Seth zmrużył oczy, ale posłusznie zdjął patelnię z ognia i wyszedł za Matthiasem z kuchni.

Matt zaprowadził go do salonu, w którym siedziało mnóstwo ludzi. Seth, zaskoczony, rozejrzał się wokół. Nie słyszał, jak przyjechali. Siedzieli na kanapach. Niektórzy czytali, inni grali w gry planszowe, część leżała na podłodze i oglądała telewizję, inni patrzyli w ekran laptopa: scena rodem z dwudziestego pierwszego wieku, niezwykle odległa od tej, którą Seth oglądał wówczas, gdy Matthias przyprowadził go tu pierwszy raz. Nie zostało właściwie nic z chłodnego, cichego, pustego rzymskiego pokoju, jego marmurowej podłogi i białych,

otynkowanych ścian.

Scena, której się przyglądał, mgliście przypominała mu wieczór w pokoju wspólnym St Magdalene's. Natychmiast spróbował odsunąć od siebie to wspomnienie, które wywoływało bolesne ukłucie w sercu, ale nie mógł się już pozbyć tego skojarzenia. Co nie pasowało w tej scenie, której był świadkiem? Dlaczego przypomniał sobie St Mag's?

– Dziwne przyjęcie – wymruczał, patrząc na nich z niechęcią.

Matthias odchrząknął.

– Seth, to nie jest przyjęcie. Oni wszyscy... no, mieszkają tu.

No właśnie. Dlatego wyglądali na tak zrelaksowanych. Byli w domu. Seth zmarszczył brwi i spojrzał na Matthiasa. Wydawało się, że uzgodnili raz na zawsze, że mają wystarczającą liczbę domowników.

Matthias najwyraźniej czuł się niezręcznie i Sethowi udzieliło się jego zdenerwowanie.

– O co właściwie chodzi?

– No cóż, chodzi o to, Seth... Musiałem ich zabrać ze sobą... bo ja ich tu... przyprowadziłem...

Seth potrząsnął głową, niczego nie rozumiejąc.

– Przyprowadziłem ich do Parallonu.

Setha nagle zmroziło.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Obdarowałem ich nieśmiertelnością!

– Jak to zrobiłeś, Matt? – zapytał Seth bardzo cicho.

– No cóż, sam to wymyśliłeś. Wyczytałem to w twoich notatkach. Gorączka była kluczem. Krew...

– Ale co dokładnie zrobiłeś, Matthiasie?

– Za pierwszym razem to był przypadek – próbowałem mu pomóc, ale widocznie moja krew spłynęła do jego ran i w ten sposób go zaraziłem.

Matthias umilkł i oblizał suche wargi. To wyjaśnienie nie brzmiało równie przekonująco jak wówczas, gdy je ćwiczył. Podejrzewał, że Seth nie odniesie się z entuzjazmem do jego „daru”.

– Mów dalej – powiedział Seth lodowatym głosem.

– Kiedy pojawił się tu Winston, ten facet od motocykla, nagle przestałem mieć wyrzuty

sumienia, że zginął przeze mnie. Bo w końcu nie był przecież martwy! I kiedy przebrnąłem wreszcie przez wszystkie twoje zapiski, uznałem, że to nie ma znaczenia, jak to cholerstwo się nazywa ani jak działa, chciałem to po prostu sprawdzić. Więc wróciłem... i sprawdziłem.

– Sprawdziłeś?

– Odkryłem, że najszybciej można tu kogoś sprowadzić za pomocą krwi. Im ktoś jest słabszy, tym szybciej nasza krew działa. Trwa to mniej więcej od 20 minut do sześciu godzin.

– Co masz na myśli, mówiąc: słaby?

– Na przykład ranny...

– Chcę cię dobrze zrozumieć, Matthiasie. Przeniosłeś się do Londynu, żeby ranić ludzi, a potem ich zabijać?

– Seth, ty mnie w ogóle nie słuchasz. Oni nie umierają! Przybywają tutaj. Nie jesteśmy martwi. Jesteśmy nieśmiertelni. Ile jeszcze razy będę ci to musiał powtarzać?

– Jesteśmy gorzej niż martwi, Matt! – Seth patrzył na przyjaciela, jakby nagle stał mu się zupełnie obcy. – Co ty zrobiłeś?

Sądził, że zna Matta, ale nagle zdał sobie sprawę, jak wiele ich dzieli. Potrząsnął głową i zaczął się wycofywać z pokoju. Było mu niedobrze. Przepełniało go obrzydzenie.

– Seth, nie tylko krew tak działa.

Seth podniósł głowę.

– Co?

Matthias czuł, że udało mu się zyskać nieco na czasie, ale teraz nie wiedział, jak powiedzieć przyjacielowi o swoim odkryciu. Sądził, że ta informacja będzie dla Seta łatwiejsza do przyjęcia, ale teraz już nie był tego taki pewien...

Matthias spuścił wzrok i wziął głęboki oddech.

– Podczas szóstej podróży dotarłem na miejsce przemarznięty na kość. Nad brzegiem jest mała kawiarnia...

Seth skinął głową. Był tam.

– No cóż, wszedłem do środka i była tam dziewczyna...

– Elena? – zgadł Seth.

– Tak! Skąd wiedziałeś? – wyszeptał Matthias, rozglądając się z niepokojem.

Seth niespokojnie zmarszczył czoło.

– Tak czy inaczej, była bardzo ładna i miła...



– Mów dalej.

– Jakoś tak wyszło, że znaleźliśmy się w jej pokoju...

Seth westchnął.

– Napiliśmy się trochę wina, wydawało się, że się jej podobam... zaczęliśmy się całować, wiesz, jak to jest... Zostałem na noc, zasnęliśmy... Było miło i przyjemnie. Nagle, cztery czy pięć godzin później, obudziły mnie jej drgawki...

Matthias zawiesił wzrok w przestrzeni, ponownie przeżywając tę chwilę.

– Oczywiście, od razu się zorientowałem. Miała gorączkę. Dwie godziny później odeszła...

– Chcesz powiedzieć, Matthias, że zmarła? – wybuchnął Seth.

– Nie, Seth, nie o to mi chodzi. Nie była martwa! Zmieniła się, zniknęła, przeniosła się tutaj... znalazła nieśmiertelność. Dałem jej prezent, nie raniąc jej w żaden sposób.

Seth nie chciał tego dłużej słuchać. Słowa Matthiasa powoli do niego docierały i czuł, że w gardle rośnie mu gęsia skórka. Matt świadomie, z premedytacją i całkowicie losowo rozsiewał tę koszmarną chorobę. Seth nie był w stanie wyrazić swojego obrzydzenia. Czuł się zdradzony. Zackary miał rację. Matthias nigdy nie powinien był poznać tajemnicy wiru. Jego głupia filozofia całkowicie go zaślepiła, a wir dał mu koszmarną, morderczą władzę.

Seth wybiegł z domu i zwymiotował. Potem oparł się o chłodną kamienną ścianę i się rozplakał. Po policzkach spływały mu łzy współczucia dla tych wszystkich martwych ludzi... trupów Matthiasa... i łzy żalu za utraconą przyjaźnię. Kochał Matthiasa jak brata, ale teraz nie mógł znieść jego widoku, takim obrzydzeniem napełniało go to, czego się dopuścił.

Seth siedział oparty o ścianę, wpatrzony w gwiazdy, aż bladoróżowa poświata brzasku rozjaśniła niebo na wschodzie. Wstał i rozprostował się. Czas odejść. Powoli opuścił ich willę, porzucając najbliższego przyjaciela i miejsce, które uważał za dom.

Przez pozostałą część dnia wędrował po Parallonie, nieświadomy orzeźwiającego letniego wietrzyku, roześmianych ludzi, o których się ocierał, kobiet, które uśmiechały się do niego i odwracały za nim, gdy je mijał. Zgubił się ponownie i nie mógł już wyobrazić sobie powrotu.

# Rozdział 63

## Marzenia

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Od zniknięcia Seta minęły trzy tygodnie. Każdego ranka budziłam się z poczuciem martwej pustki. Nie przypominało to niczego, co dane mi było odczuć kiedykolwiek wcześniej – a biorąc pod uwagę, że dokładałam starań, by doświadczyć pełnego spektrum negatywnych emocji właściwych nastolatkom, było to dla mnie wstrząsem.

Próbowałam przemówić samej sobie do rozumu. Prawie go nie znałam, nie był chłopakiem dla mnie, a z punktu widzenia moich szkolnych losów jego zniknięcie było błogosławieństwem. Za bardzo tu namieszał.

Nic nie mogłam jednak na to poradzić. Tęskniłam za nim. Tęskniłam tak bardzo... Czulałam się tak, jakby mój świat został pozbawiony ośrodka grawitacji. Było to dziwne i upokarzające. Jak mogłam się stać jedną z tych naiwnych dziewczuszek, dla których najważniejsze było to, z którym chłopakiem akurat się prowadziły?

Na domiar złego naprawdę źle spałam. Przez senne koszmary opływające krwią i przepełnione grozą śmierci zaczęłam się bać chodzić spać. Próbowałam czytać do trzeciej w nocy – wszystko, byle nie mierzyć się z kolejnym sennym koszmarem – ale w końcu oczy mi się zamykały i zaczynał się kolejny straszliwy sen.

Pewnego ranka siedziałam na brzegu łóżka, opanowując mdłości i zawroty głowy ze zmęczenia, kiedy do mojej skołowacialej głowy przebiło się uporczywe pukanie. Zwlokłam się z łóżka i poszłam otworzyć drzwi. Na korytarzu stała Rose Marley.

– Ewo, co się dzieje? – zapytała, wpychając się do pokoju.

– Nic – odburknęłam.

Nie poruszyła się. Czekala.

– Nic mi nie jest. Po prostu kiepsko śpię...

Zmarszczyła brwi.

– Nie masz nawrotu choroby, prawda?

Patrzyłam na nią bez słowa. Kiedy już o tym wspomniała, nagle poczułam, że oszałamiające zmęczenie rzeczywiście przypomina nieco nawrót gorączki. Z trudem dawałam radę dotrwać do końca szkolnych zajęć i tylko siłą woli docierałam na próby zespołu.

– Nie. Oczywiście, że nie.

Wcale nie kłamałam. Każdy by się tak czuł po kilku nocach snu trwającego najwyżej trzy godziny i wypełnionego koszmarami.

– Po prostu się nie wysypiam.

Rose usiadła na łóżku obok mnie.

– Co się dzieje? Masz jakieś zmartwienia?

Chciałam krzyknąć, że tak! Że zakochałam się w chłopaku, którego prawie nie znam, a on zniknął z powierzchni ziemi i każdej nocy pogrążam się w koszmarach wypełnionych przerażającymi sylwetkami i zapachem śmierci. Biegnę, ale nie rozumiem, gdzie jestem ani od kogo uciekam... Przypomina to odtwarzanie w głowie nagrania wideo z YouTube w niskiej rozdzielczości w niekończącej się pętli. Czy można to uznać za zmartwienia?

Oczywiście tego nie powiedziałam. Nie chciałam spędzić reszty życia w domu bez klamek.

– Wszystko w porządku, dręczą mnie tylko nocne koszmary. Pewnie powinnam zrezygnować z nabiąlu...

– Chcesz coś, co pozwoliłoby ci lepiej spać? Mam całkiem skuteczne tabletki ziołowe, bez żadnych skutków ubocznych.

Rozważyłam tę propozycję. Czy Rose proponowała mi nieświadomość?

– Dziękuję – wyszeptalam. – Chętnie.

Tego wieczoru połknęłam dwie tabletki od Rose i wczłgałam się pod kołdrę. Godzinę później obudziłam się z krzykiem. Leki spotęgowały jedynie moje nocne koszmary – teraz byłam jak sparaliżowana i nie mogłam już biec. Usiadłam, wypiłam szklankę wody i wstałam, opierając się o zlew. Nie było dobrze.

Znużona, wzięłam książkę i zdecydowałam się spędzić kolejną noc na próbach powstrzymania się od zaśnięcia.

# Rozdział 64

## Duch

### *Parallon*

Seth nie wiedział, jak znaleźć ukojenie, ale też wcale go nie szukał. Potrzebował przede wszystkim otępienia. Jego umysł marzył o zapomnieniu. Wcześniej mu się to udawało, pozwalało mu przeżyć całą wieczność. Odnalezienie tego stanu zajęło mu jednak dużo czasu. I miał przy sobie Matthiasa.

Nie chciał wracać myślami do Matta. Ogrom jego zdrady był niczym wielka czarna przepaść ziejąca między nimi. Jej przekroczenie było niemożliwe. Próbował oderwać myśli od Matta, wędrując bez celu zmieniającymi się nieustannie ulicami Parallonu. Nogi zaniósły go najpierw w stronę domu Zackary'ego, ale kiedy stanął pod drzwiami, zdał sobie sprawę, że nie może spotkać się z Zackarym. Odwrócił się niechętnie. Następnym przystankiem okazała się willa Natalisa. I znów – nie potrafił się zmusić, by wejść do środka. Bardziej niż zwykle wydawała mu się tylko złudzeniem – żalonym potwierdzeniem tego, że nie potrafił zapomnieć. Odwrócił się i poszedł dalej.

Wstrząsnęło nim to, do jakiego stopnia Parallon zaczął przypominać Londyn, który właśnie opuścił. Jakaś część jego duszy tęskniła za spokojnymi, pustymi ulicami, które zobaczył, gdy pojawił się tu po raz pierwszy, gdy było tu tak niewiele innych.

Szedł przed siebie bez celu, aż w końcu o zmierzchu znalazł się na znajomej ulicy, wpatrując się w znajomy łuk. Tylko że tym razem łuk skrzył się i połyskiwał – rzucając w niebo wielokolorową poświatę.

Przeszedł pod nim i znalazł się na błyszczącym dziedzińcu St Magdalene's. Wydawał się zaskakująco pusty. Seth cicho przemknął do laboratorium biologicznego. Zapalił światła. Wszystko wyglądało tak, jak powinno. Był nawet mikroskop kwantowy. Ale ławki były puste, nikt w nich nie siedział. Wyłączył światła i cicho zamknął za sobą drzwi. Poszedł do stołówki – jedzenie czekało na ladzie, ale nie było nikogo, kto mógłby je zjeść. Potem udał się do budynku

internatu im. Karola Darwina. Wyglądał dokładnie tak jak prawdziwy. Kiedy pchnął wymalowane na granatowo frontowe drzwi, usłyszał charakterystyczne skrzywienie i zaśmiał się ponuro. Cicho zamknął za sobą drzwi i poszedł korytarzem do własnego pokoju. Była to dokładna kopia miejsca, w którym spał w Londynie. W końcu sam to wszystko stworzył. Usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach.

Co on tu robił? Dlaczego torturował samego siebie? Nie potrafił siedzieć w tym pokoju i nie myśleć jednocześnie o niej. Kiedy już usiadł, jego umysł aż jęknął pod naporem obrazów Ewy. Zupełnie tak, jakby siedział na prawdziwym łóżku w prawdziwym pokoju w prawdziwej szkole St Magdalene's w Londynie. Wyobraził ją sobie – czytającą, śpiącą, kąpiącą się pod prysznicem. Widział ją w laboratorium biologicznym, zaciekawioną i zaangażowaną. Uśmiechnął się, kiedy oczami duszy ujrzał ją śpiewającą na scenie z gitarą. A potem zdradziecki umysł podsunął mu jej obraz leżącej nieruchomo na grobie. Tak nieruchomo, jak leżała jego Liwia tej mrocznej nocy w Londinium.

Wzdrygnął się, gdy bolesne wspomnienia wstrząsnęły jego ciałem.

Kiedy tak siedział, próbując zagłuszyć swój ból, przez głowę przemknął mu inny obraz: Ewa siedząca obok niego na podłodze w pokoju wspólnym, patrząca na niego swoimi pięknymi migdałowymi oczami... nie tylko patrzyła, ale szukała czegoś w jego twarzy... Odtwarzał to wspomnienie nieustannie na nowo, nie ufając mu i nie ośmielając się w nie uwierzyć. Ona z pewnością go nie знаła, a jednak widział w jej oczach coś, czego wyjaśnienia nie ośmielał się szukać. Czy to możliwe, by go rozpoznawała?

Wstał. Podeszedł do drzwi, wrócił na łóżko. Krążył niespokojnie po pokoju. Niezdolność podjęcia decyzji była dla niego czymś nowym, a teraz czuł, że go paraliżowała.

Uciekł z Londynu – ale dlaczego? Bo zobaczył leżące bez ruchu ciało Liwii. Ale ona przecież nie była martwa. Już nie. Jeszcze nie. Seth był zagubiony, bo nie rozumiał natury czasu. Nie rozumiał natury śmierci. Nie rozumiał, dlaczego na Liwię wołano Ewa ani kim była Liwia. Wiedział tylko, że kochał Liwię, zawsze będzie ją kochał, a teraz właśnie... od niej uciekł. Sethos Leontis, gladiator, który nie znał strachu, uciekł przed duchem.

Przeklął samego siebie i wybiegł na dziedziniec, w noc, w kierunku rzeki.

# Rozdział 65

## Upadek

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Wlokłam się przez dziedziniec do laboratorium biologicznego. Byłam słaba, wyczerpana i samotna. Poczułam nagle na ramieniu dłoń Roba. Kochany Rob, nieustannie starał się mnie pocieszyć.

– Hej.

Zmusiłam usta do uśmiechu.

– Ewa! Wyglądasz koszmarnie, co się dzieje?

I co ja powinnam mu powiedzieć?

– Nie wiem. Jestem tylko bardzo zmęczona – westchnęłam, gdy otworzył drzwi do laboratorium i przepchnął mnie do środka.

Ogarnęła mnie przyjemna fala ciepłego powietrza. Z wdzięcznością wsunęłam się do tylnej ławki. Nie ośmielałam się już siadać w przednich rzędach, bo nie wiedziałam, czy nie zasnę podczas zajęć.

Profesor Franklin przyszła kilka minut po nas i szybkim krokiem przeszła na przód sali. Kiedy zapowiedziała nasz nowy obszar badań, ucieszyłam się – była to metylacja DNA. Badaliśmy epigenetykę DNA, więc wydawało się to interesującym rozwinięciem tego tematu. Gdybym tylko mogła opanować senność! Ale kilka sekund później zaczęłam odpływać, co chwilę włączając się i wyłączając z zajęć, przeklinając moje głupie koszmary i zastanawiając się niemrawo, czy nie przydałaby mi się pomoc psychiatryczna. Przecież wszystkie te tygodnie sennych koszmarów trudno było uznać za normę?

Głos profesor Franklin znów zaczął zanikać, kiedy poczułam, że ktoś mną delikatnie potrząsa.

– Obudź się – syknął Rob.

Poderwałam się dokładnie w momencie, w którym profesor Franklin zaczęła iść w naszą stronę.

Dobry Boże, co przegapiłam?

Chwilę później odetchnęłam z ulgą. Po prostu szła w kierunku drzwi. Najwyraźniej zapadłam w zbyt głęboki sen, by usłyszeć dzwonek na koniec lekcji albo jej podsumowanie.

Słaniając się na nogach, wyszłam z ławki, z wysiłkiem próbując sobie przypomnieć, gdzie miałam się teraz udać.

– Idziesz, Ewa? – Astrid przecięła dziedziniec i zaczęła mnie ciągnąć w kierunku skrzydła muzycznego. – Boże, spójrz na siebie – westchnęła. – Dziś wieczorem próba będzie krótka.

Z wdzięcznością skinęłam głową. Wymówiłabym się od tej próby, gdyby nie to, że ostatnio zrobiłam to trzykrotnie. Nie można już było na mnie polegać jako na członku zespołu. Brakowało mi energii nawet do tego, by poczuć wyrzuty sumienia.

Kiedy dotarliśmy do sali prób zespołowych, Sadie stała oparta o perkusję i wyglądała na zażenowaną. Usiadłam na taborecie, próbując złapać oddech. Byłam żałosna.

Astrid stanęła z założonymi rękami, przyglądając mi się zmrużonymi oczami.

– Ewa, Sadie i ja rozmawialiśmy o zespole.

Zerknęłam na nią, zgadując, co za chwilę powie. Chciały mnie wywalić. I nie mogłam ich winić. Byłam bezużyteczna... Ciągnęłam je w dół. Przełknęłam gulę w gardle i zmusiłam się do żalosego uśmiechu.

– Rozumiem was. Nie ma sprawy.

Z wysiłkiem dźwignęłam się na nogi i powlokłam do drzwi. Tęskniłam za swoim cichym pokojem i miękkim łóżkiem.

– A ty dokąd? – zatrzymała mnie Astrid.

Odwróciłam się i oparłam o framugę drzwi.

– Oj, Ewa – zachichotała. – Ty chyba nie sądzisz...? A jednak!

Przyskoczyła do mnie, wciągnęła mnie z powrotem do sali i popchnęła na taboret.

– Ależ ty jesteś głupia! – wymamrotała. – No dobrze, idiotko, tak naprawdę Sadie i ja rozmawialiśmy o wprowadzeniu nowych tonów...

– Chodzi o nowego członka zespołu?

Skinęła głową.

Obojętnie wzruszyłam ramionami.

– A masz kogoś konkretnego na myśli?

– Rob Wilmer.

Przygryzłam wargi. Cholera. Dlaczego to musiał być właśnie Rob? Cóż, oczywiście dlatego, że Rob świetnie grał na klawiszach. Dobry wybór. Tylko że ja już i tak zdecydowanie zbyt często się z nim spotykałam i wiedziałam, co do mnie czuje. To nie był dobry pomysł.

Z drugiej strony za słabą miałam teraz pozycję, żeby bronić własnego zdania.

– A czy on jest zainteresowany? – zapytałam.

Przecież wiedziałam.

– Zdecydowanie. W zeszłym tygodniu... miałyśmy z nim próbę.

Potrząsnęłam głową. Wypadłam z obiegu. Nagle zorientowałam się, dlaczego obie wyglądają tak, jakby sytuacja była dla nich bardzo niezręczna.

– I dziś też przyjdzie?

– Tak. Powinien być za kilka minut.

Skinęłam głową.

– Nie przeszkadza ci to?

– Nie ma sprawy – powiedziałam otwarcie. – To twój zespół.

Pukanie do drzwi wskazywało na to, że Rob właśnie przyszedł. Astrid otworzyła z rozmachem drzwi i przybiła mu piątkę. Uśmiechnęłam się, kiedy spojrzał niepewnie w moją stronę, a potem przeciwiczyliśmy wszystkie kawałki. Jakąś godzinę później Astrid zerknęła na mnie i odłączyła swoją gitarę basową.

– Na dzisiaj wystarczy. Dobrze się czujesz, Ewo?

Oparłam się o ścianę i skinęłam głową.

Wcale nie czułam się dobrze. Czułam się fatalnie. Kręciło mi się w głowie i obraz mi się rozmazywał.

– Chyba muszę dziś wcześniej pójść spać.

Wstałam, umieściłam gitarę na stojaku, wyszłam z sali i powlokłam się korytarzem.

W lobby wejściowym wpadłam w ramiona Sethosa Leontisa.



# Rozdział 66

## Pogodzenie

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Seth nie miał pojęcia, jak wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz był w Londynie. Tak bardzo się spieszył, że być może wyrażone w wirze intencje dotyczące czasu nie były zbyt spójne. A precyzja była w wirze decydująca. Należało się skoncentrować na czasie, by wylądować w miarę precyzyjnie. Nauczył go tego Zackary i zawsze działało. Dlatego właśnie zdołał wrócić do Parallonu po tygodniach nieobecności, tracąc tu zaledwie kilka minut życia. Tym razem jednak myślał wyłącznie o niej. Tylko o niej myślał, gdy wynurzał się z rzeki i ociekając wodą, biegł przez sklepienie wejście.

Kiedy dotarł na dziedziniec, było już ciemno, więc wśliznął się bezszelestnie do internatu i ruszył do swojego pokoju. Został osobiste rzeczy tam, gdzie je zostawił. Szybko zmienił mokre ubrania i wyszedł na dziedziniec, gdzie kręciło się teraz mnóstwo ludzi. Stał przez chwilę, zastanawiając się, gdzie szukać jej najpierw.

– Seth! Wróciłeś! Dla Ruby to będzie taka ulga! – Mia, która szła właśnie na śniadanie, aż się zachłysnęła. – Chodź, przecież trzeba jej to powiedzieć! – Uśmiechnęła się i zaczęła go ciągnąć do stołówki.

Seth rzucił okiem na dziedziniec, na którym aż roiło się od uczniów.

– Słuchaj – odezwał się, próbując sobie przypomnieć jej imię – nie wiesz, gdzie mogę znaleźć Ewę?

Seth starał się nie odwoływać do swojej charyzmy, o ile nie było to absolutnie konieczne, ale uznał, że teraz sytuacja tego wymaga. Spojrzał na Mię tak, że nie mogła odwrócić wzroku. Otworzyła szeroko oczy i rozchyliła wargi, próbując sformułować odpowiedź, której od niej oczekiwano. Rozpaczliwie pragnęła pomóc mu znaleźć to, czego potrzebował, ale nie miała pojęcia, gdzie może być Ewa. Ruby by ją zabiła, gdyby się dowiedziała, że Ewa ją interesuje. Ale

zaledwie kilka metrów dalej stał Harry.

– Harry! – zawołała.

Harry skręcił w ich stronę, po czym zorientował się, kto stoi obok Mii, i szczeka mu opadła.

– Człowieku! Gdzie byłeś? Myśleliśmy, że zniknąłeś z powierzchni ziemi!

Seth uśmiechnął się drwiąco.

„Niezły strzał, Harry” – pomyślał.

– Seth szuka Ewy. Nie wiesz, gdzie ona może teraz być?

– Skrzydło muzyczne – powiedział Harry bez wahania. – Widziałem, jak po zajęciach dziewczyny szły na próbę zespołu. Chodź, zjedzmy coś. Musisz mi wszystko opowiedzieć!

– Później, Harry – odparł Seth i ruszył przed siebie.

Nie musiał wchodzić do skrzydła muzycznego, żeby ją usłyszeć. Jej cudowny głos popłynął miękko ku niemu. Stał i oparł się o ścianę, zasłuchany, oczarowany urodą dźwięku.

Kiedy śpiew się urwał, Seth zeszywniał. Tak bardzo pragnął ją zobaczyć, że serce waliło mu jak młotem. Nie wiedział, ile jeszcze zdoła czekać, ale kilka sekund później usłyszał kroki na korytarzu i drzwi do lobby się otworzyły.

Odwrócił się. Stał twarzą w twarz z dziewczyną, którą kochał.

– Seth? – wyszeptwała. – Wróciłeś!

Patrzyła na niego oczami Liwii, serdecznie jak Liwia... z miłością Liwii. Bez wahania wziął ją w ramiona.

Przez jedną rozkoszną chwilę jej ramiona otaczały jego szyję i jej usta ocierały się o jego usta w ogniu namiętności, która ogarnęła ich oboje, a którą tak długo powstrzymywał. I nagle poczuł, jak jej ramiona wiotczeją.

– Liwia? – wyszeptał z rozpaczą.

Patrzył na jej blade bezwładne ciało i nagle zyskał okrutną pewność, że nie powinien był wracać. Scena z Ofelią była przeczuciem – skierowanym do niego ostrzeżeniem. Był skazany na ponowne obserwowanie jej śmierci.

– Proszę, Liwio... – jęknął.

Nie ruszała się.

Usłyszał za sobą głosy.

– Boże, Ewa!

Z lobby wybiegł Rob, a za nim Astrid i Sadie.

– Co ty jej zrobiłeś? – warknął Rob, obrzucając Setha wściekłym spojrzeniem.

Seth potrząsnął jedynie głową, pogrążony w rozpacz.

Astrid objęła dowodzenie.

– Chłopaki! Weźcie się w garść! Ewa jest chora. Rob, proszę cię, nie mów mi, że tego nie zauważyłeś.

Rob zagryzł wargi. Oczywiście, że zauważył.

– Dobra, Seth – ciągnęła Astrid. – Czy dałbyś radę ją zanieść do skrzydła medycznego? A ty, Rob, mógłbyś polecieć przodem i zawiadomić pielęgniarkę?

Rob rzucił się przed siebie, ale Seth stał, nie mogąc podjąć decyzji. Nadal trzymał Ewę, ale był przekonany, że to, iż Ewa leży nieprzytomna i oddycha z trudem, jest jego winą.

– Myślę, że to moja wina – wyszeptał. – Nie powinienem się do niej zbliżyć.

– Bzdura – zachnęła się Astrid. – Ewa choruje od tygodni. Kilka miesięcy temu, zanim w ogóle pojawiłeś się w szkole, prawie zmarła w szpitalu. Z tobą nie ma to nic wspólnego. No, dalej!

Seth potrząsnął głową bez przekonania, ale zrobił to, czego Astrid zażądała. Kiedy dotarli do skrzydła szpitalnego, Rose Marley rzuciła tylko okiem na Ewę i zadzwoniła po karetkę. Zmierzyła jej puls, słaby i nieregularny, i ciśnienie krwi, bardzo niskie. Zanotowała, że dziewczyna miała chłodną i wilgotną skórę. Przykryła ją ciepłymi kocami i pochyliła się nad nią.

– Ewa! – powiedziała głośno i stanowczo. – Czy ty mnie słyszysz?

Ale Ewa nawet nie drgnęła.

Kiedy przyjechała karetka i Ewie założono maskę tlenową i ułożono ją na noszach, Rose wsiadła do karetki obok noszy i rozpędziła gromadzący się tłum. Wieści szybko się rozeszły. Trzydzieścioro czy czterdzieścioro dzieciaków niechętnie zaczęło się rozchodzić.

Seth nie dał się przegonić. Nie ruszył się z miejsca, wbił spojrzenie w Rose Marley i kilka chwil później siedział już w karetce. Rose nie miała pojęcia, dlaczego pozwoliła temu niezwykle chłopakowi wsiąść do auta. Łamała w ten sposób wszelkie zasady regulaminu, ale poczuła, że jego obecność jest pocieszająca. W ciągu kilku ostatnich tygodni bardzo przywiązała się do Ewy i zrozumiała natychmiast, że ten chłopak podziela jej uczucia. Nie miała pojęcia, jak silne są emocje, które próbował utrzymać na wodzy.

Kiedy ratownicy medyczni zbierali wywiad, a Rose przekazywała im wszystkie szczegóły

ostatniej choroby Ewy, Seth nie odrywał wzroku od ukochanej, próbując zrozumieć, co się wydarzyło przed chwilą. Nadal był przekonany, że był winny jej zapaści. Niezależnie od tego, co Rose mówiła na temat nawrotu choroby, musiałby być kretynem, żeby nie widzieć związku jej stanu z jego nagłym pojawieniem się – poza tym przecież doprowadził ją do podobnego stanu, gdy dotknął jej w pokoju wspólnym. Teraz walczyła o życie.

Rose obserwowała chłopaka wpatzonego w Ewę. Jego spojrzenie było tak intensywne, że mogłoby się wydawać, iż wierzy, że utrzymuje ją przy życiu siłą własnej woli. Zaciśnęła usta, próbując opanować złe przeczucia.

# Rozdział 67

## Déjà vu

*Londyn*

*A.D. 2013*

Jeszcze chwilę wcześniej wlokłam się korytarzem skrzydła szpitalnego, a teraz patrzyłam w ukochane oczy. Serce biło mi jak szalone. Ulga, radość, nie wiem – ogarnęła mnie cała gama uczuć i zbliżenie mojej twarzy do jego twarzy wydało się nagle tak naturalne i właściwe.

I nagle zaczęłam spadać. Spadałam, jakby przestrzeń nie miała końca... i wreszcie lądowanie... miękko... delikatnie jak piórko. Leżałam na plecach z zamkniętymi oczami... wygodnie. Rozłożyłam ręce szeroko, muskając palcami chłodne źdźbła trawy. Znałam to miejsce: bzyczenie letnich owadów, zapach dzikiej lawendy, ptaki śpiewające wśród drzew i ich pieśń będąca bladym odbiciem pieśni mojego serca. Oddychałam głęboko, upajając się urodą tego miejsca. Poczułam, że rośnie we mnie radość, przeświadczenie, że kiedy odwrócę głowę i otworzę oczy...

– Ewa! Ewa! Ewo, czy ty mnie słyszysz?

Zapach trawy i lata nagle zniknął, głowa zaczęła mi strasznie ciążyć, każdy oddech rozrywał mi płuca, żołądek podszedł mi do gardła. Tępo patrzyłam przed siebie.

To nie były te oczy.

Gdzie ja się znajdowałam?

O nie. Tylko nie tu. Znów pochylał się nade mną doktor Falana. Ponownie zamknęłam oczy, marząc o tym, by przenieść się w promienie słońca...

Nie. Obraz zniknął.

– Ewo? Jesteś tu?

Głowa bolała mnie potwornie. Jęknęłam i zrozumiałam, że na ustach mam maskę. Próbowалаm ją zerwać, ale lekarz zdecydowanie przytrzymał mi ją na twarzy.

– Ewo, bardzo płytko oddychałaś, więc chciałbym, żebyś jeszcze przez jakiś czas nie

zdejmowała tej maski z twarzy, dobrze?

Przestałam się wyrywać i zmarszczyłam brwi. Słyszałam nieregularne popiskiwanie i odwróciłam ciężką, obolałą głowę, by sprawdzić, czy rzeczywiście znów znajduję się w sali pełnej monitorów.

– Co się stało? – jęknęłam.

Mówienie nie sprawiało mi przyjemności.

– Nie mamy pewności. Miałaś zapaść. Twój przypadek jest tak...

Zamknęłam oczy zbyt wyczerpana, by słuchać dalej.

Unosiłam się powyżej dziwnych ulic, poprzez przesłonięte kurtyną drzwi do dziwnego pokoju. Jakiś mężczyzna spał. Czułam dziwne zapachy – ocet winny, jaśmin, miód... pochyliłam się nad mężczyzną, delikatnie dotykając jego czoła. Było rozpalone do czerwoności. Ogarnął mnie obezwładniający niepokój o niego, który mieszał się z podnieceniem płynącym z jego bliskości. Zanurzałam miękką tkaninę w misce, wyciskałam nadmiar wody i zwilżałam jego twarz. Woda spływała na jego włosy, płynęła po ustach i policzkach. Marzyłam o tym, by być tą wodą, która go dotykała, śledząc kontury jego twarzy. Ciepła dłoń zamknęła się na mojej. Szczęście, zrozumienie, ciepło ogarniające całe moje ciało... Nagle pojawiło się więcej dłoni... ciągnących mnie, odciągających od jego boku. Nie! Nie potrafiłam stawić oporu, choć walczyłam, z trudem chwytając powietrze.

– Liwia, proszę, wróć...

Serce waliło mi jak młotem. Pokój zaczął się nagle oddalać, znikać. Ciemność otaczała mnie szczelnym kokonem i było mi tak zimno... Gdzie on był? A ja? Obracałam się we wszystkie strony. Nigdy nie znajdę drogi powrotnej... zagubiona... rozpływałam się...

I nagle... kotwica... Ciepło pulsujące w palcach, w ramionach, w całym ciele, prowadzące mnie w stronę światła.

Otworzyłam oczy. Był tam. Zarys sylwetki na tle jasnej plamy światła.

Zamrugłam oczami. To nie był ten pokój, tylko inny. Szpital. Popiskujące monitory. Ale... to był on. Seth. Uśmiechał się. Trzymał moją rękę w swoich dłoniach.

– Jesteś tu – wyszeptałam.

Wyglądał, jakby odbył jeszcze bardziej przerażającą podróż niż ja. Wyczerpany. Błady. Czy był ze mną? Potrząsnęłam głową. Zabolało. Próbowałam zrozumieć to wszystko, ale byłam całkiem dezorientowana. Nie odróżniałam już fikcji od rzeczywistości. Próbowałam usiąść, ale

zawroty głowy zmusiły mnie do opadnięcia z powrotem na posłanie.

– Hej – wyszeptał, odsuwając mi włosy z twarzy. – Powinnaś dużo odpoczywać.

– Seth...

– Cicho... – wyszeptał.

Drzwi się otworzyły i do sali wszedł doktor Falana, a za nim mnóstwo innych osób. Zmrużyłam oczy, zaskoczona tym nagłym zainteresowaniem moją osobą. Kim byli ci ludzie? I co tutaj robili? Doktor Falana uśmiechał się szeroko.

– Ewo, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Przyprowadziłem kilku studentów, żeby mogli cię obejrzeć.

Tak naprawdę to miałam całkiem sporo przeciwko temu. Nie zamierzałam odgrywać roli stworzenia nieznanego gatunku przed grupą ciekawskich medyków. Ale potem poczułam uścisk dłoni Seta. Płynące z niej ciepło było tak ogromnie pocieszające, że zdobyłam się nawet na półuśmiech.

Wszyscy zgromadzili się wokół mojego łóżka. Obserwowałam ich czujnie.

Doktor Falana zdjął tabliczkę zawieszoną na łóżku i odchrząknął.

– Oto pacjentka Ewa Koretsky. Dziewięć tygodni temu dostała nagle gorączki i zapaści, która w chwili przyjęcia do szpitala przeszła w migotanie komór i upośledzenie czynności organów... Pani Groves, gdyby pani przyjmowała pacjentkę do szpitala, jak by się pani zachowała?

– Eee... Zaczęłabym defibrylować w celu ustabilizowania akcji serca, zaintubowałabym pacjentkę, odsysała ślinę, no i oczywiście wykonałabym wszystkie testy z krwi, żeby zidentyfikować przyczynę...

– Dobrze. Pamiętajcie, że nie ma czasu na analizę wyników badań laboratoryjnych, więc czy moglibyśmy zrobić coś innego, żeby w pierwszej kolejności złagodzić objawy?

Studenci stali w milczeniu.

– Powiem wam, co my zrobiliśmy. Zaaplikowaliśmy antybiotyki o szerokim spektrum działania. Dlaczego to zrobiliśmy?

– W nadziei na to, że to infekcja bakteryjna, która poddaje się tego rodzaju leczeniu?

– Właśnie. Założyliśmy, że to wyjątkowo zjadliwa sepsa, ale oczywiście nie mogliśmy szybko jej zidentyfikować, potrzebowaliśmy czasu na wzrost kultur na pożywkach, a niestety, powtórzę, nie mieliśmy czasu. Stan pacjentki pogarszał się niesłychanie gwałtownie.

– Czy antybiotyk zadziałał?

– Eee... nie – wymamrotał. – Żadna z zastosowanych przez nas metod leczenia nie dawała efektów, stan pacjentki systematycznie się pogarszał.

Przygryzłam wargi. Mogłam się obyć bez tych szczegółów. Poczułam na sobie spojrzenie Setha i mocniejszy uścisk jego dłoni.

– Po kilku godzinach doszło do zatrzymania krążenia i mimo podejmowanych prób resuscytacji, włącznie z zastrzykiem epinefryny, atropiny i uciskiem klatki piersiowej, nie osiągnęliśmy żadnych efektów. A jednak w chwili, w której orzekliśmy zgon, jej serce nagle spontanicznie zaczęło bić – mocno i normalnie, bez żadnych oznak arytmii. Następnie cały organizm całkowicie powrócił do zdrowia...

Uniósł brwi, rozłożył ręce i mrugnął do Ewy.

– Mamy tu naszego własnego Łazarza!

Jeden ze studentów odchrząknął.

– Jaką ma pan teorię, panie doktorze?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam żadnej teorii. Instynkt podpowiadał mi, że to była zjadliwa infekcja wirusowa, ale późniejsze badania hematologiczne tego nie potwierdziły. Liczba białych krwinek nie była podwyższona. Jakiegokolwiek alternatywne rozpoznania byśmy brali pod uwagę (a pamiętajcie, że czas nie był naszym sprzymierzeńcem), otrzymywaliśmy tak odbiegające od normy wyniki badań laboratoryjnych, że musieliśmy je odrzucić.

Studenci wyglądali na skonsternowanych.

Odchrząknęłam.

– Panie doktorze... Czy mogłabym rzucić okiem na te... tak drastycznie odbiegające od normy wyniki testów krwi?

Przez chwilę patrzył na mnie tępo, a jego twarz wyrażała skrajne niedowierzanie. Nie wiem, czy był jedynie zaskoczony tym, że pacjent przemówił, czy może nie wierzył, że głupie dziecko ze szkoły może być zainteresowane przejrzeniem tabelek z cyferkami nie do odszyfrowania dla normalnego człowieka. Wreszcie skrzywił się.

– Przepraszam, Ewo, ale nie mogę ci ich pokazać – musieliśmy je wyrzucić.

– Wyrzuciliście wyniki badań? Dlaczego?

– Musiały zostać w jakiś sposób zniekształcone. To był kompletny chaos.



– Ale...

– Zapewniam cię, że w laboratorium przeprowadziliśmy pełne dochodzenie, w zasadzie wymieniliśmy całość oprzyrządowania. Nic podobnego nie powinno się już powtórzyć. – Odwrócił się do studentów. – Dwa dni temu Ewa pojawiła się ponownie na oddziale ratunkowym...

– Dwa dni temu? Spędziłam tu tyle czasu?

– Tym razem nie było gorączki, jedynie arytmia serca, która na szczęście poddała się leczeniu. – Wskazał rytmicznie popiskujący monitor, do którego byłam podłączona, co bardzo mnie irytowało. – Ciśnienie krwi się poprawiło. Nadal czekamy na kultury wyhodowane na pożywkach z krwi, ale brak gorączki sugeruje, że przyczyną nie była infekcja. Czy ktoś ma jakieś pomysły?

Kilku studentów niespokojnie przestąpiło z nogi na nogę. W końcu wysoka dziewczyna z dużymi zębami i aureolą rudych włosów zakasłała nerwowo.

– A co z funkcjonowaniem organów? W normie?

– Tak, z wyjątkiem oddychania, ale to również mamy już pod kontrolą. EKG nie ujawniło żadnej wady serca.

Grupa stała w milczeniu.

Doktor Falana obrócił się w moją stronę.

– Ewo, jak się dziś czujesz?

– Świetnie – powiedziałam, marząc o tym, żeby już sobie poszli.

Uniósł brwi pytająco.

– Świetnie? – zaśmiał się. – Myślę, że to „świetnie” jest trochę na wyrost, ale jestem skłonny zaakceptować „znacznie lepiej”. Wpadnę później. A na razie... odpoczywaj!

I wymownie spojrzął na Seta.

# Rozdział 68

## Pytania

*Londyn*

*A.D. 2013*

Kiedy wszyscy już wreszcie wymaszerowali, odwróciłam się do Seta.

– Czy mógłbyś zamknąć drzwi?

Rzucił mi pytające spojrzenie, wstał, cicho zamknął drzwi i usiadł znów obok mnie. Położył dłoń na kołdrze tuż obok mojej. Ujęłam ją i poczułam ciepły przepływ elektryczności – na tyle delikatny, że byłam w stanie go znieść.

– Seth, musimy porozmawiać – wyszeptałam.

Skinął głową bez przekonania.

– OK – przygryzłam wargi. – Czy możesz mi powiedzieć, kim ty właściwie jesteś?

– Wiesz, jak się nazywam. Seth. Sethos Leontis.

– No dobrze... Skąd cię znam?

Siedział bez słowa, patrząc na nasze splecione dłonie. Potem wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

– Nie jestem pewien.

Wyglądał na tak zakłopotanego, że prawie byłam gotowa odpuścić. Ale nie mogłam.

– Co to znaczy? – zapytałam.

Ponownie tylko pokręcił głową. Oddychałam z trudem, próbując zachować spokój.

– No dobrze, jeśli to pytanie jest dla ciebie trudne... Powiedz mi, kim jest Liwia.

Tak często używał tego imienia w mojej obecności, że wydawało mi się aż nadto znajome.

Rozłożył ręce i spojrzał na mnie tak, jakbym nie rozumiała czegoś oczywistego.

– Co? – zapytałam, doprowadzona niemal do rozpacz.

– No cóż... Liwia to ty, oczywiście – uśmiechnął się.

– Nie – powiedziałam głosem, który w mojej ocenie był niezwykle spokojny. – Ja mam na imię Ewa. Ewa Koretsky. Liwia jest kimś innym.

Potrząsnął głową.

– Ewo, wiem, jak masz na imię. Ale wiem też, że jesteś nią. – Westchnął. – Ja też tego nie rozumiem, ale jest przecież tyle rzeczy, których nie rozumiem.

– Na przykład?

– No cóż... gorączka.

– Gorączka? – zapytałam ostro.

Wyglądał już przez okno, marszcząc brwi i mrucząc coś do siebie.

– Musi być jakiś związek, ale ja po prostu nie rozumiem, jak...

– Czy wiesz coś o mojej chorobie? – zapytałam bez tchu.

– Nie wiem. Wiem tylko o mojej.

– Miałaś gorączkę?

Skinął głową.

– Taką samą jak moja?

– Nie wiem... Nie sądzę...

– Na miłość boską, Seth, powiedz mi, co wiesz, proszę! Ja powiem ci, czego się sama dowiedziałam. Może uda nam się do czegoś dojść. I będę mogła wrócić do zdrowia tak jak ty.

Spojrzał na mnie wtedy z takim bólem, że poczułam nagle gulę w gardle. Przełknęłam z trudem ślinę.

– Co? Powiedziałam coś nie tak?

– Ewo... Ja...

Drzwi nagle otworzyły się na oścież i do środka wparowała pielęgniarka z wózeckiem zastawionym różnymi instrumentami.

– Proszę nie zamykać tych drzwi – powiedziała ostro do Setha. – Mają być otwarte. Jeśli mogłabym teraz pana przeprosić... – Wskazała głową na drzwi. – Muszę zbadać pacjentkę.

Seth puścił moją dłoń i wstał. Wpadłam w panikę.

– Chcę, żeby on został – zażądałam.

Pielęgniarka potrząsnęła głową i cmoknęła z dezaprobatą.

– Może poczekać na zewnątrz, aż skończymy.

Seth obdarzył ją swoim bajkowym uśmiechem i ruszył w stronę drzwi. Chłodna pustka,

którą zostawił po sobie, wstrząsnęła mną zimnym dreszczem.

– Seth? -- zawołałam.

Odwrócił się w drzwiach.

– Będę tuż obok.

Zabiegi pielęgniarki ciągnęły się całe wieki i kiedy w końcu wypchnęła swój wózek z mojej sali i Seth wśliznął się do środka, byłam zbyt wyczerpana, by zadawać mu dalsze pytania. Zdobyłam się tylko na wąty uśmiech. On uśmiechnął się do mnie, a ja zapomniałam się i sięgnęłam ręką do jego policzka. Kiedy przesuwałam palcami delikatnie po jego skórze, złapałam nagle gwałtownie powietrze, bo w oczach stanął mi jego obraz... innego Seta, leżącego na posłaniu, z wodą spływającą mu po zamkniętych powiekach.

Zamrugałam, próbując pozbyć się obrazu pod powiekami, ale stawał się coraz bardziej rzeczywisty, wypełniał pole mojego widzenia, przesłaniał obraz szpitalnej sali i niespokojny wyraz twarzy Seta, przesłaniał światło.

Nie mogłam pozwolić, by do tego doszło. Chciałam tu zostać. Potrzebowałam tego chłopaka siedzącego na krześle obok mnie, miałam tyle pytań. Ale nie znalazłam siły do walki. Poczulałam przypływ paniki. Słyszałam własny krótki, urywany oddech, z trudem nabierałam powietrza...

– Pomóż mi! – wykrztusiłam.

Nie usłyszałam jednak własnego głosu. Nic już nie słyszałam ani nie widziałam...

# Rozdział 69

## Wina

*London*

*A.D. 2013*

Seth nacisnął przycisk alarmu i wybiegł z pokoju, nawołując lekarzy. W ciągu kilku sekund w sali pojawił się zespół z defibrylatorem, który natychmiast został przyłożony do piersi Ewy. Seth stał bezradnie w drzwiach, patrząc, jak lekarze próbują uratować jej życie, przekonany, że znów jest winny jej kolejnej zapaści.

Kiedy już zyskał pewność, że jej stan się ustabilizował i zasnęła, wyszedł ze szpitala. Musiał pomyśleć. Wiedział, jak ciężko było mu się skoncentrować, kiedy był blisko niej, i z trudem oddzielał własne pragnienia od tego, co uznawał za słuszne.

Chciał być z nią, pragnął tego ponad wszystko, ale był pewien, że sama jego obecność zagrażała jej zdrowiu. Nie rozumiał, dlaczego ich kontaktom towarzyszył przepływ elektryczności. On również czuł uderzenia prądu, który przepływał między nimi, kiedy się dotykali, ale dla niego było to tylko rozkoszne ciepło. Zupełnie tak jak w Londinium... Nie przypominało to w niczym potężnego wstrząsu, jakim najwyraźniej było dla niej. I tylko dla niej. Ruby nie odczuwała takich sensacji, kiedy go dotykała. Ani Astrid. Ani Sadie czy Harry.

Może więc Astrid miała rację. To przez tę chorobę Ewa stała się tak krucha i wrażliwa i może kiedy dojdzie do siebie, on będzie mógł jej dotknąć tak, jak tego pragnął. Bo czuł wreszcie, że ich więź się odradza – widział to w jej oczach. Przypominała go sobie.

Czy jednak cena nie będzie zbyt wysoka?

Jeśli w jakiś niepojęty sposób udało jej się przeskoczyć w czasie, co wydawało się jedynym możliwym wyjaśnieniem, to z pewnością była to trudna podróż. Chociaż jej obecność w tym Londynie 2013 roku była niewytłumaczalna, musiało to być coś więcej niż zwykły przypadek. Jak inaczej wyjaśnić to, że oboje pojawili się w tym samym miejscu i czasie?

Seth zaczął biec. Był jednak tak pogrążony we własnych myślach, że potknął się i wpadł

na dwupasmówkę prosto pod koła pocztowego samochodu dostawczego. Ogłuszający klakson i pisk hamulców przywołały go do rzeczywistości. Skoczył w prawo, a kierowca odbił w lewo, mijając go o kilka milimetrów. Obrzucił go przez otwarte okno stekiem wyzwisk i pojechał dalej. Seth oszołomiony został na krawężniku. Zaczął się zastanawiać, jakie to uczucie – umrzeć dwukrotnie? Czy jego życie skończyłoby się nieodwołalnie, czy też wróciłby do Parallonu?

Teraz był pewien, że nie chce umierać. Nie chciał również wracać do Parallonu. Chciał zostać tu z Ewą, w tym zimnym, głośnym, surowym, bezwzględny świat, w którym tak nieoczekiwanie się znalazł.

Wrócił myślami do Matthiasa i jego rosnącego królestwa śmierci. Myślał o motocyklicie – pierwszej przypadkowej ofierze Matta. A potem o dziewczynie z kawiarni, Elenie, którą zabrał do Parallonu inną drogą – zabijając ją bezkrywawo miłością.

Seth nagle poczuł suchość w gardle, kiedy dotarły do niego wstrząsające, niepodważalne konsekwencje tego faktu – nie było dla niego żadnej przyszłości z Ewą. Nawet jeśli wróci do zdrowia po walce z chorobą, z którą dziś się zmagają, jak mógłby z nią zostać? Przesłanie Matthiasa było jednoznaczne. Ich miłość była przeklęta. Gdyby kiedykolwiek ją pocałował, kiedykolwiek kochał się z nią, tak jak tego pragnął, zabiłby ją. Tak jak Matthias zabił Elenę.

## Rozdział 70

### Ciemność

Pędzę nieznanymi ulicami o zmierzchu. Widzę jaskinię połyskującą przede mną. Czuję delikatne dotknięcie przyjaciółki u mego boku i niebezpieczny ciężki tupot stóp za mną. Muszę się uspokoić, ale moje serce bije w szaleńczym rytmie... Nie powinnam tego robić. Nie powinno mnie tu być. Jest tysiąc bezpieczniejszych możliwości. Dlaczego ryzykuję życie nas obojga? Wiem, dlaczego. On jest powodem. I czeka na mnie. Będzie tam czekał, pod naszym dębem. Przechodzę pod niskimi podcieniami świątyni... szybko biegnę w kierunku małego bocznego wyjścia do ciemnego, wąskiego przedsionka. Przed sobą, przez wąskie okienko, widzę cętkowaną zieleń łąki... A teraz biegnę i widzę go opartego o drzewo. Wyczuł mnie. Podniósł oczy... Te jego piękne oczy. Próbuję go zawołać, ale ktoś zakrywa mi usta... Nie mogę się ruszyć. Nie mogę krzyknąć.

Otworzyłam oczy. Białe światło ścigało cienie.

– Ewa?

Drżącą ręką sięgnęłam ku twarzy i odepchnęłam... maskę tlenową. To tylko maska tlenowa. Byłam znów w szpitalu, nade mną pochylała się pielęgniarka, delikatnie zakładając mi maskę.

– Już wszystko dobrze, kochanie -- powiedziała uspokajająco. – Wszystko dobrze.

Odsunęłam maskę od ust, by coś powiedzieć, ale ufałam sobie tylko na tyle, by wyszeptać:

– Seth...

Pielęgniarka uśmiechnęła się do mnie.

– Twój przystojny chłopak czeka za drzwiami. Jeśli mi obiecasz, że będziesz zupełnie spokojna, to może do ciebie na chwilę wejść.

Z ulgą zamknęłam oczy. Kilka sekund później westchnęłam, kiedy gorący prąd przepłynął przez moją dłoń. Uśmiechnęłam się i otworzyłam oczy, wiedząc, że zobaczę twarz, za

którą tak tęskniłam.

Wyglądał koszmarnie. Wyglądał jak ktoś, kto znalazł się u kresu wytrzymałości.

– Seth?

Mój głos brzmiał dziwnie. Cholera, zapomniałam o masce. Zdarłam ją.

– Seth, co się stało?

Jego wygląd przywołał lęki z moich snów. Czy był tam na łące, czekając na mnie? Jakie leki mogli mi dawać?

Seth pochylił się nade mną i powtórnie nałożył mi maskę.

– Musisz oddychać przez to jeszcze jakiś czas. I... Ewo, twoja matka przyjechała. Wyszła na herbatę, ale za minutę wróci. Czy jesteś gotowa na jej odwiedzinę?

Zamknęłam oczy. Nie, nie byłam. Ale wiedziałam, że ma prawo być zmartwiona, więc skinęłam głową. Seth dotknął palcami mojego policzka, pozostawiając na nim ciepłą poświatę. I wyszedł.

Tak skutecznie udało mi się przekonać moją matkę, że dobrze się czuję, iż z ulgą zgodziła się jeszcze tego samego wieczoru wsiąść do pociągu do Yorku. Po jej wyjściu byłam tak zmęczona, że musiałam zasnąć, bo kiedy znów otworzyłam oczy, do pokoju wlewało się poranne światło i ktoś z brzękiem zdejmował naczynia z tacy.

– Dzień dobry, kochanie – zaśpiewała uśmiechnięta pulchna pielęgniarka, przysuwając do mojego łóżka specjalny stolik. – Czas na śniadanie.

Zamrugałam, próbując odzyskać jasność umysłu. Pielęgniarka nacisnęła jakiś guzik i nagle poczułam, jak poduszki pode mną podjeżdżają do góry. Chwilę później już siedziałam. Fajnie! Ostrożnie podniosłam dłonie do ust. Super! Żadnej maski tlenowej. Uśmiechnęłam się. Poczułam się lepiej. Nawet zgłodniałam. Pielęgniarka uniosła pokrywkę, odkrywając coś podobnego do omletu w towarzystwie nieco oklapłej sałaty i rozmiękłego plasterka pomidora.

Bardziej kusząca była parująca obok filiżanka kawy. Sięgnęłam po nią i zobaczyłam, że nadal mam wkłuty w rękę wenflon. Pielęgniarka usłużnie przesunęła kawę w stronę mojej drugiej, wolnej dłoni.

– Dasz radę wmusić w siebie jajko? – zapytała, patrząc na nie z powątpiewaniem.

Bez przekonania skinęłam głową i tuż przed tym, zanim wyszła, zapytałam:

– Czy to znaczy, że czuję się już na tyle dobrze, że będę mogła wyjść?

Stała w drzwiach i zachichotała.



– Doktor Falana przyjdzie tu później. To jego decyzja, nie moja!

Ogarnęło mnie silne uczucie *déjà vu*, które wcale nie było przyjemne. Rozpaczliwie pragnęłam już stąd wyjść i zastanawiałam się tylko, czy trudno jest wyciągnąć sobie z ręki wenflon, kiedy nagle drzwi się otworzyły.

– Seth! – ucieszyłam się. – Czy ty nie powinienesz być czasem w szkole?

– Nie sądzę, by ktoś tam za mną tęsknił -- zapewnił mnie.

– Przyszedłeś mnie uwolnić? -- zapytałam z nadzieją.

– Uwolnić cię?

– Wyciągnąć mnie stąd!

– Oczywiście, że nie! Ale mam dla ciebie prezenty...

Otworzył torbę, którą chował za plecami, i wręczył mi ciepły migdałowy rogalik i błyszczące czerwone jabłko.

– Seth! Skąd wiedziałeś! Uwielbiam migdały! – zaśmiałam się, wciągając rozkoszny zapach unoszący się z torby.

I wtedy pochwyciłam jego spojrzenie.

– Nie zgadywałeś, prawda? Wiedziałeś wcześniej...

Skinął głową, z oczami utkwionymi w torbie.

– Powiedz mi, co jeszcze wiesz.

Westchnął, opadł na krzesło i spojrzał na mnie.

– Wiem... że kochasz melodię deszczu w nocy. Twój śpiew ożywia zmarłych... Wiem, że masz pięć małych piegów na ramieniu i przygryzasz wargi, kiedy myślisz. Wiem, że jesteś waleczna jak wojownik, ale boisz się poprosić o przysługę... Wiem, że masz niewielką bliznę na tylnej stronie kolana i niesamowicie niebezpieczne oczy...

– Niebezpieczne oczy?

– Już raz mnie prawie zabiły...

– No jasne! – zaśmiałam się.

Ale Seth się nie śmiał.

– Wiem, że mówisz po łacinie lepiej niż po grecku... I że nie masz pojęcia o swojej urodzie... A teraz zjedz rogalik, zanim wystygnie.

Siedziałam przez chwilę, próbując przyswoić to, co właśnie powiedział. Kiedy zorientowałam się, że nieświadomie zagryzam wargi, przewróciłam oczami i uśmiechnęłam się.

A potem podzieliłam rogalik na dwie części i dałam mu połowę. Obserwowałam go, kiedy jedliśmy. Unikał mojego wzroku, uparczywie wpatrując się w okno.

Zgarnęłam okruszki z powrotem do papierowej torby, zmięłam ją i próbowałam wrzucić ją niczym piłkę do kosza na odpadki i... chybiłam. Uśmiechnął się, sięgnął po nią i celnym rzutem umieścił ją w koszu.

– Seth – zaczęłam cicho – kiedy się spotkaliśmy?

Przechylił głowę, spojrzał mi w oczy i powiedział:

– W Londinium, w 152 roku. Na arenie.

Roześmiałam się, ale było coś takiego w wyrazie jego twarzy, że śmiech uwiązał mi w gardle.

Patrzyłam na niego. Dlaczego on mi to robił? To nie było śmieszne. Oczy zapiekły mnie od wstrzymywanych łez wściekłości. Przygryzłam wargi, żeby się nie rozplakać. Myślałam, że naprawdę zaczęło mu na mnie trochę zależeć. Ale on bawił się ze mną, bawiło go moje zmieszanie. Głupie, szczeniackie żarty. Dlaczego straciłam czujność i pozwoliłam się tak złapać? Nieświadomie zwinęłam dłonie w pięści. Nie należy tego robić, jak masz wbity wenflon.

– Au! – syknęłam, kiedy spod plastra pocięła krew.

Seth westchnął głęboko i przykrył zakrwawioną dłoń swoją. Kiedy tylko mnie dotknął, w mojej głowie pojawił się dziwny obraz... Półnagi Seth, zakrwawiony, skulony na piasku, i stojący nad nim olbrzym...

– Protix – wyrzuciłam z siebie.

To imię przyszło mi do głowy znikąd.

Po chwili obraz zbladł. Znowu leżałam w pokoju szpitalnym, tylko że teraz to Seth patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Pamiętasz! – wyszeptał.

Oparłam się na poduszkach i zamknęłam oczy. Co się działo? Seth dotknął mojej twarzy i zaczął szeptać.

– Przyszłaś, by obserwować mnie walczącego na arenie...

I oto siedziałam tam na purpurowych, jedwabnych poduszkach, przycupnięta na kamiennych stopniach, z których było widać wielką piaszczystą arenę. Wokół mnie kłębił się rozwrzeszczany tłum.

– Masz ochotę na daktyla, Liwio?

Siedząca obok mnie kobieta podała mi koszyk wypełniony daktylami.

– Dziękuję, Tawinio – usłyszałam swój głos.

Wzięłam owoc z koszyka. Złota bransoletka na moim nadgarstku błysnęła w słońcu. Daktyl był pyszny. Podniosłam wzrok i spojrzałam na arenę przed nami. Źle się czułam. Nie chciałam obserwować tej walki, a mimo wszystko musiałam tu być.

Spuściłam wzrok na kolana, zastanawiając się, czy nie popełniłam koszmarnej pomyłki. Ręce opadły mi bezradnie na długą białą sukienkę. Przesunęłam palcami po tkaninie. Była miękka, piękna, przesywana złotą nicią.

Muzyka zaczęła grać, a tłum wiwatował. Poczułam ucisk w żołądku. Drewniane wrota otworzyły się z trzaskiem i sekundę później na arenę wbiegli gladiatorzy. Piątym gladiatorem, który pokonał wrota, był Seth. Boże, był taki piękny. Usłyszałam, jak Tawinia gwałtownie wciąga powietrze. Zerknęłam na nią. Tak, ona też patrzyła na Setha. Słyszałam, jak siedzące wokół mnie kobiety z podnieceniem wymawiają jego imię. Poczułam się zagubiona i nieznacząca w tym morzu kobiet marzących o jednym mężczyźnie.

Był rozkosznie nieświadomy pożądania, jakie budził w kobietach. Był prawie nagi. Miał na sobie wyłącznie skórzaną półtunikę i pas naramienny, ale wszedł na arenę jak księżę, z napiętymi mięśniami, podniesioną wysoko głową, wyprostowany jak struna. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Wszyscy gladiatorzy stanęli, by zaszalutować zarządcy Cnaeusowi Papiriusowi Aelianusowi, a potem jeden po drugim pozdrawiali publiczność. Niektórzy machali dłonią, inni ryczeli. Seth po prostu dotknął dłonią czoła, prawie na nas nie patrząc. Otaczające mnie kobiety krzyknęły z podekscytowania. Przyszły tutaj tylko dla niego. Nerwowo przygryzłam wargi. I wtedy muzyka urwała się, przez arenę przetoczył się grzmot i rozpoczęły się walki. Rozdzielili się na cztery pary i z przerażeniem dostrzegłam Sethosa stojącego przed gigantycznym, uzbrojonym potworem. Nie mogłam na to patrzeć.

– Protix to diabeł — syknęła Tawinia. – Nigdy jeszcze nie przegrał walki. Ale też nigdy nie stanął oko w oko z Sethosem Leontisem. Jeszcze jednego daktyla, kochanie?

Jak mogła jeść w takiej chwili? Przygryzłam wargi tak mocno, że poczułam smak krwi. Po raz pierwszy siedziałam na widowni i było mi niedobrze na myśl o rozkoszy, jaką wszyscy zgromadzeni wydawali się czerpać z oglądania tego koszmarnego widowiska. Seth tańczył wokół Protiksa, a ja rzuciłam okiem na pozostałych walczących – wydawało się, że w innych parach szanse są bardziej wyrównane... gladiatorzy podobnej postury, wyposażeni w podobną broń...

Więc kiedy spojrzałam znów na Seta, wydał mi się nagle znacznie bardziej kruchy. On był jednak niezmordowany. Uchyłał się i uskakiwał pozornie bez wysiłku, chociaż przeczył temu pot na jego piersiach i ramionach. Protix wpadł w szal, bez ładu młócąc powietrze. Seth nie zmieniał swojej strategii i obserwował go. Wydawał się posiadać nieprawdopodobną umiejętność przewidywania z wyprzedzeniem każdego ruchu giganta, uchylając się chwilę wcześniej, nim spadł miecz, robiąc unik sekundę przed zadaniem ciosu. Nagle rzucił swoją sieć i olbrzym został schwytany. Ogarnięta falą ulgi, podniosłam ręce do ust. W tym momencie Seth nagle stracił zainteresowanie miotającym się gigantem i odnalazł mnie w tłumie spojrzeniem. Przez ułamek sekundy byliśmy tylko my dwoje i ten właśnie ułamek wykorzystał olbrzym – uwolnił rękę, w której dzierżył miecz, uniósł go i wraził w ramię Seta. Krzyknęłam...

Ten krzyk ściągnął mnie z powrotem. Drżałam w ramionach Seta.

– Co zobaczyłaś? – zapytał, gładząc mnie po policzku. – Już dobrze. Jesteś już bezpieczna.

Słowa Seta uspokoiły mnie, a ciepło jego ramion odpędziło lęk. Musiałam jednak zrozumieć, co właściwie widziałam. Przesunęłam palcami po jego białym T-shircie, po jego piersi aż do barku. Pod palcami wyczułam zgrubienie blizny.

– Widzisz? Zaleczone. – Uśmiechnął się, a radość, którą poczułam, była tak obezwładniająca, że uległam impulsowi.

Odchyliłam głowę, by go pocałować. Ale nie poczułam jego słodkich ust na wargach. Zesztywniał i odwrócił twarz.

– Seth?

Rozluźnił uścisk i podszedł do drzwi.

– Ewa, nie mogę... Nie możemy... – jęknął i wyszedł.

Co ja takiego zrobiłam? Jak mógł mnie teraz zostawić, w jakimś obłądnym zawieszeniu między dwoma żywotami? W jakimś obłądnym miejscu, do którego sam mnie przywiódł?

– Seth! – zawołałam z nadzieją, że jest tuż za drzwiami.

Nie doczekałam się odpowiedzi.

Poczułam się tak, jakbym została porzucona. Odrzucona. Owszem, znałam to uczucie doskonale, ale... to, co czułam do Seta...

Idiotka! Czy ja się nigdy nie nauczę? Dlaczego pozwoliłam mu zbliżyć się do siebie?

Dlaczego pozwoliłam mu wziąć się za rękę, poprowadzić się w ten cudaczny świat, a potem tak po prostu odejść? Wargi mi zadrzały i łzy wielkimi kroplami zaczęły spływać po policzkach.

Otarłam je z wściekłością dłonią nieuwięzioną kroplówką i wbiłam wzrok w zasuszoną plamę krwi na drugiej ręce.

Musiałam się stąd wydostać. Byłam jak więzień przykuty do ściany, bez możliwości ruchu. Rozejrzałam się po sali, zastanawiając się, gdzie są moje ubrania. Nie mogłam uciekać w tym głupim szpitalnym wdzianku. Łzy znów zaczęły płynąć wartkim strumieniem. Przytłaczały mnie rozmiary tego, co Seth we mnie uwolnił... i poczucie, że sama nie zdołam się z tym zmierzyć.

Kim byłam? Jakim żyłam życiem jako ta druga ja? Jako Liwia?

Nie wierzyłam w reinkarnację. Tylko szarlatani żerujący na naiwności mas mogli wygadywać głupoty o życiu po życiu. Nie były niczym więcej niż głupim oszustwem, które miało przekonać ludzi, że nie muszą się mierzyć ze swoim najbardziej pierwotnym lękiem: lękiem przed śmiercią.

Czy bałam się śmierci?

Wiedziałam, że tak. Śmierć mnie prześladowała. Odkąd się o nią otarłam, w moich myślach nie pozostawało wiele miejsca na cokolwiek innego.

Wyciągnęłam rękę w stronę stolika stojącego przy łóżku i chwyciłam chusteczkę. Wytarłam oczy, wzięłam głęboki oddech i uznałam, że muszę skończyć z tym żalonym uzalaniem się nad sobą. Nie widziałam siebie w roli ofiary. Byłam twarda. Życie doświadczyło mnie już na tyle mocno, że nie miałam wątpliwości, iż poradzę sobie z kolejnym ostrym zakrętem. Byłam zdecydowana dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

Przede wszystkim musiałam się dostać do jakiegoś komputera.

Spojrzałam na wenflon w mojej ręce. Bolało, z ranki sączyła się krew. Przecież wyciągnięcie tego nie może być trudne? Tylko to mnie tu jeszcze trzymało. Czujniki akcji serca zostały już odłączone, a to oznaczało, że kiedy uwolnię się od wenflonu, będę mogła wstać i wyjść.

Odrywałam właśnie przesiąknięty krwią plaster, kiedy – mogłam się tego spodziewać – do pokoju wszedł doktor Falana.

– Co ty robisz?

– Aaa... To chyba się odkleiło. Źle to wygląda – zaczęłam się głupio tłumaczyć.

Zmrużył oczy i podszedł, by sprawdzić, o czym mówię.

– To prawda. Trzeba to zmienić – powiedział, zrywając plaster. – Boże, Ewo, co ty z tym zrobiłaś?

Spojrzałam na rękę. Skóra była spuchnięta i posiniaczona. Nie wyglądało to ładnie.

– No cóż, tutaj już nie możemy się wkluć – powiedział zdecydowanie i ostrożnie usunął wenflon, oczyścił mi rękę i przykleił na zmaltretowaną skórę wielki biały plaster z opatrunkiem.

– Panie doktorze... Może w ogóle to nie jest już potrzebne. Czuję się już znacznie lepiej. Jestem gotowa do wyjścia.

Usiadł na brzegu mojego łóżka i przyjrzał mi się uważnie. Zorientowałam się, że mogę kiepsko wyglądać. Wytarłam twarz, obawiając się, że mogły pozostać na niej ślady łez, i szybko postarałam się przywołać na nią wyraz zdrowia i ożywienia.

– No cóż... – powiedział z wahaniem, sięgając po moją kartę zawieszoną na łóżku – ciśnienie krwi w normie, akcja serca stabilna...

– Proszę! – powiedziałam błagalnie. – Oszaleję, jak będę musiała spędzić tu kolejny dzień.

Nie potrafiłam ukryć żalonych tonów w głosie. Obrzucił mnie zadumany spojrzeniem.

– Jest tyle rzeczy, którymi muszę się teraz zająć... – powiedziałam, starając się mówić tym razem bardziej stanowczo.

– To właśnie mnie martwi, Ewo. Jeśli pozwolę ci wyjść, musisz mi obiecać, że będziesz o siebie dbać. Masz tylko jedno ciało. I tylko jedno życie. Nie lekceważ tego.

Trochę na to za późno, panie doktorze.

– A zatem... mogę wyjść? – zapytałam z nadzieją.

Westchnął, wstał i powiedział:

– Zadzwońię do Rose Marley. Ale dam ci wypis dopiero wtedy, kiedy dostanę od niej zapewnienie, że się tobą zaopiekuje.

– Nie jestem dzieckiem... – powiedziałam niepokojąco dzieciennym głosem.

Roześmiał się i wyszedł z pokoju.

# Rozdział 71

## Pęknięcie

*Londyn*

*A.D. 2013*

Kiedy doktor Falana poszedł, zwlekłam się z łóżka i natychmiast dopadły mnie zawroty głowy, o których zdążyłam już prawie zapomnieć. Usiadłam z powrotem, przeklinając moje bezużyteczne ciało. Oszołomienie po chwili ustąpiło, a ja spróbowałam jeszcze raz. Dotarłam do szafy w rogu pokoju i otworzyłam drzwi.

Moje ubrania. Boże, dzięki. Zdjęłam je z wieszaków i usiadłam z nimi na łóżku. Musiałam trochę odpocząć, zanim mogłam zacząć się ubierać. Oparłam głowę na poduszce i na chwilę zamknęłam oczy.

Kiedy je znów otworzyłam, Seth siedział skulony obok mnie.

– Hej – powiedział.

Nie ufałam sobie na tyle, by zdobyć się na odpowiedź.

– Ewo – wyszeptał i spojrzał na swoje dłonie. – Przepraszam. Nie chciałem... Chodzi tylko o to, że nie mogę... Nie możemy... Przyniosę ci tylko cierpienie.

Patrząc na niego, przełknęłam ślinę z wysiłkiem.

Nigdy nikt mnie nie spławił, chociaż samej udało mi się spławić kilka osób. Nie miałam więc problemów z rozpoznaniem tego słownictwa. Chyba nawet nie byłam zaskoczona. Otępiała. Zdruzgotana. Osłabiona. Ale nie zaskoczona. Pomijając wszystko, inni mieli do Seta znacznie większe prawa niż ja. I jeśli czegoś się dowiedziałam z mojej ostatniej wizji, to tego, że wszyscy chcieli mieć kawałek Seta dla siebie. Nie należał do mnie.

– Wiem – powiedziałam.

Wyciągnął rękę w stronę mojej dłoni, ale odsunęłam ją.

– Ewo... – jęknął, ale zacisnęłam wargi i odwróciłam głowę.

Nie zamierzałam znów dać się podejść.

– Seth, muszę się ubrać. Czy mógłbyś...

Usiadł, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Chciałabym, żebyś wyszedł – powiedziałam, nie ośmielając się podnieść wzroku.

– Ewo...

– Teraz.

Usłyszałam, jak odsuwa krzesło i powoli wychodzi z pokoju. Kiedy już byłam pewna, że sobie poszedł, pokuśtykałam do drzwi i zamknęłam je.

Ubierałam się żenująco długo, bo łączy cały czas rozmazywały mi obraz w polu widzenia, ale właśnie udało mi się zawiązać trampki, kiedy w szeroko otwartych drzwiach pojawiła się Rose Marley.

– Wszystkiego najlepszego w dniu świstaka. – Uśmiechnęłam się słabo.



## Rozdział 72

### Na szlaku

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Choć dobrze było wyjść ze szpitala, a cicha i nienachalna obecność Rose była uspokajająca, pozostawałam drażliwa i na krawędzi załamania nerwowego. Powiedziałam Rose, że nie chcę oglądać Seta. Zmarszczyła brwi i zachowywała się tak, jakbym popełniała wielki błąd, ale nie dyskutowała. Raz prawie ustąpiłam, kiedy usłyszałam go na korytarzu, ale wiedziałam, że nie mogę go znów do siebie dopuścić.

Po kilku tygodniach zaczęłam chodzić na poranne zajęcia. Ruby nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, kiedy zauważyła, jak szerokim łukiem omijam Seta. Nie potrafiłam znieść jego obecności. Nie patrzyłam na niego ani go nie szukałam. Zabraniałam wymawiania jego imienia w mojej obecności, co sprawiało, że rozmowa czasem kulała, bo wszyscy byli nim tak bardzo zainteresowani. I do tego wszystkiego zarówno Rose Marley, jak i Astrid czy Sadie odmówiłam złożenia jakichkolwiek wyjaśnień.

W porze lunchu wracałam do skrzydła medycznego, żeby zjeść z Rose Marley, która uważnie przyglądała się wszystkiemu, co wkładałam do ust. Po lunchu miałam odpoczywać w swoim pokoju. I rzeczywiście trochę odpoczywałam, ale poza tym prowadziłam swoje badania.

Przez chorobę zaczęłam się spieszyć. Nie wiedziałam bowiem, ile czasu mi jeszcze zostało. Nie mogłam przespać tego czasu. Chociaż brakowało mi energii, siedzenie przez dwie godziny przy laptopie nie wyczerpywało mnie aż tak jak – powiedzmy – prysznic. Badania były więc dla mnie idealnym zajęciem.

Musiałam zyskać jakieś wyobrażenie o drastycznie odbiegających od normy wynikach badań krwi. Tych, które doktor Falana wyrzucił. Zauważyłam, że nie powiedział, że je wykasowano, co pozostawiało odrobinę nadziei. Przecież wszystko pozostawiało po sobie elektroniczne ślady, nieprawdaż? Tego akurat byłam pewna.

Przede wszystkim musiałam się włamać do szpitalnego intranetu. Kiedy pojawiła się ta grupa studentów, podjęłam decyzję, że muszę wejść do środka, i od tego momentu zapamiętywałam nazwiska z plakietek lekarzy, studentów medycyny, pielęgniarek – wszystkich, co do których żywiłam podejrzenie, że mogą mieć dostęp do systemu. W końcu uznałam, że sam doktor Falana będzie najlepszym kluczem, ponieważ zapewne miał dostęp do wszystkich danych, których potrzebowałam. Musiałam więc przeprowadzić najpierw niewielki wywiad na jego temat, co akurat było łatwe – miał konto na Twitterze i Facebooku. Wkrótce znałam jego pełne imię i nazwisko (Danso Jojo Falana), miejsce i datę urodzenia (Akra, 12 listopada 1968), ulubiony zespół (Nirvana) i imię żony (Melanie). Miał dwójkę dzieci (Sisi, urodzona 2 marca 1999 roku i Kurt urodzony 17 maja 2003 roku).

Ludziom nie chce się wymyślać skomplikowanych haseł i PIN-ów. Zazwyczaj idą na łatwiznę – drugie imię, data urodzenia. Doktor Falana wykazał się odrobinę większą wyobraźnią. Jego hasło brzmiało „Aneurysm” – dowcipne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że był to jednocześnie tytuł piosenki Nirvany i termin medyczny. Kiedy już znałam jego hasło, odgadnięcie PIN-u nie nastroczało większych trudności: 5494 (data śmierci Kurta Cobaina).

Dostałam się do środka i mogłam zacząć przeglądać dokumentację pacjentów – no, w każdym razie swoją...

Powtarzały się tam głównie rzeczy, które już wiedziałam – przyjęto mnie z gorączką, mój stan pogarszał się gwałtownie przez cztery godziny, przeżyłam śmierć kliniczną.

Nie mogłam jednak znaleźć śladu po jakichkolwiek wynikach badań krwi zrobionych w ciągu tych kluczowych czterech godzin. Znalazłam jedynie dwanaście testów przeprowadzonych później, które były zupełnie nieinteresujące, bo wszystko mieściło się w granicach normy.

Musiałam wejść bezpośrednio w dane oddziału hematologicznego i znaleźć technika, który przeprowadzał badania. Dostanie się na ten oddział zabrało mi kilka kolejnych dni, bo Rose Marley pod dowolnym pretekstem wpadała niespodziewanie do mojego pokoju, co zmuszało mnie do wylogowywania się.

Pewnego wieczoru wezwano ją do jednego z budynków internatu do podejrzenia zapalenia wyrostka robaczkowego, więc zyskałam nieco czasu.

Kiedy znalazłam wejście do hematologicznej bazy danych szpitala, zorientowałam się, że wszystkie wyniki badań laboratoryjnych opatrzone są inicjałami, nazwiskiem pacjenta i numerem szpitala oraz nazwiskiem konsultanta. Nie miałam pewności, ale zaczęłam mieć nadzieję, że

inicjały należały do techników laboratoryjnych odpowiedzialnych za wyniki. Aby zdobyć potwierdzenie tej teorii, porównałam inicjały z bazą danych personelu szpitalnego utrzymywaną przez dział kadr. Przemysłnie uporządkowali wszystkich pracowników szpitala działami w porządku alfabetycznym.

Moja teoria się obroniła. Nazwiska techników laboratoryjnych na hematologii pasowały do znalezionych przeze mnie inicjałów. Był jeden wyjątek.

W momencie, w którym zostałam przyjęta do szpitala po raz pierwszy, tysiące wyników robionych w ciągu ostatnich dwunastu lat podpisanych było inicjałami A.N.

Dwa dni po moim pojawieniu się w szpitalu A.N. zniknął.

Hm. Przypadek? Urlop bezpłatny? A może A.N. był technikiem odpowiedzialnym za niezrozumiałe wyniki badań krwi? Czy jego zniknięcie było efektem przeprowadzenia dochodzenia w laboratorium?

Gapiałam się na ekran, próbując uporządkować swoje pytania, kiedy nagle usłyszałam nad uchem głos.

– Ewa? Co ty knujesz?

Podskoczyłam, zmieniając jednocześnie ekran. Rose Marley podkradła się cicho jak kot.

– Ty masz odpoczywać, Ewo, a nie pracować.

– Ale...

– Żadnych ale. Obiecałam to doktorowi Falanie. Proszę, nie stwarzaj trudności albo będę ci musiała zabrać komputer.

Zacisnęłam zęby, czując, że wpadam w panikę. Nie mogłam żyć bez laptopa. Zamknęłam go i poddałam się opornie, kiedy Rose zaprowadziła mnie do łóżka, zaciągnęła zasłony i zamknęła drzwi.

Poleżałam trochę i uznałam, że nie mam wyboru. Musiałam ustawić budzik i prowadzić badania w nocy. Tak było znacznie bezpieczniej... Rose śpi i raczej nie będzie grasować po korytarzach. Chociaż szpital był otwarty siedem dni w tygodniu przez całą dobę, to miałam nadzieję, że niewielu uprawnionych użytkowników będzie w tym czasie logować się do bazy danych. Włamywanie się do mocno obciążonego systemu jest zawsze dość ryzykowne: uważni użytkownicy mogą przypadkowo dostrzec nieautoryzowany dostęp.

O trzeciej następnego ranka mrużyłam przekrwione oczy przed ekranem laptopa, omijając zapory, by dostać się do szpitalnej bazy danych.

Przeszukiwałam zasoby działu kadr, szukając kogokolwiek o inicjałach A.N. Znalazłam cztery takie osoby: Anushka Nepali, pielęgniarka na oddziale pediatrycznym, Ashanti Nokombu, konsultant na neurologii, Arleen Nateman, pracownica szpitalnej apteki, i Arthur Newland, technik laboratorium dermatologii.

Oczywiście, natychmiast rzuciłam się na Arthura Newlanda. Wykonywał właściwą pracę, tylko miejsce było nieodpowiednie. Musiałam się dowiedzieć, jak długo pracował na oddziale dermatologii.

Kolejna cholerna baza danych. Inne hasła, inne kody dostępu. Ale o piątej rano byłam już w środku. Do piątej trzydzieści miałam już wszystko, czego potrzebowałam. Arthur Newland przestał pracować na hematologii dwa dni po tym, jak zostałam przyjęta. Podjął pracę na oddziale dermatologii dzień później.

No to go miałam.

Myślałam o tym, żeby napisać do niego maila, ale nie mogłam pozwolić sobie na to, by zostawić po sobie jakikolwiek ślad: systemy szpitalne miały zazwyczaj zbyt wiele kopii bezpieczeństwa. Uznałam więc, że lepiej będzie, jak do niego zadzwonię.

Spojrzałam na zegarek. Piąta trzydzieści pięć rano... Technicy laboratorium dermatologicznego raczej nie pracują po nocach. Ziewnęłam, marząc, by móc to samo powiedzieć o sobie. Zrobiłam jednak wszystko, co mogłam, więc wyłączyłam laptopa i światło i z ulgą zamknęłam oczy.

# Rozdział 73

## Krew

*St Magdalene's*

*A.D. 2013*

Następnego dnia byłam zbyt zmęczona, by myśleć. W północy przetrwałam poranne zajęcia i dowlokłam się do skrzydła szpitalnego na lunch. Tego popołudnia Rose nie musiała zaganiać mnie do łóżka. Rzuciłam się na posłanie bez ponaglenia.

Kilka godzin później obudziłam się z krzykiem.

Zdezorientowana, bez tchu, otworzyłam oczy. Nade mną stała w szlafroku Rose Marley.

Kiedy starałam się zacząć oddychać bardziej miarowo, usiadła na brzegu łóżka i podała mi szklankę wody.

Wypiłam z wdzięcznością.

– Ewo? – wyszeptała. – Co zaszło między tobą i Sethem?

Zamrugałam oczami, nagle rozumiejąc, dlaczego pyta. Krzyczałam jego imię. Próbowałam przypomnieć sobie ten sen. Był mroczny i przerażający. I był w nim Seth.

Wzruszyłam ramionami. Co mogłam jej powiedzieć? Nie znałam samej siebie. Poczułam, jak żenujące, żalotne łzy przesączają się przez moje rzęsy i zaczynają mi spływać po policzkach. Z wściekłością otarłam twarz.

Sądziłam, że udało mi się wyrzucić Setha ze swojego życia, a teraz, proszę, nagle znów się w nie wdzierał.

Rose otoczyła mnie ramieniem i powiedziała:

– Niezależnie do tego, co czujesz, Ewo, myślę, że jemu naprawdę na tobie zależy.

Z furią potrząsnęłam głową.

– Nawet nie wiesz, Rose, jak bardzo się mylisz – zaprotestowałam.

Głos mi się załamał. Nagle serce znów ścisnęło mi się na myśl o tym, jak wyszedł z pokoju, gdy chciałam go pocałować. Jak mnie odrzucił.

Rose westchnęła ciężko i wstała.

– Ewo, przyniosłam ci wcześniej kolację, ale bardzo szybko zasnęłaś. Na pewno umierasz z głodu.

Wcale nie byłam głodna.

Przyniosła jednak tacę i ustawiła mi ją na kolanach.

– Chciałabyś kubek gorącej czekolady?

Potrząsnęłam głową i zaryzykowałam wątły uśmiech.

– Niczego mi nie trzeba, Rose, dziękuję. Wróc już do łóżka, proszę. Bardzo przepraszam, że cię obudziłam.

Potrząsnęłam głową, poklepała mnie po ramieniu i ruszyła z powrotem do pokoju.

Wzięłam sobie pierożka z warzywami, dopiłam do końca wodę i postawiłam tacę na podłodze. Nie chciało mi się już spać, więc poszłam po laptopa.

Nie miałam tyle energii, żeby zabrać się do jakiegokolwiek pracy domowej, a doszłam do ściany w moich poszukiwaniach wyników badań laboratoryjnych krwi. Dalej mogłam się posunąć, dzwoniąc do Arthura. Zanim uświadomiłam sobie, co robię, w okienko wyszukiwania wpisałam: „Seth Leontis”.

Żadnych trafień.

Wpisałam więc: „Sethos Leontis gladiator”.

O Boże... Jedno trafienie. Strona Biblioteki Brytyjskiej: mała fotografia rzymskiej rzeźby z krótkim opisem:

*Plaskorzeźba (A.D. 152) znaleziona na Newgate Street. Przedstawia uwielbianego gladiatora Sethosa Leontisa, jednego z najbardziej podziwianych gladiatorów tego okresu. Przed ukończeniem osiemnastego roku życia zdobył dziewięć wieńców laurowych, co było niezrównanym osiągnięciem. Retiarius był gladiatorem, który walczył jedynie za pomocą sieci i trójzębu, nie nosząc na sobie żadnej zbroi, co czyni jego osiągnięcie jeszcze bardziej niewiarygodnym.*

Wpatrywałam się w ten opis bez końca, przeżywając jeszcze raz walkę, której byłam świadkiem. Była tak brutalna, a jednocześnie tak... przykuwająca uwagę. Przyrzekłam sobie wyrzucić go z mojego życia, a teraz tak ogromnie pragnęłam, by znów się w nim pojawił. Byłam idiotką.

Zamknęłam przeglądarkę, wyłączyłam komputer i zgasiałam światło.

Zły pomysł.

Gdy tylko zamknęłam oczy, ujrzałam jego obraz pod powiekami. Ale nie było to przerażające wspomnienie z jakiegoś wcześniejszego życia, lecz obraz, który zazwyczaj ukazuje się głupim zakochanym nastolatkom. Dlaczego moim przeznaczeniem było związać się z jedynym chłopakiem, który nie odwzajemniał moich uczuć?

Naciągnęłam kołdrę na głowę i odepchnęłam obraz od siebie. Znow zaczęłam myśleć o Arthurze Newlandzie. Czy naprawdę tej nocy właśnie on wykonywał badania krwi? Jak wyglądał? Rozpaczliwie chciałam z nim porozmawiać i chciałam to zrobić tego popołudnia, ale przespałam okazję. Potem zdałam sobie sprawę, że jeśli nie prześpię się jeszcze trochę, to jutro czeka mnie to samo. W końcu się uspokoiłam, recytując układ okresowy pierwiastków, i musiałam usnąć, bo kiedy znow otworzyłam oczy, budzik dzwonił nieubłaganie. Była siódma trzydzieści rano.

Usiadłam ostrożnie. Nie było źle. Tak naprawdę czułam się całkiem nieźle. Wskoczyłam z łóżka, wzięłam szybki prysznic, zjadłam śniadanie i poszłam na pierwszą lekcję. Historia sztuki.

Z tyłu podbiegł do mnie Rob i chwycił mnie za ramię.

– Hej, jak się czujesz? – zapytał, ściskając mnie delikatnie.

– Dobrze, Rob, dziękuję.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Co za ulga. Nie masz pojęcia, jak się martwiłem.

Stał przede mną i patrzył mi w oczy. Założył mi za ucho zabłąkany kosmyk włosów.

Auć. Zdecydowanie za bardzo skrócił dystans.

Szybko zrobiłam krok w tył i niespokojnie obrzuciłam spojrzeniem salę, w której prowadzone były zajęcia z historii sztuki. Nagle napotkałam wzrok Sethosa Leontisa. Szybko się odwróciłam, ale dostrzegłam ból na jego twarzy.

Wzięłam głęboki oddech. Można by pomyśleć, że to ja go porzuciłam! Zaczęła mnie dławić wściekłość. Dosłownie. Nagle nie mogłam złapać tchu. Dusiałam się.

– Ewa? Co się dzieje?

Rob trzymał mnie za ramię, rozglądając się dziko wokół w poszukiwaniu pomocy. Osunęłam się na podłogę, opuściłam głowę między kolana i po chwili odzyskałam panowanie nad sobą.

„Cholera jasna” – pomyślałam. A ten dzień się tak dobrze zaczął.

Kiedy klęczałam na podłodze, dochodząc do równowagi, poruszenie Roba przybrało postać pewnej zaborczości, więc mocno oparłam dłonie na podłodze i z trudem wróciłam do pionu. No, prawie do pionu.

– Zabieram cię z powrotem do skrzydła medycznego – obwieścił, popychając mnie zdecydowanie przez dziedziniec.

Zaczęłam się opierać, ale szczerze mówiąc, ostatni manewr pozbawił mnie resztek energii i nie mogłam zdobyć się na to, by ponownie zmierzyć się z Sethem, więc kilka minut później znów siedziałam w moim cichym, niebieskim pokoju.

– Przykro mi, Rose – westchnęłam, kiedy mierzyła mi ciśnienie krwi.

– To nic poważnego – uśmiechnęła się. – Po prostu odpocznij do lunchu, a jak potem poczujesz się lepiej, to pójdz na zajęcia popołudniowe, OK?

Skinęłam głową.

– Teraz muszę już pójść i odebrać kilka leków. Czy mogę ci zaufać, że będziesz odpoczywać, dopóki nie wrócę?

Skinęłam głową.

– Lekarz jest dziś rano na bloku operacyjnym, więc jeśli będziesz czegoś potrzebowała, po prostu naciśnij dzwonek.

– Jasne – powiedziałam i pomyślałam z zadowoleniem, że właśnie nadarza się idealna okazja.

Gdy tylko Rose wyszła z budynku, wyciągnęłam telefon komórkowy i wybrałam numer szpitala.

Recepcjonistka zapytała mnie, z jakim oddziałem chciałabym się połączyć. Kiedy powiedziałam „dermatologia”, przełączyła mnie na umawianie wizyt. Całe wieki trwało przełączenie mnie w systemie telefonicznym, ale w końcu udałam, że jestem siostrą Arthura, która ma mu do przekazania pilną wiadomość rodzinną.

W końcu podszedł do telefonu. Był bardzo podejrzliwy.

– Kto mówi? – syknął.

– Arthur?

Słyszałam, jak wychodzi z pokoju pełnego rozmawiających ludzi.

– Tak? – powiedział.



– Arthur Newland?

– Tak, nazywam się Arthur Newland. Z kim rozmawiam? Zapewne nie z moją siostrą, bo nie przypominam sobie, żeby miał siostrę.

– Tak naprawdę mnie pan nie zna. Nazywam się Ewa Koretsky...

Usłyszałam, jak gwałtownie wciąga powietrze.

– Jezu! Dobrze się czujesz?

Przygryzłam wargi. Wiedział, kim jestem.

– Tak... raczej tak. Proszę posłuchać, wykonywał pan pewne badania krwi...

Na początku odpowiadał wymijająco, ale kiedy mu powiedziałam, że widziałam dziwne zachowanie limfocytów T w dniu, w którym zachorowałam, w tonie jego głosu dało się wyczuć wyraźne podniecenie. Polubiłam tego gościa. Mówiliśmy tym samym językiem. I okazało się, że owszem, skopiował sobie dane na własny twardy dysk. Był gotów wysłać mi je pocztą elektroniczną.

– No to niech mi pan powie, co pan tam zobaczył.

– No cóż, zrobiliśmy rutynowe zautomatyzowane testy laboratoryjne, ale twoje wyniki były tak niezrozumiałe, że sprawdziłem krew jeszcze raz pod mikroskopem.

Usłyszałam w słuchawce, jak z wysiłkiem przełknął ślinę. Opisał następnie sekwencję zdarzeń niezwykle podobną do tej, której świadkiem byłam przy profesorze Ambrosie. I jak się okazało, w swoich badaniach zaszedł dalej niż ja.

– Próbowałem zamrozić limfocyt T, żeby zidentyfikować atakujący patogen. Ale chociaż zamrożenie następuje natychmiast, proces okazał się zbyt wolny, by schwytać patogen. Patogen mnożący się w takim tempie powinien być nieodmiennie śmiertelny. Więc nosiciel... to znaczy ty... powinnaś być martwa. Byłem zszokowany, kiedy kilka godzin później zaczęli mi dostarczać kolejne próbki zupełnie zdrowych komórek T. Doszedłem do wniosku, że na pewno wszyscy mieli rację... jakiś czynnik chemiczny musiał się dostać na płytki, co podważało wyniki badań.

Siedziałam ze słuchawką przy uchu i walącym sercem. Coś takiego spodziewałam się usłyszeć, ale nadal byłam wstrząśnięta.

– Słuchaj, Ewo, muszę już iść. Wyślę ci te pliki – powiedział Arthur nagle i się rozłączył.

Byłam tak oszołomiona efektami tej rozmowy, że nie usłyszałam otwierających się drzwi ani cichych kroków zmierzających w moją stronę. Dopiero gdy poczułam ciepły dreszcz jego

dotyku na skórze, zrozumiałam, co się dzieje.

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Na jego widok moje stanowcze postanowienia momentalnie zbladły. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

– Ewo... – wykrztusił.

Pociągnął mnie w swoje ramiona i oboje zalaliśmy się łzami. A potem zaczął mówić. Po łacinie.

– Czy pamiętasz, jak po walce z Protiksem zostałem zabrany do twojego domu, gdzie miał się zatroszczyć o mnie lekarz Tychon?

Wolno potrząsnęłam głową. W miarę jednak jak mówił, w mojej głowie pojawił się obraz starszego mężczyzny...

– Grek? – wyszeptałam.

Skinął głową.

– Kiedy leżałem chory i nieprzytomny, siedziałaś ze mną dniami i nocami, kojąc moje koszmary śpiewem... przypominając mi, że mam dokąd pójść, mam dokąd wracać. Wtedy właśnie się w tobie zakochałem.

Widziałam go leżącego na posłaniu. Krople wody połyskiwały na jego skórze.

Pamiętałam.

– A ja zakochałam się w tobie – westchnęłam.

Uściskał moje dłonie.

– Ale byłem tylko niewolnikiem, a ty byłaś kobietą szlachetnego pochodzenia, zaręczoną...

– Co? – wyjąkałam.

– Z Kasjuszem Malchusem. Prokuratorem.

Kiedy wymawiał te słowa, poczułam, że serce zaczyna mi walić jak młotem. Przeszedł mnie zimny dreszcz i nagle zaczęłam się dusić.

– Oddychaj, Liwio – powiedział. – Proszę...

– Seth – jęknęłam. – On się dowiedział!

Poczułam, że wymykam się z uścisku Setha i spadam w ciemność... znów nieskończenie samotna...

Stałam i czekałam na niego, na mojego ukochanego Sethosa. Rzeka błyszczała w świetle

księżycyca przyzywająco. Vibia zdobyła dla nas przepustki na statek handlowy i wkrótce będziemy już na pokładzie statku tnącego wodę, coraz dalej i dalej... Nerwowo uderzałam stopą o ziemię, wystukując sobie cichutki rytm, by zająć czymś myśli. Jeszcze raz przepowiadałam sobie plan, modląc się, by nie zaszło nic nieprzewidzianego.

Dziś w nocy mieliśmy jedyną szansę ucieczki. Jutro Seth miał opuścić dom Flawii i Domitusa i wrócić w kajdanach do koszar gladiatorów. A Kasjusz był daleko – podróżował do Camulodunum w interesach, dokąd zabrał większość swojej straży. Sabina, moja służąca, pomogła mi podać środki odurzające dwóm pozostałym strażnikom.

Setha jednak nie było. Co się z nim stało? Drżałam, choć wcale nie z zimna – tak bardzo przepełniał mnie strach. O niego i o mnie samą. Czy został schwytany? Czy Flawia się dowiedziała? Gdyby Kasjusz usłyszał o naszej ucieczce, kazałby zabić Setha. A mnie?

Wbiłam wzrok w ciemność. I nagle go usłyszałam. Mojego ukochanego chłopca.

– Liwia...

Biegł, kryjąc się w cieniu, a jego płaszcz wydymał się na wietrze. Wyciągnął do mnie rękę.

Pobiegłam w jego stronę, ale zanim go jeszcze dotknęłam, wydyszał:

– Musimy się stąd wydostać, oni chyba...

Nigdy nie dokończył tego zdania. Oni rzeczywiście tam byli. Czekali w ciemnościach. Obserwowali mnie i czekali na niego, przygotowując zasadzkę. Zrozumiałam to, gdy tylko poczułam ich żelazny uścisk. Nie było raptownych kroków na bruku ani pościgu. Spojrzałam na Setha i zobaczyłam, że jego również schwytano. Krzyknął z bólu, gdy wykręcili mu ramię, w które wcześniej został ranny. Kiedy walczyliśmy, by się wyswobodzić, Kasjusz Malchus wolno podszedł do mnie z ustami wykrzywionymi w okrutnym uśmiechu.

– Chyba nie myślałaś, że uda ci się uciec, mój skarbie? – syknął, chwytając mnie swoją ohydną ręką pod brodą i unosząc mi głowę tak, że musiałam na niego spojrzeć. – Twoja naiwność mnie zdumiewa. Czy nie mówiłem, że Londinium należy do mnie? Nikt mnie nie zwiedzie. Kupiłem tu wszystkich. Nie możesz liczyć na to, że ktokolwiek stanie po twojej stronie. Ty głupia dziewczyno. Nawet twój ojciec...

– On nie jest moim ojcem.

Kasjusz niebezpiecznie zmrużył oczy. Nie lubił, kiedy mu przerywano.

– Nawet twój ojciec – kontynuował bez zająknięcia – dał się kupić.

Pogładził mnie po policzku niemal z rozczuleniem.

– Jaka szkoda. Jesteś taka urocza...

Wzdrygnęłam się i odwróciłam głowę. Uchwyciłam spojrzenie Setha przepełnione nienawiścią.

– Ale rzucać się w jego ramiona! Niewolnicza hołota! Gladiator pokiereszowany po niezliczonych walkach! Co za bezmyślność! Myślałem, że jesteś mądrzejsza.

Złączył palce, szczypiąc mnie mściwie, po czym odwrócił się do Setha.

– Wygrałeś swoją ostatnią walkę, gladiatorze – wypalił. – Tym razem przeszedłeś samego siebie. Nikt nie rzuca bezkarnie wyzwania Kasjuszowi Malchusowi... A już na pewno nie taki śmieć, który chciał położyć swoje brudne łapy na tym, co należy do mnie.

Patrzyłam z przerażeniem, jak Kasjusz podchodzi powoli do Setha i wymierza mu okrutnego kopniaka w brzuch. Seth jęknął i zwinął się w pół. A potem Kasjusz wyjął z pochwy długi, zakrzywiony sztylet, przeciął płaszcz Setha i zerwał z niego tunikę. Roześmiał się, kiedy zobaczył zabandażowane ramię.

– Czy ta karykatura człowieka była tego warta, kochanie? – prychnął, po czym bezlitośnie zaczął zadawać ciosy. Trysnęła krew, Seth jęknął i padł na twarz.

– I ty śmiesz się zwać gladiatorem – szydził, kopiąc bestialsko skulonego u jego stóp, brozącego krwią człowieka.

– Przestań! – krzyknęłam, pojmując wreszcie, że Kasjusz szykuje dla nas powolną śmierć. Kasjusz się odwrócił.

– Ach, dziękuję ci, moja słodka Liwio, że nie pozwoliłaś, by poniosły mnie emocje. Nie chciałbym, żeby niewolnik przegapił następny punkt programu.

Pochylił się, poderwał Setha z ziemi i rzucił go na ścianę. Usłyszałam trzask pękających kości czaszki uderzającej o mur. Głowa zachwiała mu się bezwładnie, kiedy próbował zachować przytomność. Kasjusz złapał go za włosy i poderwał mu głowę do góry. A potem z nienawiścią uderzył go w twarz.

– Uważaj teraz, gladiatorze. Teraz poderżnę twojej słodkiej kruszynie gardło...

Dostrzegłam błysk noża, gdy wolno do mnie podchodził. Próbowałam się wyrwać trzymającym mnie mężczyznom, ale tylko chwycili mnie mocniej. Kasjusz pochylił się nade mną, a twarz wykrzywiła mu świadomość bestialstwa, którego za chwilę miał się dopuścić. Nagle jego usta zwały się z moimi w parodii pocałunku.

Usłyszałam, jak Seth warknął z wściekłości, a kiedy Kasjusz się odsunął, poczułam gorące ostrze przesuwane się po moim gardle.

Zamknęłam oczy. Czułam, jak wraz z bulgotem krwi zmieszanej z powietrzem uchodzi ze mnie życie. Osunęłam się na ziemię.

– Nie!

Z oddali słyszałam, jak Seth krzyczy... walczy... Znów rozległ się krzyk, a potem tupot stóp. Kiedy już traciłam przytomność, usłyszałam, jak Seth mówi:

– Liwia... Proszę... Oddychaj... Liwia...

# Rozdział 74

## Razem

*Londyn*

*A.D. 2013*

Zachłysnęłam się, próbując złapać powietrze... Płuca paliły mnie żywym ogniem.

Otworzyłam oczy i wbiłam dzikie spojrzenie w oczy Setha. Trzymał na mojej twarzy maskę tlenową. Serce waliło mi jak młotem, ale płuca zaczęły wypełniać się powietrzem.

– Uciekliśmy? – zapytałam bez tchu.

– Nie, kochanie. – Ze smutkiem potrząsnął głową. – Nie udało nam się.

Trzymał mnie mocno w ramionach, aż wreszcie dreszcze ustąpiły. Potem zaniósł mnie do łóżka i położył. Usiadł obok.

– Kasjusz uciekł. W zasadzie nawet niedraśnięty...

– W zasadzie?

– Ciąłem go tylko raz...

– Jak? Było ich tylu...

– Kiedy zobaczyłem nóż na twoim gardle, wyrwałem się tym dwóm, którzy mnie trzymali, i rzuciłem się na Kasjusza – zbyt późno, by cię ocalić. Przechwyciłem jego nóż i celowałem prosto w serce, ale uchylił się i tylko lekko raniłem go w ramię. Wtedy skoczyli na mnie wszyscy. Nie miałem już sił ani woli walki. Umierałaś... Słyszałem nawoływania jakichś rzymskich żołnierzy, którzy właśnie wpłynęli do portu, pewnie tych, których Kasjusz nie zdążył jeszcze przekupić. Odwołał swoje strażę. Kopnęli mnie po raz ostatni, błędnie założyli, że nie żyję, i uciekli. Ale Kasjusz nagle się odwrócił, wyciągnął nóż i wraził mi go w nogę, śmiejąc się szyderczo: „Na wypadek, gdybyś chciał gdzieś pobiec, śmieciu...”. Byłem bardziej martwy niż żywy. Z trudem utrzymywałem otwarte powieki, ale chciałem umrzeć obok ciebie – więc zacząłem się czołgać w twoją stronę. Nagle zrozumiałem, że nie ma cię... zabrali cię ze sobą... Byłem sam. Wtedy słowa Kasjusza zapłonęły w mojej głowie jak pochodnia. Nie mogłem

pozwoić mu wygrać. Dźwignąłem się na kolana i powlokłem się z powrotem do koszar. Nie udało mi się dojść do celu. Matthias mnie znalazł, ale wtedy już trawiła mnie gorączka.

– Jaka gorączka?

– Gorączka, która mnie zabiła. Gorączka, która mnie tu przywiodła. Gorączka, którą cię nie zarażę. Ewo, nie jestem podobny do ciebie. Jestem... martwy.

– Ja również umarłam.

– Nie, ty dostałaś się tutaj inną drogą. Urodziłaś się tu. Ja nie. Nie należę do tego świata. Przybyłem tutaj, by zrozumieć mechanizm gorączki, ale... znalazłem ciebie. I nie mogę znieść myśli, że znów cię stracę. Nie zniósłbym tego jeszcze raz.

– Nie stracisz mnie. Jestem twoja – powiedziałam, nachylając się, by go pocałować.

Odwrócił głowę.

– Kocham cię, Ewo, ale jestem nosicielem śmierci...

– Nie wierzę ci – powiedziałam, przesuwając dłoń po jego idealnej twarzy. Nie mogłam pozbyć się obrazu tej samej twarzy – zakrwawionej i posiniaczonej. Całowałam jego oczy, skronie, policzki, szyję... przesuwając się w stronę ust.

– Ewo, przestań... – jęknął. – Mój pocałunek cię zabije.

– A zatem będzie to dobra śmierć – szepnęłam, ujmując jego twarz w dłonie.

Kiedy nasze usta się spotkały, wiedziałam, że chcę pójść wszędzie tam, dokąd zaprowadzi mnie ta miłość.

# Podziękowania

Kiedy byłam małą dziewczynką piszącą historyjki i rysującą rysunki na podłodze salonu, moi rodzice nie szczędzili mi zachęt i nawet w trudnych czasach troszczyli się o to, by nie zabrakło mi ołówków i czystych kartek. Od tamtej pory, niezależnie od tego, jakie wyzwania przed sobą stawiałam, zawsze oferowali mi bezwarunkowe wsparcie, za co zawsze będę im nieskończenie wdzięczna.

Dziękuję moim dzieciom, Aksie i Maksowi, za prowadzenie ze mną nieustannych rozmów o Ewie, Parallonie i teorii strun (oraz zainspirowanie mnie do stworzenia jednej czy dwóch postaci!).

Ogromne wyrazy wdzięczności składam znakomitej Shannon Park, mojej uroczej redaktorce, która tak troskliwie i umiejętnie zajęła się tą książką. Dziękuję niesamowitym ludziom, których spotkałam w wydawnictwie Penguin – Francesce, Zosi, Jen, Jess, Camilli, Jo, Susanne, Katy, Helen, Samancie – i wszystkim tym, których jeszcze nie spotkałam, a którzy tak ciężko pracowali nad tym, by *Gorączka* mogła ujrzeć światło dzienne.

Gdy mieszka się w Londynie, każdego dnia doświadcza się podróży w czasie – współczesne budynki wyrastają tuż obok zabytków. Zawsze przechadzałam się tymi ulicami, wyobrażając sobie duchy z poprzedniego życia, więc koncepcja podróży w czasie nie wydawała mi się obca ani dziwaczna. Lecz czas wirusowy owszem, podobnie jak teorie naukowe, które mogły wspierać tę koncepcję. Zawsze będę dłużna mojej siostrze Caroline, która przeczytała rękopis i poprawiła najbardziej rażące błędy związane z medycyną. Jestem też bardzo wdzięczna doktorowi Markowi Zuckermanowi ze szpitala King's College za sprawdzenie fragmentów dotyczących wirusologii.

Serdeczne podziękowania dla prawdziwego doktora Mylne'a (żadnych skojarzeń z profesorem Mylne'em z St Mag's) za sumienne przeczytanie *Gorączki* od deski do deski, włącznie z najbardziej romantycznymi fragmentami, pod kątem zgodności z prawdą historyczną.

Dziękuję również naukowcom i historykom, którzy tak hojnie dzielą się swoją wiedzą w internecie, i tym, którzy publikują swoje badania w formie książkowej. Szczególnie wiele skorzystałam na lekturze *Roman London (Rzymski Londyn)* autorstwa Jennie Hall i Ralpha



Merrifielda oraz *The World of the Gladiator* (*Świat gladiatora*) autorstwa Susanny Shadrake.

Dołożyłam wszelkich starań, by skontaktować się z Michio Kaku z prośbą o zgodę na wykorzystanie cytatu na początku części II. Mam nadzieję, że doceni ten niewielki hołd.

Pisanie jest czynnością niesłychanie samolubną i wymagającą samotności, dlatego partnerzy pisarzy są zazwyczaj osobami szalenie hojnymi i wyrozumiałymi. Nikt nie jest bardziej wyrozumiały od mojego męża Chrisa. Dziękuję mu za cierpliwe wysłuchiwanie mnie i przenikliwe komentowanie moich narracyjnych dylematów oraz za udzielaną z całego serca zgodę na zatraskiwanie drzwi i znikanie z życia. Bez jego wsparcia niczego bym nie osiągnęła.